

Mit **przerwanej dekady** | **Razem** idzie osobno | **PiS:** przebrani za demokratów
Dramat w **Dramatycznym** | Falsze o **Unii** | **Napoleon** – życie i film | **Poczta** na dni

ILUSTRACJA ARKADIUSZ HAPKA

POLITYKA.P.L

POLITYKA

LIDER
SPRZEDAŻY
1

TYGODNIK, nr 48 (3441), 22.11–28.11.2023

Cena 11,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

Raport o stanie prezesa

s. 16



USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

ISSN 0032-3500
4 8 >
9 770032 350305



Black Weeks

Zima **BEZ**

VAT

Zeszłoroczne kolekcje **-30%**

Starsze kolekcje do **70% taniej!**

Ceny promocyjne obowiązują od pierwszej ceny na metce. Szczegóły promocji znajdziesz na skiteam.pl



Zarejestruj kartę **Mastercard**® w programie **Bezenne**® **Chwile** i odbieraj nagrody za płatności!

bezennechwile.pl

KOD NA ZAKUPY

50 zł

SKI team



ZIMOWE GODZINY OTWARCIA SKLEPÓW SKI TEAM

Poniedziałek – Piątek 11:00 – 20:00 | Sobota 11:00 – 21:00 | Wszystkie Niedziele 12:00 – 16:00

WARSZAWA: ul. KOR 36/38 | WARSZAWA: ul. Toruńska 107b | POZNAŃ: ul. Bułgarska 117a

WROCLAW: CH Arkady Wrocławskie | KATOWICE: ul. Sportowa 20 (200m od CH Silesia)



12

Mit przerwanej dekady



20

Razem, czyli osobno



48

Fuchy i fochy

Wybory 2023

- 12 Mariusz Janicki
PiS się nie skończył
- 16 Anna Dąbrowska, Wojciech Szacki
Powyborcza trauma prezesa
- 20 Jakub Majmurek
Partia Razem: trochę w opozycji, trochę w koalicji
- 24 Rafał Kalukin
Sejm – nowy początek, stare problemy



Spółeczeństwo

- 28 Katarzyna Kaczorowska
Jak się żyje na Jagodnie
- 31 Aneta Kyzioł
Konflikt w Dramatycznym: Monika Strzępka rządzi i dzieli
- 34 Rozmowa z Anną Schmidt-Fic
o powyborczej radości w szkołach i tym, co może się zmienić
- 37 Juliusz Ćwieliuch
Pałac Saski w wiecznej odbudowie



Rynek

- 40 Cezary Kowanda **Poczta Polska – w jakim stanie zostawia ją PiS**
- 43 Adam Grzeszak **Ceny prądu: mrozić, schładzać czy uwolnić?**

Świat

- 48 Piotr Buras
Unia chce się zmienić, ale inaczej, niż straszy Morawiecki
- 51 Agnieszka Lichnerowicz UKRAINA
Na skraju demograficznej katastrofy
- 54 Mariusz Zawadzki PALESTYNA
Czym jest Hamas i kim są jego przywódcy



- 56 Dalia Mikulska TUNEZJA
Szantaż migracyjny

Nauka/projektpulsar.pl

- 58 Tomasz Targański
Dzieje ziemi według Petera Frankopana
- 61 Rafał Zwołak
Nauka naprawia swoje błędy
- 66 Dr hab. **Piotr Skowron**, laureat Nagrody Naukowej POLITYKI w kategorii Nauki ścisłe



Historia

- 70 Piotr Korczyński **Ikona Napoleona**
- 73 Adam Krzemiński **Biografia Urbana**

Kultura

- 80 Rozmowa z reż. **Mają Kleczewską** o tym, czym dziś powinien zajmować się teatr
- 84 **Lech Janerka** o najnowszej płycie, polityce i fenomenie długiego trwania
- 88 Jakub Demiańczuk **„Napoleon”: cesarz Francuzów oczami Ridleya Scotta**
- 92 Michał Wieczorek **Co zostało po grunge’u**
- 94 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**



Ludzie i style

- 100–105 • **Jak skowronki dyskryminują sowy**
- Łańcuszek na fejsie
 - Kto i co dowozi
 - Co na ścianę
 - Odkrywamy nogi
 - Spanie w Kirgistanie
 - Kto pije Beaujolais Nouveau

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 PrzyPiSy
- 7 Ludzie i wydarzenia
- 76 Afisz
- 95 Agata Passent
- 96 Lis
- 97 Hartman
- 98 Do i od redakcji
- 106 Polityka i obyczaj



www.mleczko.pl

SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Dyszająca grupa z celownikami

Prawica żyje dramatem Elżbiety Witek, która zdaniem prezesa PiS „została niezwykle bezczelnie obrażona”, gdyż nie wybrano jej na wicemarszałkinię Sejmu. „To skandal, nie na tym polega demokracja” poucza była minister pracy Marlena Małąg, która razem z kolegami z PiS przez osiem lat konsekwentnie pokazywała opozycji, na czym polega demokracja, ale najwyraźniej niczego to opozycji nie nauczyło.

„To nas bulwersuje jako parlamentarzystów, jako PiS, ale przede wszystkim jako kobiety” – oburza się Małąg, przypominając obietnice demokratycznej opozycji, że „będzie troszczyła się o kobiety”. Tymczasem jak opozycja troszczy się o taką kobietę jak Witek? Jak reaguje na żądania prezesa PiS, żeby dać jej funkcję wicemarszałka, bo to dobra kobieta, zasłużona dla partii, chętnie i stanowczo unieważniająca przegrane przez PiS głosowania i przeprowadzająca niezbędne reasumpcje, a następnie z anielską cierpliwością znosząca chamskie ataki opozycji wywołane jej decyzjami.

Marszałek Hołownia zapewnił, że miejsce, na które nie wybrano Witek, będzie czekało na innego przedstawiciela PiS, co zirykowało posła tej partii Piotra Kaletę. „To bezczelna

wypowiedź bezczelnego człowieka” – ocenił Kaleta, w opinii którego czekanie tego miejsca obraża jego, Elżbietę Witek i wszystkich wyborców PiS.

Opisując krzywdę wyrządzoną Witek przez bestialski czyn sejmowej większości, Michał Karnowski mówi wprost o „dyszającej żądzą politycznej zemsty grupie facetów”, która „wzięła na celownik dzielną kobietę z klasą”. Karnowski nie podaje nazwisk i moim zdaniem robi błąd; należy je upublicznić, zanim ci odchyleńcy zaatakują inne posłanki PiS i wydyszą im coś do ucha. Wiadomo, jak czuje się kobieta, w obecności której grupa facetów dyszy z wycelowanymi celownikami, dlatego dobrze, że Karnowski sprawę poruszył. Miejmy nadzieję, że w kolejnych tekstach ujawni przynależność partyjną napastników, a Mateusz Morawiecki w uznaniu zasług i klasy Witek zaproponuje jej wejście do tworzonego przez siebie rządu.

Ma w tej sytuacji rację Jarosław Kaczyński, mówiąc, że krzywdziciele dzielnej Elżbiety Witek to ludzie „z kultury niższej”, w przeciwieństwie do niej – osoby „z innej kultury, tej wyższej”. Domyśliśmy się, że chodzi tu o kulturę pisowską, tę samą, której ministrem był do niedawna Piotr Gliński i której doskonałym uosobieniem jest Przemysław Czarnek, polityk mający w sobie tyle kultury, że aż mu się ulewa. Obu można wiele zarzucić, ale z pewnością nie to, że pozwoliliby sobie na dyszenie w obecności kobiety.



USA – Wschodnie Wybrzeże

Filadelfia, Waszyngton, Nowy Jork, Boston, Nowa Anglia czyli podróż do kolebki USA z bogatą historią i wielkimi miastami oraz wodospad Niagara – potęgą natury.

Program wycieczki: **Dz. 1** Warszawa – Nowy Jork – Filadelfia. Zameldowanie w hotelu. **Dz. 2** Filadelfia – Baltimore – Waszyngton. Dzwon Wolności i Waszyngton by night. **vDz. 3** Waszyngton. Wycieczka po mieście, The Mall, cmentarz w Arlington oraz Air & Space Museum. **Dz. 4** Waszyngton, D.C. – Gettysburg – Lancaster – Williamsport. Wizyta w wiosce amiszów. **Dz. 5** Williamsport – Wodospad Niagara, USA. Rejs statkiem po kanadyjskiej stronie wodospadów. **Dz. 6** Niagara Falls – stany Nowy Jork i Massachusetts. **Dz. 7** Framingham – Boston – Hyannis na wybrzeżu Nowej Anglii. **Dz. 8** Hyannis – Newport – Yale – Nowy Jork. **Dz. 9** Nowy Jork. Objazd, 9/11 Memorial i czas wolny. **Dz. 10** Nowy Jork i wylot. **Dz. 11** Przylot do Warszawy.

11 dni | Wyloty z Warszawy 17/05, 06/09 2024

od **14.998,-**



Albania nieznana i Czarnogóra

Program wycieczki: **Dz. 1** Warszawa – Tirana. Przyjazd do stolicy Albanii. **Dz. 2** Tirana – Elbasan – Berat – Saranda. **Dz. 3** Saranda – Gjirokastra – Saranda. Twierdza Argjiro, muzeum Ismaila Kadareza, "Błękitne Oko" i wizyta w winnicy. **Dz. 4** Saranda – Ksamil – Vlora. Kąpielisko Ksamil, wizyta u lokalnej rodziny w Himarze i zwiedzanie miasta Vlora. **Dz. 5** Vlora – Apollonia – Szkodra. Rzymskie ruiny w Apollonii, i przyjazd do Szkodry. **Dz. 6** Szkodra – Budva – Cetinje – Szkodra. Wycieczka do Czarnogóry. Spacer po mieście Budva i wizyta w królewskim mieście Cetinje. **Dz. 7** Szkodra – Kruja. Zwiedzanie miasta Szkodra, zamku Kruja i Muzeum Skanderbega. **Dz. 8** Kruja – Tirana – Warszawa. Czas wolny i wyjazd na lotnisko.

8 dni | Wyloty z Warszawy 24/04, 18/09 2024

5.998,-

Hurtigruten – wzdłuż norweskich fiordów do Arktyki

Program wycieczki: **Dz. 1** Przelot Warszawa - Oslo. Zwiedzanie stolicy Norwegii. **Dz. 2** Przejazd pociągami przez największy płaskowyż Europy Hardangervidda, następnie stynną koleją widokową Flåmsbanen oraz fantastyczny rejs po najwęższym norweskim fiordzie Nærøysfjorden. **Dz. 3** Wizyta w Muzeum Ludowym Stalheim a następnie przejazd autobusem do Bergen. **Dz. 4** Bergen. Zwiedzanie miasta, po południu rozpoczęcie wspaniałego rejsu na pokładzie statku Hurtigruten. **Dz. 5** Ålesund. Zwiedzanie skandynawskiej peretki Art Nouveau. **Dz. 6** Trondheim. Zwiedzanie pierwszej stolicy Norwegii oraz katedry Nidaros - najważniejszego centrum pielgrzymkowego w kraju. **Dz. 7** Bodø. Przekroczenie koca podbiegunowego i rejs po Lofotach wzdłuż majestatycznego fiordu Trollfjorden. **Dz. 8** Tromsø. Zwiedzanie miasta zwanego wrotami Arktyki, starówka, Katedra Arktyczna i Muzeum Polarne. **Dz. 9** Honningsvåg. Przyłudek Północny Nordkapp - 71 stopień szerokości geograficznej północnej i rejs po Morzu Barentsa. **Dz. 10** Kirkens. Powrót do Warszawy.

10 dni | Wylot z Warszawy 19/07 2024

19.998,-

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.

Kod reklamy: PL45

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

Schrony, okopy i miny



Jerzy Baczyński

Przyszedł taki esemes: „Dzień dobry tu Mateusz Morawiecki. Dostałem misję tworzenia rządu. Obecnie mam wiele wolnych miejsc ministrów i wiceministrów. Gdybyś był zainteresowany, napisz RZĄD i wyślij 500 zł blikiem. Mateusz”. Internet ma uciechę z *mission impossible* Morawieckiego; nowym źródłem memów będzie zapewne uroczystość zaprzysiężenia członków gabinetu-widma. Ale dla PiS, wiemy, nie ma granicy wstydu, jeśli chodzi o interes partii, tu zaś interesy są wyraźne. Małe i duże. Małe – to wszystkie administracyjne decyzje last minute dotyczące pospiesznego lokowania ludzi i pieniędzy w instytucjach, które mają tworzyć system schronów i bunkrów, infrastrukturę przetrwania w opozycji i wyprowadzania kontrataków. Duży interes – to budowa „mitu przerwanej dekady” (o czym pisze szerzej Mariusz Janicki na s. 12), opowieści o wielkich (przeszłych i przyszłych) sukcesach rządów PiS, które dziś są podważane przez wrogów polskiej niepodległości, czyli działającą pod dyktando Berlina i Brukseli „niemiecką partię” Donaldusa Tuska. Ta montowana ad hoc narracja ma wystarczyć jako wytłumaczenie przegranych wyborów i utracić ewentualne pokusy rozliczenia kierownictwa PiS (więcej w art. „Smutek prezesa”, s. 16). Ma także zmobilizować przestraszony aparat partyjny i oniemiałych wyborców do nowej wojny o „jeszcze wyższą, najwyższą stawkę”, czyli o niepodległość, wręcz samo istnienie państwa polskiego. Nie nam oceniać skuteczność tej taktyki, bo nie do nas jest kierowana.

Natomiast jeśli chodzi o schrony i bunkry, mam nadzieję, że nowy rząd zdoła większość z nich namierzyć, rozbroić lub nie dopuścić do ich zabetonowania. To jest możliwe choćby w głośnym w ostatnich dniach przypadku przeniesienia do mego rodzinnego Otwocka Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Paderewskiego, wraz ze zobowiązaniem do wypłacania z publicznej kasy 100 mln zł przez 10 lat na propagowanie tradycji endeckiej (biedny Ignacy Paderewski od początku był tu użyty jako przyzwoitka). Pomysł, aby to Otwock – miasto, którego większość mieszkańców przed wojną stanowili Żydzi, wywiezieni i wymordowani w Treblince – uczynić stolicą polskiego nacjonalizmu i „antysemickiej myśli” Romana Dmowskiego, jest bolesną, żenującą prowokacją (polecam artykuł prof. Jana Hartmana w naszym serwisie polityka.pl). Wydawnictwo Polityka przed kilku laty wznowiło, razem z ośrodkiem Karta, przejmując książkę „Spowiedź” Calka Perechodnika, otwockiego Żyda – jedno z najbardziej znanych w świecie świadectw Holokaustu. Prosiłem wtedy władze miasta, aby nadać imię Perechodnika jakiegokolwiek otwockiej ulicy – bezskutecznie.

Pamięć o pomordowanych otwockich Żydach, kompletnie wymazana za czasów PRL, wróciła jednak do Otwocka głównie dzięki staraniom proboszcza ks. Wojciecha Lemańskiego o objęcie ochroną resztek otwockiego kirkutu i budowę pomnika dzieci-ofiar Zagłady. Ks. Lemański był potem – z powodu „konfliktowania lokalnej

społeczności” – objęty zakazem wypowiedzi publicznych, zawieszony w prawach kapłańskich. Otwock, ze swoją szczególną społeczną historią, jest dziś jednym z kilku ledwie miast w Polsce rządzonych przez prezydenta z PiS. To w tutejszym kinie Oaza, odremontowanym z sypiących się do Otwocka pieniędzy, nie dopuszczono – o czym szeroko informowały media – do projekcji filmu Agnieszki Holland „Zielona granica”. Kino Oaza przed wojną było własnością wymordowanej rodziny Calka Perechodnika. Jeśli nie nowy minister kultury, to wybory samorządowe mogą zablokować wykonanie umowy o finansowaniu „instytutu myśli narodowej” w Otwocku. Trudniej będzie odebrać otwocką willę zakupioną z publicznych pieniędzy przez narodowców Roberta Bąkiewicza.

Sprawy otwockie są tylko ilustracją znacznie szerszego zjawiska. Otóż kiedy w końcu koalicja demokratyczna przejmie rząd w Polsce, to i tak jedynie częściowo. Po Nowym Roku nadal będziemy mieli w Polsce dwuwładzę. Już widzimy, że premier Tusk nie powinien liczyć na pokojową kohabitację z prezydentem Dudą, a to praktycznie odbiera nowej większości możliwość stanowienia prawa drogą ustaw. PiS jest okopany w Trybunale Konstytucyjnym, Sądzie Najwyższym, Krajowej Radzie Sądownictwa, w NBP, prokuraturze. Za moment postpremier ma powołać kadencyjnego szefa KNF, który będzie wpływał m.in. na obsadę stanowisk w bankach. Dostępu do TVP broni Rada Mediów Narodowych, grożąc zaskarżeniem do sądu ewentualnego „przestępczego odwołania” obecnego kierownictwa TVP. Partia ma swoje samorządy, marszałków, fundacje, instytuty, spółki Skarbu Państwa, banki. Przez osiem lat PiS produkował ustawy, uchwały, regulaminy, statuty gwarantujące jego ludziom pełnię kontroli nad państwem. Nie zagwarantował sobie – choć niemal wszystko w tym kierunku zostało zrobione – zwycięstwa wyborczego. I teraz nowy rząd wchodzi w świat umeblowany przez i pod PiS. I będzie miał znaczną część tego państwa przeciw sobie. A Kaczyński od pierwszego dnia po wyborach dba o to, aby jakkolwiek współpraca jego ludzi z nową władzą była niemożliwa.

Wyprowadzanie partii Kaczyńskiego ze struktur państwa będzie więc niesłychanie skomplikowaną operacją. Z tego, co wiemy o nominacjach ministerialnych, widać, że premier Tusk stawia na ludzi doświadczonych, że ta ekipa, zwana już zderzakami, ma w pierwszej kolejności dokonać depisyzacji instytucji oraz rozliczeń z nadużyciami odchodzącej władzy. Być może następny rząd tej koalicji będzie działał już w bardziej komfortowych politycznie warunkach, ten jest od rozbiórki pisowskiej konstrukcji i odtworzenia choćby stanu surowego demokracji. Będziemy więc skazani na okres przejściowy, działania etapowe, stany prowizoryczne. Sejm już rozpoczął proces stopniowego przywracania konstytucyjnego składu Krajowej Rady Sądownictwa; należy się spodziewać uchwały eliminującej trzech sędziów-dublerów z TK i w konsekwencji unieważnienia orzeczeń TK wydanych z ich udziałem; rozważana jest trudna ustrojowa sprawa postawienia przed Trybunałem Stanu prezesa NBP i skrócenia jego kadencji; dyskutuje się o sposobach omijania zabetonowanej przez Ziobrę funkcji prokuratora krajowego i odzyskiwania nienależnie przejętych przez ludzi PiS pieniędzy i dóbr. W każdym przypadku PiS będzie krzyczał, że nowa większość narusza zasady demokracji, ba, nawet konstytucję, i stroił miny krzywdzonej ofiary (Rafał Kalukin „Nowi demokraci”, s. 24).

Jednak po ośmiu latach rządów PiS już wiemy, że demokracja musi umieć się bronić przed swoimi wrogami, także stawiać przed obliczem sprawiedliwości tych politycznych nominatów, którzy łamali prawo, nadużywali stanowisk, grabili publiczne pieniądze. Musi być sprawcom. I są na to legalne procedury. Ale tym bardziej trzeba wyborcom tłumaczyć – jak Hołownia w orędziu po niewyborze Elżbiety Witek na wicemarszałka – co i dlaczego jest lub nie jest robione, demaskować manipulacje i polityczne przebieganki, uspokajając, odpowiadać na pytania. Demokracja, która milczy, z góry skazuje się na przegraną z tymi, którzy krzyczą.

Wojna w Strefie Gazy dzieli Polaków

Wywołana konfliktem Izraela z Hamasem polaryzacja społeczna dotarła też na polskie ulice i do polskiej polityki. Wyraźnie widać to m.in. na polskiej lewicy, gdzie z jednej strony posłanka Anna Maria Żukowska zlikwidowała swoje konto na Twitterze, na którym przy nazwisku miała flagę Izraela, z drugiej – zarząd krajowy partii Razem wydał 29 października oświadczenie, w którym stwierdził, że „Izrael od 56 lat okupuje terytoria palestyńskie”, stosując na nich „politykę apartheidu”, wezwał też do natychmiastowego zaprzestania walk. W dyskusję o konflikcie włączył się szereg znanych osób – jednym z najbardziej zagorzałych obrońców Izraela w mediach społecznościowych został Tomasz Lis, który określa Hamas mianem „śmiertelnego zagrożenia dla państwa izraelskiego”, czasami pisząc nawet nazwę tej organizacji z podwójną wielką literą „S” na końcu, nawiązując do działań nazistowskich Niemiec. Jego z kolei krytykują zastępy młodych, głównie lewicowych internautów, nierazko w podobnie ostrym tonie.

Konflikt przeniósł się też – dosłownie – na ulice Warszawy, gdzie centrum w wielu miejscach można zobaczyć graffiti „Wolna Palestyna”, na których pierwsze słowo zostało przekreślone i zastąpione wulgaryzmami. W minioną sobotę ulicami stolicy przeszła też manifestacja środowisk propalestyńskich, zorganizowana pod hasłem „Ani jednej bomby więcej – Wolna Palestyna”. Początkowo prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski zakazał organizowania wydarzenia, tłumacząc się względami bezpieczeństwa – marsz miał kończyć się pod ambasadą Izraela na warszawskiej Ochocie, gdzie dominuje gęsta zabudowa i wąskie uliczki. Ponieważ udział w nim miało wziąć co najmniej 2 tys. osób, zdaniem Trzaskowskiego niemożliwe było zapewnienie demonstrantom bezpieczeństwa przez policję. Od decyzji odwołał się jednak współorganizujący marsz Kolektyw Szpila, a Sąd Okręgowy w Warszawie zakaz ratusza oddalił. Ostatecznie **demonstracja wyruszyła z pl. Zbawiciela** i zatrzymała się przy ul. Krzywickiego, kilkadziesiąt metrów od budynku ambasady. Jej uczestnicy maszerowali pod hasłami zaprzestania czystki etnicznej w Gazie, umożliwienia pomocy



humanitarnej, wstrzymania bombardowań szpitali, ale pojawiły się również transparenty z napisem „od rzeki po morze”. To nawiązanie do używanego również przez Hamas hasła „od rzeki [Jordan] po morze [Śródziemne] istnieć będzie wolna Palestyna”. W wielu miejscach na świecie slogan ten uznawany jest za antysemicki, ponieważ implikuje wyeliminowanie z mapy Bliskiego Wschodu suwerennego Państwa Izrael, znajdującego się na skandowanej w hasle przestrzeni.

Wcześniej (pod koniec października) na innej manifestacji solidarności z Palestyną doszło do incydentu antysemickiego, gdy Marie Andersen, norweska studentka medycyny z Warszawy, została sfotografowana z transparentem, na którym flaga izraelska wrzucana była do kosza na śmieci. Studentka została potem zaproszona do ojczyzny przez mieszkającego tam Polaka Mieszka Czarnieckiego, by poznać norweską historię Zagłady – spośród wywiezionych do Auschwitz z tego kraju Żydów drugą wojnę światową przeżyło tylko 4 proc. (MAZ)

Sejm: hit jesieni

Takiej oglądalności posiedzenia polskiego Sejmu jeszcze nie miały – oficjalna strona w sieci nie wytrzymała naporu i się zawiesiła, a na YouTube transmisje z pierwszych dwu dni obrad zebrały łącznie ok. **1,5 mln** odsłon. Czyli **10 razy więcej** niż inauguracyjne posiedzenie Sejmu poprzedniej kadencji. Co prawda wielu komentarzy publikowanych na żywo nie wypada tu cytować, ale zdarzały się i perełki w rodzaju: „Ci ludzie nie są równi ludziom normalnym, katolicyzm to ideologia” (parafraza słynnej opinii Przemysława Czarnka o osobach LGBT+). To aluzja do ślubowania przez posłów i posłanki na Boga. Tylko **128** podczas składania przysięgi nie dodało frazy „Tak mi dopomóż Bóg”, wśród nich m.in. liderzy KO: Donald Tusk, Barbara Nowacka, Adam Szałapka i Urszula Zielińska, poza tym 17 posłów Trzeciej Drogi (16 z Polski 2050 i jedna Urszula Paślawska z PSL) i 25 z Nowej Lewicy, czyli wszyscy prócz – mała sensacja – nagle



popularnego w całym kraju Łukasza Litewki. Na prawicy bez zaskoczeń – zgodnie ślubowała na Boga, a Grzegorz Braun nawet doprecyzował: „Tak mi dopomóż Bóg w Trójcy jedyny i wszyscy święci”. Jak zauważył na OKO.press Piotr Pacewicz, ponad podziałami posłowie zapinali marynarki, zanim przeszli do ślubowania. Tylko Adrian Zandberg ślubował rozpięty. Większość kładła też dłoń na sercu, choć Maciej Konieczny (Nowa Lewica) uniósł akurat pięść.

W Sejmie zasiada rekordowo mało, bo **117 debutantów**. Wśród nich Michał Gomoła (PSL), zarazem najmłodszy parlamentarzysta (**24 lata**). Najstarszy, **78-letni** Tadeusz Samborski, jest jego klubowym kolegą. Rekordowo dużo jest kobiet, ale Sejm to nadal domena raczej posłów niż posłanek: **135 do 325**. KO wprowadziła ich najwięcej: **61 (na 157)**, potem PiS (**42 na 194**), Trzecia Droga (**19 na 65**), Nowa Lewica (**12 na 26**), Konfederacja (**18 mandatów**) tylko **jedną** (Karinę Bosak, żonę Krzysztofa Bosaka). W Senacie dysproporcja jest jeszcze większa: **19 kobiet i 81 mężczyzn**. Każda z izb, co ciekawe, ma swojego górala. W Sejmie to Andrzej Gut-Mostowy (PiS), nazywany „królem Podhala”, w Senacie Daniel Flaka (Konfederacja). Obaj wystąpili w tradycyjnych strojach. Wszystkie te niuanse widzowie wyłapywali przed ekranami i już chętnie rozliczają rząd, który nawet jeszcze nie powstał. Osiem lat z PiS u władzy nauczyło Polaków patrzeć politykom na ręce. Dosłownie. (AŻ)

„Wiadomości” na śmietnik – co w zamian?

Obiecywali polskie BBC, wyszła im Russia Today” – mówił przed wyborami Cezary Tomczyk z PO. I dodawał: „Chcę obiecać, że TVP może być rzetelnym medium. Natomiast marka TVP Info i »Wiadomości«, dokładnie tak jak marka »Dziennika Telewizyjnego« po 1989 r., zostanie zlikwidowana”. Nic dziwnego, że w TVP trwa atmosfera wyczekiwania, część osób kojarzonych ze starą władzą sama składa wypowiedzenia (odeszedł m.in. Stanisław Bortkiewicz, doradca zarządu, zwany szarą eminencją TVP), mówi się o tym, że nowe rozdanie w mediach publicznych zakłada zmianę nie tylko skompromitowanych twarzy, ale też nazw programów i kanałów kojarzonych z pisowską propagandą, przede wszystkim „Wiadomości”. – *Opinia publiczna dostałaby mocny sygnał, gdyby ta marka przestała istnieć, tak jak zniknął „Dziennik Telewizyjny”. Najważniejsza jest jednak zmiana treści, główny program informacyjny telewizji publicznej powinien być uczciwy i rzetelny – uważa Jan Dworak, były prezes TVP. – „Wiadomości”, czy jakkolwiek ten program będzie się nazywał, muszą być inaczej redagowane, bo na razie to nie są informacje, tylko propaganda, do tego nieudolna warsztatowo. Podobnie myśli Sławomir Zieliński, były szef Jedynek i Biura Programowego TVP. – Rozmowa o nazwie nie jest najważniejsza, przede wszystkim trzeba stworzyć nowy zespół, a on, jeśli uzna, że trzeba, zaproponuje nową nazwę. I podzuca propozycję: „Panorama Dnia”. Tak nazywał się program informacyjny nadawany kiedyś w TVP2.*

– *To zawsze była Telewizja Polska, ta nazwa jest w ustawie, ma też ogromną tradycję – mówi Robert Kwiatkowski, członek Rady Mediów Narodowych i były prezes TVP. – Natomiast skompromitowane programy informacyjne, przede wszystkim „Wiadomości” i TVP Info, muszą się zmienić. Nazwa nie jest tu najważniejsza, chodzi przede wszystkim o treść – no i o twarz. Wymiana prowadzących kojarzonych z pisowską propagandą jest dużo ważniejsza od nazwy.*



Sławomir Zieliński wspomina, że po objęciu prezesury TVP przez Jacka Kurskiego w 2016 r. oglądalność „Wiadomości” gwałtownie spadła. Zamówiono więc badania, z których wynikało, że podstawowym powodem jest stroniczość tego programu, propaganda sukcesu, pomijanie informacji niewygodnych dla władzy, przedstawianie członków rządu i PiS w znacznie lepszym świetle niż przedstawiciele opozycji. Badani wskazywali też na zbyt dużą liczbę informacji dotyczących Kościoła, braki w warsztacie dziennikarskim czy brak charyzmy u prowadzących. Władze telewizji zignorowały badania i dalej w to brnęły, dlatego setki tysięcy widzów odeszło od „Wiadomości”.

Teraz czas na konsekwentne odbudowywanie wiarygodności – mówi Jan Dworak. – *Zniszczenia są tak wielkie, że prostym ruchem – zmieniając nazwę – nie odzyska się wiarygodności – dodaje Sławomir Zieliński. A Jan Ordyński, wiceprezes Towarzystwa Dziennikarskiego i wieloletni dziennikarz TVP, podsumowuje: – Ludzie muszą zobaczyć coś zupełnie nowego, w Polskę musi pójść mocny sygnał, że znowu warto włączyć Jedynekę o 19.30. (MOSK)*

Dla kogo Trybunał Stanu



Pierwszą osobą, którą nowa władza chce pociągnąć do odpowiedzialności, jest szef NBP **Adam Glapiński**. Główny zarzut dotyczy złamania przez Glapińskiego zasady niezależności NBP usługami wobec władzy politycznej oraz „brakiem realizacji podstawowego zadania, jakim jest walka z drożyzną” – tak napisano w umowie koalicyjnej przyszłych rządzących. To zarzuty złamania konstytucji, za które odpowiada się przed Trybunałem Stanu.

W sobotę w „Faktach po Faktach” TVN24 prof. Ireneusz Dąbrowski, prawnik i ekonomista zasiadający w Radzie Polityki Pieniężnej jako przedstawiciel prezydenta, zapewniał, że „nie ma do niego [szefa NBP] nawet milimetra zastrzeżeń co do łamania konstytucji czy ustaw”. Zaś zarzut złamania zasady niezależności NBP podsumował: „To jest strasznie ogólnikowe hasło, pod które wszystko można podciągnąć. Z niego nic nie wynika”. Pierwsze jest prawdą, drugie – nie.

Rzeczywiście konstytucja enigmatycznie wypowiada się o odpowiedzialności przed TS. Ponośi się ją „za naruszenie konstytucji lub ustawy w związku z zajmowanym stanowiskiem lub w zakresie swojego urzędowania”. Nie ma też bogatego orzecznictwa TS na ten temat, bo od 1920 r. TS rozpatrzył tylko... cztery sprawy dotyczące dziewięciu osób, a skazano dwie (w sprawie tzw. afery alkoholowej). Przesłanka „złamania konstytucji lub ustawy” jest rzeczywiście enigmatyczna, ale to jest jej zaleta. Dzięki temu wysocy funkcjonariusze mogą być rozliczeni karnie (bo odpowiedzialność przed TS jest odpowiedzialnością karną) za sposób sprawowania władzy.

W tej kadencji głosów do postawienia przed TS starczy tylko dla prezesa NBP oraz szefa i członków KRRiT. Ci ostatni mogą np. odpowiedzieć za niewykonywanie obowiązków przez brak kontroli i wyciągania konsekwencji (kary pieniężne) wobec państwowego radia i telewizji za notoryczne ignorowanie misji publicznej. Do ich postawienia przed TS wystarczy bezwzględna większość głosów („za” więcej niż „przeciw” i wstrzymujących się).

Rzecz się bezpieczna, jeśli nie popełnili przestępstwa pospolitego. Do postawienia przed TS prezydenta Andrzeja Dudy (delikt: zaprzysiężenie 27 neosędziów do SN, mimo że NSA wstrzymał procedurę do czasu rozpatrzenia poprawności konkursu przed neoKRS) potrzeba min. 2/3 głosów połączonych izb: Sejmu i Senatu. Odpowiedzialność premiera i członków Rady Ministrów przed TS wymaga większości 3/5, czyli 276 posłów, a koalicja ma 248. Ale do ich pociągnięcia do odpowiedzialności karnej (np. premiera Morawieckiego za bezprawne zarządzanie przygotowaniem „wyborów kopertowych”) wystarczy większość bezwzględna. Marszałków Sejmu i Senatu przed TS można postawić jedynie za nienależyte wykonywanie obowiązków prezydenta. Ale głosów wystarczy do uchylenia im immunitetu i pociągnięcia do odpowiedzialności karnej za nadużycie władzy (np. Elżbiecie Witek za bezprawne reasumpcje głosowań czy Markowi Kuchcińskiemu za zamknięcie Sejmu przed obywatelami). Oczywiście, jeśli prokuratura będzie działać normalnie. (ES)

Kohabitacyjny wampir

Antoni Dudek

Politolog i historyk, profesor nauk humanistycznych; prowadzi na YouTube autorski kanał Dudek o Historii.



Po trwającym ponad 13 lat śnie, w który zapadł po katastrofie smoleńskiej, przebudził się właśnie kohabitacyjny wampir. W przeszłości wysłał on z naszego państwa już sporo politycznej krwi. Zawitał do nas jeszcze w 1990 r., gdy w trakcie tzw. wojny na górze skłócone solidarnościowe elity postanowiły uzupełnić kształtując się wówczas parlamentarno-gabinetowy system rządów prezydentem wybieranym w głosowaniu powszechnym. Co potrafi ów wampir, można się było przekonać już w czasach prezydentury Wałęsy. Niestety, autorzy obecnej konstytucji nie mieli dość odwagi, aby wyciągnąć z tego wnioski i odebrać ludowi ulubione polityczne igrzyska, jakimi, poczynając od 1990 r., stała się prezydencka elekcja. Wyrwali wprawdzie wampirowi przewencyjnie kilka mniej istotnych zębów, takich jak „opiniowanie” przez prezydenta kandydatów na szefów MON, MSW i MSZ, ale dwa najważniejsze pozostały nienaruszone: prawo weta wobec ustaw oraz niezwykle silny mandat polityczny wynikający z bezpośredniego wyboru przez naród.

Dlatego przez kolejne lata wampir polował bez przeszkód, żywiąc się konfliktami kolejnych prezydentów (z premierami. Czasem przybierało to formę „szorstkiej przyjaźni” (jak Millera i Kwaśniewskiego), czasem zaś otwartych, ośmieszających Polskę sporów o krzesło na szczycie Rady Europejskiej, jak w przypadku Donalda Tuska i Lecha Kaczyńskiego. Wygląda na to, że po 13 latach letargu kohabitacyjny wampir obudzony sejmowym wystąpieniem Andrzeja Dudy jest bardzo głodny. Dowodem tego są wszystkie dotychczasowe decyzje prezydenta, łącznie z wyznaczeniem Marka Sawickiego na marszałka senatora. Nie był to bowiem gest wobec dotychczasowej opozycji, ale element rozgrywki mającej rozbić formującą się nową sejmową większość. Duda będzie bowiem opóźniał powstanie rządu kordonowej koalicji do ostatniego możliwego konstytucyjnie terminu.

A co później? Później będą naprzemiennie weta albo też kierowanie – bez podpisania – ustaw do Trybunału Konstytucyjnego. Dlatego nie mam najmniejszej wątpliwości, że równoległe z frontem prokuratorskim to właśnie front trybunałski będzie jednym z dwóch najważniejszych, na jakich przyjdzie już za kilka tygodni walczyć drużynie Tuska. Pierwszą salwą na tym froncie będzie uchwała Sejmu o unieważnieniu dokonanego jeszcze w końcu 2015 r. wyboru trzech tzw. sędziów-dublerów. Jaka może być kolejna? Wskazał na nią w rozmowie ze mną w pierwszym programie z nowego cyklu „Dudek o polityce” prof. Marek Chmaj, uważany za jednego z najważniejszych doradców prawnych kierownictwa PO. Mogłoby nią być unieważnienie wyboru Stanisława Piotrowicza i Krystyny Pawłowicz na sędziów TK z uwagi na to, że w chwili elekcji nie spełniali już kryterium wieku. Ponieważ zaś w przyszłym roku kończą się też kadencje kolejnej dwójki sędziów, mogłoby to oznaczać wymianę łącznie 7 z 15 sędziów TK obecnego składu do końca 2024 r.

Nie będę tutaj spekulował, jak na to wszystko zareaguje Andrzej Duda, ale nie spodziewam się milczenia z jego strony. Zresztą zapewne już wcześniej poznamy poziom jego determinacji, gdy nowy minister sprawiedliwości, będący w obecnym porządku prawnym wciąż także prokuratorem generalnym, podejmie próbę odzyskania kontroli nad prokuratorskimi kadrami, przekazany całkiem niedawno pod nadzór prokuratorowi krajowemu Dariuszowi Barskiemu. Tego ostatniego nie da się zaś ponoć odwołać bez zgody prezydenta. Tak przynajmniej chciał inicjator tej nowelizacji ustawy o prokuraturze, czyli Zbigniew Ziobro. Bo już wspomniany prof. Chmaj twierdzi, że opinię prezydenta da się ominąć i zapobiec powstaniu stanu swoistej dwuwładzy w prokuraturze, co byłoby swoistą toksyczną wisielną na torcie destrukcji wymiaru sprawiedliwości, jakiej dokonał Ziobro.

Jedno wydaje się pewne: kohabitacyjnego wampira czeka wielka ucztą, a na przebicie go osikowym kołkiem poczekamy do lepszych czasów.

Reprezentacyjny plac budowy

Bezpośredni awans na przyszłoroczne mistrzostwa Europy okazał się ponad siły i umiejętności piłkarskiej reprezentacji Polski. Miało być lekko, łatwo i przyjemnie, bo los przydzielił Polakom bardzo przeciętnych rywali, ale nawet peryferyjna pod każdym futbolowym względem Mołdawia okazała się poza zasięgiem biało-czerwonych. Nie bardzo więc wiadomo, na czym opierać optymizm przed marcowymi barażami, gdzie trzeba będzie się zmierzyć z dużo silniejszymi rywalami.

Reprezentacja Polski przypominała podczas tych eliminacji wielki plac budowy, z którego już schodzi, a przez niektórych jest wręcz wyprasany główny majster, czyli Robert Lewandowski, będący zresztą ostatnio cieniem samego siebie. Wyrzucono generalnego wykonawcę – zblazowanego Fernando Santosa – a na ratunek został wezwany swojski Michał Probiez, który wyznaje teorię



twórczego chaosu, w związku z czym powołuje do reprezentacji kompletnych żółtodziobów oraz zawodników anonimowych. Jego wybrańcy-budowlancy biegają więc w tę i z powrotem z pustymi taczkami, starając się zaangażowaniem przykryć niedoróbki w koncepcji ogólnej oraz własne braki.

Koncertowo zavalone eliminacje zwiędzone słabym meczem z Czechami nie skłoniły jednak piłkarzy do refleksji. Mówili o „zadowoleniu z zaangażowania”, „widocznym progresie” oraz „scalaniu grupy”, co jest dla opowieści o naszej narodowej futbolowej mentalności również symptomatyczne jak wyrzucenie trzech młodzieżaków z reprezentacji U-17, którzy jakieś dwa tygodnie temu, przed pierwszym meczem mistrzostw świata, poszli w miasto i nadużyli alkoholu. Malowanie trawy na zielono będzie w drużynie Probiezera z pewnością trwało aż do barażu, a gdyby jakimś cudem udało się awansować na mistrzostwa, Polska znów będzie w nich murowanym faworytem do miana najbardziej topornej drużyny turnieju.

MARCIN PIĄTEK



Gaza czeka na przełom

Jesteśmy blisko, tak premier Kataru Mohammed bin Abdulrahman Al Thani mówi o negocjacjach w sprawie uwolnienia części z przeszło dwustu zakładników, których Hamas porwał półtora miesiąca temu. W zamian Izrael – w październikowym ataku zginęło ponad 1,2 tys. osób, w większości obywateli izraelskich – miałby zgodzić się na krótkie zawieszenie broni. Katarscy, a także amerykańscy mediatorzy, są dobrej myśli. Al Thani twierdzi, że do ustalenia pozostały tylko pewne drobniejsze praktyczne. Jednak premier Izraela Benjamin Netanjahu nadal podbija stawkę, na porozumienie się nie zgadza, a jego

armia na terenie Gazy prze bez dłuższych pauz w ofensywie odwetowej.

Intensywne działania zbrojne prowadzone są na terenie gazańskich placówek medycznych. Mimo kilku dni walk w szpitalu Al-Szifa, największym w Gazie, Izraelowi nie udało się dostarczyć przekonujących dowodów, że w podziemiach znajdowało się centrum dowodzenia Hamasu. Według izraelskiego wojska miałyby na to wskazywać zdjęcia ufortyfikowanego tunelu, przechwyconej na miejscu broni i dwójki domniemych rannych zakładników, dostarczonych do Al-Szify. Szpital nie jest w stanie funkcjonować, ma być opuszczony.

Udało się wywieźć stamtąd do **szpitala w Rafah** 31 wcześniaków, choć ośmioro niemowląt nie doczekało ewakuacji. Szef Światowej Organizacji Zdrowia dr Tedros uznaje pracowników służby zdrowia w Gazie za prawdziwych bohaterów.

Równoległe armia izraelska prowadzi działania przeciw Hezbollahowi w Libanie i coraz mocniej nakręca się spirala brutalności przeciw Palestyńczykom na Zachodnim Brzegu, terytorium zarządzanym przez Autonomię Palestyńską. Arabscy mieszkańcy są tam atakowani i przez wojsko Izraela, i izraelskich osadników. Ci mają nadzieję, że przemocą zmuszą palestyńskich sąsiadów do ucieczki, a wojna z Hamasem pomoże ugruntować żydowskie roszczenia do terytoriów w ostatnich latach intensywnie kolonizowanych. Zajmowanych z pobudek nacjonalistycznych, religijnych i merkantylnych, bo po prostu żyje się tam taniej niż w samym Izraelu.

Im dłużej trwa konflikt, tym więcej słychać rad, co zrobić w przyszłości z Gazą. Netanjahu rysuje perspektywę okupacji izraelskiej. Prezydent Joe Biden mówi o palestyńskiej administracji. Chiny o tzw. rozwiązaniu dwupaństwowym. Przywódca Iranu Ali Chamenei uznał, że Izrael poniósł klęskę i wzywa państwa muzułmańskie do zawieszenia z nim stosunków. Według Hamasu liczba ofiar w Gazie przekroczyła 13 tys.

O Hamasie i jego przywódcach na s. 54.

Najgorszy moment wojny?

Walcząc Ukrainę mogą czekać złe wieści. Kongres USA znowu pominął temat pieniędzy na uzbrojenie dla Ukrainy w prowizorycznym budżecie. Kongresmeni mają wrócić do niego po święcie dziękczynienia, ale negocjacje mogą przeciągnąć się do przyszłego roku. Rządzący w Izbie Reprezentantów Republikanie mnożą komplikacje, nawet jeśli w większości deklarują wsparcie dla Kijowa. Na sztandarach mają migrantów z Meksyku i bezpieczeństwo USA, ale Joe Biden, jego polityka i szanse Demokratów w przyszłorocznych wyborach prezydenckich są na celowniku. Polityczne zamieszanie zaczyna martwić Pentagon, któremu został niecały miliard dolarów z wcześniej przyznanych środków na uzupełnianie zapasów po wysyłkach amunicji i sprzętu na wschód. Odpowiedzi: co dalej, wszyscy w Waszyngtonie unikają, choć zdali sobie sprawę, że nie trzeba wcale Donalda Trumpa w Białym Domu, aby coś się zacięło. Co gorsza, podczas gdy w Europie pieniądze są, to brakuje zdolności produkcyjnych, a magazyny jeszcze bardziej świecą pustkami. Ministrowie obrony Unii Europejskiej nie spełnią obietnicy dostarczenia Ukrainie miliona pocisków artyleryjskich do marca 2024 r. Choć z przemysłu płyną deklaracje, że tempo produkcji rośnie, a Niemcy i inne kraje chcą zwiększenia zakupów wojennych, to wszystko i tak dzieje się dużo wolniej, niż wymaga tego sytuacja.

Niespodziewany wybuch wojny na Bliskim Wschodzie odwrócił uwagę Zachodu od przedłużającej się wojny w Europie, ale też utrudnił dostawy broni i amunicji, o które konkuruje teraz Izrael. Już wiadomo, że rozprawa z Hamasem potrwa miesiące, a po niej



Tel Awiw może stać przed dylematem, dziś jeszcze odległym: czy uderzyć na patrona palestyńskich terrorystów, Iran. Wołodmyr Zełenski przyznaje, że dostawy amunicji do Ukrainy są już nieregularne, a bez tego trudno cokolwiek planować – właśnie gdy nie udało się poprzednia ofensywa, a spory między generacją i politykami stają się wyraźne. Z marginesów ukraińskiej polityki – po raz pierwszy w czasie wojny – słychać, że i Zełenski powinien odejść. Ten odchodzić ani zmieniać retoryki nie zamierza. Pomimo zastojów w Zaporozżu i trudnej sytuacji w Donbasie armia atakuje Rosjan na lewym brzegu Dniepru. To nie jest nowa ofensywa, jeśli chodzi o skalę, a warunki są trudniejsze niż kilkaset kilometrów dalej na wschód. Ale gdy nastąpi bodaj najtrudniejszy moment tej wojny, trzeba pokazać światu, że Ukraina się nie poddaje.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI



Niedźwiadkowa dyplomacja

Spotkanie **Joe Bidena z Xi Jinpingiem** w Woodside w Kalifornii obfitowało w wymianę uprzejmości, chiński prezydent był niezmiernie miły i nawet obiecał wysłanie do USA niedźwiadków panda, które zastąpią powracające do Chin i ukochane przez amerykańskie dzieci misie. Pierwszy od roku szczyt przywódców supermocarstw przyniósł jednak porozumienia tylko w dwóch sprawach – restrykcji na chiński eksport chemikaliów do produkcji fentanylu, narkotyku zabijającego corocznie kilkadziesiąt tysięcy Amerykanów, oraz wznowienia komunikacji i wymiany informacji przez dowództwa wojsk obu państw.

Nie jest to żaden przełom, a tylko sygnał lekkiego ocieplenia we wzajemnych relacjach, zamrożonych od miesięcy w wyniku narastającego konfliktu o Tajwan, agresywnego zachowania Pekinu na Morzu Południowochińskim i przymierza Xi z Putinem. Zarówno na samym szczycie, jak i na odwilży w stosunkach bardziej zależało

prezydentowi Xi, gdyż gospodarka Chin przeżywa trudności, a jest zbyt związana z amerykańską, by się od niej odizolować. Atmosfera wzajemnej wrogości, pomruki ewentualnej wojny, w połączeniu z antyrynkowymi praktykami chińskiego reżimu, odstraszały amerykańskich inwestorów. Biden ma więc instrumenty nacisku na Pekin, ale na spotkaniu z Xi osiągnął niewiele, i w dodatku nie wiadomo nawet, czy umowy we wspomnianych dwóch kwestiach będą dotrzymane. W najważniejszych sprawach nie drgnęło nic – Chińczycy nie chcą nawet słyszeć o układzie poświęconym kontroli zbrojeń atomowych, a administracja Bidena nie zgadza się na zakończenie dozbierania Tajwanu.

Można się cieszyć, że Biden i Xi znowu ze sobą rozmawiają – im dłużej trwa dialog, tym większe szanse na pokój. Ale dopóki obie strony nie ustępują w kwestiach kluczowych, oznacza to tylko opóźnianie nieuchronnej konfrontacji.

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU

Argentyńscy skaczą w przepaść

Człowiek, który na seansach telepatycznych szuka politycznych porad u swojego zmarłego psa i który w czasie kampanii wyborczej wymachiwał piłą łańcuchową, został w niedzielę wybrany na prezydenta Argentyny głosami 56 proc. wyborców. **Javier Milei** ma 53 lata, z wykształcenia jest ekonomistą, ma skrajnie prawicowe, niekiedy otwarcie niedorzeczne, poglądy. Należy do fali ekstremistów, których w skali globalnej ucieleśniają Donald Trump i Jair Bolsonaro.

Argentyńscy chcieli zmiany – jakiegokolwiek. Pograżona w beznadziei większość gotowa była postawić na każdego, kto nie kojarzy się ani z obecnie rządzącymi peronistami, ani z tradycyjnym establishmentem. Milei uwiódł wyborców groźbami pod adresem politycznej „kasty”, którą obiecał pogonić. Nie pograżyły go słowa uznania dla nieżyjącej już byłej brytyjskiej premierki Margaret Thatcher, która pobiła



Argentyńczyków w wojnie o Falklandy/Malwinę i należy do najbardziej zniechęconych na antypodach postaci współczesnej historii świata. Ani nie odstraszyły jego kuriozalne poglądy związane np. z przyzwoleniem na handel ludzkimi organami, pochwalał dla ludobójczej dyktatury z lat 1976–83 czy zapowiedział, że wyrwie niedawno wywalczone przez kobiety prawo do aborcji.

Milei jest klimatycznym negacionistą – uważa globalne ocieplenie za „kolejne kłamstwo socjalizmu”. M.in. dlatego jego wygraną natychmiast z radością powitał inny towarzysz płaskoziemia – przegrany rok temu w Brazylii Jair Bolsonaro. Dla niego zwycięstwo Mileia to powrót nadziei w Ameryce Południowej. Dla progresywnych przywódców – mimo że nie wyrażają tego wprost – Milei u władzy w drugiej największej gospodarce Ameryki Południowej to zapowiedź katastrofy.

ARTUR DOMOSŁAWSKI

Ukryte koszty dziennikarstwa

Hubert Seipel, gwiazda niemieckiego dziennikarstwa i etatowy „ekspert od Putina” niemieckich telewizji, dostawał pieniądze od rosyjskiego oligarchy. Na sprawę natrafiły Międzynarodowe Konsorcjum Dziennikarzy Śledczych oraz niemiecka redakcja Paper Trail Media. Według ujawnionych dokumentów firma zależna do Aleksieja Mordaszowa przelała na konto Seipela 600 tys. euro w dwóch transzach (2014 r. i 2018 r.) w ramach „sponsoringu” kolejnych książek dziennikarza. Mordaszow to drugi najbogatszy Rosjanin – jego majątek ocenia się na ponad 20 mld euro. Był jednym z pierwszych zauszników **Władimira Putina**, który trafił na unijną listę sankcyjną po rosyjskiej agresji na Ukrainę w lutym zeszłego roku.



73-letni **Hubert Seipel**, który chwali się, że spotkał Putina ponad sto razy, był m.in. redaktorem i zagranicznym korespondentem tygodników „Stern” i „Der Spiegel”. Nakręcił kilkanaście dokumentów o Rosji i jej prezydencie. Często wypowiadał się na temat stosunków z Rosją – zawsze w tonie zachęcającym Niemcy i Europę do ich poprawy. Wcześniej zasłynął m.in. pierwszym wywiadem telewizyjnym z Edwardem Snowdenem, gdy ten był już w Rosji.

Niemiecki nadawca publiczny NDR, dla którego Seipel zrobił m.in. dokument „Ja, Putin – portret”, rozważa teraz działania prawne przeciwko dziennikarzowi. Wydawnictwo Hoffmann&Campe wycofuje z księgarni wszystkie pozycje dziennikarza. Po ujawnieniu sprawy Seipel przyznał, że otrzymał od Mordaszowa pieniądze. Stwierdził jednak, że to był „sponsoring” na wyraźnie określonych zasadach – bez wpływu na merytoryczną zawartość jego książek. Taki rosyjski „sponsoring” jeszcze niedawno był w Niemczech dość powszechny w think tankach, klubach sportowych czy w przedsięwzięciach kulturalnych. Ale po zeszłorocznej agresji Rosji na Ukrainę kanclerz Olaf Scholz ogłosił *Zeitenwende*, zwrot w polityce bezpieczeństwa wobec Rosji, którego elementem ma być również blokowanie napływu rosyjskich pieniędzy. Wraz z płynącą za nimi rosyjską propagandą.



PREMIER
MORAWIECKI
SZUKA
WIĘKSZOŚCI
SEJMOWEJ

Z CYKLU
TRAGEDIA
ANTYCZNA

ILUSTRACJA IRENEUSZ SZUNIEWICZ

Mit przerwanej dekady

Odchodząca władza wydaje się dzisiaj słaba i trochę śmieszna, Jarosław Kaczyński daleki od szczytowej formy, a Mateusz Morawiecki – nerwowy i pozbawiony dawnej pewności siebie. Ale jak pokazuje historia, PiS zbyt szybko skreślony potrafi się odwinąć. Spuszczenie tej partii z oka byłoby politycznym błędem.

MARIUSZ JANICKI

Pojawiające się od pierwszych dni po wyborach przekazy, sugestie, propagandowe chwytły i wrzutki drużyny Kaczyńskiego mają rozmiękczyć drugą, demokratyczną stronę, rozmyć sens ostatnich wydarzeń i zdemobilizować pospolite ruszenie wyborców z 15 października. W arsenale metod jest prowokacja,

konfrontacja, szukanie słabych punktów i niepewnych ogniw w „totalnej koalicji”, jak ją nazywa rządząca wciąż prawica. A zarazem widać po tych ruchach rysującą się strategię odchodzącej władzy, która szykuje się do odwetu, poczynając od wyborczego 2024 r. Oto zestaw bieżących komunikatów PiS, które nieneutralizowane od razu, mogą stworzyć nową opowieść prawicowego obozu.

1 Spokojnie, wynik wyborów to tylko awaria, żaden przełom.

PiS bagatelizuje wynik głosowania 15 października. Pragnie osłabić wymowę tego aktu, zwłaszcza że liderzy nowej koalicji, szczególnie Donald Tusk, starają się z kolei nadać temu wydarzeniu rangę historyczną i symboliczną. Kaczyński obawia się tego wzniesłego wymiaru, zwłaszcza że dostrzega podobieństwa z 2007 r. Twierdzi, że wtedy i dzisiaj nastąpiła podobna manipulacja ze strony opozycji i podsuszanie wyborcom fałszywego obrazu rządów prawicy. Wówczas przerwa w sprawowaniu władzy wyniosła aż osiem lat, ale w PiS sądzą się, że teraz sytuacja jest lepsza, bo to jednak nie Platforma samodzielnie ich pokonała, ale koalicja aż czterech formacji. Przedstawiane jest to jako słabość opozycji, która dopiero w takim szerokim składzie, po morderczym wysiłku w kampanii i przy niespotykanej frekwencji, łącznie zdobyła kilkunastomandatową przewagę ponad limitem większości w Sejmie.

Przekaz jest zatem taki, iż nie ma mowy o walnym zwycięstwie antyPiSu, nie nastąpiła trwała zmiana polityczna i mentalna w społeczeństwie. Po prostu Zjednoczona Prawica popełniła pewne techniczne błędy w kampanii, a frekwencja powyżej 70 proc. zdarza się raz na wiele lat. Przy tej zwyczajowej, w okolicach 60 proc. PiS będzie znowu wygrywał. Teraz był wypadek przy pracy, zwycięstwo zostało ukradzione, naturalną władzą w Polsce jest nadal PiS.

2 Oddajemy władzę na chwilę, pamiętajcie o tym.

To istotny przekaz, jaki PiS stara się wtłoczyć do zbiorowej świadomości: jeśli nie było przełomu, to znaczy, że my niedługo wrócimy, proszę się nie rozchodzić, kiedy tylko ten dziwny antrakt z Tuskiem się zakończy, wracamy przygotowani i w pełni sił. Ma to znaczenie symboliczne, psychologiczne, ale także praktyczne. Partia Kaczyńskiego będzie w opozycji potrzebowała finansowania różnych jej inicjatyw, zwłaszcza medialnych, o których mówił niedawno Kaczyński. Pieniądże z państwowych spółek się skończą, ale przez ostatnie lata, z pomocą rozmaitych kontraktów, jakie te spółki zawierały z prywatnymi firmami, wypłynęły na zewnątrz duże środki. Teraz chodzi o to, aby te „zapatrzony” prywatne podmioty nie straciły wiary w to, że PiS szybko wróci do dużej gry, i nadal z tym ugrupowaniem wiązają biznesowe plany.

Tutaj przekaz, zresztą funkcjonujący od dawna, jest taki: wiecie, że my jesteśmy pamiętliwi, doceniamy lojalność, ale potrafimy się mścić za jej brak i jesteśmy tu znacznie bardziej konsekwentni niż PO. W tę narrację wpisuje się epitet „fujary” rzucony pod adresem Platformy przez Zbigniewa Ziobrę.

Efekt tego „mrozącego” ostrzeżenia ma być szerszy. Nowa koalicja jednak deklaruje chęć rozliczenia odchodzącej ekipy, także karnego. Istotna więc dla PiS będzie postawa prokuratorów, a także sędziów z nadania neoKRS: czy będą starali się iść na rękę nowej władzy, czy też będą stosować uniki, sądząc, że nowy układ jest niestabilny, może wrócić Ziobro i wyciągnąć konsekwencje wobec tych, którzy w niego zwątpili. Więc lepiej się nie narażać i nie być zbyt gorliwym w tropieniu przekrętów ludzi PiS czy Suwerennej Polski. Po przegranej Kaczyńskiego w 2007 r. w prokuraturze zostało wielu ludzi Ziobry, którzy przetrwali przez kolejne osiem lat i doczekali się jego następných rządów, a potem zostali za to nagrodzeni.

Są jeszcze samorządy. PiS, zwłaszcza po drugim zwycięstwie wyborczym w 2019 r., lansował przekaz o trwałym objęciu rządów w kraju. Spora liczba lokalnych urzędników i działaczy powoli ulegała tej sugestii, kamuflowała wcześniejsze związki z opozycją, decydowała się na tworzenie własnych organizacji. Zaczęło się pojawiać hasło o „niekopaniu się z koniem”,

opowieści o tym, że dla dobra lokalnej społeczności trzeba się porozumieć z rządem, który dysponuje dotacjami, kontraktami, inwestycjami; skoro inni je dostają, dlaczego nie mają trafić do nas. Pytanie, czy ta rodząca się tendencja do uległości i konformizmu wobec centralistycznych rządów PiS zostanie zatrzymana, czy też pamięć o mściwości tej partii wobec niepokornych w jakiejś formie pozostanie. Sporo pokażą tu zbliżające się wybory samorządowe.

3 Polacy tracą i szybko pożałują.

Politycy PiS na czele z Morawieckim lansują przekaz o tym, że „dorobek ośmiu lat” zostanie społeczeństwu niejako ukradziony. Chodzi tu o cztery główne sfery: zdobycze socjalne, które nowy rząd obetnie, zagrożona przez Unię i Berlin suwerenność (PO jako partia niemiecka, podważane bezpieczeństwo, bo Platforma rozbroi armię) oraz kwestionowane tzw. wielkie inwestycje – zwłaszcza CPK, elektrownie atomowe oraz te bardziej symboliczne, jak np. odbudowa Pałacu Saskiego (piszemy o tym więcej na s. 37).

Przy każdym ruchu nowego rządu w tych kwestiach będzie się podnosił wielki krzyk, zapewne podchwytywany przez część niepisowskich komentatorów, bo tak zawsze było. Zamawiane sondaże mają pokazać, że Polacy chcą kontynuacji „wielkich programów” PiS, szczególnie lobbing medialny stoi ostatnio za CPK. Będzie wytwarzane poczucie straty, która nie jest rekompensowana przez nowy rząd na innych polach. Buduje się mit przetrwanej dekady, kiedy rósł dobrobyt, zdobyły socjalne, mało bezrobocie, państwo potężniało i zbroiło się, broniło się przed migrantami, wszystko szło jak najlepiej. Tak to będzie przedstawiał Morawiecki i coś z tej opowieści zapewne zostanie. Stawia to nowej władzy wymagania, aby przedstawić efektywną, całościową kontrwizję, a nie tylko znane z przeszłości „reagowanie na bieżące wydarzenia”.

4 Oni się kłócą, wszystko muszą uzgadniać, a my szliśmy jak burza.

Kluczowy będzie pierwszy okres rządzenia, pewność głosowań w Sejmie, ogólna atmosfera współpracy nowej koalicji. Przy tak silnym, „dyszącym” na plecach PiS-ie, każda różnica zdań, kontrowersja, będą przedstawiane, również przez wielu dziennikarzy mediów liberalnych, jako koniec rządu. Z drugiej strony różne opinie, negocjowanie, ustalanie wspólnego stanowiska to codzienność koalicyjnego rządu i w ogóle demokratycznego systemu. Tyle że Polacy trochę już zapomnieli, na czym polega koalicyjna polityka, w jakiej mierze przyzwyczaili się do monopartyjnej zwartości, co PiS postara się wykorzystywać. Kluczem będzie teraz wypośredkowanie pomiędzy pluralizmem sprawowania rządów a skutecznością w podejmowaniu decyzji. Ale jeżeli wrócą demony sprzed 30 lat, z burzliwego okresu rządów sześciu partii pod przewodnictwem Hanny Suchockiej, akcje Kaczyńskiego i Morawieckiego znowu mogą pójść w górę.

Podobnie będzie mieć znaczenie determinacja Tuska w rozliczaniu poprzedniego systemu. Zauważaliśmy w POLITYCE, że jednym z paradoksalnych źródeł tak dużych wpływów PiS jest brutalność i bezceremonialność tego ugrupowania. Formacje demokratyczne, co oczywiste, nie powinny być brutalne, ale też nie mogą zupełnie ignorować odczuć swoich zwolenników po ośmiu latach. Rozliczenie afer i działań wymierzonych w porządek prawny państwa jest istotnym punktem umowy koalicyjnej; wiele osób będzie dokładnie wpatrywać się w harmonogram spełniania tych zobowiązań. Jednak już dochodzą „rozsądne” wypowiedzi liberalnego komentariatu, że „nie wolno iść na skrót”, bo „standardy demokratyczne zobowiązują”, chociaż jest pełna świadomość, że PiS napadł na ustrój państwa, wprowadzając prawne kurioza, o których się konstytucjonalistom ►

► nie śniło. Ale jest oczekiwanie, że ślady po uderzeniach siekierą należy zasłonić aksamitem.

Słychać też inne rady: że nie ma pieniędzy, trzeba zatrzymać rozdawnictwo, nowy rząd musi urealnić wydatki, przeliczyć budżet, nie iść drogą PiS i jeszcze sprywatyzować Orlen. To dokładnie ta sama melodia co w 2014 i 2015 r. – nie można dać ludziom pieniędzy, wędka zamiast ryby, 500 plus to ruina dla finansów państwa, Unia Europejska się nie zgodzi, wierzyciele nas wykną itp. Po czym przyszedł PiS, wypłacił tę kasę, którą zgromadziła Platforma, i kupił sobie tym społeczne poparcie dla pozakonstytucyjnej zmiany ustroju. To prawda, że w kampanii wyborczej ujawniły się wśród wyborców tendencje antysocjalne, ale błędem byłoby ich przecenianie, czego dowodem ostateczny wynik Konfederacji. Jeżeli Tusk znowu przyoszczędzi na obronie demokracji, to potem Kaczyński ponownie wykorzysta te środki na osłonę dokończenia „reformy” sądownictwa.

5 Nowy układ rządzący to sztuczny twór, dopiero ujawni się „koalicja polskich spraw”. Przekaz PiS jest tu następujący: podział sceny politycznej, jaki ujawnił się przy okazji wyborów, jest czysto sytuacyjny, ale ideowo nieprawdziwy. Nie oddaje poglądów partyjnych dołów stworzonej rządowej koalicji. Według tej interpretacji Tusk stworzył antyPiS jako wymuszony wehikuł swojej władzy i instrument powrotu na stanowisko premiera. Ale pod względem programu społecznego PiS jest bliższy Lewicy, a zwłaszcza partii Razem, niż Platforma. Jeśli chodzi o sprawę aborcji, rolę Kościoła i tzw. wartości patriotyczne, to więcej łączy Trzecią Drogę z PiS niż z Tuskiem itd. Kaczyński i Morawiecki sączą tęzę o ponadpartyjnym, „propolskim”, antyniemieckim i antybrukselskim żywiole, który w końcu wyjdzie na powierzchnię, nawet wbrew partyjnym liderom.

„Koalicja polskich spraw”, którą wymyślono w okolicach prezydenta Dudy w czasie kampanii w 2020 r., ma obejmować PiS, PSL i Konfederację, oraz innych dokooptowanych polityków. Mówi o tym ostatnio premier Morawiecki, ale patronem takiego układu ma być Duda, który z inspiracji Marcina Mastalerka jest szykowany na następcę Kaczyńskiego, jakkolwiek zabawnie by to brzmiało.

Zauważono w PiS, że Platforma zapewne nie odda ludowcom resortu aktywów państwowych, a więc dostęp PSL do spółek może być ograniczony, ich entuzjazm dla Tuska może zatem osłabnąć – choć to bardziej stereotyp i projekcja własnych poglądów ludzi obecnej władzy. Słychać, że nad ludowcami należało popracować wcześniej, a Ryszard Terlecki za mocno ich przez ostatnie lata atakował, stwierdzając m.in., że „PSL nie ma poglądów, tylko interesy”. Teraz jest to uznawane za błąd, ale podobno wszystko da się jeszcze nadrobić, i ta prawdziwa koalicja w końcu zadziała. Co prawda, ludowiec Marek Sawicki stwierdził właśnie, że celem prezydenta Dudy „jest nie tyle budowanie własnej pozycji politycznej, co budowanie silnego centrum, które mogłoby być takim stabilizatorem sceny politycznej”.

6 Media będą atakować rząd Tuska, a Morawiecki będzie dostarczał im materiały. To duża nadzieja odchodzącej władzy. Prawicowi publicyści, także politycy PiS, wielokrotnie stwierdzali, że Tusk jest największym obciążeniem opozycji, ma „ogromny negatywny elektorat”. Zauważyli, że także spora część medialnych środowisk „lewicowo-liberalnych” słabo toleruje szefa PO, a w zasadzie go nie znosi. To, że Tusk stanął na czele koalicji, dodatkowo tę niechęć pogłębia. Przez wiele miesięcy kampanii wyborczej trwała nieustanna lawina przekazów: Tusk wymusza jedną listę, podporządkowuje sobie koalicjantów, jako hegemon pragnie zwasalizować liderów Trzeciej Drogi, podbiera wyborców Lewicy itd. Propaganda władzy bardzo sekundowała

takim opiniom. Widać dużą nadzieję, że po wyborach niechęć teoretycznie niepisowskiej bańki będzie tylko rosła, bo wreszcie Tusk stanie się władzą, którą można otwarcie atakować. Zdarzają się ironiczne uwagi, że Tusk chce odzyskać TVP i Polskie Radio, żeby mieć jakiegokolwiek w miarę sprzyjające, a przynajmniej neutralne, medialne otoczenie, bo na inne nie może liczyć.

Rzeczywiście, wiele wskazuje na to, że na Tuska spadnie większa krytyka niż na Kaczyńskiego i Morawieckiego. PiS wciąż podlega specjalnej, ulgowej taryfie, na zasadzie, że „wiadomo, jaki jest”, i nie należy się po tej partii zbyt wiele spodziewać. Ale Platforma to zwyczajni demokraci, jak sami twierdzą, którzy wreszcie mogą podlegać normalnej, regulaminowej krytyce, już bez żadnego rabatu. W efekcie obrońcy liberalnej demokracji będą mieli znacznie gorszą prasę niż ci, którzy ją demontowali. Wszystko to w ramach obiektywizmu i równego dystansu. A materiały będzie podrzucał zespół Morawieckiego, który ma monitorować działania rządu Tuska, realizację obietnic, sytuację w koalicji. Media na pewno skorzystają z takich „gotowców”. Można przypuszczać, że cokolwiek zrobi czy nie zrobi Tusk jako premier, będzie podobnie atakowane. Nowy rząd wkracza w strefę bombardowania, a PiS liczy na stare, dobre hasło symetrystów: to już nie można krytykować Platformy?

7 Zaczekajmy na 2025 r., kiedy niepisowscy kandydaci na prezydenta staną przeciw sobie. Ludzie z partii

Kaczyńskiego tak kombinują: będzie jeden kandydat PiS, a z obozu rządzącego Szymon Hołownia, wzmocniony funkcją marszałka Sejmu i Rafał Trzaskowski, bo nikt z nich raczej nie zrezygnuje. Ponadto ktoś z Konfederacji, zapewne Krzysztof Bosak, może kandydat lewicy plus jakiś nieliczący się folklor. Według tego planu władza przez dwa lata się zużyje i straci część poparcia, zatem człowiek PiS, dobrze wymyślony klon Dudy w ulepszonej wersji, dostanie w pierwszej turze 35, może nawet bliżej 40 proc., a wyniki „rządowych kandydatów” w miarę się uśrednią na poziomie kilkunastu procent.

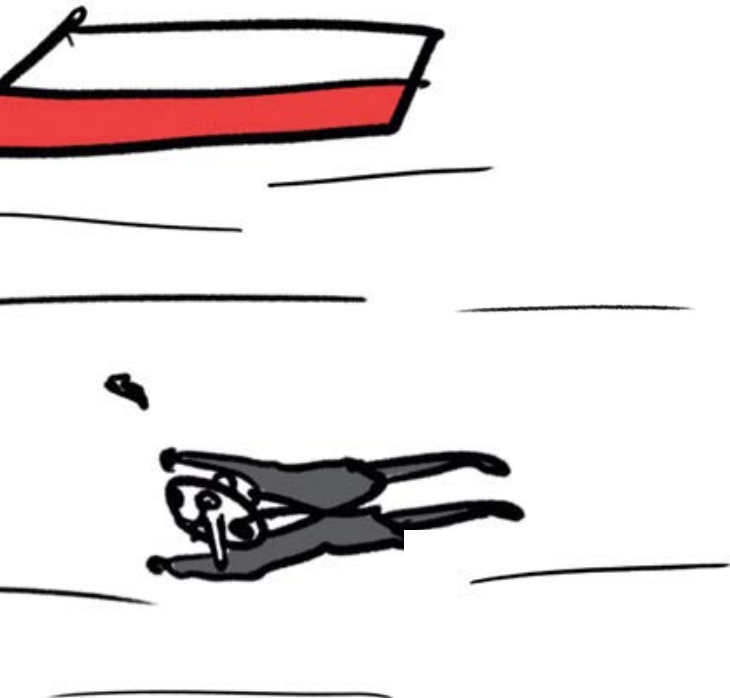


Na to PiS liczy najbardziej – na niski wynik drugiego w kolejności kandydata, bo praktyka pokazuje, że z poziomu 20–25 proc. w pierwszej turze niezwykle trudno wskoczyć na 51 proc. w drugiej. A ponowne zwycięstwo pretendenta PiS w wyborach prezydenckich podetnie skrzydła koalicji Tuska i ostatecznie utraci szansę na całościową, już z pomocą ustaw, reformę państwa. I wtedy wkroczy „koalicja polskich spraw”. Obóz demokratyczny ma kilkanaście miesięcy na polityczne przygotowanie się do prezydenckiej elekcji i zniweczenie tych planów partii Kaczyńskiego. To będą wybory o porównywalnej wadze do tych z 15 października.

PiS przegrał kampanię wyborczą, ale chce wygrać tę powyborczą. Stosuje stałe chwytły, ale wciąż mogą być one skuteczne. Aby uniknąć powtarzalności zdarzeń z przeszłości, rządy ekipy Tuska muszą być wyraźnie nowszej generacji niż te sprzed 2015 r. AntyPiS pokazał w ostatnich miesiącach, że potrafi przechrzyć sztab Kaczyńskiego i Morawieckiego w pozyskiwaniu wyborców, jest w stanie uruchomić ukryte rezerwy, co dotąd było domeną Zjednoczonej Prawicy. Kompletnie to zaskoczyło, wręcz szokowało liderów tej formacji. Ale ta porażka już jest szczegółowo analizowana, ustalane są miejsca niedoborów w elektoracie i ich przyczyny, szukane są nowe „targety”.

Widok Kaczyńskiego z wyraźną traumą nie powinien uspokajać zwycięskich demokratów. On w końcu może dojść do siebie, a poza tym zbyt wielu ludzi związało z PiS swoją życiową i ekonomiczną przyszłość, aby chcieli iść na dno za sfrustrowanym przywódcą; w ostateczności mogą go odrzucić, a struktury i pieniądze tej partii zostaną. Liczenie na to, że po ewentualnej rezygnacji Kaczyńskiego PiS na pewno się rozsypie, może być zawodne. Jeśli nowa koalicja chce trwale zmienić układ polityczny, musi nie tylko rządzić na nowym poziomie sprawności, ale też stale obserwować spiny politycznych przeciwników. Oraz nieustannie dbać o swoich zwolenników i o nich zabiegać, bo przez najbliższe cztery lata będzie tylko jeden rok bez wyborów. W tym sensie kampania trwa nadal.

MARIUSZ JANICKI



ILUSTRACJA PATRYK SROCYŃSKI

„PrzyPiSy, czyli krótka historia 8 długich lat”

– najnowsza książka Jerzego Baczyńskiego,
redaktora naczelnego tygodnika POLITYKA.

Osobisty dziennik podróży
przez Polskę pod rządami PiS

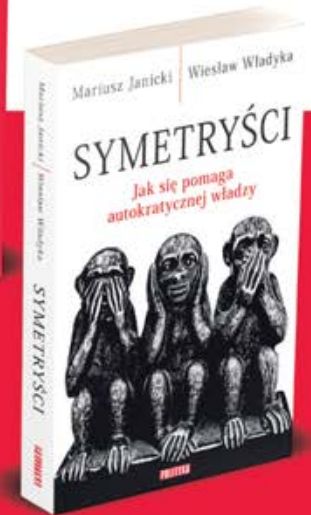
Historia 2015–2023 w zbliżeniach

Przenikliwa krytyka
populistycznej władzy

Z rysunkami Janka Kozy



Książki dostępne
w księgarniach,
na sklep.polityka.pl
oraz jako e-book.



„Nie straszcie PiS-em”
„PiS-PO – jedno zło”
„Opozycja nie ma programu”

Analiza zjawiska symetryzmu
dokonana przez autorów tego pojęcia

„SYMETRYŚCI. Jak się pomaga
autokratycznej władzy” – nowa książka
Mariusza Janickiego i Wiesława
Władyki, zawierająca niepublikowany
wcześniejszy materiał.



Smutek prezesa

Prezes PiS bardzo powoli przestawia się na opozycyjne tory. To dla niego trudne wyzwanie, zwłaszcza że od wielu lat uchodził za „ośrodek dyspozycji politycznej”. Jak sobie radzi z powyborczą traumą i co sądzi o tym jego partyjne otoczenie?

ANNA DĄBROWSKA, WOJCIECH SZACKI

Jarosław Kaczyński od lat nie przepada za Sejmem i wiele wskazuje na to, że w tej kadencji ta niechęć się pogłębi. Prezes PiS, nawykły do posłuchu i prymatu swojej woli nad procedurami („ja bez żadnego trybu” to nie tylko cytat z zeszłej kadencji, to filozofia rządzenia), musi się teraz po ośmiu latach zderzyć z nową i trudną rzeczywistością. Na „chamską hołotę” – jak był uprzejmy określić opozycję w 2020 r. – Kaczyński musiał patrzeć w parlamencie i wcześniej; dziś ogląda tych barbarzyńców triumfujących, a zaledwie 12 foteli od niego siedzi zwycięski Donald Tusk.

Dla prezesa to nie jest po prostu zwykła powyborcza zmiana władzy, to raczej najazd Hunów i upadek cywilizacji. Polacy – jak powiada szef PiS – padli ofiarą „wielkiego kłamstwa”, a rząd Tuska „został zamontowany”. To nie jest coś, z czym łatwo się można pogodzić, tym bardziej jak ma się te 74 lata i obiecało się, że to już ostatnia kadencja w roli szefa partii. A teraz trzeba wszystko zaczynać niemal od początku.

Nie tędy droga

Nielatwy był już pierwszy dzień pierwszego posiedzenia Sejmu X kadencji. Kaczyński, zazwyczaj szczelnie otoczony kordonem zaufanych ludzi, nie musiał mierzyć się z pytaniami dziennikarzy. Tym razem było inaczej. Reporterzy sejmowi zatrzymali go jeszcze w sali Kolumnowej, gdzie zakończyło się właśnie posiedzenie klubu PiS. Poszli za prezesem po schodach, które dotychczas były strzeżone przed mediami przez Straż Marszałkowską. Dziennikarze pytali, czy znajdzie się większość dla kontynuacji rządów PiS, a prezes mówił coś o „likwidacji państwa”, że Tusk został „wprowadzony” jako człowiek Niemiec i ma się zgodzić na zmiany w europejskich traktatach. Na koniec dodał, że Tusk „zachowywał się jak ostatni lump”.

– Szli za prezesem Marek Suski, Waldemar Andzel i Małgorzata Wassermann. Szkoda, że nie starczyło im przytomności, aby odgonić kamery i mikrofony, zanim

prezes nakręcił się i zirytował. To wszystko źle wygląda. Nie ma nikogo, kto by mu powiedział prawdę prosto w oczy, że za ostro, że nie tędy droga – opowiada poseł PiS.

Kwadrans później Kaczyński boleśnie przekonał się, że czasy, gdy czekano na niego z rozpoczęciem obrad, też minęły. Choć inauguracja była spóźniona o kilka minut, prezes i tak nie dotarł na oficjalne rozpoczęcie na swój fotel w pierwszym rządzie. Hymn odśpiewał, stojąc w przejściu pomiędzy Joanną Lichocką i byłym marszałkiem Markiem Kuchcińskim.

Potem przyszyły porażki w pierwszych głosowaniach. Posłowie wybrali na marszałka Szymona Hołownię, przegrała Elżbieta Witek. PiS okazał się całkowicie osamotniony, za Hołownią głosowała nawet Konfederacja. Dalej, w czasie przedziwnego przemówienia premiera Mateusza Morawieckiego (który złożył dymisję i nakreślił zarazem ambitne plany), prezes przymknął oczy, co wielu odczytało jako oznakę słabości przemęczonego lidera.

Kilku naszych rozmówców zauważa, że prezes niepotrzebnie drugiego dnia obrad podszedł do Hołowni i wdał się z nim w rozmowę. – *Chciał tylko zwrócić mu uwagę, że ministrowie mają prawo przemawiać bez limitu czasu, czego Hołownia nie respektował. Wcale nie prosił go o głos, bo gdyby poprosił, toby go dostał* – mówi osoba z otoczenia Kaczyńskiego.

Witek przegrała jeszcze raz na tym samym posiedzeniu – przysłała koalicja (i Konfederacja) odrzuciła jej kandydaturę na wicemarszałkinię. Nieco później w Senacie przepadł Marek Pęk. Nasi rozmówcy z PiS przyznają, że było to dla nich zaskoczeniem, a dla Kaczyńskiego trudnym doświadczeniem. Podobno prezes uznał to za oficjalne wypowiedzenie wojny. – *Odrzucenie Pęka utwierdziło nas tylko w przekonaniu, że Tusk posunie się do bardzo niskich gestów, aby upokorzyć prezesa. Sprawę Eli Witek prezes potraktował osobiście i wiele go to emocjonalnie kosztowało* – mówi ważny polityk PiS. Kaczyński ma słabość do Witek i darzy ją wielką sympatią. Szanuje, że na początku lat 80. za swoją działalność antykomunistyczną

przesiedziała trzy miesiące w więzieniu i nie dała się złamać. Ten wątek życiorysu zresztą wybrzmiał w wystąpieniu szefa klubu PiS Mariusza Błaszczaka, który prezentował przed głosowaniem jej sylwetkę. Prezes ceni też to, że zawsze była wobec niego lojalna, i jemu akurat dała się złamać, bo jako marszałkini dostroiła sejmowe tryby do jego politycznych potrzeb, nastrojów, a nawet trybu życia.

Od osoby, która całkiem dobrze zna Kaczyńskiego, słyszymy, że mocno poruszyło go to, że polityczny lump, za jakiego uważa Tuska, zdecydował o tym, że Witek nie będzie wicemarszałkiem. I nie zamierza już nikogo nowego zgłaszać, bo uznał, że brak wicemarszałka pasuje mu do opowieści, że ta koalicja jest antydemokratyczna. Krzesło w prezydium Sejmu przeznaczone dla PiS pozostanie na razie puste także dlatego, że zgłaszanie nowych kandydatów byłoby dla Kaczyńskiego – jak to określili nasz rozmówca – hodowaniem zdrady w obozie. W nieoficjalnych rozmowach od kilku dni krąży nazwisko posłanki Małgorzaty Wassermann, która miałaby szanse na wybór. Ale prezes nie może pokazać partii, że to Tusk decyduje o tym, kogo PiS deleguje na wicemarszałka.

– *Gdybyśmy się ugięli, to nasi posłowie, których nie jesteśmy pewni, uznaliby, że lepiej dogadywać się z koalicją, skoro oni decydują o naszych sprawach. Będziemy stać za Elą do końca, i to nie jest tylko sprawa honoru, ale też politycznej taktyki, również skierowanej do wewnątrz naszego obozu. Prezes genialnie to wymyślił, bo on widzi szerszej pewne sprawy* – mówi poseł PiS z kręgu prezesa.

Na emeryturę czas?

W partii przekonanie o jego nieomyślności i geniuszu nieco jednak osłabło. Znajdzie się wielu zaniepokojonych stanem emocjonalnym, słabością fizyczną i gorszą formą polityczną Kaczyńskiego. Doświadczony poseł PiS, były minister rolnictwa Jan Krzysztof Ardanowski, powiedział w rozmowie z „Super Expressem” wprost, co wielu myśli po cichu: „Nasza partia nie może być oparta tylko ▶

► o Kaczyńskiego, czyli jednego człowieka, starzejącego się. Nie możemy stać się partią geriatryczno-kanapową”, i namawiał prezesa do przygotowania sukcesji. Nie bez znaczenia jest, że Ardanowski jest związany z Andrzejem Dudą, którego nowy szef gabinetu Marcin Mastalerek też odsyłał Kaczyńskiego na emeryturę.

Odchodzący minister sportu Kamil Bortniczuk (Partia Republikańska) uznał z kolei za błąd, że PiS głosował przeciwko kandydatom KO, PSL i Polski 2050 na wicemarszałków Sejmu. Kilko posłów z klubu PiS – w tym Kacper Płażyński – wstrzymało się zresztą od głosu. To wszystko są sygnały świadczące o słabnięciu Kaczyńskiego.

Prezes PiS ma też ciągnące się od dawna kłopoty ze zdrowiem. Blisko rok temu, w grudniu, przeszedł poważną operację kolana, ale przez rozkręcającą się już wtedy kampanię parlamentarną słabo przykładał się do rehabilitacji. Ostatnie dni przed wyborami, gdy sztabowcy wsadzili przywódcę do wysłużonego autobusu, też podobno bardzo go wymęczyły. – *Kolejnej operacji kolana już nie będzie, bo poprzednia nie do końca się udała i szef wciąż walczy z powikłaniami* – zapewnia jeden ze współpracowników Kaczyńskiego.

Po wyborach prezesa powaliło przeziębienie. Nie przyszedł na zapoznawcze spotkanie posłów i senatorów klubu PiS na Nowogrodzkiej; w zastępstwie przemawiali m.in. Szydło, Morawiecki i Błaszczak. Dzień później Kaczyński nie zjawił się na ostatnim, przed złożeniem dymisji, posiedzeniu rządu.

Ze swoimi posłami spotkał się dopiero 15 listopada w sali Kolumnowej, tuż przed rozpoczęciem prac nowego Sejmu. Wcześniej, 11 listopada, po uroczystościach na placu Piłsudskiego w Warszawie pojechał do Krakowa. Tam wygłosił przemówienie, podczas którego zaliczył wpadkę. Kiedy zaczął opowiadać o szczycie Rady Europejskiej, rzucił, że „nasz kraj reprezentuje premier Mazowiecki”. Sala głośno go poprawiła, on przeprosił i przyznał: „Jestem troszkę... No zupełna pomyłka”. – *To było znaczące, bo chciał powiedzieć, że jest zmęczony* – analizuje polityk PiS z okolic Nowogrodzkiej. – *Ale uznał, że w okolicznościach tej porażki wyborczej i przechodzenia do opozycji nie może pokazać słabości i publicznie przyznać, że jest zmęczony.*

Kaczyński musi odnaleźć się w nowej opozycyjnej rzeczywistości i pogodzić z utratą statusu, który dawał mu poczucie nieograniczonej władzy. 10 października, w miesięcznicę smoleńską, własnoręcznie zniszczył wieniec z napisem „ofiaram

Lecha Kaczyńskiego” złożony przy pomniku na placu Piłsudskiego. Świadków zdenerwowania, którzy się temu sprzeciwiali, kazał policjantom wylegitymować. Oświadczył, że ma prawo tego żądać, bo jest ministrem do spraw bezpieczeństwa. Te czasy się skończyły. Przy siedzibie PiS przy Nowogrodzkiej też już jakby mniej policji. Kiedy dwa lata temu pytaliśmy policję o wzmożoną obecność przy tej partyjnej centrali, tłumaczyła, że „zabezpieczają miejsca przyległe do terenu, na którym przeby-

Na razie Kaczyński próbuje zintegrować swoich posłów – buduje mit obłądzonej twierdzy, mniejszości gnębionej przez nową koalicję.



wają przedstawiciele organów państwa, m.in. premier RP, ministrowie, niezależnie od usytuowania tych obiektów”. Dodawali, że nie mają obowiązku stałego nadzoru nad siedzibami partii, ale muszą brać pod uwagę analizę potencjalnych zagrożeń. – *Uważamy, że Tusk przyczynił się do tego, że prezes może czuć się zagrożony, ale sądzę, że będziemy już mogli tylko liczyć na naszą partyjną ochronę tu przy Nowogrodzkiej i w okolicach domu prezesa* – mówi ważny polityk PiS. Miesięcznie za ochronę prezesa partia płaci 160 tys. zł (5,3 tys. zł dziennie).

Nadchodzą nowe porządki

Najbliższe partyjne otoczenie prezesa z Nowogrodzkiej też nie jest w najlepszej kondycji. Na emeryturę odeszła skarbniczka Teresa Schubert. Zastąpił ją mniej doświadczony Tomasz Bartzczak. Krzysztof Sobolewski, szef struktur i sekretarz generalny, złożył po wyborach wymuszoną dymisję. Jego miejsce zajął mało komu znany dotychczasowy zastępca Piotr Milowański. Na razie nie ma dyrektora biura prezydenckiego (czyli prezesa partii i wiceprezesów), bo prezes nikogo nie namaścił na miejsce Michała Moskala, który został posłem i zrezygnował z funkcji przy Nowogrodzkiej. – *Przyjdzie czas na nowe nominacje i podział zadań. Teraz wszyscy, łącznie z prezesem, musimy się uspokoić i jakoś odnaleźć w tej*

nieciekawej rzeczywistości – mówi osoba z Nowogrodzkiej.

Partię czeka kolejna reforma struktur. W 2022 r. Kaczyński zdecydował, że należy je podzielić na blisko 100 okręgów (zamiast 41). Teraz uznał, że to nie zdało egzaminu i trzeba wprowadzić 16 wojewódzkich szefów PiS. W partii mówi się o konieczności odmłodzenia ugrupowania, ale wybór prezydium klubu parlamentarnego rozmiął się z tym postulatem. Nie były to zresztą normalne demokratyczne wybory, w których posłowie by ze sobą konkurowali. Kaczyński wskazał po prostu osoby, które mają zasiadać we władzach klubu: Ryszarda Terleckiego, Marka Suskiego, Stanisława Karczewskiego, Marlenę Małąg... Średnia wieku członków PiS w prezydium to 62,5 roku (młodszy są reprezentanci koalicjantów Michał Cieślak i Marcin Ociepa). Młodszym posłom PiS zdecydowanie się to nie spodobało.

Do klubu nie zapisała się trójka posłów wybranych z list PiS: Paweł Kukiz, Marek Jakubiak i Jarosław Sachajko, którzy utworzyli pierwsze w tej kadencji koło poselskie Kukiz'15. Kaczyński mocno za to skrytykował Kukiza na posiedzeniu klubu, insynuując w swoim stylu, że Kukiz spłaca jakieś długi u swoich nieznanym mocodawców. Ale to przecież nie kto inny niż Kaczyński dał kukizowcom miejsca na swych listach wyborczych nie dawniej niż trzy miesiące temu. Prezes na pierwszym posiedzeniu klubu powiedział zresztą, że odejść posłów może więcej, bo nie wszyscy wytrzymają ciśnienie.

Na razie Kaczyński próbuje zintegrować swoich posłów – buduje mit obłądzonej twierdzy, mniejszości gnębionej przez nową koalicję – w roli męczenników obśadzając Witek i Pęka. Elementem tego planu jest także mozolne formowanie rządu Morawieckiego i walka z postulowaną przez europarlament reformą traktatów unijnych, którą Kaczyński uznaje za próbę likwidacji państwa polskiego. Ten alarmistyczny ton ma zapobiec demobilizacji elektoratu PiS i większym rozłamom w partii.

A co dalej? Kadencja Kaczyńskiego w fotelu prezesa kończy się w 2024 r. Czy kongres znów wybierze go na szefa PiS? – dopytujemy naszego rozmówcę. Mówi, że prezes miał w planach wygrać te wybory parlamentarne, a w 2024 r. jako niepokonany oddać stery partii. – *Przegrał, i to z Tuskiem, którego wini za śmierć brata i za to, że oddaje naszą suwerenność Niemcom. Jak zdrowie mu pozwoli, to zostanie na ringu i na kolejną kadencję zostanie prezesem.*

ANNA DĄBROWSKA, WOJCIECH SZACKI

ZDOBYWCA OSCARA®
JOAQUIN PHOENIX

REŻYSERIA
RIDLEY SCOTT

NAPOLEON

PRZYSZEDŁ ZNIKĄD. ZDOBYŁ WSZYSTKO.

SCENARIUSZ
DAVID SCARPA

COLUMBIA PICTURES AND APPLE ORIGINAL FILMS PRESENT A SCOTT FREE PRODUCTION A RIDLEY SCOTT FILM JOAQUIN PHOENIX VANESSA KIRBY "NAPOLEON"
EXECUTIVE PRODUCERS RAYMOND KIRK AIDAN ELLIOTT MICHAEL PRUSS PRODUCED BY RIDLEY SCOTT KEVIN J. WALSH MARK HUFFAM JOAQUIN PHOENIX WRITTEN BY DAVID SCARPA DIRECTED BY RIDLEY SCOTT
Original Films SCOTT FREE #Napoleon SonyPictures COLUMBIA PICTURES
© 2023 Sony Pictures Entertainment Inc. A Sony Company

W KINACH
OD 24 LISTOPADA

POLITYKA



wyborcza.pl

GAZETA.PL

VIVA!

party

ims
sensorymedia

Militaria.pl

PKP INTERCITY

tylkohity.pl

2GT

Trochę Razem, trochę osobno

JAKUB MAJMUREK



ILUSTRACJA ADAM WÓJCICKI

Osoba z parlamentarnej reprezentacji Razem na pytanie, czy partia jest częścią koalicji, odpowiada: nie. Jednocześnie nie chce zadeklarować, by Razem było opozycją. Taki partyjny dylemat.

Wnocy z 9 na 10 listopada, tuż przed podpisaniem nowej umowy koalicyjnej, Rada Krajowa partii Razem podjęła decyzję o niewchodzeniu do rządu Donalda Tuska. Jednocześnie siedmioro posłów i posłanek Razem ma poprzeć rząd w głosowaniu o wotum zaufania oraz wejść do koalicyjnego klubu sejmowego Lewicy, który będzie jednym z parlamentarnych stronnictw popierających gabinet. W ramach podziału stanowisk wśród nowej większości Magdalena Biejat objęła funkcję wicemarszałkini Senatu. Na początku nowej kadencji, swojej drugiej w parlamencie, Razem ustawiło się więc w politycznym szpagacie.

Między pożyczonymi a bazą

Pozycja partii, która nie chce brać odpowiedzialności za rząd, ale go popiera i wchodzi do klubu, który będzie co do zasady głosował wspólnie z rządem, nie jest szczególnie intuicyjna i może budzić zamieszanie wśród wyborców i komentatorów.

Trudno znaleźć dla niej precedens w innych systemach demokratycznych. Owszem, zdarza się, że partia udziela rządowi wotum zaufania, ale do niego nie wchodzi, popierając w głosowaniach tylko określone projekty albo godząc się na poparcie dla innych za konkretne ustępstwa. Takie partie tworzą jednak na ogół samodzielny klub, a nie zasiadają w jednym z partią wchodzącą w skład rządu. Osoba z parlamentarnej reprezentacji Razem na pytanie, czy partia jest częścią koalicji, odpowiada: nie. Jednocześnie nie chce też zadeklarować, by Razem było opozycją, tłumaczy, że to na ile będą opozycją, zależeć będzie od polityki rządu.

Razem może znaleźć się w podobnej sytuacji, jak na początku swojego istnienia, gdy musiała tłumaczyć się, dlaczego nie ma lidera, tylko kilkusobowy zarząd? Teraz pytanie będzie brzmiało: „jesteście w końcu w koalicji czy opozycji?”

Jednocześnie decyzja Rady Krajowej partii nie była pozabawiona racjonalnych powodów. Razem nie może dziś bowiem zagłosować przeciw rządowi Tuska, a jednocześnie pełne poparcie dla niego niesie partii cały szereg niebagatelnych wyzwań.

Posłanki i posłowie Razem nie mogą zagłosować przeciw, bo wiedzą, że partię

czeka wtedy krytyka niepisowskich mediów, z jaką nigdy nie przyszło się jej jeszcze zmierzyć. Krytyka ta spotkałaby się ze zrozumieniem wielu wyborców partii, którzy głosowali na kandydatów Razem jako na przedstawicieli dużej lewicowej koalicji, gotowej do wspólnego wzięcia odpowiedzialności za państwo z innymi partiami bloku demokratycznego. Kandydaci Razem sięgnęli w tych wyborach nie tylko po żelazny elektorat partii, ale też po „pożyczonych” wyborców, którzy głosowali na ludzi Zandberga dlatego, że byli pierwsi na liście Lewicy, albo dlatego, że cenili ich osobiste kompetencje i chcieli zobaczyć ich w rządzie.

Zagłosowanie przez Razem przeciw gabinetowi Tuska pewnie wymusiłoby też rozpad koalicyjnego klubu Lewicy w Sejmie, co z kolei mogłoby prowadzić do braku wspólnej lewicowej listy w przyszłych wyborach europejskich i lokalnych. Z drugiej strony posłowie i posłanki Razem mogliby mieć problem z wytłumaczeniem swojego wejścia do rządu Tuska własnym partyjnym dołom i aktywistycznej bańce swoich najbardziej zaangażowanych wyborców. Ta baza partii, sądząc po komentarzach w mediach społecznościowych, przyjmuje decyzję ze zrozumieniem – choć pewnie wolałaby, żeby Razem ustawiło się w roli pryncypialnej, socjalnej opozycji wobec „libkowego” rządu Tuska.

Choć od tego czasu minęła już prawie dekada i sama partia ewoluowała, to warto pamiętać, że Razem powstało po wyborach prezydenckich w 2015 r. jako ugrupowanie, które z lewicowych pozycji kontestowało przede wszystkim osiem lat rządów koalicji PO-PSL, a dopiero w drugiej kolejności – jego zdaniem – zbyt centrowy, bezideowy, kapitulanski wobec neoliberalnej polityki gospodarczej model lewicowości uosabiany przez ówczesne SLD. Razem chciało budować dla niego alternatywę wzorowaną na hiszpańskim Podemos i innych partiach antysystemowej, populistycznej lewicy, które wyrosły w Europie na początku poprzedniej dekady jako reakcja na kryzys gospodarczy i często pogarszającą go politykę *austerity*.

Zwycięstwo PiS ustawiło oś politycznego sporu w zupełnie innym miejscu, niż chciało to zrobić Razem – w ciągu ostatnich ośmiu lat głównym tematem stała się obrona demokratycznych reguł przed pravicowo-populistyczną władzą, a nie spór

o polski model społeczno-gospodarczy. By pozostać w grze, partia Zandberga musiała przekroczyć własny fundacyjny opór wobec SLD i porozumieć się z Sojuszem. Decyzja o utworzeniu rządu wspólnie z liberałami z PO okazała się już jednak dla partii nie do przejścia. W tym dla jej parlamentarnej reprezentacji; na Radzie Krajowej w całości zagłosowała przeciw wejściu do rządu – nikt nie był za, wstrzymało się kilka osób.

Tu skaczciel

Razem jako oficjalny powód swojej odmowy wejścia do rządu podaje fakt, że partnerzy nie byli w stanie zagwarantować w umowie koalicyjnej środków na realizację polityki, za którą partia byłaby gotowa wziąć ministerialną odpowiedzialność. Konkretnie Razem domagało się zagwarantowania 1 proc. PKB na budownictwo mieszkaniowe – partia sugerowała, że chciałaby objąć odpowiedzialność za nie resort – oraz 8 proc. PKB na zdrowie.

Pytani o decyzję sojuszniczej partii, posłowie i posłanki Nowej Lewicy – partii powstałej z połączenia SLD i Wiosny – odpowiadają, że nie rozumieją decyzji Razem. Argumentują, że w umowie koalicyjnej nie ma gwarancji – w postaci określonych procentów PKB – dla polityki żadnego resortu z tego prostego powodu, że po ośmiu latach rządów PiS nikt tak naprawdę nie wie, jak wygląda sytuacja finansów publicznych. Nie wiadomo też, czy po wejściu nowej ekipy do rządu tych wskaźników i tak nie trzeba by zmienić.

W rozmowach z politykami z klubu Lewicy powraca też opinia: Razem popełnia błąd. Słychać: „zmarowali szansę, która może się nie powtórzyć”, „to niezrozumiałe, że nie próbowali zaważczyć w rządzie o swoje postulaty”. Pojawiają się nawet głosy, że Razem wycofało się przy pierwszej konfrontacji z rzeczywistością.

Nasi rozmówcy z Nowej Lewicy zwracają też uwagę, że Razem podważa w ten sposób opinię o sobie jako partii z doskonałym przygotowanym zapleczem eksperckim, posiadającym konkretne rozwiązania problemów państwa. Decyzja Razem może faktycznie wzmocnić nieprzychylnie partii stereotypy przedstawiające ją jako niezdolną do kompromisu i praktycznego działania grupę doktrynerów, która lepiej czuje się, komentując i recenzując cudzą politykę, niż realizując własną. ►

► Sytuacja przywodzi na myśl bajkę Ezo-pa o samochwale, który opowiadając zasłuchanym gapiom o swoich podróżach, wspominał, jak na Rodos oddał skok tak długi, iż nikt nie był w stanie skoczyć nawet na zbliżony dystans; zapewniał, iż ma wielu świadków. W końcu ktoś z tłumu zakrzyknął „założmy, że tu jest Rodos, tu skacz!”. Możliwość wejścia do rządu była dla Razem wyzwaniem „tu skaczenie, po-każcie, że wasza polityka działa”. Partia się od niego uchyliła, co z pewnością rozczaruje wielu wyborców.

Z drugiej strony, wchodząc do rządu, Razem firmowałoby politykę znacznie bardziej konserwatywną i znacznie mniej socjalną, niż życzyliby sobie tego jego wyborcy. Problemy służby zdrowia, edukacji i innych usług publicznych, którym w ciągu czterech lat może nie dać się zapewnić standardu działania, jakiego oczekiwali by Polacy, wpisywano by na konto partii. W wyborcach rosłaby też frustracja, że mimo obecności przedstawicieli ich partii w rządzie nie jest on w stanie załatwić tak ważnych dla nich kwestii, jak aborcja czy budowa tanich mieszkań na wynajem. Faktycznie minister budownictwa z Razem, ciągle zajęty walką o środki na działalność swojego resortu z ministrem finansów, niezdolny zrealizować programu partii, mógłby okazać się dla niej raczej obciążeniem niż atutem.

Czy klub to przetrwa?

Taka jest jednak rzeczywistość koalicyjnych rządów, zwłaszcza gdy jest się koalicjantem tak słabym jak Razem – z siedmioma posłami partia nie jest w stanie utworzyć klubu ani zgłosić ustawy, do czego potrzeba podpisów 15 posłów. A wewnątrz rządu można czasami ugrać więcej niż poza nim.

Gdyby Razem wyszło z hukiem z rządu w proteście przeciw jego polityce, miałyby to znacznie większy polityczny odźwięk niż decyzja o powstrzymaniu się z wejściem do rządu na samym początku. – *Tak, ale taka decyzja znacznie bardziej zwiększyłaby też napięcia w klubie Lewicy* – mówi osoba z parlamentarnej reprezentacji partii.

Politycy Nowej Lewicy zapewniają w nieoficjalnych rozmowach, że mimo niezrozumienia i rozczarowania decyzją Razem atmosfera w klubie jest dobra, widać wolę utrzymania współpracy i wspólnego działania w Sejmie. Źródła z Razem mówią coś podobnego: choć partia zgodnie z postanowieniem swojej Rady Krajowej nie bierze żadnych rządowych stanowisk, to liczy na objęcie ważnych funkcji w Sejmie, zależy jej głównie na prezydiach komisji.

Napięcia mogą się jednak pojawić. Zwłaszcza gdy dojdzie do rozbieżności między Razem i rządem. W umowie koalicyjnej klubu Lewicy w Sejmie znajdują się zapisy, które pozwalają zawiesić dyscyplinę głosowania w klubie, gdy jeden z tworzących go podmiotów ma wątpliwości w danej kwestii. Nowa koalicja ma w Sejmie większość nawet bez siedmiu posłów i posłanek Razem – jeśli jednak klub Lewicy będzie ciągle dzielił się w głosowaniach, naruszy to jego i tak słabą pozycję w koalicji.

Biorąc pod uwagę, że Razem jest też najbardziej ideowo wyrazistą i wysuniętą na lewo częścią klubu Lewicy, nietrudno wyobrazić sobie scenariusz, gdy pojawią się napięcia między Razem a ministrami z Lewicy. Osoba z partii: – *Ministrowie z Lewicy będą pod stałą presją, będą nieustannie wyklócać się z ministrem finansów*

Czy pozycja partii jako wiecznej łoża komentatorskiej faktycznie okaże się dla Razem korzystna, czy raczej skaże ją na postępującą marginalizację?



o środki na swoje resorty. Przydadzą im się tacy sojusznicy jak my, niezwiązani koalicyjną dyscypliną, którym wolno więcej.

Zwłaszcza dla Razem utrzymanie jedności Lewicy w kontekście następnych wyborów jest kluczowe. W Polsce elektorat lewicowy jest stosunkowo niewielki i nie można sobie pozwolić, by dzielił go na kilka komitetów. O ile bez Razem Nowa Lewica być może jakoś przetrwałaby z poparciem w okolicach 5 proc., o tyle Razem bez Nowej Lewicy raczej nie. Jednym z podstawowych kryteriów pozwalających ocenić sens decyzji partii będzie więc to, czy lewicowa koalicja przetrwa do następnych wyborów – czy podzielona Lewica nie zejdzie pod próg albo nie dojdzie do scenariusza, w którym Nowa Lewica, już bez Razem – zdecydowanie się wystartować w przyszłych wyborach jako część szerokiego centrowego bloku skupionego wokół PO. Oba scenariusze mogłyby oznaczać koniec Razem jako partii liczącej się w polityce parlamentarnej.

Wśród zachwyconej decyzją partii bazy pojawiają się fantazje, że teraz Razem

wystąpi jako opozycja wobec „antyspołecznego” rządu i w ten sposób rozczarowani nim wyborcy znajdą inną niż PiS wiarygodną alternatywę, dającą lewicową odpowiedź na słuszny społeczny gniew. Z taką fantazją jest cały szereg problemów. Po pierwsze, Tusk – mimo wszystkich trudności i sygnałów o pogarszającej się sytuacji gospodarczej – może stworzyć całkiem dobrze oceniany rząd. A przynajmniej na tyle dobrze, by mógł on – nawet bez Tuska na czele – wygrać też kolejne wybory, zwłaszcza biorąc pod uwagę nowy kurs PiS na jeszcze większą radykalizację i fatalną formę Kaczyńskiego. W takiej sytuacji start Razem z list lewicowej koalicji, której większość popierała rząd, nie będzie niemożliwy, ale będzie rzadkim pytaniem, i decyzja o wyłączeniu się z udziału w rządach bynajmniej nie będzie dla partii atutem w przyszłych układankach.

Nadzieja na nowe rozdanie

Nawet gdyby nowy rząd wywołał wielki gniew i rozczarowanie, to trudno uwierzyć, by polityczne owoce tego stanu rzeczy zebrało Razem, a nie PiS albo jakaś nowa populistyczna inicjatywa. Razem nie jest partią ludowego gniewu i trudno uwierzyć, by się nią stało z obecnym przywództwem na czele. Partia jest dziś, jak była od początku, głosem słabej ekonomicznie, ale wykształconej części klasy średniej i poza tym środowiskiem ciągle nie potrafi nawiązać kontaktów z elektoratem na skalę, która robiłaby polityczną różnicę.

Największą szansą dla Razem byłaby implozja PiS i prawicowego obozu, którego siła, polityczny radykalizm i autorytarne zapędy są dziś głównym spoiwem szerokiej koalicji – od Agnieszki Dziemianowicz-Bąk po Marka Sawickiego. Wtedy pojawiłoby się miejsce na jakieś nowe spolaryzowanie sceny politycznej, być może korzystniejsze dla lewicy. Ideowa wyrazistość Razem, która dziś ciąży partii, mogłaby się w tej sytuacji stać atutem.

Czy jednak usunięcie się poza rząd będzie optymalne z punktu widzenia tego ewentualnego nowego rozdania? Czy nie należało go wykorzystać, by nauczyć się państwa z poziomu ministerstw, by pokazać wyborcom, że nawet bez wielkich środków da się robić sensowną politykę? Czy pozycja partii jako wiecznej łoża komentatorskiej faktycznie okaże się dla Razem korzystna, czy raczej skaże ją na postępującą marginalizację?

Dziś wydaje się, że Razem robi błąd – ale ostateczną odpowiedź na pytanie poznamy przy okazji wyników wyborów do przyszłego Sejmu.

JAKUB MAJMUREK



JEDNO

STUDIO

RÓŻNE

POG-

LĄDY



Grzegorz Sroczyński
poniedziałek, 18:02

**NAJBARDZIEJ ZAUFANE
ŹRÓDŁO INFORMACJI
W POLSCE WG REUTERSA***

źródło: badanie „Digital News Report 2023”
Reuters Institute for the Study of Journalism, próba 2030

Nowi demokraci

Nie ulega wątpliwości, że to właśnie Sejm musi stać się pierwszym miejscem demokratycznej odnowy: poligonem przywracanych standardów i odbudowywanej z gruzów kultury politycznej. Różnie z tym może być.

RAFAŁ KALUKIN



ILUSTRACJA MAX SKORWIDER

Były obawy, czy stanowisko marszałka Sejmu przynajmniej w pierwszym okresie nie przerosnie pozbawionego parlamentarnych doświadczeń Szymona Hołowni. Jednak debiut wypadł bardzo dobrze, co od razu doceniła szeroka opinia publiczna. Już na starcie udało się nowemu marszałkowi rozbroić najtrudniejszy bodaj dylemat towarzyszący jego misji: przywrócić konsensualny charakter parlamentu, a zarazem nie pozwolić, żeby stoczył się w anarchię.

W autorytarnym modelu zarządzania ciałami ustawodawczymi przez PiS odbijał się jak w soczewce nihilizm tamtej władzy, jej ostentacyjna pogarda dla demokratycznych procedur, dobrych obyczajów i zwykłej przyzwoitości. Trwająca osiem lat ustawiczna deprawacja niestety nie mogła pozostać

bez wpływu na naszą kulturę polityczną. Cynizm i bezwzględność władzy były zaraźliwe, wymuszając określone reguły na pozostałych uczestnikach gry politycznej, spływając wreszcie na suwerena. Seanse upokarzania opozycji w Sejmie nie tylko przeciw pokazywały brutalną sprawczość PiS, ale też skutkowały dehumanizacją politycznego przeciwnika, którego publiczne dręczenie dostarczało publiczności sadystrycznej przyjemności.

Hołownia podkreślił już w swoim inauguracyjnym wystąpieniu, że Sejm to nie „oktagon walk MMA”, lecz „dom spotkań i rozmowy”, a polityka jako taka polega na trosce, a nie przemocy. Nie zdążyły jednak wybrzmieć jego słowa, jak zderzył się z obstrukcją ustępującej władzy, która nie pozostawiła nawet cienia wątpliwości, że przechodząc do opozycji, będzie używać należnych jej praw i przywilejów zgodnie z przeznaczeniem. Przeciwnie, już na samym początku stały się one w rękach polityków

PiS przedmiotem nadużycia, obliczonym na skompromitowanie przywrócanego demokratycznego ładu. I chociaż Hołownia zdołał spacyfikować takie próby, jeszcze niejedna konfrontacja przed nim.

Analogia do przełomu '89 przynajmniej pod tym względem wydaje się nietrafiona. Bo ówczesni komuniści niemal od razu po przegranych wyborach zdali sobie przeciw sprawę, że dotychczasowy system definitywnie wyczerpał polityczne i aksjologiczne możliwości. Nie było więc sensu reanimować trupa, zamiast tego cały wysiłek skierowano na adaptację w nowych realiach. To jednak wymagało głębokiej reorientacji programowej oraz wymiany przywódczej elity. Zabiegając o ponowną legitymizację, nowa socjaldemokracja Kwaśniewskiego i Millera na wielu obszarach starała się nawet odgrywać rolę demokratycznego i prozachodniego prymusa, niekiedy zawstydzając solidarnościowe elity. Jej konwersja była szczerą i dziś słusznie uchodzi za współtwórcę sukcesu III RP.

Z niedawną porażką PiS jest zupełnie inaczej. Nie była ona na tyle przesądająca, żeby uznać projekt Kaczyński za historycznie zakończony. To tylko przegrana bitwa, ale wojna wciąż trwa. Zamiast adaptacji do nowych realiów mamy więc do czynienia ze skokową radykalizacją PiS, które oddając władzę, już nie musi liczyć się z żadnymi ograniczeniami. Tym samym trudny proces przywrócenia demokratycznych standardów oraz odbudowy kultury politycznej już na starcie zderzył się z potężną przeszkodą.

I w sumie można się było tego spodziewać, chociaż widok Zbigniewa Ziobry na trybunie sejmowej – każdym słowem, artykulacją i gestem wyrażającego bezkresną pogardę wobec nowej większości – był mimo wszystko dosyć porażający. Podobnie zresztą jak wchodzącego po nim na trybunę Przemysława Czarnka, który zgłosił się chyba tylko po to, żeby ośmieszyć prowadzącego obrady („panie marszałku rotacyjny...”). Trudno o bardziej wyrazistą demonstrację, wszak Hołownia miał zostać symbolicznie unieważniony już na samym wstępie.

Tego rodzaju demonstracje pogardy miały miejsce również na sejmowych korytarzach. Poczynając od prezesa Kaczyńskiego, który spontanicznie naubliżał przysłusznemu premierowi od „lumpów”, a kończąc na ministrze Piotrze Gliškim, który wyładował frustrację na dziennikarzu nielubianej stacji. Przynajmniej po pisowskiej stronie „oktagon” wciąż świetnie się trzyma. Wydaje się, że chyba nikomu

po tej stronie nie przyszło do głowy skorzystać z rekordową antypisowską mobilizację w wyborach z butą odchodzącej władzy, jej skrajnym zadufaniem. A już na refleksję etyczną chyba w ogóle nie ma co liczyć.

Tymczasem konstytucja stanowi, że poseł jest „przedstawicielem Narodu”. Cóż to oznacza? Że chociaż wybierany jest z partyjnych list, reprezentować powinien całą wspólnotę. W tym zawiera się szacunek dla państwa, jego praw oraz instytucji. Posłowie PiS najwyraźniej jednak odrzucają ową regułę jako abstrakcyjną i nazbyt maksymalistyczną. Ich lojalność jest typowo klanowa, przede wszystkim ogranicza się do macierzystego ugrupowania oraz konkretnych grup wyborców, które na PiS głosują. Przykładając rękę do ośmieszenia dopiero co wybranego nowego marszałka, izby w jakimś sensie podważają więc także swój własny autorytet jako posłów na Sejm Rzeczypospolitej.

Można oczywiście spekulować, czy nie zostali sprowokowani uprzednim odrzuceniem kandydatury Elżbiety Witek na wicemarszałkinię. Tyle że argumentacja nowej większości była akurat czytelna: osoby bezpośrednio odpowiedzialne za niszczenie demokratycznych standardów nie są godne pełnienia wysokich państwowych stanowisk. I nie jest to równoznaczne z pozbawianiem kogokolwiek praw, bo służba państwu jest zaszczytem, co wymaga określonych kwalifikacji etycznych. Bezwolna w poprzedniej kadencji marszałek Witek, bez mrugnięcia okiem zdolna zarządzić reasumpcję przegranej przez jej obóz głosowania, owego minimum w oczywisty sposób nie spełnia.

Bardziej problematyczne było pewnie równoległe odrzucenie kandydatury Marka Pęka na wicemarszałka Senatu, który zalał za skórę nowej większości chamskimi wypowiedziami, ale grzechów ustrojowych nie popełnił. Być może lepiej byłoby więc przymknąć na to oczy, żeby akt nowego demokratycznego otwarcia wybrzmiał bardziej krystalicznie, bez dostarczania pretekstów do jego podważenia. Chociaż oceniając rzecz realistycznie, nie powinniśmy mieć złudzeń, że takie podważenie tak czy inaczej miałyby miejsce. Wynikając z kalkulacji Kaczyńskiego, które czynią jego formację chyba już trwałe niezdzolną – przynajmniej w obecnej formule – do demokratycznej koegzystencji.

Tymczasem demokracja tym się różni od innych ustrojów, że wymaga kompromisów. Oczywiście nie zawsze i nie na każdym poziomie, bo różnica zdań również wpisana jest w jej naturę.

Niemniej dla jej zdrowego funkcjonowania niezbędne są obszary wolne od konfliktu. Jeden z najważniejszych teoretyków demokracji Giovanni Sartori pisał o trzech sferach konsensu.

Podstawowy dotyczy ogólnej zgodności poglądów i wartości. Im mniejsze ich rozwarstwienie, tym lepsza kooperacja i mechanizm demokratyczny sprawniejszy. Chociaż nie jest to warunek *sine qua non* demokracji, można bowiem praktykować ją również w sposób bardziej antagonistyczny. O bazowym kompromisie w polskiej polityce można było jednak mówić w okresie 1989–2004, kiedy większość sił zgadzała się co do ogólnych kierunków ustrojowej transformacji oraz akcesji do politycznych struktur Zachodu. Tyle że był on mimo wszystko dosyć naskórkowy, przy niskiej partycypacji społecznej, co zapewne wynikało ze względnej bezalternatywności ówczesnej polityki, szczególnie w kwestiach ekonomicznych. Było zresztą w tamtych czasach nie do pomyslenia, żeby rządzić jedynie w interesie konkretnych grup wyborców, którzy głosują na partie będące u władzy. Zmieniły to dopiero, i to w sposób radykalny, rządy PiS po 2015 r. Co niewątpliwie pomogło podnieść poziom partycypacji, tyle że w toksycznej formule skrajnej polaryzacji na wszystkich możliwych frontach kulturowych.

Przed wszystkim jednak Kaczyński wypowiedział powszechnie dotąd obowiązujący „konsens proceduralny”, który wedle Sartoriego polega na uznaniu wspólnych reguł gry przez wszystkich jej uczestników. A bez tego po prostu nie ma już mowy o realnie funkcjonującej demokracji. Zanikają bowiem mechanizmy codziennego rozwiązywania konfliktów i zaczynamy zmierzać w stronę wojny domowej. Widać to było choćby przy okazji kryzysu sejmowego na przełomie 2016–17, zwanego przez propagandę PiS puczem. Bezpośrednio sprowokowanego przez ówczesną opozycję, która od początku kadencji systematycznie pozbawiana była przez pisowską większość swoich praw. Co rusz zaskakiwana legislacyjnymi wrzutkami, ekspresowym przyjmowaniem szczególnie kontrowersyjnych ustaw bez cywilizowanej debaty, ograniczaniem do minimum czasu wypowiedzi, brutalnym wyłączeniem mikrofonu bądź obsesyjnym nakładaniem kar finansowych na co bardziej krnąbrnych posłów.

Kropłą, która przelała czarę goryczy, było jednak wprowadzenie przez ówczesnego marszałka Sejmu Marka ▶

► Kuchcińskiego daleko idących ograniczeń dla mediów. Co zresztą było spójne z ogólnie nietransparentną polityką tamtej ekipy, która programowo reglamentowała informację na swój temat i nie była skłonna odpowiadać na pytania. A kiedy jeszcze Kuchciński wykluczył z debaty posła PO Michała Szczerbę, który zgrzeszył frywolną odzywką pod adresem marszałka, kluby opozycyjne zablokowały sejmową mównicę. Obstrukcja nie miała jednak cech wyrachowanej politycznej akcji, zorientowanej na zdobycie poklasku, w czym przed laty specjalizowała się Samoobrona. W tamtych okolicznościach był to przede wszystkim wyraz bezradności wykluczonego uczestnika demokratycznej gry, który stracił oparcie w regułach. Z czego silniejszy nic sobie zresztą nie robił, bo zamiast podjąć próbę znalezienia kompromisu, Kuchciński odwołał wszelkie tryby i kazał głosować budżet w nieprzystosowanej do tego celu sali kolumnowej. Zawieszenie jednych reguł pociąga więc za sobą kolejne, staczając demokrację w otchłań.

Ale jest jeszcze trzecia sfera, którą włoski politolog zawiłe definiuje jako „konsens dotyczący prowadzonych polityk i rządów”. W praktyce chodzi o to, że w demokracji dozwolone jest kontestowanie składu rządu bądź podejmowanych przez niego decyzji, ale już nie jego ustrojowej formy. Każdy z uczestników politycznej gry, o ile tylko uznaje reguły, jest bowiem równouprawnionym partnerem w dyskusji. Tylko że rządy PiS zazwyczaj nie chciały dyskutować, co najlepiej było widać właśnie na sali sejmowej, która przez te lata była areną niejednego przemocowego spektaklu.

Przemoc w polityce nie bierze się znikąd. To przeważnie produkt fantazji, że „tamtych” da się trwale wyeliminować. Nie tyle przemówić do rozumu, żeby przyjęli nasz punkt widzenia bądź nasze wartości, ile po prostu usunąć z widoku. Realnie rzecz biorąc, nie ma to najmniejszego sensu, gdyż wykluczony i upokorzony przeciwnik może się co najwyżej utwierdzić w dotychczasowych przekonaniach, tyle że w jeszcze bardziej skrajnej formie. Ale też na tym właśnie polega populistyczna polaryzacja, żeby odsuwać przeciwnika jak najdalej od centrum, na radykalne pozycje „totalnej opozycji”. A przy okazji postępuje proces jego dehumanizacji („zdradzieckie mordy”, „kanalie”, „zdrajcy”, „lumpy”), co dodatkowo uzasadnia fantazję o zniknięciu „onych”. Tylko że to już nie jest polityka, która zasadniczo powinna przeciw-

polegać na negocjowaniu i uzgadnianiu rozwiązań.

Owszem, po drugiej stronie też jest od dawna problem z akceptacją perspektywy prawicowej, jej hierarchii wartości, kluczowych pojęć. Ale liberałowie nie fantazjują przeciw elimitacji drugiej strony. Co najwyżej ulegają zapewne złudnej nadziei, że kiedyś będą w stanie ową konserwę jakoś ucywilizować, zmodernizować. Niemal w tym pewnie pogardy, ale mimo wszystko chodzi o rozwiązanie polityczne, a nie – będącą zaprzeczeniem polityki – przemoc. Jak zatem wskrzesić demokratyczny standard, skoro nowe otwarcie w pierwszej kolejności wzmacniać będzie tych, którzy te standardy dopiero co deptali? Którzy, co już wiemy, nie mają najmniejszej potrzeby autorefleksji. Można wręcz mówić o kwadraturze koła: im szerszy pakiet swobód demokratycznych zostanie teraz wdroniony, tym więcej możliwości uzyska prawica Kaczyńskiego do tego, żeby demokratyczny porządek podważać i delegitymizować.

Nastąpiło przy tym odwrócenie znaczeń. Bo to nie ład konstytucyjny III RP jest teraz w propagandzie PiS punktem odniesienia, lecz jego karykatura z ostatnich lat, zdeformowana licznymi atakami na demokratyczne instytucje. Ów w sumie przypadkowy produkt wcielonej w życie autorytarnej pokusy zaczął funkcjonować jako utrwalony ustawami demokratyczny wzorzec, którego niezbędna korekta staje się zamachem na demokrację. Elementarnej niezgodzie w sferze proceduralnej towarzyszy zarazem gromko manifestowane odrzucenie nowej większości jako rzekomo niegodnej demokratycznego mandatu, gdyż niemoralnej i realizującej zewnętrzne cele („niemieckie chamstwo Tuska” itd.). Na żadnym z poziomów normalna demokratyczna współpraca nie wydaje się zatem możliwa, gdyż nie istnieje minimum wspólnych celów.

Dylemat „ile wolności dla wrogów wolności” nie jest oczywiście nowy, w filozofii politycznej został na wskroś opisany. Tyle że klasyczne teksty zazwyczaj odnosiły się do traumy posttotalitarnej, a dziś znajdujemy się w zupełnie innym miejscu. Współczesne społeczeństwa deklaratorywnie nie kwestionują demokracji, przeciwnie – zazwyczaj domagają się realnego wpływu na decyzje elit. Z tego w znacznej mierze brało się zresztą poparcie dla PiS po 2015 r., które nieustannie zasłaniało się wołą suwerena. Prosta demokratyczna pedagogika obecnej większości pewnie więc nie będzie skuteczna, skoro rozjechało

się i upartyjniło ogólne rozumienie demokracji, świadomość jej systemowych mechanizmów. Każda ze stron ma swój własny model, co zamyka drogę do kompromisu w kwestii procedur.

Prawicowy populizm ubrał się zatem w demokratyczny ornat i autorytarnym ogonem na mszę dzwoni. Wskazanie mu czytelnych granic w odbudowywanym systemie to oczywiście kwestia najbardziej teraz paląca, chociaż politycznie trudna, i chwała Hołowni za podjęcie pierwszej próby. Tyle że sukces w tej dziedzinie niestety nie gwarantuje ostatecznej legitymizacji odnowionego demokratycznego ładu, przynajmniej dopóki będzie on kontestowany przez największe ugrupowanie na scenie. W sytuacji kolejnej zmiany władzy wszystkie podjęte w najbliższym czasie decyzje będzie przecież można raz jeszcze poodkręcać. Toteż niezależnie od korekty ustrojowej dobrze byłoby już teraz zająć się modyfikacją czegoś bardziej ulotnego, a mianowicie kultury politycznej, rozumianej jako zestaw mniej sformalizowanych zasad postępowania w polityce, budowania w jej obrębie relacji, typów mobilizowania poparcia. Tak żeby obniżyć ogólny poziom konfliktu i wytłumić przynajmniej część przemocowych fantazji, po obu zresztą stronach.

Dawniej polska polityka była na swój sposób elegancka, trzymały ją w ryzach powszechnie obowiązujące konwenanse, pewnych rzeczy nie wypadało mówić. Sprzyjało to jej konsensualnemu charakterowi, chociaż kosztem braku zaangażowania części obywateli, którzy nie umieli w takiej polityce odnaleźć linków z własnym losem, a też co jakiś czas okazywało się, że za wypchnioną fasadą kryje się koteryjna gra interesów. Proste powroty do tamtego modelu już nie będzie, w epoce mediów społecznościowych to niemożliwe. Ale niektóre jego elementy warto starać się przywracać, choćby większą dbałość o słowo, unikanie emocjonalnej emfazy, precyzję w objaśnianiu politycznych decyzji oraz – szerzej – tłumaczeniu sensu polityki. Tak żeby mogła ona zaistnieć poza zwyrodniałą formą permanentnego okładania się po szczękach, wzajemnego podkładania nóg, wyzywania od najgorszych, gromadzenia zasobów wyłącznie w celu unieszkodliwienia przeciwnika. Na gruncie samych tylko przekonani i wartości nie jesteśmy bowiem w stanie odnowić demokratycznej wspólnoty ponad podziałem. Trzeba więc poszukać sposobu, jak to wreszcie obejść.

RAFAŁ KALUKIN



Michał Janczura

PODZIEMIE

Tuż obok nas jest medyczny świat równoległy, w którym wykrywanie i diagnozowanie pewnych chorób jest równie proste i bezproblemowe, jak ich leczenie - niezależnie od tego, czy ktoś faktycznie jest na nie chory. Gdzie strach wobec poważnych schorzeń wykorzystuje się do prowadzenia świetnie zorganizowanego biznesu, za nic mając zdrowie i faktyczny stan pacjentów. Warunkiem, by do niego wejść, są pieniądze.

"Podziemie" to serial, który opisuje toczący się przy świetle dziennym proceder stosowania niepotwierdzonych naukowo procedur do leczenia boreliozy - rzeczywistej i urojonej. To portret świata, w którym medycyna jest pretekstem do zarabiania. Michał Janczura zszedł do medycznego podziemia, gdzie pacjentów faszeruje się lekami i suplementami diety, zarabiając na ich pragnieniu dojścia do zdrowia.

Posłuchaj na tokfm.pl/podziemie lub w aplikacji mobilnej TOK FM



Godni z Jagodna

Od 15 października najstłynniejsze osiedle w Polsce. To tu ludzie w kolejce do głosowania w wyborach parlamentarnych stali do trzeciej rano, dyskutując, częstując się herbatą i kawą przyniesioną z pobliskich bloków. Rada osiedla już zdecydowała, że 15 października Jagodno będzie obchodziło swoje święto.

KATARZYNA KACZOROWSKA

Na Jagodno z centrum Wrocławia dojeżdżają cztery autobusy. Po południu wszystkie są pełne ludzi, którzy czekając w korku na swój przystanek, czytają książki, śledzą Facebook w telefonie, a ci z siatkami pełnymi zakupów pilnują, gdzie zwolni się miejsce, by przysiąść na chwilę i odetchnąć. O słynnym na całą Polskę tramwaju, który obiecał im jeszcze prezydent Rafał Dutkiewicz, kiedy miasto szykowało się do Euro 2012, nie rozmawiają. Bo prezydent Jacek Sutryk też zapewniał, że tramwaj będzie. A teraz kolejną obietnicę usłyszeli ci, co przyszli na spotkanie z Donaldem Tuskiem, premierem in spe, które odbyło się w podstawówce na Wojszycach.

Tu się oddycha

Na dworze jest już ciemno, choć nie ma jeszcze 17. Od przystanku idzie mama z dwójką małych dzieci, jakiś chłopak pędzi, rozmawiając przez telefon, a za nimi idą dwie dziewczyny.

Precyzyjnie: Ola pcha wózek, na którym siedzi niepełnosprawna Gaja. Bez wahania zgadzają się na rozmowę. Do Wrocławia przyjechały z Łodzi, na Jagodnie mieszkają od kilku miesięcy. – *Tu się oddycha i jest bezpiecznie* – uśmiecha się Gaja, która urodziła się bez rąk. Z Olą poznały się na anglistyce, razem studiowały, a są ze sobą od dwóch lat. W Łodzi tłumaczyły napisy do filmów, Ola była nauczycielką, ale ostatecznie wybrały Wrocław, bo u siebie, w Łodzi, mogły pracować albo w informatyce, albo w call center. A tu pracę dostały w amerykańskiej korporacji i mogą pracować zdalnie (Ola jest księgową).

– *Dokładniej to Ola może jako opiekunka osoby niepełnosprawnej, czyli mnie. Ja zgodnie z polskimi przepisami pracować zdalnie nie mogę i przyznam, że nie mogę zrozumieć tego absurdu. Ale mamy megaszefową, która wywalczyła w naszej amerykańskiej dyrekcji to, że obie pracujemy z domu.* Gaja z Olą na pytanie o słynną kolejkę do lokalu wyborczego na Jagodnie odpowiadają zgodnie: – *Nie stałyśmy, poszłyśmy rano koło 10 i żadnej kolejki nie było.*

Nie głosowały na PiS, ale nie powiedzą, na kogo. Gaja puszcza oko i mówi, że choć jej babcia jest całkowicie od Rydyzka, to kiedy przeprowadzały się do Wrocławia, na nowe mieszkanie kupiła im w prezencie ręczniki. Że tego 15 października przyjechał do nich tato, też już po głosowaniu, prosto spod Łodzi. I że rodzina akceptuje to, że są razem.

Dobrzy sąsiedzi

Karolina Machowska mieszka od ośmiu lat na skraju Jagodna. Marta Błachut mieszkanie kupiła na rynku wtórnym kilka lat temu. Na pierwszym osiedlu, które powstało na Jagodnie. Cztery Pory Roku budowano w latach 2003–22. Ta najstarsza część, jak dzisiaj żartują jej mieszkańcy, wyrosła pośrodku niczego. Czyli w polu. I była pierwszym modelowym osiedlem we Wrocławiu, zbudowanym po 1989 r. w zgodzie z zasadami planowania uwzględniającymi kontekst społeczny, a więc z placem zabaw, wspólną przestrzenią pozwalającą na integrację mieszkańców, boiskiem. Na tym samym osiedlu pierwsze mieszkanie – kawalerkę – kupił też Błażej Przygodzki, wrocławianin, scenarzysta, dziennikarz i pisarz. – *W 2005 r. taksówkarze nie wiedzieli, że jest takie osiedle. Dostyc drogie jak na tamte czasy, strzeżone, z kamerami, ochroną. Mieszkania kupowali tu sami młodzi ludzie i to były takie luksusowe „akademiki”. Na forum osiedlowym ludzie ogłaszali: „Wpadajcie do mnie, jest impreza”, i w ciągu jednej nocy można było trafić na pięć, sześć takich imprez do zupełnie obcych ludzi. Rodziły się przyjaźnie, miłości, małżeństwa. I te przyjaźnie trwają do dzisiaj* – mówi Przygodzki, który bohatera jednego ze swoich kryminałów „wprowadził” na Jagodno.

Przygodzki, choć już nie mieszka w kawalerce na osiedlu Cztery Pory Roku, na Jagodnie pozostał i wprost mówi o wyjątkowym klimacie tego miejsca, które dla Marty Błachut wyraża się określeniem multi-kulti. – *Mieszkają tu wrocławianie, wielu ludzi z różnych części Polski, wielu Ukraińców, którzy osiedlili się jeszcze przed wybuchem wojny. Ta kolejka, która stała do trzeciej w nocy, to była też moja kolejka. Stałam w niej dwie i pół godziny. Nie znaliśmy się, a jednak wszyscy ze sobą rozmawialiśmy. I nawet jak ktoś miał inne zdanie, to nikt nikogo nie atakował. Był dialog, którego tak nam brakowało przez osiem ostatnich lat.*

Karolina Machowska: – *Teraz na FB jest grupa Moje Jagodno, ale pierwsze były Kobiety z Jagodna i okolice, gdzie do dzisiaj organizowana jest wszelka pomoc. Pożyczamy sobie ubrania na dzień dyndy dla dzieci, robimy zbiórki dla potrzebujących, oferujemy swoje wypieki, rękodzieła, dzielimy się uwagami i pomysłami, informujemy o korkach. Jak nie było Lidla, a najbliższy sklep to była Żabka trzy przystanki autobusem, śmiałam się, że gdybym miała zrobić obiad, a miała pustą lodówkę, to sąsiedzi wszystko by mi pożyczili.*

Dla Karoliny Machowskiej życie na Jagodnie to pomaganie sobie przy odbieraniu dzieci z przedszkoli, zakupach, odbieraniu paczek, podrzucanie do lekarza czy miasta, jak auto padnie. – *Świętujemy razem urodziny, pijemy kawę w sobotnie popołudnie. Dzieci chowają się razem. Czasem podwórko wygląda, jakbyśmy się cofnęli w czasie do komuny, kiedy życie toczyło się przed blokiem czy kamienicą. Potrafiliśmy na dworzec razem robić frytki, gofry, pizzę... Nie mamy tramwaju, poczty, długo nie mieliśmy nawet sklepu, ale mamy dobrych sąsiadów.*

Na remont ulicy czekała sześć lat, na Lidla siedem. W 2014 r. Anna dostała też mapkę, na której znajdowała się zajezdnia tramwajowa. Klucze odebrała w 2016 r. Do porannej kawy przy kuchennym stole oglądała sarenki biegające po łące, traktory jeżdżące po polach. I tak przez całe pół roku. Bo po tym czasie zamiast traktorów na polach pojawiły się koparki, dźwigi

i betoniarki, a zamiast saren i zajęcy po łąkach zaczęli biegać budowlanicy. Jagodno zaczęło rosnąć w oczach.

Małgorzata Konieczna na Jagodnie mieszka od 2006 r., radną osiedlową została trzy lata później. Nie kryje, że jest już zmęczona problemami typowymi dla sypialni dużego miasta. Ludzie wyprowadzają się tam, gdzie ma być zielono, spokojnie, bez tłoku, za to z ptaszkami o poranku. A potem zderzają się z codziennością. Przybywa bloków, mieszkańców, samochodów. Nie przybywa dróg, placówek edukacyjnych, punktów usługowych. I wszyscy narzekają na korki.

– *Teraz już nie jest tak źle jak kilka lat temu. Mamy sklepy, jest żłobek, biblioteka. Ale do niedawna po wszystko trzeba było jechać do miasta. 12 lat walczyliśmy o tramwaj, który najpierw zablokowała nam kolej, a potem brak pieniędzy w kasie miasta* – opowiada Konieczna. I dodaje, że łatwo jest mówić o przesiadaniu się na ekologiczne formy transportu, czyli rowery – Jagodno połączono z miastem ścieżką rowerową. Jak na rowerze dowieźć dzieci do żłobka, przedszkola, szkoły, jak zrobić duże zakupy?

– *To osiedle młodych ludzi i dzieci. Bardzo dużo mieszkań jest wynajmowanych. Widzimy wszystkie wady patodeveloperki, a więc choćby to, że osiedla obok siebie, zarządzane przez różnych zarządców, mają chodniki, ale tylko do swoich granic. I pomiędzy osiedlami mamy po kilka, kilkanaście metrów błota, piachu, szutru, którymi maszerują rodzice z dziećmi w wózkach* – opowiada Konieczna. Dzisiaj na Jagodnie mieszka ponad 20 tys. ludzi, ale do 15 października rada osiedla nie mogła przebić się do miasta z informacją, że liczba zameldowanych jest znacznie niższa od tych, którzy faktycznie tu żyją. I całą infrastrukturę trzeba obliczać z myślą o tych drugich, czyli tak naprawdę o wszystkich.

– *To najdobitniej pokazała ta słynna kolejka, bo zapotrzebowanie na karty wyborcze policzono według meldunków* – podkreśla Konieczna, która w tej kolejce dostrzegła jednak wielki plus dla osiedla. – *Zaczęło się wymienianie telefonów, ktoś pobiegł popilnować dzieci, ktoś inny przyniósł herbatę i kawę. A do nas dotarło, że na naszych oczach dzieje się coś nowego. Bo do tej pory mieliśmy problemy z integracją mieszkańców.*

Konieczna uważa, że teraz jest szansa, by 15 października zrobić dniem integracji mieszkańców i ogłosić Świętem Jagodna. Pierwsze byłoby za rok. – *Już staramy się o fundusze, zbieramy artykuły, memy, filmiki. Będziemy mieli krasnalną, a krasnalne to jeden z symboli Wrocławia. Trzeba kuć żelazo póki gorące, bo za rok już nikt o nas nie będzie pamiętał, choć liczymy, że duch, jaki opanował Jagodno 15 października, będzie też obecny w czasie wyborów samorządowych i ludzie też będą tak licznie głosować. Bo przecież będą walczyć o to, co jest im na tym osiedlu potrzebne do codziennego życia.*

Całkiem spore miasteczko

Dr Tomasz Ordyniec na Jagodnie mieszka od 10 lat. We wrześniu otworzył przychodnię i walczy o to, by w budynku otworzyć aptekę, bo na osiedlu jest tylko jedna, a Wojewódzki Inspektorat Farmaceutyczny nie wyraża zgody na drugą. – *Mamy pozytywną opinię prezydenta miasta, ale jak na razie nie jesteśmy się w stanie przebić, choć nie rozumiem, dlaczego starsi ludzie, bo tacy na osiedlu też mieszkają, po leki mają jeździć do centrum* – mówi dr Ordyniec. I jak wszyscy z Jagodna narzeka na korki (rano do miasta, po południu z miasta) i brak parku, za to chwali proboszcza parafii pw. Miłosierdzia Bożego, którego ma za płotem. Ksiądz Ryszarda Peszkę chwali też Małgorzata Konieczna: – *Kiedy poprosiliśmy o zebranie podpisów pod petycją w sprawie tramwaju, to w jedną niedzielę po wszystkich mszach dał nam 500! A jak nie mieliśmy gdzie zrobić festynu, to oddał nam cały plac wokół kościoła, z dostępem do prądu, toalet.* ►

► Ks. Peszko ze śmiechem: – *Jak zobaczyłem raz grupkę ludzi przed kościołem, byłem pewien, że przyszli protestować... Jak mamy sobie nie pomagać, jak wszyscy tu jesteśmy dla siebie?* Proboszcz o osiedlu mówi krótko: młode, z ciągle nowymi twarzami, brakami w infrastrukturze, typowa sypialnia, gdzie najpierw stawia się bloki, a potem myśli, bo do tych bloków wprowadzają się ludzie, którym rodzą się dzieci, więc potrzebne są sklepy, żłobki, przedszkola, szkoły. A tu 25 lat temu było trochę domków poniemieckich, trochę z PRL, trochę rolników, co to krowy mieli i pola kukurydzy. – *I przez te ćwierć wieku zmieniło się wszystko, właściwie to całkiem spore miasteczko wyrosło, tylko że to pięknie wyglądało na pewno na wizualizacjach, a już inaczej w dzień, jak się zaczęło mieszkać* – mówi ks. Peszko.

Paweł Szymczyk: – *Jagodno rozbudowywało się stopniowo. Trochę wszystko wyhamowało w czasie pandemii, ale potem ruszyło z kopyta.* [Dziś za metr kw. mieszkania na rynku pierwotnym – stan deweloperski – trzeba zapłacić od 8,5 tys. zł wwyż. Na rynku wtórnym cena sięga ponad 13 tys. zł za metr. W ciągu roku ceny wzrosły o blisko 15 proc.] *Najlepiej przyrost mieszkańców pokazuje Wrocławski Budżet Obywatelski. Do 2021 r. nie mieliśmy siły przebicia. A po 2021 r. wygraliśmy cztery projekty. Dzięki głosowaniom mieszkańców.* Szymczyk, który na Jagodnie mieszka od siedmiu lat, mówi, że osiedle cały czas się zmienia. Kiedy wybudowano pierwsze bloki, pierwsza restauracja, w której miały się spotykać na kawie młode mamy, splajtowała. Dzisiaj są dwie śniadaniownie, gdzie czasem nie da się nawet szpilki wcisnąć. Jest beach bar, który od innych we Wrocławiu różni to, że ma wielką piaskownicę z mnóstwem zabawek dla dzieci. I są świadomi mieszkańcy. – *Zielony klin południa Wrocławia to obok tramwaju drugi priorytet. Miasto wydało mnóstwo pieniędzy na projekt parku.*



© JAROSŁAW JAKUBCZAK/POLSKA PRESS/EAST NEWS

Kolejka do lokalu wyborczego na Jagodnie.

O klin walczy Piotr Falkowski, który skutecznie doprowadził już do powstania innego terenu zielonego. Teren, w którym miałby powstać klin, należy do Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa. I KOWR odmówił oddania go miastu, argumentując, że sprzeda go deweloperom – opowiada Szymczyk. I dodaje, że jak na razie zapadła decyzja, że działka KOWR trafi do Lasów Państwowych, które stworzą tam las miejski.

Spojrzenie polityczne

Grzegorz Schetyna, jeden z prominentnych polityków PO, mieszka na osiedlu sąsiadującym z Jagodnem. To na jego Wojszycach Donald Tusk spotkał się w szkole z mieszkańcami tydzień po wyborach. – *Na Jagodnie buduje się dużo. I sprzedaje szybko. Liczy się zarobek* – mówi Schetyna, dla którego kolejka do trzeciej w nocy jest raczej symbolem problemów organizacyjnych. Z jakichś powodów wybrano niewielki lokal na komisję wyborczą, bo zasadnicza przewodnicząca tej komisji zgłosiła konieczność

dowiezienia nowych kart do głosowania dopiero wtedy, gdy skończyły się te dostarczone przed otwarciem lokalu. A transport z kartami utknął w korku. Typowym dla Jagodna przecież.

– *Oczywiście taka determinacja ludzi świetnie wygląda na zdjęciach, w telewizji, ale za tymi obrazkami powinny iść pytania o organizację pracy Miejskiego Biura Wyborczego. Jagodno i ponad 20 tys. jego mieszkańców, niezależnie od tego, że ten 15 października może być symboliczną datą początku ich integracji, to też realne problemy do rozwiązania na poziomie samorządowym* – mówi Schetyna.

Jacek Sutryk, prezydent Wrocławia: – *Jagodno pokazuje problemy, jakie na poziomie lokalnym sprawiała polityka PiS oparta na centralizmie i klientyzmie. Rząd środki kierował po uważaniu, a nie według potrzeb – wzmacniał pisowskie samorządy, sekował ścianę zachodnią i południe, blokując inwestycje, pieniądze, a nawet po złości dobre dla zwykłych obywateli rozwiązania.* I daje przykłady. Miasto buduje buspas jako etap przejściowy dla tramwaju, bo przez cztery lata mimo kilkudziesięciu pism wysłanych do ministerstwa i kolei, by wskazali sposób skrzyżowania linii kolejowej z tramwajem, nie dostało pozytywnej odpowiedzi. – *Brak parku to efekt politycznego blokowania oddania 50-hektarowego terenu rolniczego przez KOWR miastu. Od 2020 r. mamy gotowy plan. I co? I nic! Bo lokalni politycy PiS chcieli się ogrzać przy tym temacie, blokując przekazanie, a w końcu proponując, by to przejęła inna państwowa instytucja – Lasy Państwowe. To jakiś krok do przodu, ale i tak nadal teren nie może zostać zamieniony w park* – mówi Sutryk. I dodaje, że nowo zbudowana na osiedlu szkoła dla 1,2 tys. uczniów ma wakaty nauczycielskie (– *To efekt zapaści w finansowaniu edukacji, którą spowodował minister Czarnek* – podkreśla). Kolejny przykład to droga – Jagodno jest na granicy miasta i na tej granicy droga czteropasmowa zamienia się w dwupasmową. – *Co wynika z braku ustawy aglomeracyjnej, której od PiS domagamy się od ośmiu lat.*

Sutryk, który zapowiedział start w wyborach na prezydenta Wrocławia w 2024 r., podkreśla, że nie znosi polityki opartej na wiedzim się czy przekonaniu o nieomyślności decydenta. Zanim podejmie decyzje, pyta ekspertów, naukowców. – *Osiedle objęliśmy jako jedno z czterech programem „Osiedle kompletne”. Naukowcy z planistami, robiąc kwerendę wśród mieszkańców, opracowali plan rozwoju dla tej przestrzeni – to ok. 40-stronicowe, dostępne w sieci opracowanie. Na jego podstawie najpierw zbudowaliśmy tam nowy żłobek z centrum aktywności lokalnej i biblioteką. Bo to młode osiedle z małymi dziećmi. Teraz te dzieci od tego roku mogą chodzić do nowego zespołu szkolno-przedszkolnego.* Jacek Sutryk wycicza: w 2020 r. za 101 mln zł przebudowano drogę wjazdową do osiedla, zamieniając podmiejską szosę w miejską aleję z drogą rowerową, w 2023 r. uruchomiono buspas na sąsiednie Wojszyce, na osiedlu są już cztery przychodnie, dwa supermarkety sieciowe, kilkanaście restauracji, kilkadziesiąt punktów usługowo-gastronomicznych, szkoła z przedszkolem, pięć prywatnych przedszkoli i trzy żłobki, miejskie i prywatne.

Po wyborach do rady Osiedla Jagodno jeden z mieszkańców, Wojtek Garczarek, przysłał wiersz „J A G O D N O – Ja godny, Ty godna, Wy godni, On godzien”: „Ja godny,/ poczułem zaszczyt dokonania właściwego wyboru/ i wcale nie na niby – tak dla picu, aby dla pozorów,/ w obronie: godności, wartości, wolności i prawa do racji/ wszystkiego tego, co dla mnie jest istotą demokracji (...).” Zamieszczono go na profilu rady na Facebooku 11 listopada. I równie szybko zdjęto, bo w komentarzach pojawiły się opinie, że wiersz ma polityczny charakter.

KATARZYNA KACZOROWSKA



Dramatyczna zmiana

© MONIKA STOLARSKA

W warszawskim Teatrze Dramatycznym dyrektorka **Monika Strzępka** dokonuje restrukturyzacji i transformacji artystycznej albo rewolucji i czystki – zależy kogo posłuchać.

ANETA KYZIOŁ

W »waginiecie« na stole skręty, rozsypany tytoń, niedopite kawy, oblane herbatą papiery. Ogarnęłam papiery ze stołu, położyłam na czystym miejscu, podpisałam je, pokwitowałam odbiór i wyszłam. Dla mnie Monika Strzępka pojechała o jeden obóz z gongami za dużo” – relacjonuje w Onecie aktorka Karolina Charkiewicz scenę swojego zwolnienia, nawiązując do ezoterycznych ciągów nowej dyrektorki Teatru Dramatycznego. Inny młody aktor, Michał Klawiter, podczas zwalniania miał usłyszeć, że „nie posiada emanacji, które są potrzebne do uprawiania tego zawodu”, że z dyrektorką „czerpią z innych źródeł” i „bycie w teatrze, w którym nie będzie grał, będzie złe dla niego energetycznie”.

Zwalniani pracownicy mówią o chaosie w teatrze, niekończących się debatach kolektynu artystycznego, o oszczędnościach, w tym na zatrudnianiu ratownika medycznego, o ciężkiej atmosferze i kilku aktorach, którym zwolnienie wręczono sześć godzin przed spektaklem, w którym grali. Oraz o rozczarowaniu, bo nie tego się spodziewali, słuchając przed rokiem przemówień świeżej dyrektorki, w których deklarowała otwartość, inkluzywność, kolektywność i wzajemny szacunek.

Dzisiaj tłumaczy w Onecie: „Rozmowa o zwolnieniu zawsze jest trudnym doświadczeniem dla każdej ze stron. Mnie te rozmowy również bardzo wiele kosztowały, ale starałam się je prowadzić w możliwie szczery i bezpośredni sposób, a zarazem w sposób merytoryczny. To znaczy, starałam się poszukać języka do opisu tego modelu aktorstwa, jakiego w teatrze potrzebuję, nad jakim chciałybym pracować, rozwijając zespół. Bardzo mi zależało na tym, żeby to były rozmowy faktycznie artystyczne”.

Po poprzednim dyrektorze odziedziczyła instytucję zatrudniającą 150 osób, w tym 44 w zespole aktorskim. Tymczasem tuż przed pandemią Dramatyczny stracił jedną ze scen – dawny Teatr Na Woli – na rzecz Teatru Żydowskiego, więc skurczyła się przestrzeń do pracy. Nie pomogło też odkrycie dziury budżetowej, zasypywanej z pieniędzy ze sprzedaży działki przy Teatrze Na Woli, które skończyły się wraz z końcem poprzedniej dykcji. Ani zrealizowany na finał dziesięcioletnich rządów Tadeusza Słobdzianka „Amadeusz”, spektakl z 60-osobową obsadą, w tym wynajmowaną orkiestrą i solistami, oraz raptem kilkorgiem etatowych pracowników teatru na scenie. W roli tytułowej gościnnie ►

► wystąpił Marcin Hycnar, bo reżyserka najwyraźniej nie znalazła godnego wykonawcy w zespole. Mimo wyprzedanej sali do każdego pokazu trzeba było dokładać ponad 20 tys. zł. Zdjęcie lubianego tytułu wywołało protesty aktorów i fanów.

Jednak to nie liczby najbardziej zszokowały czytelników wywiadu z dyrektorką Strzępką w Onecie, tylko wypowiedziane przez nią zdanie: „Trudno się pracuje z ludźmi, którzy wyznają zupełnie inny system wartości. Dla mnie to w zasadzie niemożliwe”. Precyzowała później, że bardziej chodzi o aktorstwo – performatywne i krytyczne – niż o poglądy, pokazujące to na przykładzie obsady spektaklu, nad którym właśnie pracuje, „Heksy” według książki Agnieszki Szpili, gdzie na 12 aktorów i aktorek ośmekało przedstawiście „starego” zespołu, czwórka zaś to nowo przyjęci przez dyrektorkę.

Wątpliwości jednak zostały zasiane. Czy w publicznej instytucji można zwalniać ludzi ze względu na odmienny światopogląd? Co z rozmową? Z negocjowaniem i z kompromisem? I co z lewicową wrażliwością i uważnością na innych? Wreszcie, czy jednorodny zespół będzie w stanie tworzyć spektakle różnorodne i nieoczywiste, nie tylko dla prawomyślnych i przekonanych?

Wilgotna Pani

W internecie zawrzało. Jedni komentatorzy odkrywali hipokryzję feministki i lewaczki, która ma gębę pełną równościowych frazesów i spektakle o wykluczonych na koncie, ale gdy dostała władzę, okazała się twardą neoliberalką i zamordystką. Inni – przeciwnie – pisali o nawrocie komunizmu i wieszczyci rewolucję, która, jak zawsze, tak i teraz, pożre własne dzieci. Jeszcze kolejni tłumaczyli, że lewicowość to nie tylko dbałość o konkretnego człowieka, ale też o instytucję finansowaną z publicznych środków, niemarnowanie pieniędzy podatników. Prawica zaś rytualnie wzywała do rozliczenia „za Strzępkę” rządzącej Warszawą Platformy Obywatelskiej, z prezydentem Rafałem Trzaskowskim i jego zastępczynią do spraw kultury Aldoną Machnowską-Górą, przez media wymienianą jeszcze niedawno jako kandydatka na ministrę kultury.

Zwalniani udali się po pomoc do senatorki KO Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, która w tej sprawie interweniowała, ale – jak zauważyła – sytuacja jest patowa. Do Biura Kultury wpłynął w sprawie Dramatycznego jeden list, od zwolnionej aktorki. To i medialne doniesienia skłoniły ratusz do wezwania i wysłuchania

wszystkich stron. Rozmowy trwają, ale Machnowska-Góra schładza nastroje: „To nie pierwsza sytuacja, gdy w związku z konfliktową atmosferą angażujemy się w sprawy stołecznego teatru. Nie poddajemy się emocjom, wysłuchujemy każdej ze stron, uważnie podejmujemy działania, kiedy należy wkroczyć z zewnętrznym mediatorem lub podjąć inne decyzje” – tłumaczyła w Onecie.

A kontrowersje towarzyszą dyrektorki Strzępki w Dramatycznym od początku. Przed konkursem rzuciła w mediach sarkastyczny komentarz do opinii, jakoby się nie nadawała na dyrektorkę, mimo 15-letniego stażu reżyserskiego: „Nie mam już siły słuchać, że jeśli jestem artystką, to jestem pierdolnięta i rozpieprzę kasę”.

Konkurs wygrała „bezwzględna większość” głosów komisji, ale na inaugurację dyrektorki urządziła happening – procesję z wprowadzeniem rzeźby Wilgotnej Pani (autorstwa Iwony Demko) do teatru. Złota wagina, stylizowana na żeńskie bóstwa, od tych pradawnych po Matkę Boską, była hołdem dla kobiecej mocy i symboliczną przeciwwagą dla okolicznych fallicznych wieżowców i Pałacu Kultury, w którym mieści się Dramatyczny, oraz dyrektorki Tadeusza Słobodzianka.

Rzeźba i sam rytuał wywołały sporo szumu. Mimo że teatr wywodzi się z kultury i procesje z bóstwami były częścią pokazywanych widowisk, złota wagina oraz płasząca wokół niej w białej sukni dyrektorka stołecznego teatru, mówiąca do mikrofonu: „Jestem córką Ireny, jestem wnuczką Heleny. Jestem matką. Jestem reżyserką i po raz pierwszy będę dyrektorką. Po raz pierwszy w życiu miałam etat” – to dla wielu było zbyt wiele. Ordo Iuris uznało z automatu happening Strzępki za obrazę uczuć religijnych, środowiska konserwatywne – za atak zdziczałej feministycznej bojówki, bachantek niemal, a postępowe – za przejaw sekciarstwa. Jak płachta na byka zadziałała też zmiana nazwy dyrektorskiego gabinetu na wagi-net, choć parę osób doceniło grę słowną i poczucie humoru.

Dyrektorka odwieszona

Inaczej niż w przypadku komisji konkursowej, której siedmioro z dziewięciorga członków miało poprzeć program Strzępki, część środowiska oraz współpracownicy i fani Dramatycznego z czasów zachowawczej dyrektorki Słobodzianka nie okazali się entuzjastami proponowanej przez nową dyrektorkę wizji teatru progresywnego i krytycznego. Szybko pojawiły się w mediach listy i komentarze

podważające werdykt komisji, z argumentem, że organizator, czyli miasto Warszawa, w warunkach konkursu zapisał kontynuację „tradycji Dramatycznego”, tymczasem zwycięska koncepcja proponuje rzekomo coś przeciwnego.

I znów ruszyła medialna batalia, tym razem o interpretację artystycznej drogi Dramatycznego. Zależnie od poglądów jedeni grzmieli, że Dramatyczny jest klasyczny, przywołując legendarną dyrektorkę Gustawa Holoubka (1972–83) i rzekomo będącą jej kontynuacją, głównie w deklaracjach, dyrektorkę Słobodzianka (2012–22), inni zaś, odnosząc się do otwartych na eksperymenty rządów Piotra Cieślaka (1993–2007) i Pawła Miśkiewicza (2008–12), wskazywali, że Dramatyczny ma tradycje różnorodne, więc jest z czego wybierać i do czego się odnosić.

Głosy niezadowolonych wykorzystał pisowski wojewoda mazowiecki Konstanty Radziwiłł, wszczynając wobec Moniki Strzępki procedurę zawieszenia z paragrafu rzekomej niezgodności koncepcji programowej z wymogami organizatora, zapisanymi w rozporządzeniu o organizacji konkursu. Ponadto waginę wojewoda ocenił jako obrażającą kobiety, nie spodobała mu się też zawarta w programie Strzępki otwartość na mniejszości i progresywne wartości.

„Całe uzasadnienie jest kuriozalne. Bez zaskoczenia: kobiety, mniejszości, społeczności LGBT, interpretacja dzieł klasycznych itd. Nie zgadzamy się z rozstrzygnięciem nadzorczym i będziemy je zaskarżać. Ciągłość działania instytucji będzie zachowana. Zapraszamy na premierę »Mój rok relaksu i odpoczynku« w reżyserii Katarzyny Minkowskiej 8 grudnia o godz. 19” – ogłosiła w odpowiedzi Aldona Machnowska-Góra.

Efektom była półroczna batalia sądowa, w czasie której Monika Strzępka nie mogła wykonywać dyrektorskich obowiązków, zakończona oddaleniem przez Wojewódzki Sąd Administracyjny zarzutów wojewody i odwieszeniem dyrektorki. Która nie omieszkała w międzyczasie zrobić sobie zdjęcia, jak wisi na linach nad widowiskiem Dramatycznego.

Teatr zaś w pierwszym sezonie nowej dyrektorki zdążył przygotować pięć premier, z których najbardziej udany i chętnie oglądany jest wspomniany „Mój rok relaksu...” według powieści Ottessy Moshfegh, w reż. Katarzyny Minkowskiej. Dalej są odnoszący się z empatią do męskości „Chłopaki płaczą” w reż. Michała Buszewicza, familijny „Piotruś Pan” w reż. Anny Ilczuk, „Podwójny z frytkami” o polskim



Happening na inaugurację dyrektorki Moniki Strzępki – procesja z wprowadzeniem rzeźby Wilgotnej Pani do teatru, 31 sierpnia 2022 r. Rzeźba i sam rytuał wywołały sporo szumu.

kapitalizmie, w reż. Piotra Pacześniaka, oraz nieudany eksperyment „Arka i Ego”, dokończony przez dyrektorkę.

Czy jest teatr

Gdy spojrzeć na konflikt w i wokół Teatru Dramatycznego z szerszej perspektywy, to z jednej strony jest trafną i oczywistą ilustracją sporów i podziałów w – nie tylko – polskim społeczeństwie. Z drugiej zaś częścią – pewnie nierozwiązywalnego – sporu o to, kto jest właścicielem teatru. Czy zespół (i która jego część, bo w Dramatycznym jest de facto kilka zespołów i kilka związków zawodowych)? Czy dyrektor/ka, który/a w końcu bierze za tę imprezę prawną odpowiedzialność? Czy może publiczność, reprezentowana, przynajmniej w teorii, przez organizatora, czyli w tym wypadku władze samorządowe? Jak pogodzić nierzadko sprzeczne interesy?

Niedawno w konflikcie w TR Warszawa, gdzie pracownicy solidarnie zbuntowali się przeciw dyrekcji, zwyciężyli ci pierwsi, nową dyrektorką została ich przedstawicielka Anna Rochowska i teraz wszyscy obserwujemy, jak w praktyce będą wyglądały jej rządy. Z kolei władze pisowskie w podległych sobie wojewódzkich teatrach za nic mają protesty zespołów i narzucają teatrom dyrektorów. Tak jest np. w lubelskim Osterwie, gdzie rządzi Redbad Klijnstra, czy w łódzkim Jaraczu, któremu szefuje Michał Chorośniński, mąż posłanki

PiS Dominiki Chorośnińskiej i współtwórcy Teatru Klasyki Polskiej, wywindowanego niedawno przez ministra Glińskiego do pozycji sceny narodowej, z budżetem 10 mln zł rocznie. Podobny ruch nie udał się marszałkowi województwa małopolskiego w Teatrze im. Słowackiego, gdzie w obronie dyrektora Głuchowskiego stanęła cała załoga, a procedurę konkursową, mającą wyłonić jego następcę, przerwały przegrane przez PiS wybory.

W Dramatycznym postawiono na procedury i dyrektorów z dorobkiem artystycznym oraz jej prawo do kształtowania zespołu zgodnie z wizją teatru, z jaką wygrała konkurs. Zmiany w zespołach, zwłaszcza w Warszawie, gdzie teatrów jest ponad 20 (do tego filmy, seriale, dubbing i audiobooki), nie są zresztą niczym nowym, ruch w interesie panuje cały czas. Kilku aktorów Dramatycznego znalazło już etaty w Teatrze Polskim Andrzeja Seweryna i w Teatrze Klasyki Polskiej, inni grają gościnnie, m.in. w Rampie czy Imce.

System polski czy niemiecki

Pytanie o proporcje – na ile dyrektor może kształtować teatr, który obejmuje – pozostaje jednak otwarte. Ciekawa jest w tym kontekście historia dwóch, odległych od siebie o całe dekady, ale tak samo historycznych, dyrekcji Izabelli Cywińskiej. Podczas pierwszej – kaliskiej, z lat 1970–73 – zaraz po objęciu

stanowiska zwolniła niemal cały zespół aktorski, by zrobić miejsce dla artystów, z którymi zamierzała realizować swoją autorską wizję teatru (zwolnionym znalazła etaty u zaprzyjaźnionych dyrektorów w innych miastach). Z artystycznym zyskiem dla polskiego teatru, dla Kalisza i dla samej Cywińskiej. Podczas drugiej – w stołecznym Ateneum, z lat 2008–11 – była ministra kultury postanowiła działać ewolucyjnie, metodą małych kroków, bez zwolnień. Odeszła w poczuciu klęski, pokonały ją kulurowe rozgrywki aktorów: rzucanie rolami, zwolnienia lekarskie przynoszone na tydzień przed premierą, ośmieszanie i rozsiewanie plotek. W „Gazecie Wyborczej” w 2011 r. mówiła z goryczą: „Mnie właśnie wyrzuciła garderoba. I, co najśmieszniejsze, garderoba powołująca się na ideę zespołowości, którą rzekomo uśmierciłam, niszcząc przyjazny klimat tego teatru, wprowadzając do niego nowych ludzi i nowe porządki. Nie pozostało mi nic innego jak obiecać, że odejdę. Dyrektor bez zespołu ani zespół bez dyrektora nie mogą funkcjonować, a już na pewno liczyć na sukces artystyczny”.

W związku z doniesieniami z Dramatycznego niektórzy zastanawiają się, kto będzie startował w konkursach na dyrektorów, jeśli pozbawi się ich wpływu na kształt zespołu. W tym kontekście pada przykład systemu niemieckiego, w którym aktorzy są dobrze opłacani, ale zatrudniani na kontraktach, często na czas dyrekcji konkretnego dyrektora, a nowy ma prawo zatrudnić własnych. Rynek jest otwarty, łatwiej o debiut, ale ceną za to jest konieczność pakowania się co parę lat do bytku i przenoszenia się z rodziną do innego miasta.

Z kolei szef Związku Zawodowego Aktorów Polskich Maksymilian Rogacki w rozmowie w Radiu TOK FM postulował zawarcie układu zbiorowego przez aktorów z miastem, w myśl którego nowy dyrektor jakiegokolwiek stołecznego teatru mógłby zwolnić w każdym sezonie maksymalnie np. 10 proc. zespołu aktorskiego. A szef działu kultury „Rzeczpospolitej” Jacek Cieślak promuje pomysł powołania przez podzielone ideologicznie, pokoleniowo i branżowo środowisko teatralne sądu koleżeńkiego i dyscyplinarnego, rozstrzygającego sporne kwestie.

Zmiana władzy i nowe rozdanie w Ministerstwie Kultury jawi się w środowisku nie tylko jako szansa na większe środki dla niedofinansowanych i w ostatnich sezonach walczących o przeżycie instytucji, ale też otwarcie dyskusji w wielu innych ważnych kwestiach.

ANETA KYZIOŁ

Tlen dla szkół

Rozmowa z **Anną Schmidt-Fic**,
liderką nauczycielskiej społeczności
Protest z Wykrzyknikiem, o powyborczej
radości w szkołach i o tym, jak zachować
pozytywne podejście do dalszych zmian w oświacie.



JOANNA CIEŚLA: – **Ciesz się pani czy trochę boi?**

ANNA SCHMIDT-FIC: – Cieszę się. To taka narastająca radość, bo w dniu wyborów nie docierało do mnie, że PiS traci władzę. Obawiałam się, że może sięgnąć po jakieś „miękkie rozwiązania siłowe”. Dopiero w ostatnich kilkunastu dniach zaczęłam czuć się bezpiecznie.

Pani koleżanki i koledzy byli mniej powściągliwi, cieszyli się z nadchodzącej zmiany najbardziej malowniczo ze wszystkich grup zawodowych. 16 października widziałam nauczycielki obciskujące zaprzyjaźnionych rodziców, media donosiły o tańcach w pokojach nauczycielskich, a współprowadzona przez panią społeczność internetowa Protest z Wykrzyknikiem ruszyła z lawiną memów mniej lub bardziej czule żegnających Przemysława Czarnka. To więcej mówi o środowisku czy o szefie resortu edukacji i nauki?

Zdecydowanie o Przemysławie Czarnku. Te reakcje były wyrazem radości i ulgi, że odchodzi w niebyt osoba, której niemal każda decyzja i każde słowo przesycone było pogardą wobec nauczycieli. Jeśli z przestąpienia osoby mobbingowanej znikają ci, którzy upokarzają, kłamią i manipulują, to odzyskuje ona oddech. I to się właśnie stało, na skalę masową. A obietnica podwyżki złożona przez koalicję partii demokratycznych jest jak dodatkowe zasilenie tlenem. Nie chodzi już o dokładne kwoty – bo nawet obiecane 30 proc. nie sprawi, że wynagrodzenia nauczycieli osiągną poziom ostatecznie satysfakcjonujący. Chodzi o dostrzeżenie sytuacji i wysłuchanie potrzeby, którą przez lata jednocześnie manipulowano i ostentacyjnie ignorowano.

Nauczyciele są silniejsi czy słabsi po ośmiu latach rządów PiS?

Są w bardzo słabej kondycji psychofizycznej, właśnie tak jak po latach mobbingu i pracy ponad siły. To jest dramat, który obserwuję wśród moich najbliższych znajomych. Kobieta bierze dwa zastępstwa w dniu, w którym ma siedem lekcji i dyżury korytarzowe na przerwach, ponieważ nie ma kto pracować. I po dziewięciu godzinach ląduje na kozetce u pielęgniarki, bo zasłabla. Podobne przykłady mogłabym mnożyć. Każdy wpis na ten temat na naszej grupie od razu przynosi odzew: „Ja ubiegły rok przypłaciłam zapaścią psychiczną”, „Skończyłam na lekach, na zwolnieniu”, „Stałam na nogi, gdy odeszłam ze szkoły”.

Pani też odeszła.

Zadzialała zasada „najpierw ratuj siebie”. Bywam bezkompromisowa, zwłaszcza tam, gdzie kompromis byłby tylko karykaturą. Ale ciągle czuję się częścią tej grupy i pracuję na jej rzecz jako aktywistka. Mam świadomość, że w Polsce powiatowej braków kadrowych i nadgodzin może nie jest tak dużo, ale 70 proc. nauczycieli pracuje w miastach.

A ja mam wrażenie, że w jakimś innym sensie nauczyciele nabrali też poczucia siły i sprawczości. Protest z Wykrzyknikiem, który powstał przy okazji strajku w 2019 r., i kilka innych grup w mediach społecznościowych dały ludziom dostęp do informacji i wsparcia. Sami państwo piszą, że do sukcesu demokratycznej opozycji mocno przyczyniły się organizacje pozarządowe, także ze środowisk nauczycielskich. Na forum Protestu po wyborach ktoś napisał „Marzenia się spełniają”, odpisano mu: „Nie, to my je spełniamy”. Trochę wzniośle, ale w sumie chyba trafnie.

To też prawda. Choć nikt tego specjalnie nie podkreśla, jako grupa zawodowa mamy poczucie, że przyczyniliśmy się do tej zmiany. I to nie było incydentalne, bo dwukrotnie zdecydowaliśmy się odejść od pracy. Dziś niewiele pamięta, że przed tym najdłuższym w 2019 r. był też jednodniowy strajk, związany z likwidacją gimnazjów przez tzw. reformę Zalewskiej. To były bardzo stanowcze, godnościowe akty, za które ludzie zapłacili najdosłowniej – tracąc wynagrodzenia. Ale w kolejnych latach jako nauczyciele

zabieraliśmy też głos w ważnych sprawach w innych obszarach, podkreślając, że widzimy edukację jako element silnej demokracji, opartej także na wolnych mediach, wolnych sądach. Jeździłymi na demonstracje, ja sama zdecydowałam się zostać ławniczką w Sądzie Najwyższym, dzięki czemu można powiedzieć: „o, wśród tych osób, które wstawiają nogę w drzwi i mówią, że nie godzą się na neorzczywistość z neosędziami, jest też nauczycielka”.

Ale nie wszyscy są tak zaangażowani i zdeterminowani.

Jesteśmy w pewnej bańce, w której walczymy o szacunek i dostajemy go od innych aktywistów. Jeśli pani pyta o całe, liczące ponad 500 tys. osób środowisko, to jasne, że nie do wszystkich nauczycieli dociera to wsparcie. A jeśli pyta pani o jakość pracy nauczycieli, to też jasne, że obok świetnych, zaangażowanych nauczycieli są także przeciętni. I pewnie znajdzie pani takich, którzy nawet po 40 godzinach przy tablicy nie będą zmęczeni, bo pracują tak, jak im płacą. Dlatego uważam, że miejsce, pozycja, prestiż i sposób pracy nauczycieli powinny być systemowo stymulowane, bo rola nauczyciela jest w systemie najważniejsza. W szkole najważniejszy jest uczeń, ale to nauczyciel prowadzi cały proces edukacyjny i wpływa na to, jak uczeń się w nim odnajduje. A tylko rozwiązania systemowe zmieniają zachowania społeczne i kształtują społeczeństwo skutecznie i na stałe.

Czyli nie zgadza się pani, że system tworzą ludzie?

Nie. Bo jednostkowi nauczyciele, którzy pracują ponadstandardowo i odbierają nagrody, to są cudowne wzory do naśladowania, ale nie dowody na to, że w systemie każdy coś może. Bo nie każdy jest albo nie każdy chce być zapaleńcem czy, za przeproszeniem, Siłaczką, nie dla każdego praca jest jego pasją. Tylko systemowe rozwiązania, które motywują i zmuszają również „rzemieślników” do rzetelnej pracy, przyniosą odczuwalną zmianę w szkołach.

Dlatego na początku pytałam panią o strach. Bo po takim wybuchu radości, w oczekiwaniu na ten lepszy system drobne zatarcie, jakiś żwirek rozczarowania, może wysadzić morale nauczycieli.

Tak, to jest zapalna sytuacja. Kotłowanie oczekiwania, zmęczenia czy wręcz wyczerpania może skutkować niecierpliwością i szybkimi rozczarowaniami. Bo nie oszukujmy się: politycy i eksperci oraz aktywiści edukacyjni to są nieco inne światy. Różnią się celami i wizją tego, co i kiedy powinno się wydarzyć. Frustrację i zniechęcenie miejscami już dostrzegam – i tam, gdzie mogę, staram się studzić emocje. Każda sfera w edukacji ma swoje agendy i swoich ambasadorów: poczynając od edukacji publicznej, niepublicznej, domowej, przez kadrę kierowniczą, prawa uczniów, prawa nauczycieli, a skończywszy na oczekiwaniach rodziców. Ale wierzę też, że te środowiska mają dużą świadomość społecznych konsekwencji i rozumienie, że politycy muszą patrzeć całościowo. Liczę, że działacze nie uda się łatwo podpalić i zniszczyć tego, co wypracowaliśmy przez osiem lat – w końcu krytyczne myślenie i deliberacja to nasze codzienne narzędzia.

Wewnątrzkoalicyjne zmagania o to, komu przypadnie resort edukacji, trwały tak długo, ponieważ demokratyczni politycy zrozumieli, że to faktycznie ważny obszar? Czy po prostu chodziło o to, która formacja będzie mogła tuż przed wyborami samorządowymi zdyskontować wdzięczność nauczycieli za podwyżki?

Podwyżki na pewno mają znaczenie, ale i to, że edukacja stała się modna i popularna – w dużej mierze za sprawą mediów.

Raczej za sprawą PiS. Do ludzi dotarło, że to obszar wielkiej władzy.

Faktycznie, i Przemysław Czarnek swoimi działaniami, i Ryszard Terlecki czy Zbigniew Ziobro, którzy nakreślili znaczenie wychowywania młodzieży, przyczynili się do przekonania społeczeństwa, że to bardzo ważny resort. Z kolei Anna Zalewska ►



Anna Schmidt-Fic

– nauczycielka matematyki, przepracowała 27 lat w liceach. Założycielka i liderka Protestu z Wykrzyknikiem. Aktywistka i współtwórczyni Wolnej Szkoły. Współautorka raportu Liberté „Umowa społeczna dla edukacji”. Absolwentka Szkoły Liderów. Ławniczka Sądu Najwyższego. Mama dwóch córek.

► uświadomiła, jak wielki wpływ ma system edukacji na życie milionów rodzin, uczniów i nauczycieli, po tym jak jego demolka wprowadziła chaos w ich codzienność. Ale to media niosą tematy. Mam wielką wdzięczność dla dziennikarek i dziennikarzy za to, że chcieli wnikać w tę ogromnie trudną materię i tłumaczyć ją społeczeństwu.

Pani ma swój typ na stanowisko ministra?

Typ jako preferencję – nie. Uważam, że każdy polityk nowej koalicji będzie lepszy niż Przemysław Czarnek. Nie zdziwię się, jeśli resort obejmie osoba z KO. To chyba nie byłoby złe, gdyby po latach ideologicznego wzmocnienia zarządzanie oświatą przejął polityk centrowy. Doceniam zaangażowanie lewicowych polityczek w problemy edukacji, ale też sądzę, że np. postulat wyprowadzenia religii ze szkół, choć osobiście go popieram, będzie musiał być realizowany stopniowo i z dużym wyczuciem.

I nie irytuje pani, że w umowie koalicyjnej go nie ma?

Tak bardzo mnie to nie martwi, bo rozumiem, że polskie społeczeństwo ma zaszyty gen katolicyzmu, a religia w szkołach jest dla wielu rodziców wygodna.

A dla wielu nie, jeśli dzieciaki mają okienka w ośmiogodzinnym planie lekcji.

Owszem, ale gdy patrzę na mechanizmy tworzenia się radykalizmów, to utwierdzam się w przekonaniu, że im mniej konfrontacyjnie zostanie to załatwione, tym będzie skuteczniejsze i szybsze.

Czyli jak? Może chociaż publiczne pieniądze na religię obciążyć?

Otóż to. Kościół musi przejąć wynagrodzenia nauczycieli katechetów i rozliczyć się za sale, w których są prowadzone zajęcia. To właśnie może być przykład systemowego rozwiązania, które zmieni praktyki – wyjęcie religii z systemu edukacji powinno rozwiązać problem nauczania religii w szkołach.

No to od czego zacząć? W umowie koalicyjnej oprócz zwiększenia wydatków na edukację przyszli rządzący obiecali m.in. zadbać o zdrowe wyżywienie dzieci w szkołach, odchudzić podstawę programową, rozwijać kompetencje przyszłości, skutecznie uczyć angielskiego i ograniczyć zadawanie prac domowych. A to i tak nie wszystko.

Jeśli chodzi o podwyżkę, zakładałam, że ten krok jest już nieodwołalny. To oczekiwanie godnościowe. Ale powinna mu towarzyszyć dobra komunikacja, że to jest podwyżka, a nie nowe zlecenie dla nauczycieli. Bo słyszę już takie głosy: „Ciekawe, czy jak dostaną więcej kasy, to się wezmą do roboty”. Trzeba umiejętnie tłumaczyć społeczeństwu, że to nie jest jeszcze poziom oczekiwany, a jedynie pierwszy etap, szybka reanimacja dla nauczycieli, podanie tlenu. I idziemy dalej.

W trakcie pandemii w kilku krajach władze, w tym ministerstwa edukacji, organizowały specjalne konferencje prasowe dla dzieci. Zamarzyły mi się podobne spotkania w Polsce, żeby uczniowie, ale może i nauczyciele czy rodzice bezpośrednio mogli zapytać o to, czego nie rozumieją, jak idą zmiany. To też dawałoby im szansę na upodmiotowienie.

Donald Tusk czy Szymon Hołownia robili to z sukcesem na swoich spotkaniach z wyborcami. I na pewno byłoby potrzebne także w odniesieniu do edukacji, żeby wciąż powtarzać, że dobre zmiany nie mogą być szybkie, tylko są pewną ścieżką, na której musi się kotłować, i nawet można się czasem pokłócić, żeby efekt był najlepszy z możliwych.

Ale co nieco zostało już wypracowane w ostatnich latach, m.in. przez Narady Obywatelskie o Edukacji, i zapisane w Obywatelskim Pakcie dla Edukacji, który podpisali politycy partii tworzących przyszły rząd.

Pomysły wypracowane przez stronę społeczną – SOS dla edukacji – leżą na biurkach polityków, a my jesteśmy gotowi do pomocy. Zadanie jest arcytrudne i niełatwo wybrać, co najbardziej boli. Moim zdaniem do możliwie szybkiej wymiany są np. nielogiczne i niesprawiedliwe kryteria oceniania na maturze, w szczególności z języka polskiego. Z kolei jako pewien problem widzę obietnicę likwidacji zadań domowych. To dość populistyczne.

W umowie jest o ich ograniczeniu.

Pani by została tak jak jest?

Dopóki podstawa programowa jest, jaka jest, to bez zadań domowych nie sposób jej zrealizować.

A podstaw nie da się odchudzić z dnia na dzień.

W takim razie mamy konflikt tragiczny, bo to bardzo ważne, żeby bieżąca jakość życia w szkole poprawiła się chociaż trochę, ale szybko dla dzieci i rodziców – tak jak dla nauczycieli.

W takim razie może trzeba to zrobić. Brak zadań domowych od razu obnaży, jak bardzo system deleguje zadania na rodziny i na korepetytorów, jak bardzo dzieci są przeciążone – właśnie dlatego, że za dużo jest w podstawie. Może to wymusi silniejszą motywację do pracy nad jej zmianą.

Niech się system samozaorze?

Coś w tym rodzaju. Spodziewam się też dość szybkiego wyrzucenia historii i teraźniejszości ze szkół. Miałoby to znaczenie symboliczne, bo to posępny ślad Czarnka. Konieczność nauczania historii, z akcentem na tę najnowszą, z krytycznym namyśłem, nie budzi moich wątpliwości. Ale trzeba odejść od całej tej tromtadrackiej, pseudopatriotycznej formuły. Pomysły, żeby wrócić do rzetelnej edukacji obywatelskiej, brzmią dla mnie bardzo racjonalnie.

Moim zdaniem najskuteczniej byłoby pracować wielotorowo nad głównymi obszarami typu podstawa programowa, warunki pracy nauczycieli, organizacja życia szkół, jednocześnie korzystając z rzesz ekspertów, które namyślały się nad tymi tematami w ostatnich latach.

Ważne jest, żeby ta wielotorowość układała się w całość. Ale też trzeba przygotować się na prace metodą przebudowy zniszczonego mostu nad rzeką – zadbać o bezpieczny przejazd na drugi brzeg, zanim będzie przecięcie wstęgi. Nie każde rozwiązanie od razu poprawi cały system. Finowie tworzyli swój słynny sukces edukacyjny przez 30 lat.

A on przez lata w dużym stopniu oparty był na rozwiązaniach lokalnych. A wszystkie polskie pomysły – odejście od prac domowych, darmowe obiady dla uczniów itd. – są przedstawiane jako rozwiązania dla całego kraju. Nie obawia się pani nasilenia centralizacji, która była zmorą edukacji ostatnich lat i od której mieliśmy odchodzić?

Jestem przeciwniczką oddolności za wszelką cenę. Warto korzystać z możliwości, które daje samorząd, ale system edukacji powinien wyrównywać szanse, być sprawiedliwy i równy w całej Polsce dla wszystkich dzieci.

Wszyscy chcemy, żeby równały szanse, ale ścieżki dojścia do tego mogą być bardzo odmienne w zależności od możliwości i potrzeb w różnych miejscach.

Miałabym obawy o przyszłość dzieci z regionów, w których jest mniej pieniędzy albo których władze są obojętne na kwestie edukacji. Polityka oświatowa oraz system powinny być kształtowane centralnie, ale wspólnie, z udziałem różnych grup społecznych. Edukacja powinna być własnością obywateli i obywateli, a nie narzędziem partii politycznych.

ROZMAWIAŁA JOANNA CIEŚLA

Trwała ruina

Niemcy wysadzili, a Tusk będzie dobijał – taką narracją PiS próbuje ratować odbudowę Pałacu Saskiego. Odbudowę za minimum 2,5 mld zł realizowaną w duchu – złoty, ale skromny.

JULIUSZ ĆWIELUCH



Pałac Saski przy placu Saskim po rozbiórce cerkwi Aleksandra Newskiego, Warszawa, koniec lat 20. XX w.

Współce Pałac Saski trwa wyścig z czasem. Do 13 listopada spółka musiała czekać, aż spłyną do niej opinie niezbędne do złożenia u wojewody wniosku o lokalizację inwestycji. Skompletowane dokumenty muszą jeszcze przejść przez Radę Odbudowy, która formalnie ma miesiąc na wyrażenie opinii. Dopiero wtedy można formułować wniosek i wysłać go do wojewody. Bez decyzji o lokalizacji inwestycji odbudowa utknie w martwym punkcie. Choć formalnie projekt jest uprzywilejowany do granic możliwości. Ma 2,5 mld zł gwarantowanego specustawą finansowania z budżetu państwa. A przed paroma tygodniami udało się rozstrzygnąć konkurs architektoniczny na odbudowę. Nic tylko odbudowywać.

PiS-owski wojewoda formalnie podał się już do dymisji. Ale do czasu powołania nowego dalej może wydawać opinie i podpisywać wnioski. I na to grają władze spółki. Wiedzą, że ktokolwiek będzie następnym wojewodą mazowieckim, nie złoży swojego podpisu pod wnioskiem. – *Trzeba upaść na głowę, żeby odbudowywać pałac, kiedy w budżecie jest gigantyczna dziura, a ludzi nie stać na mieszkania, bo ceny wyrwały się spod kontroli* – mówi Hanna

Gronkiewicz-Waltz, która w latach 90., jako prezes Narodowego Banku Polskiego, sama próbowała odbudować Pałac Saski. W tej historii jest wiele zwrotów akcji. I wielu bohaterów, których perspektywa szybko i diametralnie się zmieniała. Ta sama Hanna Gronkiewicz-Waltz już jako prezydent Warszawy w 2008 r. z hukiem zlikwidowała projekt odbudowy Saskiego.

Stare nuty, nowa partytura

Ustalenie, dlaczego PiS wpadł na pomysł, że odbuduje w niechętej sobie Warszawie Pałac Saski, i to za kosmiczne pieniądze, nie jest łatwe. Po pierwsze dlatego, że główni pomysłodawcy milczą. A jeśli nie milczą, to i tak nie mówią, co naprawdę nimi kierowało. Jeśli już, to raczej z zadęciem opowiadają o „wzmocnieniu narodowej tożsamości” – tak jakby można ją było budować z cegieł i cementu. Albo o „zagojeniu narodowej rany”, którą Niemcy zadali Polakom, wysadzając Pałac w 1944 r. Tyle że to rana tak stara, że ciężko nawet mówić o bliznach. – *Ludzie, którzy mogą pamiętać Pałac Saski, mają koło 90 lat i jestem przekonana, że woleliby, żeby państwo za te pieniądze dbało o ich zdrowie, a nie fantomowe rany narodowe* – mówi Małgorzata Omilanowska-Kiljańczyk, była minister kultury i członek Rady

Odbudowy Pałacu Saskiego. Omilanowska formalnie jest w Radzie Odbudowy, ale na kompletnej kontrze. Widzi w tym więcej politycznego interesu niż narodowej potrzeby. – *To jest pomysł z kategorii przekopanie Mierzei Wiślanej. Owszem, można, ale po co?* – pyta. Polityczni spin doktorzy z łatwością potrafią odpowiedzieć na to pytanie. – *Odbudowa Pałacu świetnie wpisuje się w pisowską, antyniemiecką retorykę krzywd wojennych, a przy okazji można wokół niego budować poczucie narodowej wspólnoty i patriotycznej dumy. Pomysł nie jest nowy. Gierek, grając na tych samych nutach, odbudowywał Zamek Królewski* – tłumaczy jeden z byłych pisowskich piarowców.

Odbudowa Pałacu Saskiego od kuchni wygląda jeszcze ciekawiej. – *Jak tylko PiS przejął władzę, to pomysł reaktywował marszałek Senatu Stanisław Karczewski. Karczewski publicznie pieklił się, że to skandal, żeby Senat gnieździł się w jakiejś klitce* – mówi jeden z senatorów opozycji. Klitka to 220-metrowa sala, którą po 1989 r. stworzono z połączenia trzech innych pomieszczeń. Od 1939 r. przez 50 lat w Polsce nie było Senatu. Nie było więc i miejsca do pracy dla senatorów. – *Sala rzeczywiście jest mało komfortowa. Nie da się ukryć, że jest ciasnawo i raczej* ▶

► *mało przytulnie* – dodaje senator. Brakuje też miejsc, w których senatorowie mogliby spokojnie odpoczywać. Stąd łańcuchość, z jaką Karczewski przekonał innych, że Senat potrzebuje nowej siedziby. No i odpowiednio godnej.

Przy szacowaniu godności ustalono, że budynek musi być w ścisłym centrum miasta, sala powinna być co najmniej trzy razy większa od dotychczasowej. A każdemu senatorowi należy się pokój do pracy. Wyszło na to, że nie ma niczego, co można by zająć. Trzeba budować od zera. Stąd do pomysłu odbudowy Pałacu Saskiego był już dosłownie krok. W Warszawie nie ma drugiej takiej lokalizacji. Ale przede wszystkim nie ma drugiego takiego pretekstu do wydania miliardów z budżetu. – *W wewnętrznych badaniach był z tym kłopot, bo to jednak słabo wyglądało, że władza chce stawiać sobie pałace. Tym bardziej że kilka lat wcześniej inwestycję z hukiem zamknęła Hanna Gronkiewicz-Waltz, kiedy okazało się, ile to może kosztować. Medialnie nie można było grać potrzebami Senatu. Stąd pomysł, żeby mówić o potrzebach Polaków* – dodaje były pisowski PR. W ramach budowania potrzeb Polaków zaczęto od prezentacji makiety Pałacu Saskiego, żeby pokazać Polakom, ile stracili na tym, że już go nie ma. O kosztach jeszcze nie mówiono.

Kolego zbuduj to z Lego

Historia odbudowy Saskiego sięga pierwszych miesięcy po drugiej wojnie światowej. Dla nowej władzy odtworzenie Grobu Nieznanego Żołnierza było absolutnym priorytetem. Symbolem jej ciągłości. Grób Nieznanego Żołnierza tworzono w 1925 r. metodą niskokosztową, bo młode państwo było na dorobku. Stąd lokalizacja w kolumnadzie Pałacu Saskiego, który już wtedy należał do wojska. I skromna forma ograniczająca się właściwie do krat i elementów metaloplastycznych zaprojektowanych przez Henryka Grunwalda. Grób miał siłę symbolu, którego Niemcy chcieli się pozbyć równie symbolicznie. W grudniu 1944 r., dosłownie na kilkanaście dni przed wyzwoleniem Warszawy, Pałac wraz z Grobem Nieznanego Żołnierza został wysadzony w powietrze. Ten ostatni na tyle nieudolnie, że zachowały się dwie z trzech arkad. Na ich bazie i po dobudowaniu kolejnej architekt Zygmunta Stępniewski stworzył najbardziej rozpoznawalny polski pomnik. W ten sposób Pałac Saski można uznać za pierwszy zabytek poddany odbudowie. A jednocześnie właściwie skazany na nieistnienie, bo Grób Nieznanego Żołnierza został trwałą ruiną, która nie podlega odbudowie.

Miejsce po Pałacu jednak zostało. I to w centralnej części miasta. Trudno się dziwić, że kusilo i rządzących, i architektów. – *Po wojnie centrum Warszawy zostało przeniesione z osi Saski na oś ulicy Marszałkowskiej. Ale wielki plac aż prosił się o zagospodarowanie i włączenie go w tkankę miejską, bo na co dzień to miejsce jest właściwie pozbawione życia i przytłacza swoimi rozmiarami* – tłumaczy Adam Wagner, architekt i prezes zarządu Polsko-Belgijskiej Pracowni Architektury.

Pierwsza realna próba odbudowy Saskiego podjęta została na fali architektoniczno-historycznej polityki wczesnego Gierka. Kiedy przystąpiono do odbudowy Zamku Królewskiego, rozpisano również konkurs na rekonstrukcję Saskiego. Wybrano zwycięski projekt architektów Bohdana Gniewiewskiego i Bolesława Koseckiego, którzy nigdy nie doczekali się realizacji swoich pomysłów. Do głowy im nawet nie przyszło, że równocześnie utworzyli długą listę takich jak oni. Na liście tej jest również nazwisko Adama Wagnera. Ten ostatni jest absolutnym rekordzistą, bo Pałac Saski rysował siedem razy. I za każdym razem jego koncepcje przepadały, bo zmieniały się pomysły albo realia finansowe. – *Z tego, co sobie przypominam, pierwsze starania o odbudowę Saskiego zaczęto podejmować w 1994 r. Wówczas tematem najbardziej zainteresowany był NBP, który chciał w tym miejscu zlokalizować swoją reprezentacyjną siedzibę* – opowiada Wagner, prezes PBPA. Na czele NBP stała wówczas Hanna Gronkiewicz-Waltz. Ale po latach twierdzi, że tego akurat pomysłu sobie nie przypomina. W PBPA mają setki dokumentów z różnych etapów. Mają i z tego czasu. Z czasem zapal NBP do zmiany siedziby malał. Tym bardziej że projekt w magiczny niemal sposób pęczniał finansowo. Szybko okazało się, że samo odbudowanie Pałacu Saskiego to za mało. Idąc za ciosem, trzeba odtworzyć jeszcze przylegający do Saskiego pałac Brühla plus kamienice wzdłuż ulicy Królewskiej. A to już była inwestycja, której nie był w stanie udźwignąć nawet NBP.

Na scenie był już jednak nowy aktor, który aż palił się do odbudowy. 30 marca 1999 r. prezydentem Warszawy został 31-letni Paweł Piskorski. Tak rzutki, że już pół roku później doprowadził do odbudowy Pałacu Saskiego. Co prawda tylko z klocków Lego i to rękoma dzieci, ale za to z rozmachem. Chętni do odbudowy stali w długiej kolejce. – *To był happening polityczny, który miał przypomnieć warszawiakom, że ten plac nie zawsze tak wyglądał i nie musi tak dalej wyglądać. Mój*

Grób Nieznanego Żołnierza w otoczeniu odsłoniętych pozostałości po piwnicach Pałacu Saskiego.



pomysł był taki, żeby w dzieło włączyć jak najwięcej chętnych. W pałacu Brühla swoją siedzibę miało mieć Ministerstwo Spraw Zagranicznych, a w Pałacu Saskim miały być muzea i inne placówki szczebla centralnego – opowiada Piskorski. Skończyło się na odbudowie z Lego, bo pomysł torpedował Leszek Balcerowicz. Najpierw jako minister finansów, a później szef NBP. Co stało się z pałacem z Lego, nikt już nie pamięta.

Jakieś muzeum

Za czasów prezydentury w Warszawie Lecha Kaczyńskiego temat Saskiego długo nie mógł się przebić. – *W ratuszu najpierw mówiło się, że to bękart po Piskorskim i lepiej tego nie dotykać. A historycy wypominali, że nie dość, że to kiepska architektura, to jeszcze ruska, bo Pałac w XIX w. przebudował jego rosyjski właściciel kupiec Iwan Skwarcow* – wspomina jeden z byłych pracowników stołecznego Urzędu Miasta. – *Lobby, które walczyło o odbudowę, sprytnie grało jednak na antyniemieckim resentymencie Lecha Kaczyńskiego i jego sentymencie do powstania warszawskiego. Kiedy pojawił się pomysł, że w Saskim powstanie Muzeum Powstania Warszawskiego, projekt nagle dostał zielone światło.*

Problem polegał na tym, że miasta nie było stać na taką inwestycję. Pomysł, żeby w Saskim było muzeum powstania, szybko upadł. Ale sama idea odbudowy cudownie przetrwała. W planach instytucje pojawiały się w nim i zniknęły. Muzeum Powstania Warszawskiego zastąpiono Muzeum Grobu Nieznanego Żołnierza. Kiedy okazało się, że nie byłoby tam czego wystawiać, błyskawicznie pojawiła się nowa idea – Instytut Myśli Jana Pawła II. Jak mówił Lech Kaczyński: „przecież na tym placu Ojciec Święty wypowiedział prorocze słowa, które zmieniły oblicze Polski i Europy”. Tyle że Instytut kanibalizował się z powstającym przy Świątyni Opatrzności



Muzeum Jana Pawła II. Na kolejnych planach Instytut Myśli Jana Pawła II został więc zastąpiony przez Muzeum Historii Polski. – *To był jakiś cyrk na kółkach, bo architekci domagali się planów instytucji, a nikt nie wiedział, co ma tam być. Ostatecznie kazali im rysować w ciemno – dodaje były urzędnik.*

Prowadzenie inwestycji miasto zleciło prywatnej kancelarii prawnej, co kosztowało ponad 700 tys. zł. A jednak koncepcje upadały jedne po drugiej. Była nawet taka, że do odbudowy wezmą się prywatni deweloperzy w zamian za prawo własności do kamienic wzdłuż ulicy Królewskiej. Ostatecznie zapadła decyzja, że miasto samo odbuduje Pałac i kamienice w ramach procedury zaprojektuj i zbuduj. Użytkownikiem będzie stołeczny ratusz, który do tamtej pory miał 26 różnych lokalizacji.

W maju 2006 r. przetarg wygrała firma Budimex-Dromex. Koszt ustalono na 201 mln zł. Jednak już na etapie projektowania finanse zaczęły wymykać się spod kontroli. W efekcie zamiast tradycyjnej konstrukcji z cegieł postawiono na współczesną konstrukcję żelbetową z kamienną okładziną dla niepoznaki. Obiekt miał również zarabiać. W podziemnych kondygnacjach zaprojektowano parking na 1200 samochodów.

I wtedy ktoś sobie przypomniał, że pod ziemią jest coś jeszcze – pozostałości zabytkowych piwnic. – *To nie było żadne zaskoczenie. Piwnice miały zostać odkryte, zinventaryzowane i rozebrane. Zaskoczeniem była zmiana decyzji konserwatora, który wpisał je do rejestru zabytków – tłumaczy Adam Wagner. Takie rozwiązanie położyło projekt na łopatki, bo koszty już całkiem wymykały się spod kontroli. – Nie widziałam żadnego dalszego uzasadnienia dla realizacji tego przedsięwzięcia. Inwestycja została wstrzymana, a pieniądze przekierowałam na budowę*

mostu Północnego i jestem dumna z tej decyzji – mówi po latach Hanna Gronkiewicz-Waltz. Pięć prób odbudowania Pałacu Saskiego za czasów Lecha Kaczyńskiego zakończyło się rachunkiem na 20 mln zł i totalnym brakiem efektu.

Déjà vu

Ciężar sukcesji po Lechu Kaczyńskim wziął na siebie prezydent Andrzej Duda. Z okazji 100-lecia niepodległości stwierdził, że Pałac Saski zostanie odbudowany. Kolejne dwa lata zajęło mu przygotowywanie aktu prawnego, na mocy którego budowa miała być prowadzona. Finansowanie miało być centralne. I to z wysokości C, bo najpierw mówiono o miliardzie, a następnie dwóch, żeby ostatecznie w prezydenckiej specustawie zapisać na ten cel 2,5 mld zł. Kosmiczną kwotę, która i tak była kwestionowana, biorąc pod uwagę rozmach projektu. – *Moim zdaniem trzeba się liczyć z kwotą rzędu miliard, ale euro. To klasyczne zagranie PiS, żeby rzucić jakąś w miarę społecznie akceptowalną kwotę, a następnie w trakcie realizacji ją podbijać w myśl zasady: przecież nie można nie skończyć – mówi Piskorski. W ten sposób powstało Muzeum Historii Polski, którego koszt w momencie powołania do życia określano na 300 mln zł. A po wejściu do gry ministra Glińskiego inwestycja ma szansę przekroczyć 2 mld zł.*

11 sierpnia 2021 r. posłowie głosowali za prezydencką specustawą w sprawie odbudowy Pałacu Saskiego i Brühla oraz kompleksu kamienic wzdłuż ulicy Królewskiej. Za zagłosowało 235 posłów. Przeciw 219, czyli cała sejmowa opozycja. W Senacie, który miał mieć swoją siedzibę w odbudowanym kompleksie, wynik nie był już taki jednoznaczny. Aż 15 senatorów opozycji na czele z marszałkiem Tomaszem Grodzkim wstrzymało się od głosu. W efekcie 49 senatorów było za, 34 przeciw. Prezydent ekspresowo

podpisał własną ustawę i Polacy zaczęli przeżywać déjà vu.

Jedną z pierwszych decyzji powołanej do odbudowy spółki Pałac Saski było wynajęcie 900-metrowego biura i zgłoszenie zapotrzebowania na cztery auta, w tym dwa elektryczne i jednego SUV. Było z czego wydawać. Instytucja w pierwszym roku, a właściwie miesiącu funkcjonowania, bo powołana została w grudniu 2021 r., miała już budżet w wysokości 20 mln zł. Co było zaledwie skromną rozbiegówką. Na 2022 r. przewidziano finansowanie na poziomie 78 mln zł. W 2023 – 96 mln zł. A później to już z górki: 2024 – 160 mln, 2025 – 462 mln, w 2026 – 673 mln zł. Koniec inwestycji zaplanowano na 2030 r.

W sierpniu 2022 r. na teren budowy weszli robotnicy, którzy zaczęli odkopywanie zabytkowych piwnic. Tych samych, które w 2008 r. za ciężkie pieniądze zasypano piaskiem kwarcowym. A wcześniej każdy fragment muru szczerlnie owijano flizeliną, żeby w ten sposób chronić je przed degradacją. Z informacji od spółki wynika, że koszt usunięcia nawiezonego w 2008 r. piasku wyniósł 2 mln zł. Kolejne setki tysięcy poszły na ekspertyzy, badania georadarem, skany 3D. Sama dokumentacja do konkursu architektonicznego miała ponad 2 tys. stron. Pomimo że odbudowa Pałacu projektowana była już na wszelkie możliwe sposoby, to w prezydenckiej specustawie zapisano, że niezbędny jest nowy konkurs. – *Po czym konkurs wygrała praca, która nie spełnia kryteriów ustawy, która nakazuje odbudowę zgodną ze stanem na sierpień 1939 r. – mówi Małgorzata Omilanowska-Kiljańczyk. Jej zdaniem odbudowa nie ma sensu. Tak samo jak nie ma na nią pieniędzy. – Kiedy ten projekt spotka się wreszcie ze zdrowym rozsądkiem, to nic z niego nie zostanie – dodaje Omilanowska-Kiljańczyk. Nic poza kolejnymi milionami wyrzuconymi w błoto.*

JULIUSZ CWIELUCH



Widok z okienka

Fatalne zarobki, zbyt mało pracowników i szybko rosnące straty. Poczta Polska stoi nad przepaścią, bo poprzedniej władzy była potrzebna tylko na chwilę. Do wyborów kopertowych.

CEZARY KOWANDA

a mina podłożona przez PiS nie należy do najbardziej śmiertelnych, ale nowa koalicja musi zacząć rozbrajać ją natychmiast. Prawica pozostawia państwową Poczta Polska w opłakanym stanie i bez żadnej sensownej strategii na przyszłość. Strata firmy, należącej wciąż do największych pracodawców w Polsce (ponad 60 tys. etatów), może, według szacunków związkowców, sięgnąć w tym roku nawet 600 mln zł. Poczta ratuje się na razie w sposób desperacki. Zaciągnęła kredyt na 300 mln zł w Banku Gospodarstwa Krajowego, zastawiając swoją warszawską hurtownię, a do tego wyprzedaje cenne grunty, między innymi w sercu stolicy. Jednak i te rezerwy się kończą.

Łapa na mapach

Pracownicy od dawna domagają się podwyżek, ale na razie muszą czekać do stycznia, bo wówczas rośnie płaca minimalna – z 3600 do 4242 zł brutto. Dla nich to jedyna nadzieja na poprawę własnego losu, a dla zarządzających Poczta kolejny ból głowy, bo ta podwyżka kosztować będzie spółkę ok. 700 mln zł w skali roku. – *Wynagrodzenie w wysokości płacy minimalnej pobiera ponad połowa zatrudnionych w Poczcie Polskiej. Oceniamy, że po Nowym Roku będzie to już 70 proc. Domagamy się przynajmniej 800 zł podwyżki dla każdego pracownika, ale praktycznie nie ma z kim rozmawiać. Trudno nawet mówić o jakichkolwiek negocjacjach. Słyszymy tylko, że pieniędzy nie ma. Mamy też do czynienia z absurdalną polityką zatrudnieniową. Z jednej strony listonoszy brakuje, a z drugiej regiony potrzebują za każdym razem akceptacji centrali, gdy chcą kogoś przyjąć do pracy* – opowiada Piotr Moniuszko, przewodniczący Wolnego Związku Zawodowego Pracowników Poczty.

Ta organizacja razem z kilkoma innymi próbowała zorganizować dwugodzinny strajk ostrzegawczy przed wyborami. Nie sparaliżował on jednak pracy urzędów. Między innymi dlatego,



że związków na Poczcie jest prawie 90! – *To jedna z najsmutniejszych firm w Polsce. Panuje tam atmosfera beznadziei i zastraszenia. Z jednej strony mamy przemęczonych i bardzo źle wynagradzanych pracowników, a z drugiej trudno zorganizować masowe protesty. Duże związki żyją w komitywie z zarządem i nie mają żadnej motywacji do walki. Nie poddajemy się jednak, planujemy przeprowadzić referendum strajkowe i zażądamy podwyżek o 50 proc. Strajk musi być na serio: generalny, a nie ostrzegawczy. Tylko wtedy coś się może zmienić* – ocenia Piotr Szumlewicz, szef Związkowej Alternatywy.

Na ironię zakrawa fakt, że w takim stanie Poczta pozostawia PiS, który przecież przez chwilę poważnie się nią zainteresował. Chciał ją wykorzystać do słynnych nielegalnych i ostatecznie nieprzeprowadzonych wyborów kopertowych wiosną 2020 r. Wówczas pozbył się Przemysława Sypniewskiego, którego sam powołał na prezesa w 2016 r. w ramach wielkiej wymiany kadr po przejściu władzy. Uznano, że Sypniewski nie podoła akcji wyborczej i zastąpiono go człowiekiem zaufanym – Tomaszem Zdzikotem, wiceministrem obrony narodowej,

bliskim współpracownikiem Mariusza Błaszczaka. Zdzikot chętnie sprowadzał na Poczta emerytowanych policjantów i wojskowych, którzy nie mieli pojęcia o zarządzaniu takim molochem logistycznym.

W ubiegłym roku przeszedł do zarządu KGHM Polska Miedź, a stery po nim przejął dotychczasowy zastępca Krzysztof Falkowski, również uważany za człowieka Błaszczaka, w latach 2018–20 prezes Agencji Mienia Wojskowego. Niedawno do pomocy przydzielono mu Macieja Biernata, który wcześniej jako prezes Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych drukował pakiety na wybory kopertowe. Cała operacja przyniosła Poczcie prawie 70 mln zł strat. Z tej kwoty udało się jej odzyskać 53 mln od Krajowego Biura Wyborczego, czyli od podatników. Rozliczenie – zarówno prawne, jak i finansowe – wyborów kopertowych to jedno z najważniejszych zadań po odsunięciu Zjednoczonej Prawicy od władzy.

Jakby Poczta mało miała własnych problemów, niedawno musiały jeszcze przejąć upadające Wojskowe Zakłady Kartograficzne, chociaż nie bardzo wiadomo po co. To efekt przedwyborczych porządków w Ministerstwie Aktywów Państwowych.

Ludzie listów nie piszą

Ani ministerstwo, ani żaden z prezesów nie znaleźli natomiast odpowiedzi na podstawowe pytanie: jak Poczta Polska ma przetrwać w czasach, gdy listów wysyłamy coraz mniej, a konkurencja na rynku kurierskim jest coraz ostrzejsza? Według danych Urzędu Komunikacji Elektronicznej jeszcze pięć lat temu w Polsce nadano prawie 1,4 mld listów. Tymczasem w ubiegłym roku było ich już poniżej 900 mln, a tendencja spadkowa będzie się pogłębiać.

W siłę za to rośnie segment kurierski: liczba paczek zwiększa się co roku o kilkanaście procent, przede wszystkim za sprawą ekspansji handlu internetowego. – *Bezsprzecznym liderem w obsłudze przesyłek kurierskich jest InPost, na drugim miejscu plasuje się francuski DPD, a za nim niemiecki DHL i Poczta Polska, która ma ok. 11–12 proc. udziałów w tym roku. Kłopot w tym, że brakuje jej kapitału na rozwój tej działalności. Tymczasem na przykład poczta niemiecka czy francuska kupiły operatorów logistycznych, dzięki którym są bardziej niezależne od biznesu listowego* – tłumaczy Arkadiusz Kawa-Lukasiewicz, dyrektor Poznańskiego Instytutu Technologicznego.

Poczta Polska ma co prawda swoją markę kurierską Pocztext, ale brakuje jej odrębnej firmy logistycznej, która mogłaby rozwijać się swobodnie i nie byłaby związana ustawą o zamówieniach publicznych. Jej konkurenci nie muszą się przecieć takimi ograniczeniami przejmować.

Skalę niekompetencji kolejnych zarządów Poczty Polskiej pokazują próby budowy sieci automatów paczkowych. To dziś niezbędna sfera każdego szanującego się operatora logistycznego. Standardy wyznaczył InPost, posiadający już ponad 20 tys. paczkomatów i wyłączne prawo do używania tej nazwy dla swoich urządzeń. Inni muszą mówić o automatach paczkowych, ale też stawiają je w szybkim tempie. Łączna liczba maszyn w Polsce przekroczyła 30 tys., co czyni z nas niekwestionowanego europejskiego lidera pod tym względem.

Tymczasem Poczta od dawna zapowiada wielkie inwestycje, nawiązuje współpracę z kolejnymi zewnętrznymi partnerami i niewiele z tego wynika. W całej Polsce państwowy operator posiada zaledwie 100 maszyn paczkowych. Mimo że przecieć nie powinien mieć problemów z lokalizacją, skoro wciąż utrzymuje ok. 7,5 tys. placówek. Poczta z powodu takich zaniedbań przegrywa z konkurencją, bo odbiór zamówień z automatów preferuje aż 80 proc. Polaków kupujących w sieci. ►

► Wielu z nich nie wybierze formy dostawy, która nie pozwala przekierować paczki do takiej maszyny.

Paliwo dla Poczty

Poczta Polska znalazła się w zaklętym kręgu – nie ma pieniędzy ani na przyzwoite wynagrodzenia, ani na inwestycje, więc traci na znaczeniu. To jeszcze bardziej pogarsza jej sytuację finansową, więc przegrywa wyścig zarówno o klientów, jak i doświadczonych pracowników. Jeszcze przed wyborami w Ministerstwie Aktywów Państwowych narodził się pomysł wykorzystania Orlenu do zrobienia porządków na Poczcie. Ten państwowy gigant zapowiadał najpierw współpracę z Poczta, ale chyba uznał ją za przypadek beznadziejny, bo zaczął w szybkim tempie budować własną sieć automatów paczkowych. W ten sposób dwa molocho pod kontrolą Skarbu Państwa stały się logistycznymi konkurentami. Absurd? Nie w Polsce PiS. Teraz Orlen miałby po prostu przejść od Poczty jej część kurierską.

Natomiast sama Poczta Polska stałaby się przedsiębiorstwem użyteczności publicznej, utrzymującym nierentowną, ale potrzebną sieć placówek, pozwalającą wysłać listy i płacić w okienkach rachunki każdemu, kto jeszcze tego potrzebuje.

W ten sposób państwo mogłoby dotować Poczta bezpośrednio, co dzisiaj jest utrudnione. Spółka oczekuje z budżetu zastrzyku w wysokości kilkuset milionów złotych rocznie za to, że ponosi nieustannie straty na świadczeniu usług powszechnych jako tzw. operator wyznaczony. Ponad 7 tys. placówek to bowiem wyłącznie efekt umowy z rządem, a nie żadna biznesowa kalkulacja. Poczta i rząd narzekają, że z wydaniem zgody na taką pomoc publiczną ociąga się Komisja Europejska.

W międzyczasie Poczta Polska chwytta się kroków dość desperackich. Już kilka lat temu przekształciła swoje placówki w miejscyca przypominające stragany z książkami i dewocjonaliami. Zainteresowanie klientów taką ofertą jest raczej umiarkowane, a zdaniem związkowców wystawione w urzędach artykuły kupują głównie sami pracownicy, bo boją się gniewu przełożonych z powodu niewypełnienia celów sprzedażowych. Tymczasem większość z nas do urzędów pocztowych chodzi już tylko po to, żeby odebrać awizo. Klienci w całej Polsce narzekają, że przeciążeni listonosze nawet nie próbują bezpośrednio doręczać przesyłek, tylko od razu wrzucają powiadomienia do skrzynek. Brak pomysłu na ogromną sieć placówek to kolejny przykład niekompetencji zarządzających molochem.

Małe sklepy spożywcze chętnie nawiązują współpracę z operatorami logistycznymi i stają się punktami odbioru paczek. Wiedzą bowiem, że klient, który przyjdzie po przesyłkę, często przy okazji zrobi zakupy czy napije się kawy. Tymczasem oferta urzędów pocztowych nie zachęca tych, którzy z różnych powodów zmuszeni są je odwiedzić.

Jak obudzić giganta

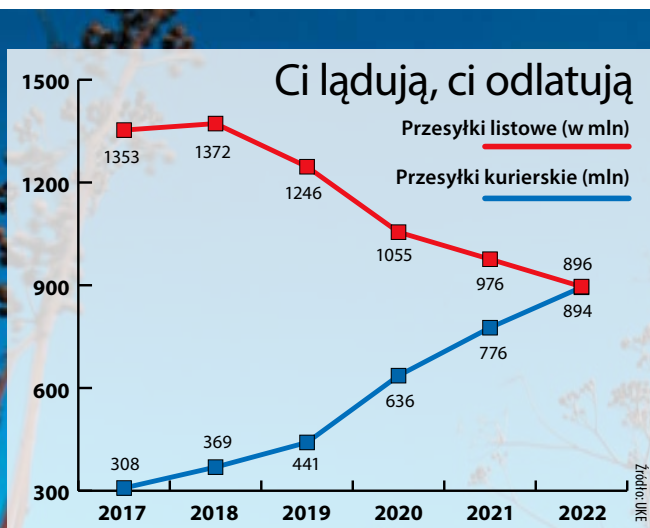
Jaki pomysł na Poczta mógłby mieć nowy rząd? – *Ta instytucja wciąż ma spory potencjał. Może świadczyć nie tylko usługi kurierskie, ale także paletowe czy magazynowe, na przykład dla sklepów internetowych. Warto spojrzeć na doświadczenia innych krajów. We Francji pracownicy poczty, poza swoimi podstawowymi obowiązkami, pomagają, zwłaszcza na prowincji, osobom starszym w robieniu zakupów czy załatwianiu różnych spraw. Ogromną siłą Poczty Polskiej pozostaje jej wielka sieć placówek w całym kraju – trzeba tylko umieć je wykorzystać. I na pewno potrzeba inwestycji. Przecież nawet samo stawianie automatów paczkowych to spory wydatek. Jedna maszyna kosztuje przynajmniej kilka tysięcy złotych – podkreśla Arkadiusz Kawa-Lukasiewicz, dyrektor Poznańskiego Instytutu Technologicznego.*

Zacząć należy jednak nie od rozwoju, a od ratowania Poczty Polskiej. Do tego nie wystarczy sama wymiana kadr na bardziej kompetentne. Trzeba pozbyć się niepotrzebnych gruntów, tyle że nie należy ich wyprzedawać w panice, a po prostu przeznaczyć pod budownictwo społeczne. Rekompensatę za to powinien wypłacić Poczcie Skarb Państwa.

Trzeba również podjąć decyzję co do przyszłości Banku Poczty, w którym Poczta ma trzy czwarte udziałów (reszta należy do PKO BP). To kolejny przykład niewykorzystanego potencjału Poczty, bo przecież taki bank z gigantyczną siecią oddziałów powinien mieć silną pozycję na rynku, a dziś Poczta zupełnie nie ma na niego pomysłu i najchętniej by się go pozbyła.

Jak we wszystkich spółkach Skarbu Państwa, potrzebny jest głęboki audyt, pokazujący skalę strat i politycznego uwikłania. Jednak najważniejsza kwestia to sensowna strategia na przyszłość. Jeśli Poczta Polska ma stać się potężnym operatorem logistycznym, potrzebuje równie potężnych pieniędzy z budżetu na rozwój. A przy okazji gruntownej zmiany wystroju i asortymentu swoich placówek. Bo dzisiaj dobrze ilustrują one mizeryę tej wciąż przecież cennej marki.

CEZARY KOWANDA



© RAFAL MICHALOWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, JANUSZ FAJTO



Nowy rząd w sprawach energetyki będzie musiał podjąć wiele trudnych decyzji. W tym najpilniejszą: co zrobić z cenami prądu w 2024 r.? Mrozić, schładzać czy uwolnić? To pytanie warte kilkadziesiąt miliardów złotych.

ADAM GRZESZAK

Za mrożeniem, a przynajmniej chłodzeniem, a potem etapowym odmrażaniem, opowiada się prezes Urzędu Regulacji Energetyki Rafał Gawin. Jest pod wrażeniem wniosków taryfowych na 2024 r., jakie przyniosły mu do zatwierdzenia spółki zaopatrujące odbiorców domowych w energię elektryczną. Jeśli nie przedłużymy zamrożenia cen, rachunki za prąd wzrosną o kilkadziesiąt procent. Społeczeństwo może tego nie zaakceptować – ostrzega.

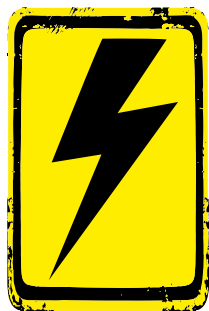
Forum Energii, niezależny think tank energetyczny, wylicza, że ten wzrost w praktyce może oznaczać ok. 100 zł miesięcznie, jakie musiałyby zapłacić dodatkowo przeciętne gospodarstwo domowe. Oczywiście jednym rachunek wzrósłby mniej, innym bardziej, w zależności od skali zużycia. Najbardziej wzrósłby korzystającym z ogrzewania elektrycznego i pomp ciepła.

Prezes URE nie może temu zapobiec, bo spółki wraz z projektami taryf przedstawiają mu kontrakty, jakie zawarły z producentami energii elektrycznej na dostawy w 2024 r., a kontraktowały, gdy prąd był na cenowej górze. Dziś na rynku spot, czyli w dostawach natchmiastowych cena spadła, bo mamy recesję energetyczną i konsumpcja prądu maleje, ale ceny wciąż są wyższe od tych, które płacimy. – *Cena w taryfach na 2023 r. wynosiła w przybliżeniu 1 tys. zł za megawatogodzinę (MWh), czyli ok. 1 zł/kWh, bo po takich cenach energia była kontraktowana w szczycie kryzysu w 2022 r. Rząd jednak ustawowo zapewnił odbiorcom z grupy taryfowej G cenę na poziomie 414 zł/MWh w ramach rocznych limitów – do 3–4 MWh w zależności od rodzaju gospodarstwa domowego. Ci, którzy przekroczyli ten limit, także nie płacili ceny rynkowej, ale ograniczoną cenę maksymalną wynoszącą 685 zł/MWh. Dziś rynkowa cena energii wprawdzie spadła do ok. 700 zł/MWh, ale to wciąż dużo więcej od poziomu zamrożonych cen (czyli wspomnianych 414 zł/MWh). Odmrożenie odebrane zostałoby jako spora podwyżka – tłumaczy Agnieszka Głośniewska, rzeczniczka URE.*

A przecież sam koszt energii to tylko połowa rachunku, jaki płacimy, bo do tego dochodzą usługi sieciowe i przesył energii, inne obowiązkowe opłaty, w tym dla elektrowni węglowych za gotowość do produkcji energii. ►

► A jeszcze trzeba doliczyć własne koszty dostawców energii oraz marżę. Prezes URE zwykle jeszcze się targuje, bo spółki dopisują sobie do rachunków czasem jakieś ekstrapieniądze, które trudno uznać za koszty uzasadnione, ale wielkich oszczędności z tego nie ma.

Zwłaszcza że rząd PiS zniósł tzw. obbligo giełdowe, czyli obowiązek hurtowego handlu na Towarowej Giełdzie Energii, co skomplikowało realną wycenę energii. Wcześniej większość wytwarzanego prądu musiała być sprzedawana w anonimowych transakcjach giełdowych po to, by kupująca spółka obrotu nie wiedziała, od którego producenta kupuje, natomiast by wszyscy wiedzieli, jaki jest poziom cen. Chodziło o to, by uniknąć handlu między spółkami należącymi do jednej grupy, po sztucznie zawyżonych cenach. Bo większość spółek dystrybucyjnych i wytwórczych należy do kilku państwowych koncernów (PGE, Tauron, Energa), więc wszystko koniec końców trafia do wspólnej kasy.



Perpetuum mobile

Jak działa ten mechanizm, pokazuje dotychczasowa operacja zamrożenia cen energii elektrycznej. Wprowadzono ją w 2022 r. pod

ciśnieniem gwałtownego wzrostu cen energii spowodowanego skutkami wojny w Ukrainie.

Początkowo zakładano, że uda się stworzyć ekonomiczne perpetuum mobile. Bo spółki energetyczne notujące nadzwyczajne zyski miały się nimi dzielić i z tych pieniędzy pokrywać deficyt wywołany koniecznością sprzedaży prądu niektórym odbiorcom poniżej kosztów. W praktyce oznaczało to, że państwowe koncerny najpierw odprowadzały pieniądze do Funduszu Wyплаты Różnicy Ceny, a potem z niego inkasowały rekompensatę za sprzedaż energii (podobnie było z gazem) po zamrożonych cenach. I nagle okazało się, że ten mechanizm stał się nowym źródłem dochodów dla spółek energetycznych, które więcej z funduszu biorą, niż do niego wkładają. Jak policzyła gazeta „Parkiet”, niedobór wyniósł ok. 10 mld zł, które musiały pójść z publicznej kasy (oczywiście wszystko tradycyjnie

z cudownego worka Funduszu Przeciwdziałania Covid-19). Czyli jakkolwiek by liczyć, za to dobrodziejstwo mrożenia i tak wcześniej czy później sami zapłacimy.

Dlaczego jednak producenci energii w tak trudnym momencie windują ceny, by uzyskiwać nadzwyczajne zyski? To uboczny efekt mechanizmu kształtowania cen prądu na unijnym rynku zwany merit order. Polega on na tym, że cenę energii wyznacza zawsze najdroższa instalacja produkcyjna (blok w elektrowni, elektrociepłowni), która jest niezbędna do pokrycia aktualnego zapotrzebowania systemu elektroenergetycznego. O tym, która jednostka jest droższa, a która tańsza, decydują koszty zmienne, czyli cena spalanego paliwa i potrzebnych uprawnień do emisji CO₂. W każdej godzinie wszyscy wytwórcy inkasują taką cenę, jaką wyznacza najdroższy uczestnik piramidy technologicznej, a w szczycie bywa, że może ona przekroczyć nawet 4 tys. zł/MWh.

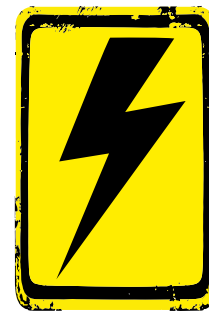
Zwykle najwyższe koszty mają elektrownie gazowe, a w czasie kryzysu gazowego cena tego paliwa w UE poszybowała do niespotykanych poziomów, ciągnąc za sobą ceny energii elektrycznej i nakręcając zyski spółek energetycznych.

Gaz ziemny ma wiele zalet, jest paliwem niskoemisyjnym, a elektrownie gazowe świetnie sprawdzają się jako źródła szczytowe i interwencyjne włączane okresowo, w sytuacjach, gdy bilans energetyczny zaczyna trzeszczeć. Dobrze uzupełniają się z elektrowniami wiatrowymi i fotowoltaicznymi, kiedy te na skutek kapryśności pogody nie zapewniają wystarczająco wiele energii. Tylko ta cena gazu...

System merit order jest rynkowym mechanizmem mającym skłaniać do transformacji energetycznej, jednak w kryzysowej sytuacji okazał się sporym problemem, dlatego teraz Bruksela wzywa, by od przyszłego roku wrócić do mechanizmów rynkowych, bo ceny paliw, zwłaszcza gazu i węgla, spadły, a i same ceny energii elektrycznej na europejskim rynku wróciły do akceptowalnych poziomów.

Tyle że nie dotyczy to Polski, bo nasze ceny prądu (oczywiście te rynkowe, a nie mrożone) należą do jednych z najwyższych w UE. W dużej części jest to efekt tego, że niechętnie transformujemy energetykę i trzymamy się węgla. A dziś najważniejsze paliwo, z którego korzystają elektrownie, czyli węgiel kamienny z polskich kopalń jest najdroższy w Europie. Taniej byłoby go kupować

i sprowadzać do śląskich elektrowni z portów w Amsterdamie czy Rotterdamie. A mimo tych wysokich cen Polska Grupa Górnicza znajduje się na skraju upadłości. Tak w praktyce wygląda bezpieczeństwo energetyczne, jakie ma nam gwarantować polskie czarne złoto.



Polska droga energia

Nic więc dziwnego, że Polska ma problem z odmrażaniem cen energii, bo w latach 2022–23 rozmaitych form subsydiowania cen prądu

dla odbiorców domowych, ale też samorządów, małych i średnich firm, a nawet największych energochłonnych zakładów, było wiele. Sprzyjała temu kampania wyborcza, więc rząd przyznawał hojnie ulgi i bonifikaty, niektóre nawet z mocą wsteczną, licząc na wdzięczność przy urnach. Ale, jak powiedział klasyk, czyli Jarosław Kaczyński, „ludzie nie zagłosowali z wdzięczności”, więc teraz nowy rząd odziedziczył problem cen energii, które nie pokrywają kosztów jej wytworzenia, za to rodzą problem ze splatą zaciągniętych długów.

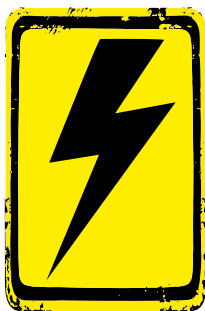
Jacek Sasin w imieniu ustępującego starego rządu zapowiedział już ustawę przedłużającą subsydiowanie cen energii w 2024 r. – *W tym roku wydamy na odchodzenie od rynku energii 90 mld zł. Czyli tyle, ile ma kosztować pieruska elektrownia jądrowa, którą ma wybudować Westinghouse* – wyjaśnia Grzegorz Onichimowski, twórca Towarowej Giełdy Energii, a dziś ekspert Instytutu Obywatelskiego i jeden z twórców programu energetycznego nowego rządu. Dyskusję ekspertów podczas konferencji „Energia, klimat po wyborach. Gdzie zacząć?” zdominował temat – jak nowy rząd ma zabrać się do ratowania sypiącej się, drogiej i niewydajnej polskiej energetyki? I co z tym mrożeniem?

Kiedy trwały prace nad umową koalicyjną, pojawiały się przecieki, że znajdzie się tam także sprawa cen energii w 2024 r. Ostatecznie jednak tak się nie stało. Choć umowa zawiera dział dotyczący energii i klimatu, w którym określono priorytety przyszłego rządu, to jednak najgorętszego tematu nie obejmuje. Są tam kwestie bardzo ogólne, czyli m.in.

odblokowanie rozwoju energetyki odnawialnej czy zakaz wykorzystywania wpływow ze sprzedaży uprawnień do emisji CO₂ do innych celów niż transformacja energetyczna, ale nic o mrożeniu. – *Sam nie jestem entuzjastą mrożenia cen energii, ale zapewne będzie to konieczne. Na razie przygotowujemy kilka scenariuszy. Będą dotyczyły wyłącznie odbiorców domowych i samorządów, i to być może nie wszystkich. Tak więc będzie to raczej chłodzenie* – wyjaśnia Grzegorz Onichimowski. I dodaje: – *Ostateczne decyzje, która wersja znajdzie się w ustawie, zapadną, gdy przyszły minister finansów powie nam, ile znajdzie na to pieniędzy. Dziesięć, piętnaście czy dwadzieścia miliardów złotych?*

Ekspertcy podpowiadają rozwiązania raczej chłodzące niż mrożące: uwolnienie cen i wprowadzenie kryterium dochodowego dla beneficjentów niskich cen, bonów energetycznych dla osób zagrożonych ubóstwem energetycznym. Pomysły może i niezłe, ale politycznie ryzykowne i trudne w technicznej realizacji. Zwłaszcza że czasu zostało niewiele. – *Jestem za powrotem do mechanizmów rynkowych, ale obawiam się, że nie da się*

tego zrobić od stycznia 2024 r., bo wywoła to skok inflacji – ostrzegła Dorota Dębińska-Pokorska, liderka grupy energetycznej PwC.



Cyrograf węglem pisany

Tak więc ustawa mrożąca w wersji Sasina trafi z pewnością do kosza, bo koalicja przedstawi własny projekt. Będzie miał tę zaletę, że jej

twórcy zamierzają w niej zaszyć szereg dodatkowych uzgodnionych zmian w energetyce, takich jak np. przywrócenie obliża giełdowego czy liberalizację zasad budowy farm wiatrowych czy zakaz spalania w elektrowniach drewna z polskich lasów. Prezydentowi trudno będzie taką ustawę zawetować. Nie da się jednak zaszyć w jednej ustawie wszystkich rozwiązań, jakie są niezbędne. Zwłaszcza że trzeba wcześniej

je dopracować i uzgodnić po konsultacji z branżą energetyczną. Najpierw więc musi się zmienić sama branża, którą w ostatnich latach PiS obsadził swoimi działaczami, mającymi na ogół mizerne pojęcie o energetyce.

Największy dziś problem dotyczy przyszłości energetyki węglowej, która wraz z transformacją energetyczną traci ekonomiczną rację bytu, ale będzie jeszcze długo niezbędnym elementem naszego bilansu energetycznego. Rząd PiS rzucił pomysł NABE, czyli Narodowej Agencji Bezpieczeństwa Energetycznego, państwowego podmiotu, który przejąłby wszystkie elektrownie węglowe i utrzymywał je przy życiu tak długo, jak będzie to konieczne, pokrywając związane z tym straty. Pomysłu tego nie zdołał zrealizować, głównie ze względu na opór związkowców, dla których widmo końca węglowej energetyki jest nie do przyjęcia. PiS podpisał przecież cyrograf, że do 2049 r. będziemy kopać węgiel. Tymczasem zanosi się, że już po 2030 r. ten węgiel do niczego nie będzie potrzebny. Tylko kto o tym powie górnikom?

ADAM GRZESZAK

REKLAMA



TOK FM Premium

60% taniej

BLACK WEEKS

AUDYCJE RADIOWE

PODCASTY

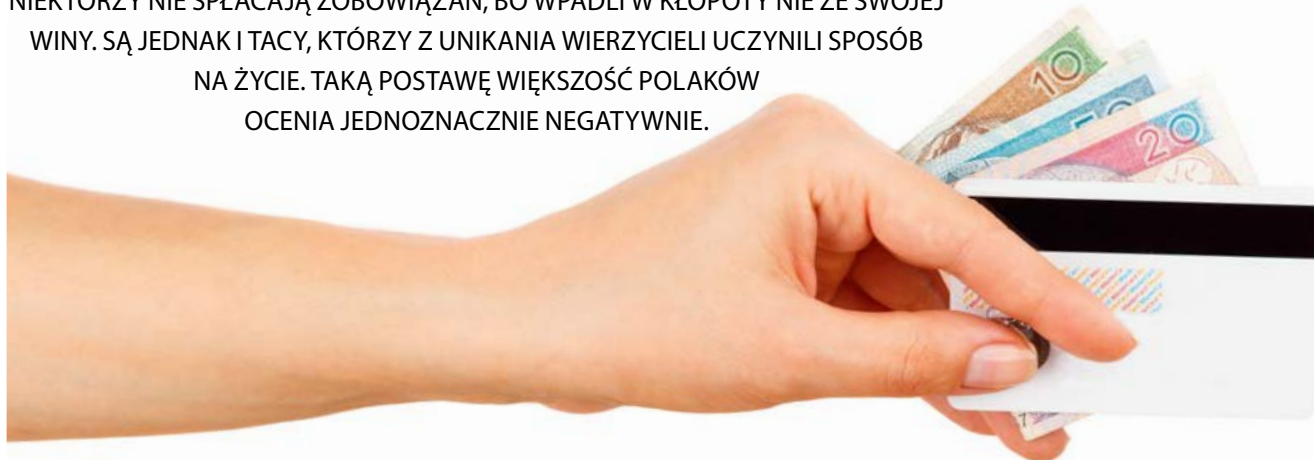
RADIO TOK FM BEZ REKLAM

Kup teraz na tokfm.pl/premium



Dłużnik dłużnikowi nierówny

NIKTÓRZY NIE SPŁACAJĄ ZOBOWIĄZAŃ, BO WPADLI W KŁOPOTY NIE ZE SWOJEJ WINY. SĄ JEDNAK I TACY, KTÓRZY Z UNIKANIA WIERZCIELI UCZYNILI SPOŚÓB NA ŻYCIE. TAKĄ POSTAWĘ WIĘKSZOŚĆ POLAKÓW OCENIA JEDNOZNACZNIE NEGATYWNIE.



W ubiegłym tygodniu (17 listopada) obchodzono symboliczny Dzień bez Długów. Trudno go nazwać świętem – jest raczej chwilą refleksji nad naszą kondycją finansową. A ta w ostatnich latach została wystawiona na bardzo poważną próbę. Najpierw pandemia pogorszyła zwłaszcza sytuację tych osób, które praktycznie z dnia na dzień straciły możliwości zarobkowania, a rekompensaty ze strony państwa tylko w pewnym stopniu wyrównały ich straty. Gdy covidowe ograniczenia zaczęły znikać, gwałtownie wzrosła inflacja. Poprzedniej zimy osiągnęła ona poziom ponad 18 proc. rocznie, dotykając wszystkich Polaków bez wyjątku, bo przecież drożyzna zaatakowała każdą branżę gospodarki. Nic dziwnego, że wiele osób ma problemy z regulowaniem swoich zobowiązań.

Według najnowszych danych Krajowego Rejestru Długów zaległości Polaków wynoszą już ok. 45 mld zł. To o prawie 3 mld zł więcej niż rok wcześniej. – *Niestety najbliższe miesiące nie przyniosą poprawy. Gospodarka odbije najwcześniej dopiero w pierwszej połowie przyszłego roku. Inflacja jest nadal spora i nie należy się spodziewać, że szybko zejdzie do poziomu 2,5 proc., do tego ceny paliw zaczynają być realne, czyli wysokie. Nie wiadomo, czy podatek VAT na żywność od 1 stycznia zostanie utrzymany na poziomie 0 proc. Nie wiadomo też, o ile zdrożeją po Nowym Roku prąd i gaz. A wszystkie te elementy mają wpływ na to, ile osób wpadnie w długi* – ocenia Adam Łącki, prezes zarządu Krajowego Rejestru Długów.

Łącznie dłużnikami jest ok. 2,3 mln Polaków. To osoby, które zalegają z ratami kredytów i pożyczek czy też nie regulują na czas rachunków – przykład

za telefon, internet, telewizję, prąd, gaz czy mieszkanie. Warto podkreślić, że samo posiadanie kredytów nie czyni z nas automatycznie dłużników. Tym słowem określa się dopiero tych, którzy spóźniają się w spłacie kolejnych rat. Przeciętny dłużnik ma łączne zaległości na kwotę ponad 19 tys. zł. Oznacza to, że ich spłata pochłonięłaby prawie cztery przeciętne miesięczne pensje. Blisko połowa łącznego zadłużenia Polaków, według danych Krajowego Rejestru Długów, należy do osób zwanych multidłużnikami. To ci, którzy mają niezapłacone zobowiązania u co najmniej trzech wierzycieli. Wpadają oni w spiralę zadłużenia, z której bardzo ciężko się wydostać. W takiej sytuacji jest około miliona Polaków, których łączne zaległości przekroczyły 20 mld zł. Rekordzista w tej grupie doszedł już do 190 zobowiązań wartych w sumie 2,2 mln zł.

Kwestia zadłużenia wywołuje spore emocje w naszym społeczeństwie.

Według najnowszych badań przeprowadzonych przez Krajowy Rejestr Długów aż 44 proc. ankietowanych wołałoby w swoim najbliższym otoczeniu unikać osób, które są zadłużone, mimo że mają pieniądze na spłatę swoich zobowiązań. Co czwarty pytany uzależnia swoją reakcję w takiej sytuacji od przyczyn zadłużenia. Tylko 13 proc. twierdzi, że nie przeszkadza im, gdy osoby bliskie nie spłacają długów, chociaż mają na to środki. Co ciekawe, najbardziej krytyczni wobec dłużników są młodzi Polacy z grupy wiekowej 18–24 lata. Prawie połowa ankietowanych uważa, że zalegający z płatnościami, którzy mają wolne środki finansowe, to osoby nieodpowiedzialne, a ponad 40 proc. nazywa je wprost nieuczciwymi. Zaledwie 13 proc.

uczestników badania nazywa takich dłużników ludźmi sprytnymi, a tylko 3 proc. – zaradnymi życiowo.

Taka postawa ma istotny wpływ na resztę społeczeństwa. W badaniu Krajowego Rejestru Długów 44 proc. pytanym przekonuje, że dłużnicy niespłacający swoich zobowiązań z wyboru, a nie z konieczności, dają zły przykład innym, przez to poszerza się grono osób nieuczciwych. Jedna trzecia ankietowanych zwraca uwagę na fakt, że taka postawa może prowadzić do wyższych kosztów ponoszonych przez innych konsumentów, bo wzrośnie na przykład oprocentowanie kredytów. To solidni klienci będą musieli niejako zrekompensować straty spowodowane przez tych nieuczciwych. Tylko 15 proc. badanych nie obawia się negatywnego wpływu i uważa, że osoby uczciwe takimi pozostaną bez względu na zachowanie ich otoczenia.

Ciekawe wnioski przynosi pytanie o to, która grupa wiekowa jest najbardziej niesolidna w terminowym regulowaniu swoich zobowiązań. 45 proc. pytanym twierdzi, że problem dłużników nie ma podłoża pokoleniowego, ale aż 55 proc. jest innego zdania. Jednak na tym jednomyślność się kończy. Część ankietowanych uważa bowiem, że to młodsze pokolenie jest nieroztropne, pożyczka pochopnie, a potem nie spłaca zobowiązań (20 proc. odpowiedzi), ma inne priorytety oraz łatwiej znajduje na to usprawiedliwienie (po 15 proc. wskazań). Są jednak i tacy, którzy wskazują raczej na starsze pokolenie jako bardziej skłonne do takich negatywnych zachowań.

Tymczasem poważne konsekwencje zadłużenia można odczuć w każdym wieku. Czasem jedynym wyjściem okazuje się ogłoszenie upadłości konsumenckiej.

Popularność tego rozwiązania rośnie od 2020 r., gdy zmieniły się przepisy. Wcześniej upadłość mogła nastąpić tylko, jeśli dramatyczna sytuacja finansowa nie mogła być w żadnym stopniu zawiniona przez dłużnika. Jednak tego warunku w przepisach już nie ma. W pierwszym półroczu liczba osób, w przypadku których sądy ogłosiły taką upadłość, przekroczyła 10 tys. Według analiz Centralnego Ośrodka Informacji Gospodarczej liczba upadłości w tym roku może dojść do 20 tys., co byłoby nowym rekordem. Dla porównania w ubiegłym roku z upadłości skorzystało nieco ponad 15 tys. osób. Wiele dziś ogłaszanych bankructw ma swoje źródło jeszcze w okresie pandemii, a sytuację dodatkowo pogorszył długi okres bolesnej inflacji, zdecydowanie przewyższającej podwyżki wynagrodzeń.

Warto jednak pamiętać, że upadłość to rozwiązanie ostateczne, a nie prosty sposób na pozbycie się długów.

Orzeka ją wyłącznie sąd, który równocześnie określa plan spłaty zobowiązań dłużnika – może on potrwać nawet siedem lat. Oczywiście upadłość oznacza utratę całego majątku łącznie z mieszkaniem czy domem. Osoby, których przeterminowane zobowiązania rosną, powinny najpierw negocjować z wierzycielami. Tymczasem wiele z nich unika kontaktu, mając złudną nadzieję, że w ten sposób ich zobowiązania w cudowny sposób znikną. Wypracowanie sensownego planu spłat jest najczęściej dużo korzystniejszym rozwiązaniem niż dążenie do upadłości konsumenciej. Zwłaszcza że sąd jej nie orzeknie, jeśli stwierdzi złą wolę dłużnika, który na przykład ukrywa część swojego majątku albo celowo nie reguluje zobowiązań.

Problemy ze spłatą należności wynikają często z naszej wciąż niewystarczającej wiedzy finansowej. Zwłaszcza osoby ze starszego pokolenia w czasie swojej młodości nie otrzymały żadnej edukacji ekonomicznej, która pojawiła się w programach szkolnych dopiero niedawno i wciąż w formie niewystarczającej. Wśród osób ankietowanych przez firmę KRUK SA 45 proc. stwierdziło w tym roku, że popadanie w długi w dużej mierze spowodowane jest słabą edukacją finansową w naszym kraju, a zdaniem kolejnych 39 proc. to przynajmniej w części powód kłopotów z niespłacanymi zobowiązaniami. Tylko 16 proc. badanych nie widzi żadnego związku między długami a deficytami wiedzy ekonomicznej Polaków.

Co ciekawe, raczej wystawiamy sobie nieźle stopnie w tym zakresie. 39 proc. ankietowanych dobrze ocenia swoje możliwości zarządzania finansami domowymi, a kolejne 53 proc. uważa je za średnie. Tylko 8 proc. przyznaje się do istotnych

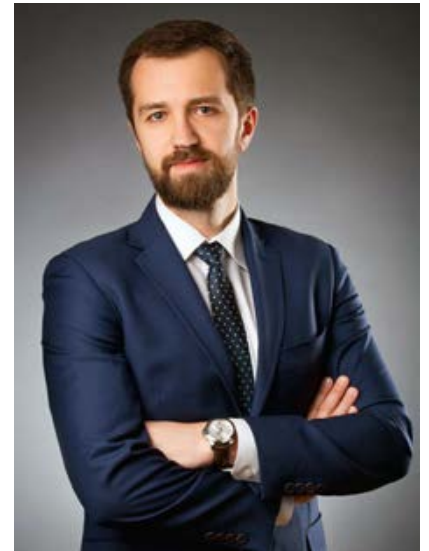
deficytów. Czy zatem nie ma powodów do zmartwień? Niekoniecznie. Jedna trzecia badanych zdecydowanie chciałaby poszerzyć swoją wiedzę, wykorzystywaną do skutecznego zarządzania domowymi finansami, a kolejne 30 proc. widzi taką potrzebę przynajmniej w pewnym stopniu. Niezmiennie największą rolę w pogłębianiu edukacji ekonomicznej widzimy... u samych siebie (aż 56 proc. wskazań). Jednak zdaniem połowy ankietowanych takie zadanie muszą wziąć na siebie szkoły średnie, a ponad jedna trzecia oczekuje pomocy ze strony szkół podstawowych oraz własnej rodziny.

A jak wypadamy na tle europejskim?

Problem długów i dłużników dotyczy oczywiście wszystkich krajów. Według ubiegłorocznych badań European Consumer Payment Report, przeprowadzonych przez firmę Intrum, aż 37 proc. Polaków przyznało się do niezapłacenia w terminie w ciągu poprzednich 12 miesięcy przynajmniej jednego rachunku. Średnia dla wszystkich krajów europejskich to 29 proc. Gorszy niż u nas wynik tego pytania był tylko w Grecji, Rumunii, Szwajcarii, Finlandii i Norwegii. Aż 70 proc. ankietowanych Polaków przyznało, że obawy o to, czy będą w stanie regulować wszystkie zobowiązania, wpływają na ich samopoczucie. To również wynik znacznie powyżej średniej europejskiej (58 proc.). Gwałtowny wzrost stóp procentowych wpłynął mocno na naszą gotowość do zaciągania kolejnych kredytów i pożyczek – aż 71 proc. pytanych boi się tego bardziej niż przed podniesieniem stóp. Badanie obnażyło też naszą rzeczywistą wiedzę ekonomiczną. Co prawda 59 proc. ankietowanych Polaków uznało ją za bardzo lub wystarczająco dobrą, ale równocześnie 58 proc. źle odpowiedziało na testowe pytanie, dotyczące wpływu inflacji na wysokość rachunku za prąd.

Dzień bez Długów nie ma na celu stigmatyzowania ani ośmieszania. Przeciwnie, jego celem powinno być uświadomienie nam wszystkim, że problem zaległości finansowych może dotknąć każdego, bez względu na wiek, wykształcenie czy miejsce zamieszkania. Często w spiralę długów wpada się nie z własnej winy, ale z powodu okoliczności życiowych jak choroba, utrata bliskiej osoby czy oszustwo. Niestety są też tacy, którzy w niespłacaniu zobowiązań widzą po prostu metodę życia na koszt innych. Odpowiednie przepisy i działania organów państwa powinny mieć na uwadze to rozróznienie dłużników – pomagać tym pierwszym wydestakować się ze spirali długów i bezwzględnie karać tych drugich, którzy spełnianie swoich zachcianek przedkładają nad uczciwe życie.

CEZARY KOWANDA



PRZEMYSŁAW MAŁECKI

Rzecznik Prasowy
Krajowej Rady Komorniczej

Problemy z regularnymi płatnościami, a także w ogóle z płatnościami dotyczą coraz większej liczby osób. Oczywiście powody to rosnące ceny, inflacja i wysokie stopy procentowe. Spirala długów wynika z braku możliwości spłaty zobowiązań przez ich wysokie koszty. Obecnie około 3 milionów Polaków (np. w 2016 roku było to 1,5 mln) pobiera minimalne wynagrodzenie, które jest wolne od potrąceń. Mówiąc wprost, nie można z niego prowadzić egzekucji. Co za tym idzie, bank w przypadku udzielenia kredytu nie ma możliwości zabezpieczenia swojego roszczenia. Bank, otrzymując wnioski o kredyt, już wie, że w przypadku braku jego spłaty przez kredytobiorcę nic nie wyegzekwuje. W konsekwencji takiego klienta odrzuca z uwagi na brak zdolności kredytowej. Co nie mniej istotne, robi to pomimo tego, że przeciwko tej osobie nie jest prowadzone żadne postępowanie egzekucyjne, jest całkowicie wypłacalna, a środki są jej potrzebne na uzasadnione potrzeby i spłacałaby udzielony jej kredyt. W takim stanie rzeczy jest jednak dla banku nieatrakcyjna jako kredytobiorca. Takie sytuacje powodują, że osoby te udają się po wsparcie finansowe do tzw. chwilówek. Wtedy zamiast oprocentowania na poziomie oferowanym przez bank, pozbawiony możliwości wyboru bierze chwilówkę z bardzo wysokim oprocentowaniem. A przez to rata do spłaty jest wielokrotnie wyższa, niż byłaby w banku.

Umożliwienie egzekucji z minimalnego wynagrodzenia na poziomie np. 25% nie tylko przywróci zdolność kredytową 3 mln Polaków, realnie obniży koszty udzielanych kredytów, ale i poprawi sytuację wierzycieli, którzy nie mogą odzyskać środków od swoich dłużników z uwagi na stale i drastycznie rosnące minimalne wynagrodzenie.

MATERIAŁ PRZYGOTOWANY PRZEZ:



Krajowa Rada Komornicza

Fuchy i fochy



PiS straszy radykalną zmianą unijnych traktatów, która się nie wydarzy. Ale jednocześnie utrudnia przyszłemu rządowi dyskusję nad reformą Unii, która jest niezbędna.

ILUSTRACJA MIROSLAW GRYŃ

Politycy zwycięskiej koalicji już podróżują po świecie i częstują uśmiechami rozmówców, zapewniając o powrocie Polski do Europy. I że od teraz już wszystko będzie jak dawniej. Trudno chyba o przyjemniejszą fuchę, bo to pozornie trudne zadanie „odbudowy międzynarodowej pozycji Polski” przypomina na razie wyważanie otwartych drzwi.

Od czasów Tadeusza Mazowieckiego żaden polski rząd nie miał tak wielkiego kredytu zaufania u partnerów zagranicznych, jak będący dopiero w powijakach gabinet Donalda Tuska. W Brukseli wciąż słychać westchnienia ulgi po polskich wyborach. Trzeba wręcz tonować rozbudzone oczekiwania, jak to „nowa” Polska z parweniusza nagle przemieni się w lidera europejskiej awangardy.

Bo podczas gdy Europa generalnie cieszy się z nowego politycznego rozdania w Polsce, to na krajowym podwórku zwiastuje ono zasadniczą – i chłodzącą entuzjazm – zmianę parametrów dyskusji europejskiej. Czeką nas bezpardonowa batalia o Europę, którą nowy rząd będzie musiał stoczyć z prześcigającą się w antyunijnym uniesieniu opozycją.

PiS, pozbawiony hamulców wynikających ze sprawowania władzy, radykalizuje się z dnia na dzień, a Konfederacja łatwo tereń nie odda. Próbkę antyunijnej ofensywy mieliśmy już w noc wyborczą, kiedy występujący w TVN Jarosław Sellin oskarżył Tuska o to, że położy – ni mniej, ni więcej – „kres niepodległości Polski”, godząc się na reformy unijnych traktatów. Później było już tylko gorzej.

Wiele wskazuje, że to właśnie nowa strategia PiS na przyszłoroczne wybory samorządowe i europejskie. Będą opowieści o sprzedawczykach polskiego interesu, wszechwładnych berlińsko-brukselskich elitach i końcu świata (a na pewno Polski), który nastąpi w wyniku knutego przez nich wszystkich spisku.

Tak się rodzi nowy mit polskiej prawicy, który ma siać strach i mobilizować publikę oraz na nowo zdefiniować linię polaryzacji w polskiej polityce. Czy to misja straceńcza, bo Polacy przecież tak bardzo kochają Unię? Czy też początek prawdziwego końca konsensu wokół UE? To się dopiero okaże.

Europarlament w awangardzie

Ten antyunijny mit prawicy osnuty jest wokół złowrogiej wizji reformy Unii, która czai się jakoby tuż za rogiem. Nieuchronnie doprowadzi ona do powstania francusko-niemieckiego kondominium. A koronnym dowodem na to ma być powstały w Parlamencie Europejskim plan zmian unijnych traktatów, który izba może przyjąć w tym tygodniu. Owe pomysły reform rzeczywiście zaczerpnięte są z federalistycznych manifestów. I gdyby miały zostać zrealizowane, faktycznie zmieniłyby Unię nie do poznania.

Dzisiaj, cokolwiek by powiedzieć o ponadnarodowych strukturach w Brukseli, to państwa członkowskie mają ostatnie zdanie w Unii. Natomiast według wspomnianych propozycji Komisja miałaby się stać „egzekutywą”, czyli de facto rządem, odpowiadającym tylko przed Parlamentem Europejskim. Rola państw członkowskich zostałaby zmarginalizowana, kluczową rolę odgrywałby prezydent Unii, stojący na czele nowej „egzekutywy”.

Byłby to niemal klasyczny model parlamentarny, przypominający bardziej państwo federalne niż organizację międzynarodową. Żaden kraj nie miałby prawa weta i można by go karać

za niestosowanie się do zasad Unii, której to kompetencje rozszerzone zostałyby na szereg nowych obszarów.

To pomysły księżycowe. Albo polityczno-intelektualna prowokacja, jak kto woli. W większości stolic reakcją na te pomysły części europosłów jest wzruszenie ramion lub puknięcie się w czoło. Nie tylko polski rząd – stary czy nowy – nie zamierza nawet myśleć o takich zmianach. W prasie europejskiej też nie wzbudziły one większego zainteresowania. W zasadzie jedynym wyjątkiem jest tu Polska, bo pomysły części europosłów pasują jak ulał do składanej mozolnie przez PiS antybrukselskiej opowieści.

Jeśli Parlament Europejski raport przyjmie – a taka szansa istnieje, bo wielu posłów uważa się za liderów europejskiego federalizmu – to ekstaza obrońców niepodległości sięgnie zenitu. Oczywiście skrzętnie przemilczając fakt, że taki projekt europarlamentu ma charakter niewiążącej uchwały, a szanse nie tylko jego realizacji, lecz nawet dalszego procedowania są równe zeru. Decyzja o choćby rozpatrzeniu proponowanych zmian wymaga bowiem jedności wszystkich krajów UE, a dziś ze świecą szukać choćby nawet jednego, który paliłby się do poparcia takiego pomysłu.

A gdyby nawet – w jakiejś baśniowej rzeczywistości – wszyscy się na to zgodzili, to ostateczny kształt zmienionego traktatu muszą zatwierdzić także wszystkie co do jednego kraje członkowskie, a także ich parlamenty, zaś w niektórych państwach wymagane jest referendum. Perspektywy unijnego superpaństwa, które wchłonę naszą biedną ojczyznę według projektu grupy posłów do PE, nie są więc lepsze niż szanse realizacji nowego traktatu o UE pisanego przez prawników Jarosława Kaczyńskiego, który nigdy nie powstał.

Najpierw reforma, potem rozszerzenie

Fałszywe larum podnoszone przez PiS będzie miało jednak ten skutek, że pole manewru nowego rządu w dyskusji nad przyszłością UE będzie zawężone. Tymczasem ta dyskusja, także dotycząca zmian instytucjonalnych, właśnie nabiera tempa. I oprócz federalistycznych mrzonek jest w niej wiele innych wątków, których już nie sposób zignorować.

Przyczyną zainteresowania reformą Unii jest powrót tematu rozszerzenia o nowe kraje. W czerwcu ubiegłego roku Ukraina i Mołdawia uzyskały status kandydatów do Unii, a na najbliższym szczycie UE w grudniu w Madrycie najprawdopodobniej zapadnie decyzja o rozpoczęciu negocjacji akcesyjnych. Obudziły się też kraje bałkańskie, które w uchylonych przez UE drzwiach dla walczącej z Rosją Ukrainy widzą szansę na spełnienie własnego marzenia o członkostwie.

Unia żyje więc dziś powtarzaną na wszystkich salonach opowieścią o „powrocie rozszerzenia” i konieczności jego geopolitycznej realizacji: pozostawienie europejskich sąsiadów na pastwę Rosji czy Chin zagrażałoby bezpieczeństwu UE. Ale taka perspektywa – powiększenia UE z 27 do nawet 35 krajów – również zapala czerwone lampki w wielu unijnych stolicach.

O tym, że powiększona UE nie będzie w stanie efektywnie działać, najgłośniej mówią Niemcy. Kanclerz Olaf Scholz w sierpniu 2022 r. wygłosił w Pradze głośne przemówienie, w którym stwierdził, że ograniczenie prawa weta w sprawach dotyczących unijnej polityki zagranicznej powinno być jednym z warunków przyjmowania nowych członków.

Powód nie jest błahy. Weto coraz częściej staje się instrumentem szantażu, a nie obrony żywotnych interesów państw ►

► członkowskich, co jest jego prawdziwą funkcją. Prym wiodą tu Węgry, które właśnie nie chcą się zgodzić na przyznanie kluczowego wsparcia dla Ukrainy w wysokości 50 mld euro na lata 2024–27, jeśli UE nie odblokuje im pieniędzy zamrożonych ze względu na problemy z rządami prawa. Tę strategię Viktor Orbán realizował z sukcesem już w przeszłości, każąc sobie np. osładzać zgodę na sankcje wobec Rosji ustępstwami w sprawach niemających nic wspólnego z wojną w Ukrainie.

Kraje kandydujące do UE mają też wiele sporów między sobą lub z krajami UE (np. Północna Macedonia z Bułgarią albo Ukraina z Węgrami) i wizja, że ważne decyzje unijne staną się ich zakładnikami, mrozi nawet największych orędowników rozszerzenia. Stąd postulat, by zwiększyć zakres stosowania głosowania tzw. kwalifikowaną większością głosów (55 proc. krajów UE reprezentujących przynajmniej 65 proc. ludności UE) w wybranych sprawach.

Taki system obowiązuje już w odniesieniu do ok. 75 proc. decyzji podejmowanych przez UE, w tym kluczowych z zakresu energetyki, handlu, wspólnego rynku czy polityki konkurencji. Niemcy chcieliby, by w ten sam sposób głosować decyzje o sankcjach, stanowisku UE w sprawach takich jak wojna w Izraelu czy o postępach w negocjacjach akcesyjnych. A kiedyś może także o niektórych podatkach. Ale o tym, czy taka zmiana mogłaby być wprowadzona, także zadecydować muszą wszystkie państwa jednomyślnie. Droga więc do tego daleka.

Ile to będzie kosztować

Inne kraje, jak państwa nordyckie czy Holandia, mówią, że nie ma mowy o rozszerzeniu, jeśli Unia nie wzmocni swych mechanizmów ochrony praworządności. „Przyjmujemy taką Albanie, potem zaczyna się tam historia jak w Polsce lub na Węgrzech, i co wtedy zrobimy?” – można usłyszeć z ust tamtejszych dyplomatów.

A więc, argumentują, trzeba „na twardo” uzależnić wypłatę środków unijnych od przestrzegania zasad UE, wprowadzić zasadę odwracalności benefitów z integracji, gdyby doszło do naruszeń traktatu, i stworzyć realną ścieżkę karaniami rządów takich, jak Orbána czy Mateusza Morawieckiego. Niestety, bez złych doświadczeń z Polską ta dyskusja nie nabrałaby takiego rozmachu.

No i pieniądze. Unia potrzebuje ich więcej – i ze względu na Ukrainę, i z powodu nowych zadań, jakie na siebie bierze – wspierania uchodźców i państw ich przyjmujących, inwestycji w zielony przemysł czy infrastrukturę energetyczną. Trwa właśnie przegląd budżetu UE. Komisja chce, by oprócz pieniędzy obiecanych Ukrainie państwa dorzuciły jeszcze 156 mld euro na pokrycie innych wydatków.

Nie ma na to zgody, podobnie jak w jeszcze bardziej fundamentalnej kwestii: skąd w przyszłości brać dodatkowe pieniądze (na które też Polska, np. w kwestii solidarności migracyjnej, by sobie ostrzyła zęby). Czy mamy się zadłużać jak na KPO, czy zwiększać składki do budżetu? Może wprowadzić europejskie podatki? A może zmienić sposób wydawania środków i obciążyć niektóre fundusze?

Te problemy istnieją w Unii niezależnie od tego, czy będzie się ona rozszerzać, czy nie. I dlatego w dyskusji o rozszerzeniu niektóre kraje widzą okazję, by zrobić to, co ich zdaniem od dawna było konieczne: wypracować nowy model funkcjonowania UE w najbliższych dekadach, bo ten stary się wyczerpał.

Przoduje w tym Francja, która liczy na wzmocnienie strefy euro, silniej zintegrowaną obronę europejską, strategiczną autonomię i bardziej zróżnicowaną integrację – by mniej ambitne

kraje miały swoje miejsce w drugim czy trzecim kręgu Unii. Na zlecenie MSZ Francji i Niemiec grupa ekspertów przygotowała nawet sugestie, jak takie reformy można by wprowadzić w życie. Ci, którzy mocno za nimi optują, liczą na to, że kraje członkowskie szczególnie zainteresowane rozszerzeniem zgodzą się na zmiany.

Ale to raczej błędne założenie. Mimo entuzjastycznej dzisiaj retoryki i zapewnień, że tym razem rozszerzenie musi się udać, obawy przed skutkami takiego rozszerzenia przeważają dziś nad nadziejami. Zaś niechęć do głębokich reform silniej łączy państwa członkowskie niż determinacja, by jak najszybciej otworzyć wrota Unii.

Tusk w środku

Rzeczywistość unijna w niczym nie przypomina więc tej z piosenki o Stanach Zjednoczonych Europy. Jak w przeszłości Unia będzie się zmieniać powoli i ostrożnie. I choć wynik wyborów w Polsce napawa optymizmem zwolenników silniejszej Unii, to polityczny wiatr w Europie wieje raczej w przeciwnym kierunku.

W Niemczech rośnie skrajna prawica, w Austrii już jest najpotężniejszą siłą. W Hiszpanii panuje chaos, na Słowacji rządzi populistyczny Robert Fico, a we Włoszech postfaszystka Giorgia Meloni próbuje zachowywać pozory liderki z głównego nurtu. Poza wojną w Ukrainie największym wyzwaniem pozostają przyszłoroczne wybory w USA, które w razie powrotu Donalda Trumpa do Białego Domu mogą odmienić europejską rzeczywistość bardziej niż cokolwiek innego.

Wbrew temu, co głosi PiS, nic nie wskazuje na to, by rząd Tuska miał stanąć w awangardzie federalistycznych, a nawet umiarkowanych reform Unii. Nie tylko dlatego, że mając otwarty wewnętrzny front przywracania praworządności i porządkowania kraju po rządach PiS, nie będzie miał wielkiej przestrzeni na inicjatywy międzynarodowe.

Zachowawcza postawa w sprawach unijnych jest też znaną nie od dziś postawą Tuska i jego politycznego otoczenia, któremu daleko do powiewających niebieskimi flagami euroentuzjastów. Kto w Polsce i Europie liczy na gwałtowne przedstawienie zwrotnicy w sprawach dotyczących migracji, energii, wprowadzenia euro, głosowania większościowego czy Ukrainy, dość szybko się rozczaruje.

Zmiana, jakiej należy się spodziewać, będzie polegała raczej na czym innym. Rząd Tuska będzie zainteresowany rozwiązaniem problemów unijnych, a nie zerowaniem na ich trwanie, co jest specjalnością populistów. Będzie zapewne twardo bronił interesów polskich rolników, ale nie za pomocą spektakularnych gestów, tylko w negocjacjach z Komisją i Kijowem.

Tusk nie będzie palił się do przyjmowania uchodźców w ramach relokacji, ale z Paktu Migracyjnego nie zrobi też pałki do walenia w Unię, starając się wynegocjować korzyści dla Polski. Nie będzie w końcu kwestionował prawa unijnego i kompetencji Trybunału Sprawiedliwości UE, lecz zapewne zaproponuje, jak wzmocnić mechanizmy ochrony praworządności w pragmatyczny, nierewolucyjny sposób.

To tylko tyle i aż tyle. Na takiej postawie właśnie, a nie rzekomym chodzeniu na pasku Francji i Niemiec albo wskakiwaniu do federalistycznego pociągu, polega europejski mainstream. Oby tylko wzbierający antyeuropejski foch prawicy nie zniechęcił nowego rządu do tej drogi.

PIOTR BURAS

Autor jest dyrektorem warszawskiego biura think tanku European Council on Foreign Relations.



Znikająca Ukraina

Nasz wschodni sąsiad od dekad jest jednym z najszybciej wyludniających się państw świata. Wojna doprowadziła ten kraj na skraj demograficznej katastrofy.

AGNIESZKA LICHNEROWICZ Z KIJOWA

Gdy w 1991 r. Ukraina wybiła się na niepodległość, była 22. najludniejszym państwem świata. Mieszkały tu wówczas prawie 52 mln ludzi. Tymczasem w ciągu najbliższej dekady populacja kraju może się skurczyć do zaledwie 24 mln! To najgorszy scenariusz, mniej pesymistyczna wersja prognozy przygotowanej przez prof. Elę Libanową, szefową Instytutu Demografii i Studiów Społecznych w Narodowej Akademii Nauk, mówi o 32 mln. Wszystko to na obszarze mniej więcej dwa razy większym niż Polska. Tak głęboki kryzys demograficzny może postawić pod znakiem zapytania całą powojenną odbudowę kraju.

Trudno zliczyć dotychczasowe ofiary rosyjskiej agresji. ONZ podaje liczbę prawie 10 tys. zabitych cywilów, co jest dalece niepełną statystyką. Dane na temat śmierci żołnierzy trzymane są w tajemnicy, ale to prawdopodobnie już dziesiątki tysięcy mężczyzn w sile wieku. Ponad 6 mln wojennych uchodźców jest rozrzuconych po świecie, głównie po Europie. Do tego, jak twierdzi Kijów, prawie 3 mln zostało deportowanych do Rosji – dorosłych i dzieci. Plus tysiące uwięzionych za rosyjskimi kratami.

To jednak nie wszystko. Obraz demograficznego kryzysu wojennego w Ukrainie jest niepełny jeszcze z trzech powodów. Po pierwsze, powyższe zestawienie obejmuje jedynie kilkanaście ostatnich miesięcy, a przecież wojna na wschodzie Ukrainy zaczęła się prawie dekadę temu. Po drugie, obok zgonów, utraty zdrowia fizycznego i migracji trzeba jeszcze doliczyć PTSD, przewlekły stres, choroby i biedę – wszystko to jeszcze przez lata będzie skracać ukraińskie życie. Po trzecie w końcu, wojna powoduje też coraz większy spadek liczby urodzeń, według prognoz w tym roku ukraiński wskaźnik dzietności może zanurkować do poziomu 0,7 (przy zastępowalności pokoleń na poziomie 2,1). Społeczeństwo ukraińskie będzie też jednym z najstarszych w Europie.

Poza tym rosyjski atak zaostrzył już i tak głęboki kryzys demograficzny w Ukrainie, wynikający z postsowieckiej zapaści gospodarczej, bezwzględnej transformacji i braku stabilności. Można tak się cofać dalej, do największych tragedii XX w., które były współudziałem Ukraińców, a szczególnie do Hołodomoru z lat 30., czyli ludobójstwa ponad 4 mln ludzi. Jak szacuje Jose Miguel Guzman, były szef funduszu ludnościowego ONZ i założyciel NoBrainerData, gdyby Ukraina nie przechodziła przez „powtarzające się katastrofy i migracje”, w 1990 r. jej ►

► populacja przekraczałaby 87 mln. „Jeśli brać pod uwagę liczbę śmierci, ta wojna prawdopodobnie nie będzie dla Ukrainy drugim Hołodomorem, jednak jej skutki będą prawdopodobnie gorsze – z powodu długotrwałych konsekwencji wojny oraz tego, że sąsiad pozostanie destrukcyjny” – podsumowuje demograf.

Zachęta do powrotu

Według szacunków prof. Libanowej populacja Ukrainy wynosiła na początku tego roku 37,6 mln ludzi. Ale jedna piąta terytorium Ukrainy znajduje się wtedy pod rosyjską okupacją, a to oznacza, że na ziemiach kontrolowanych przez Kijów było o 6 mln ludzi mniej. Jak pokazują sondaże i deklaracje władz, Ukraińcy są zdeterminowani, aby walczyć o powrót do uznanych międzynarodowo granic, ale nie wiadomo przecież, jak skończy się ta wojna.

Mimo to naukowcy zastanawiają się, jak ograniczyć zapaść demograficzną. – *Liczymy na powrót – no cóż, marzy mi się – 50–60 proc. tych, którzy wyjechali. Ale to praktycznie niemożliwe – mówi prof. Libanowa. – Analizowałam doświadczenia krajów bałkańskich, tam wróciło około jednej trzeciej. Sytuacja wówczas była jednak inna. Np. Niemcy właśnie się zjednoczyli i nie zależało im na dodatkowych pracownikach. Dziś każdy kraj jest zainteresowany tym, by Ukraińcy u niego zostali. Wy [Polacy – przyp. red.] się starzejecie i my się starzejemy, ale wy możecie rozwiązywać swoje problemy z pomocą naszych młodych. I będziecie to robić.*

Po rosyjskiej agresji z Ukrainy wyjechały przede wszystkim kobiety z dziećmi. Badacze szacują, że około 70 proc. emigrantek ma wykształcenie wyższe. – *To konsekwencja tego, że początkowo wyjeżdżały przede wszystkim mieszkanki miast. Ludność wiejska raczej kręci się po kraju. Wyjeżdżały szczególnie te kobiety, które liczyły, że poradzą sobie same, relatywnie młodsze, komunikatywne i z konkurencyjnym zawodem – wyjaśnia prof. Libanowa.*

W dodatku, gdy tylko Ukraina zniesie zakaz wyjazdu mężczyzn, to część mężów tych kobiet (o podobnym profilu demograficznym) zapewne będzie chciała dołączyć do rodziny, która ułożyła sobie życie za granicą. Wadym Denysenko, szef Instytutu Przyszłości, oszacował, że może to być nawet milion mężczyzn. Wywołał też burzę sugestią, że konieczne będzie wydłużenie restrykcji wyjazdowych na trzy pierwsze lata po wojnie.

Jak zatem zachęcić Ukrainki do powrotu? Preferencyjnym kredytem mieszkaniowym? Programami dla powracających poszukujących pracy? – *Społeczeństwo*

bez słowa przelknie wszelkie świadczenia dla żołnierzy. Ale nie daj Boże, byśmy dali pierwszeństwo tym, którzy są teraz za granicą – zaznacza prof. Libanowa. Leonid Stoikow, prawnik z Centrum Solidarności badający migracje, też przestrzega przed wywoływaniem frustracji tych, którzy tu trwali. – Mogą pomyśleć: ja siedziałem pod bombami, straciłem pracę, wszystko odbudowałem sam. A ktoś był w umownej Warszawie, w końcu przyjechał i jeszcze ma dostać nieoprocentowany kredyt?! Na razie nie mamy jeszcze dobrej recepty, co zrobić.

Ukraina na pewno może liczyć na patriotyzm części obywateli. Warto przypomnieć, że w odpowiedzi na rosyjską agresję do kraju wróciło ponad 200 tys. Ukraińców. Jednak im dłużej trwa wojna, tym bardziej ludzie osiadają w nowych domach, dzieciaki integrują się w szkołach, a rodzice znajdują pracę. Im dłużej trwa wojna, tym bardziej zniszczoną jest też Ukraina.

Kilka milionów już wróciło do kraju. Kijów, m.in. dzięki skutecznej obronie powietrznej, w ostatnich miesiącach był rzadziej nękany atakami z powietrza. Stolica i jej mieszkańcy po prostu przyzwyczaili się do życia w takich warunkach. Tak jak w innych miastach dalej od frontu. Bezrobocie w kraju wzrosło, ale w niektórych sektorach, jak budowlanka, pracowników brakuje. Zimą Rosja znów może jednak zintensyfikować ataki na infrastrukturę krytyczną, żeby Ukraińców zamęczyć i wychłodzić.

Groźba drenażu

Decyzje emigrantów będą zależne także od tego, jak sprawnie będzie postępować odbudowa kraju po wojnie. W optymistycznym scenariuszu ten proces przyciągnie ludzi ambitnych i szukających wyzwania. Ba! Przy sprzyjającej koniunkturze szczęścia w Ukrainie mogliby szukać specjalistów z Polski i Europy Zachodniej. W pesymistycznym scenariuszu wojna potrwa jednak dłużej, Ukraina będzie coraz bardziej się wykrawiać, a Zachód straci determinację, by ją wspierać. Na taki rozwój wypadków liczy Kreml.

Wśród recept na rozwojowy sukces przedstawiciele ukraińskich władz wymieniają też liberalizację prawa pracy. Ukraińcy bardzo się pilnują, by w czasie wojny nie rozniecać awantur politycznych, ale spór o prawa pracownicze toczy się między władzami i związkami zawodowymi od miesięcy. Część zmian jest wprowadzana na czas wojny, część zostanie na dłużej.

Stoikow przekonuje, że deregulacje mogą zniechęcić do powrotu tych, którzy zaznali zachodnioeuropejskich

standardów. – *W ciągu pięciu lat nie zrobimy z Ukrainy Niemiec czy nawet Polski. Ale musimy stworzyć jak najlepsze perspektywy i warunki pracy. Żeby ludzie mieli po co wracać – mówi prawnik. Zaniepokojenie liberalizacją ukraińskiego rynku pracy wyraziła już Komisja Europejska i Międzynarodowa Organizacja Pracy. Szczególnie że w umowie stowarzyszeniowej z UE Kijów zobowiązał się, że nie będzie ograniczać praw pracowniczych w celu przyciągnięcia inwestycji.*

A konkurencja o pracownika będzie tylko rosła. Najwięcej ukraińskich uchodźczyń jest dziś w Niemczech, ale prawie milion z nich zostało w Polsce. Dołączyły do ponad miliona rodaków, którzy osiedli tutaj przed wojną. Polska też zmagą się z depopulacją, czy zatem w przyszłości grozi nam spór z Kijowem o migrantów? – *Polska i Ukraina potrzebują współpracy w sprawie migracji – przekonuje prof. Maciej Duszczyk z Ośrodka Badań nad Migracjami na Uniwersytecie Warszawskim. Dlatego naukowcy z UW razem z kolegami z Kijowskiego Uniwersytetu im. Tarasa Szewczenki zorganizowali wspólną konferencję poświęconą demografii i migracjom.*

Prof. Duszczyk: – *Naszym największym konkurentem o pracowników z Ukrainy nie jest Ukraina, ale Niemcy. Bywa jednak różnie. Niektóre państwa, jak Szwajcaria, chcą finansowo zachęcać Ukraińców do powrotów. Z kolei Kanada prowadzi – jak mówi prof. Duszczyk – „jedną z najbardziej brutalnych polityk drenażu mózgow”. Ekspert przekonuje, że Warszawa powinna zabiegać o taką politykę migracyjną całej Unii Europejskiej, która ograniczy ten drenaż z Ukrainy. Bo przecież w interesie tak Polski, jak i Unii jest militarny, demokratyczny i ekonomiczny sukces wschodniego sąsiada.*

– *Potrzebna jest np. umowa o swobodzie przemieszczania się pracowników, by obywatele Ukrainy mogli jeździć w jedną i drugą stronę. To taka migracja niekompletna. W interesie Ukrainy jest utrzymanie tego typu kontaktu, aby mężczyźni mogli odbudowywać Ukrainę, a ich rodziny mogły żyć w Polsce, ale dzięki bliskości podróżować do Ukrainy – tłumaczy prof. Duszczyk.*

Zdaniem badacza Kijów musi przekonać Niemców, że nie powinni na siłę asymilować – chodzi o to, żeby migranci utrzymywali związki z Ukrainą. – *Z Polski to będzie łatwiejsze. Musimy zrobić wszystko, żeby oni zostali u nas, a nie pojechali do Niemiec. Wówczas jest większa szansa, że nie będziemy z Ukrainą rywalizować. A nawet, że na pracownikach oprzemy*



© GLEB GARANICH/REUTERS/FORUM

Plac Niepodległości w Kijowie, pogrzeb ukraińskiego żołnierza, który zginął w obwodzie donieckim.

nasze dwustronne relacje. Jednym z pierwszych wyzwań o znaczeniu symbolicznym i praktycznym mogłoby być udrożnienie przejść granicznych dla ludzi i towarów.

Zatrzymać urbicyd

Ukraina będzie musiała znacznie szerzej otworzyć drzwi obcokrajowcom z Azji Centralnej i Południowo-Wschodniej. Władze już wprowadzają pierwsze zmiany prawne ułatwiające zatrudnienie obcokrajowców.

Niezależnie od sukcesu ich polityki migracyjnej zarówno Ukraina, jak i Polska muszą się pogodzić z tym, że będą coraz mniej ludnymi krajami. Trendów demograficznych nie da się gwałtownie zmienić. Pozostaje więc dopasowanie gospodarek, czyli ich transformacja w kierunku najnowszych technologii.

Tego rodzaju pomysły pojawiają się już w ukraińskich strategiach odbudowy. Dokumenty te zakładają m.in. rozwój przemysłu technologii zbrojeniowych i sektora IT. W tym kontekście pojawia się przykład Izraela, ale ten rozwijał sektor nowych technologii przez kilka dekad. Polsce – pomimo obietnic – od lat nie wychodzi wyjście z pułapki modelu opartego na taniej sile roboczej.

Zmieni się też mapa demograficzna Ukrainy. Choćby dlatego, że długa lista

rosyjskich zbrodni obejmuje też urbicyd, czyli świadome niszczenie środowiska miejskiego. W wyniku ataków z powietrza w różnym stopniu ucierpiała większość miast, ale te położone przy linii frontu, jak Bachmut, Marinka czy Awdijewka, zostały zamienione w gruzowiska. Najbardziej znaną ofiarą miastobójstwa jest oczywiście Mariupol. Pytanie, czy po wojnie (i okupacji) mieszkańcy będą chcieli wrócić oraz jak te miasta odbudowywać?

Prof. Kostiantin Mezencew, współorganizator wspomnianego polsko-ukraińskiego seminarium, mówi też o „pośrednim urbicydzie”. – *Nie doszło do fizycznego zburzenia miasta, ale straciło ono swoje funkcje. Na przykład gdy okupacyjna władza rosyjska albo jakaś przez nią narzucona doprowadzają miasto do upadku – nie ma transportu, nie ma zarządzania, nie ma perspektyw rozwoju* – tłumaczy geograf z Uniwersytetu im. Tarasa Szewczenki.

Pytania dotyczą też perspektyw takich miast jak Sumy, które było obłożone wiośnią ubiegłego roku. Położony na północnym wschodzie, otoczony z dwóch stron granicą z Rosją, obwód sumski jest nieustannie ostrzeliwany. Nawet po zakończeniu gorącej fazy konfliktu cieniem na szansach miasta będzie się kładła bliskość agresywnego imperium. Ukraińcy

liczą, że obecny reżim na Kremlu w końcu upadnie, ale przygotowują też scenariusze funkcjonowania państwa w sytuacji utrzymującego się zagrożenia.

W podobnie trudnym położeniu są Czernihów oraz Charków, ten ostatni ma jednak dużo większy potencjał, by odzyskać choć część przedwojennych sił ekonomicznych i naukowych. Rosną natomiast Kijów i położone na zachodzie Lwów oraz Iwanofrankiwnsk, dokąd przenoszą się mieszkańcy wschodnich i południowych miast.

Oczywiście przyszłość Ukrainy rozstrzyga się dziś przede wszystkim w walce. Naczelny dowódca sił zbrojnych gen. Wałerij Załużny przyznał, że na froncie jest impas jak podczas pierwszej wojny światowej, trwa pozycyjna wojna na wyczerpanie. Kijów apeluje do Zachodu o dostawy najnowocześniejszej broni, szczególnie dronów i systemów elektronicznych do ich zwalczania. Oraz o sprzęt do niszczenia pól minowych.

Problem w tym, że nawet jeśli Rosja przegra na froncie, to zniszczona i wyludniona Ukraina jeszcze przez długie lata może nie być w stanie podnieść się z wojennej pożogi. Aby tak się nie stało, potrzebny jest entuzjazm milionów Ukraińców. Jak największej liczby tych milionów.

AGNIESZKA LICHNEROWICZ

Dziewięć żyć Hamasu

Czy **Hamas** to nowy ISIS? Kim są jego przywódcy? Dlaczego premier Benjamin Netanjahu uważał, że są bardzo pożyteczni dla Izraela?

MARIUSZ ZAWADZKI

Nadszedł dzień, w którym wszyscy musimy chwycić za broń. Jeśli nie macie karabinów, użyjcie noży, toporów, butelek z benzyną, traktorów albo samochodów. Zabijajcie. Palcie. Niszczcie. Powstańcie, żeby wyzwolić Jerozolimę i obalić mur, którym otoczyli nas okupanci – takie nagranie audio pojawiło się 7 października o świcie, kiedy bojownicy z Gazy szykowali się do najazdu na Izrael.

Odezwę odczytał podobno sam Mohammed Deif, mityczny przywódca zbrojnego ramienia Hamasu. Mityczny dlatego, że nie wiadomo, jakim cudem przeżył serię zamachów na swoje życie (Izraelczycy nazywają go kotem o dziewięciu życiach). Nie wiadomo, jak wygląda, bo według różnych relacji stracił w zamachach rękę, stopę, oko lub nawet jest częściowo sparaliżowany. Kiedy studiował chemię na uniwersytecie w Gazie, występował podobno w akademickim teatryku, dlatego jest mistrzem kamuflażu. Nie wiadomo, gdzie będzie jutro, bo każdą noc spędza w innym domu – stąd pseudonim Deif, Gość.

Przez ostatnie 20 lat legenda Gościa nigdy nie przybladła, bo nie zaangażował się w politykę tak jak inni weterani Hamasu. Nie miał okazji się skompromitować ani skorumpować. Nie przyłapano go na hipokryzji ani kłamstwie, bo nigdy nie występuje publicznie. „Jest bardzo cichy i niepozorny. Żyje na pozór zwyczajnie, ukryty pomiędzy ludźmi. Ma wiele tożsamości i mały krąg zaufanych, którzy wiedzą, kim jest naprawdę” – opowiadał dziennikarzom „New York Timesa” działacz Hamasu.

Czy 58-letni, okaleczony i zakamuflowany Gość nadal operacyjnie kieruje bojownikami? Niektórzy izraelscy eksperci i wojskowi twierdzą, że tak. Inni uważają, że rozkazy wydaje Jahija Sinwar, szef politbiura Hamasu w Gazie, który słynie z okrucieństwa. Kiedyś osobiście udusił czterech kolaborantów, którzy pracowali dla Izraela.

Kto zatem rządzi w Hamasie? Tego nie wie nikt. Wszystko, co pojawia się w mediach, to spekulacje dziennikarzy lub ich

źródeł. Gdyby te źródła coś naprawdę wiedziały, to być może nie doszłoby do masakry 7 października.

Wśród ok. 1,2 tys. zabitych tamtego dnia Izraelczyków jest prawie 800 cywilów, w tym 35 dzieci. Początkowo hamasowcy twierdzili, że nie zabijali ani nie torturowali cywilów. Apelowali, żeby nie wierzyć „izraelskiej propagandzie”. Dopiero Ghazi Hamad z politbiura Hamasu przyznał, że „podczas naszej bohaterskiej operacji wystąpiły pewne komplikacje, bo na teren Izraela wydostały się również grupy niezwiązane z Hamasem”.

Jego koledzy nie widzą powodów, żeby się tłumaczyć. Przecież stanowisko Hamasu jest od lat niezmiennie: izraelscy cywile są „uprawnionym” celem „zbrojnego ruchu oporu”. Czy więc bojownicy z Gazy są terrorystami, podobnie jak bojownicy ISIS (tzw. Państwo Islamskie), którzy w latach 2014–19 stworzyli kalifat na północy Iraku i wschodzie Syrii? Albo jak radykałowie z al-Kaidy, którzy w 2001 r. obalili wieżowce Nowego Jorku?

Blokada enklawy

Rząd Izraela od kilku tygodni próbuje przekonywać, że Hamas = ISIS = al-Kaida. Jest to chwyt propagandowy, który ma przededefiniować wojnę w Gazie jako „kolejne starcie cywilizacji z islamskimi fanatykami”. W rzeczywistości Hamas ma jedynie lokalne cele, ograniczone do pasa ziemi między Morzem Śródziemnym i rzeką Jordan. Nigdy nie atakował nikogo poza Izraelczykami. Tymczasem ISIS i al-Kaida miały globalne ambicje i mordowały wszystkich: muzułmanów, Amerykanów i Europejczyków.

Jak wyjaśnia prof. Devorah Margolin z Uniwersytetu Georgetown w Waszyngtonie, „ISIS to organizacja stworzona odgórnie, przez niewielką grupę fanatycznych salafitów/wahabitów. Odrzucają oni zastany porządek polityczny (...). Chcą stworzyć ponadnarodowy kalifat (na wzór kalifatu ufundowanego w VII w. przez Mahometa). Ich motyw są wyłącznie religijne. Dla odmiany Hamas to grupa silnie identyfikująca się z narodem, której celem jest stworzenie niepodległego

państwa palestyńskiego. (...) Nie odrzuca zastanego porządku politycznego, tylko w jego ramach forsuje swój cel: zniszczenie Izraela” (wywiad z prof. Margolin ukazał się na portalu Międzynarodowego Centrum Antyterroryzmu, ICCT).

W pierwszych kilkunastu latach istnienia Hamas zajmował się tylko działalnością społeczną i terrorystyczną. Prowadził meczety, tworzył szkoły i pomagał biednym, a do Izraela wysyłał samobójców, którzy wysadzali się w autobusach czy kawiarniach. Jednym z pierwszych działaczy, który uważał, że to za mało i że należy włączyć się do polityki, był Ismail Hanija. To on w styczniu 2006 r. stanął na czele hamasowskiej listy kandydatów w wyborach parlamentarnych w Autonomii Palestyńskiej.

Wybory te przeforsował prezydent USA George W. Bush, który wierzył w zbawczą moc demokracji, choć amerykańscy dyplomaci i szpiedrzy przestrzegali, że w tym przypadku wdrażanie demokracji jest ryzykowne. Hamas zdobył 74 ze 132 miejsc w palestyńskim parlamencie, a Hanija został premierem.

Wynik wyborów wywołał szok. Lekturą obowiązkową dla zachodnich dyplomatów stał się statut założycielski Hamasu z 1988 r., który powtarza wszelkie możliwe antysemickie teorie spiskowe i napisany jest kwiecistym językiem wojującego, średniowiecznego islamu: „Nadejdzie dzień, w którym Żydzi schowają się za skały i za drzewa. I wtedy skały i drzewa powiedzą: O, słuگو Allaha, za mną ukrywa się Żyd, chodź i zabij go!”.

Autorem tego dokumentu był szejch Jasin, muzułmański duchowny, którego w 2004 r. zabiła izraelska rakietą. Hanija, osobisty sekretarz Jasina w ostatnich latach jego życia, posługiwał się już innym językiem. W wywiadzie dla „Washington Post” i w odręcznym liście do prezydenta Busha Hanija komunikował, że Hamas jest gotów na „wieloletni rozejm”, jeśli Izrael wycofa się do granic z 1967 r., czyli odda Palestyńczykom Zachodni Brzeg Jordanu i wschodnią część Jerozolimy.

List został zignorowany. Europa i Ameryka ogłosiły bojkot hamasowskiego „rządu terrorystów” i wstrzymały dotacje dla Palestyńczyków. A latem 2007 r. wywodzący się z konkurencyjnego Fatahu prezydent Mahmud Abbas nakazał siłom bezpieczeństwa Autonomii przejęcie budynków rządowych w Strefie Gazy. Wojna



domowa była krótka, ale brutalna. Po kilku dniach wygrał Hamas, który od tamtej pory rządzi w Gazie (na Zachodnim Brzegu, bogatszym i bardziej świeckim, władzę utrzymał Abbas). Izrael rozpoczął blokadę „enklawy terrorystów”.

Zmienić, nie zniszczyć

Dla publiczności na Zachodzie twarzą Hamasu jest Chaled Meszal, syn zamożnych palestyńskich uchodźców, który po studiach w Kuwejcie zaangażował się w politykę. Nigdy w życiu nie był w Gazie, ale – w odróżnieniu od partyjnych kolegów – dobrze znał angielski. Dlatego stał się „przywódcą Hamasu na obczyźnie”. Również on powtarzał ofertę „wieloletniego rozejmu” (np. w wywiadzie dla „New York Timesa”).

W 1997 r. premier Netanjahu nakazał Mosadowi zabić Meszala. Kiedy wychodził z hotelu w Ammanie, izraelscy agenci podbiegli i wstrzyknęli mu do ucha truciznę (prawdopodobnie odmianę fentanylu). Napastnicy zostali złapani. Król Jordanii Husajn był wściekły i wydzwaniał do Białego Domu. Pod presją Waszyngtonu Netanjahu przekazał Jordanii antidotum na truciznę. Meszal przeżył i urosł w oczach mieszkańców Gazy.

Dla odmiany Hanija nie miał problemów z wiarygodnością. Podobnie jak Gość od urodzenia mieszkał w Gazie, pochodził z biednej rodziny, Izraelczycy zbombardowali jego dom. Nawet jako premier co piątek przyjmował petentów w meczecie: przychodzili ze swoimi

problemami i troskami jak do dobrego, życzliwego króla.

W tym samym czasie, kiedy Meszal i Hanija wysyłali pozytywne sygnały na Zachód, bojownicy pod przewodnictwem Gościa odpalali rakiety na Izrael. Mimo tego dysonansu zmiana tonu Hamasu została zauważona w Waszyngtonie. W 2009 r. 10 waszyngtońskich mędrców – m.in. Zbigniew Brzezinski, Brent Scowcroft, senator Chuck Hagel – w otwartym liście wezwało do „bardziej pragmatycznego podejścia do Hamasu”. Pouczali, że „celem Ameryki nie powinno być obalenie Hamasu, tylko modyfikacja jego zachowań”. Drużyna Baracka Obamy, która właśnie przejęła władzę po Bushu, list mędrców zignorowała.

Po zamachu w Ammanie Meszal przeprowadził się do Damaszku. Urzędował tam do 2012 r., kiedy w Syrii wybuchła rewolucja i Hamas ogłosił, że popiera rewolucjonistów. Było to o tyle zaskakujące, że Iran, główny sponsor Hamasu, pomagał syryjskiemu prezydentowi Baszarowi Asadowi w tłumieniu rewolucji. Niespodziewanie na linii Teheran–Strefa Gazy zapanało ochłodzenie, które trwało kilka lat.

Zagraniczna centrala Hamasu przeniosła się do Kataru. W 2017 r. na jej szefa wybrano Haniję (jest nim do dziś). A ostatnią decyzją ustępującego Meszala było ogłoszenie nowego, bardziej laickiego i poprawnego politycznie statutu Hamasu. Zastrzega on m.in., że „Hamas nie jest w konflikcie z Żydami jako wyznawcami judaizmu, tylko z syjonistami, którzy okupują Palestynę”.

„Próbują z nas robić głupców” – odpowiadał rzecznik rządu Izraela. „Odpalają rakiety na cywilów, a w szkołach i meczetach w Gazie uczą dzieci, że Żydzi to małpy i świnie. To jest prawdziwy Hamas!”. Chodzi o fragmenty Koranu, które często przywołują imamowie w Gazie. Bóg wyjaśnia w nich Mahometowi, że żydowski rybacy na Morzu Czerwonym łowili kiedyś ryby w szabat, czyli w dzień święty, i zostali za karę zamienieni w małpy i świnie.

Rozmawiać z terrorystami?

Jak donosił w 2019 r. izraelski dziennik „Haarec”, premier Netanjahu na zamkniętym zebraniu partyjnym powiedział, że „każdy, kto *nie chce* państwa palestyńskiego, powinien wysyłać dotacje dla Hamasu”. Chodziło mu o to, że dzięki Hamasowi od dwóch dekad Izrael może powtarzać tę samą mantrę: „Chcielibyśmy negocjować z Palestyńczykami, ale z kim mamy negocjować? Z terrorystami z Gazy? Z nieudolnymi władzami Autonomii, które nie umieją pokonać własnych terrorystów?”. A skoro nie ma partnera do rozmów pokojowych, to żydowski osadnicy mogą dalej kolonizować Zachodni Brzeg Jordanu.

Cena za możliwość powtarzania tej mantry wydawała się relatywnie niska. Wprawdzie Hamas co kilka lat odpalał salwę rakiet, ale tarcza antyrakietowa przechwytywała prawie wszystkie. Dopiero 7 października okazało się, że cena jest znacznie wyższa, niż sobie wyobrażał Netanjahu. ■



Cena spokoju

Tunezja odrzuciła umowę z Brukselą:
pieniądze w zamian za kontrolę migracji.
Kryzys narasta, łodzie płyną, a władze pewnie liczą,
że wkrótce utargują dużo więcej.

DALIA MIKULSKA Z TUNISU

Prezydent Tunezji Kais Saied ostatecznie odrzucił pomoc, którą jego kraj miał otrzymać w ramach porozumienia z Unią Europejską. Zgodnie z umową środki te miały być przeznaczone na kontrolę migracji oraz na ekonomiczne wsparcie kraju. Zdaniem prezydenta Saieda obiecana kwota była jednak niewystarczająca, co niektórzy odebrali jako targowanie się o wyższą stawkę. Unia zareagowała jednak chłodno, domagając się od Tunezji zwrotu 60 mln euro, które ta już otrzymała.

Zawartą po długich negocjacjach umowę Tunezji z Unią początkowo uznano za sukces. W lipcu światowe media obiegiło zdjęcie Ursuli von der Leyen, szefowej Komisji Europejskiej, premierów Włoch

i Holandii, a także prezydenta Tunezji ściskających sobie dłonie. Europejczycy z uśmiechami na twarzach i wyraźnym zadowoleniem, Tunezjczyk jak zwykle dość sztywno i niepewnie.

Obu stronom zależało na umowie – Unii, a szczególnie Włochom – aby w ten sposób ograniczyć liczbę łodzi z migrantami przypluwających do Europy. Według danych UNHCR od początku 2023 r. ponad 235 tys. osób przepłynęło przez Morze Śródziemne do Europy, z czego ponad 146 tys. do Włoch, w szczególności na Lampedusę. To więcej niż w całym ubiegłym roku, najwięcej od 2017 r. Szacuje się, że podczas tej podróży ponad 2,5 tys. osób zaginęło lub utonąło.

Włoską Lampedusę dzieli od tunezyjskiego Safakisu zaledwie 170 km.

To właśnie stąd wypływa znaczna część łodzi. W połowie września w ciągu zaledwie trzech dni na włoską wyspę przybyło ok. 10 tys. migrantów – to więcej niż liczba wszystkich mieszkańców Lampedusy.

Tunezji z kolei zależy na pieniądzech.

Na mocy zawartego porozumienia Bruksela miała przeznaczyć 115 mln euro na wzmocnienie tunezyjskich kontroli granicznych, a także prawie miliard euro pomocy gospodarczej dla tego północnoafrykańskiego kraju.

Bo Tunezja tonie w kryzysie. – *Gospodarka jeszcze nigdy nie była w tak złym stanie* – uważa Kauthar Ferjani, córka polityka islamistycznej partii Ennahda, wtrąconego do więzienia przez prezydenta Saieda. – *Choćby przerwy w dostawach wody. Za Ben Alego [prezydent w latach 1987–2011, obalony przez Arabską Wiosnę – przyp. red.] może nie było wolności słowa, ale ludzie mieli pracę, jedzenie. A teraz? Wiele osób zatrudnionych w budżetowce od dawna nie widziało wypłaty. W piekarniach brakuje chleba, a półki w sklepach są puste.*

Aby poradzić sobie z kryzysem, Tunezja ubiega się więc o 1,9 mld dol. pożyczki z Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Ale negocjacje nie są łatwe, ponieważ pożyczkodawca wymaga m.in. zniesienia dopłat do żywności czy energii. A tego Kais Saied woli nie

robić, bo groziłaby mu wtedy społeczna rewolucja.

Prezydent Saied to populistą. Zdemontował wprawdzie demokratyczne instytucje w kraju, który był największą nadzieją Arabskiej Wiosny, i zgromadził znaczną część władzy w swoim ręku, jednak robił to w masce zbawcy narodu. Naród wybacza mu wtrącanie do więzień opozycji, szczególnie że Saied działał w imię walki z korupcją i terroryzmem.

Na zatrzymaniu migrantów w Tunezji Saiedowi oczywiście nie zależy. Pod koniec lutego wydał głośne oświadczenie pełne mowy nienawiści i teorii spiskowych. Straszyl w nim „hordami nielegalnych migrantów” i „celowym zmianianiem Tunezji w kolejny afrykański kraj, w oderwaniu od jej arabskich i muzułmańskich korzeni”. Pod wpływem takiej retoryki w Tunezji rośnie rasizm. Subsaharyjscy migranci stali się celem ataków, potrzebnym Saiedowi m.in. po to, by mieć na kogoś zrzucić winę za złe zarządzanie i biedę.

– *Prezydent w swoim wystąpieniu przywołał też spiskową teorię wielkiego zastąpienia [miejscowych społeczeństw migrantami – przyp. red.], która jest popularna wśród europejskiej skrajnej prawicy – tłumaczy Walid Mejri, tunezyjski dziennikarz śledczy i redaktor naczelny magazynu „Al Kitaba”. – Rzeczywistość jest dużo bardziej banalna: mamy do czynienia z migracją z południa na północ, a Tunezja po prostu znalazła się na jej trasie. Nie ma żadnego spisku, choć są oczywiście organizacje przestępcze, które na tym zarabiają.*

Tunezyjczycy, szczególnie mieszkańcy Safakisu, drugiego miasta w kraju, złapali jednak haczyk. Rasistowska retoryka doprowadziła do napięć pomiędzy lokalną ludnością i imigrantami. Przemoc i dyskryminacja dotknęła nawet czarnoskórych obywateli Tunezji (10–15 proc. społeczeństwa). A subsaharyjscy imigranci nie pojawili się w Tunezji nagle – od dawna żyli w Safakisie czy innych miastach. Problemy zaczęły się dopiero niedawno, kiedy Tunezja – na prośbę Europy – zaczęła zatrzymywać łodzie z migrantami.

Tunezyjczycy przyzwyczaili się do obecności Subsaharyjczyków, ale teraz ich liczba zaczęła gwałtownie rosnąć. Migranci przesiadują przed meczetami czy kafejkami, nie mają jedzenia, nie mają gdzie spać. Wielu z nich nie stać na dach nad głową. Ktoś wynajmuje dwóm Subsaharyjczykom mieszkanie, a ci przyjmują pod dach pięćdziesięciu, którzy cisną się

na niewielkim metrażu. Gdy właściciel się o tym dowiaduje, domaga się od nich wszystkich pieniędzy. A jak nie zapłacą, wyrzuca ich na ulicę.

– *Mamy teraz w Tunezji rzesze osób, które nie mają pieniędzy, nie mają gdzie spać ani co jeść. Chcieliby opuścić kraj, ale to nie jest takie proste – mówi Walid Mejri. – Są też gangi, które ich okradają. Obiecują im np. miejsce na łodzi, każą im się stawić na wybrzeżu o północy, a kiedy migranci tam przychodzą, okazuje się, że żadnej łodzi nie ma. Afrykańczycy zaczynają więc protestować. Zaczynają też kraść, żeby mieć co jeść.*

Atmosfera gęstnieje. Niedawno w Safakisie przepędzono migrantów z biednej dzielnicy. Doszło do ulicznych starć, młody Tunezyjczyk został pchnięty nożem. – *Za te nastroje odpowiada nasz prezydent. Wszyscy zgadzamy się, że mamy do czynienia z sytuacją kryzysową. Musimy jednak znaleźć rozwiązanie. A tym na pewno nie jest demonizowanie imigrantów – uważa dziennikarz.*

Przemoc wobec migrantów ma także formy zorganizowane.

Na początku lipca – a więc w trakcie rokowań z UE – tunezyjskie służby zorganizowały łapankę, a następnie wyrzuciły być może nawet 2 tys. czarnoskórych osób na pustynię, do zmilitaryzowanej strefy buforowej na granicy Tunezji z Libią. Kierowano się przy tym wyłącznie kolorem skóry, nie dbano o status prawny schwytych osób, a byli wśród nich tacy, którzy przebywali w Tunezji legalnie – studenci i osoby ubiegające się o azyl. Tunezyjski *push-back* na pustynię dla części z nich zakończył się tragicznie – przynajmniej 27 osób umarło z powodu upałów i odwodnienia.

Według UNHCR większość uchodźców i osób ubiegających się o azyl w Tunezji pochodzi z krajów takich, jak Wybrzeże Kości Słoniowej, Syria, Sudan, Kamerun czy Gwinea. Gros z nich przybyło do Tunezji drogą lądową: z Algierii lub Libii.

– *Przyjechałem do Tunezji na studia, ale nie udało mi się ich ukończyć – opowiada Pagnol, młody mężczyzna z Kamerunu. – Po pierwszym roku zacząłem mieć ogromne problemy z rodziną, a to oni w dużej mierze płacili moje czesne. Rodzina dowiedziała się o tym, że nie jestem hetero, i nie potrafiła tego zaakceptować. Nie mam za co żyć, ale nie mogę też wrócić. Jeśli wrócę, rozpęta się piekło.*

Spotkaliśmy się „na Ugandzie”, w wynajętym przez kilku moich rozmówców mieszkaniu na obrzeżach Tunisu. Migranci z krajów na południe od Sahary

Ugandą nazywają nasiadówki przy piwie, podczas których dużo rozmawiają, dzielą się doświadczeniami. Tym razem akurat po ciemku, bo trafiliśmy na przerwę w dostawie prądu.

Moi rozmówcy to subsaharyjska społeczność LGBT. Doświadczają podwójnej dyskryminacji – jako czarnoskórzy i jako osoby nieheteronormatywne. Spotykają się raczej w domach niż w barach – piwo ze sklepu kosztuje mniej, a poza tym za zamkniętymi drzwiami mniej ryzykują. Pokazują mi filmik z baru: ktoś ich wyzywał od „pedałów” i „czarnuchów”, groził przemocą. W takich sytuacjach na pomoc policji nie mają co liczyć. Wszyscy opowiadają o tym, jak odrzuciła ich własna rodzina – jednego bliscy próbowali otruć, inny otrzymywał groźby śmierci. Dlatego uciekli.

Z powodu prześladowań i gróźb, których doświadczali w swoich krajach ze względu na orientację seksualną, są – w odróżnieniu od większości subsaharyjskich migrantów w Tunezji – zarejestrowani przez UNHCR jako uchodźcy. Należą do grupy 734 osób, które dostały wsparcie pieniężne od tej agencji ONZ. Zresztą bardzo skromne: 250 dinarów (ok. 330 zł). Za taką kwotę nie da się w Tunezji przeżyć miesiąca.

Pagnol, zapytany, czy chce wyjechać do Europy, odpowiada: – *Oczywiście, to moje marzenie. Chciałbym żyć w miejscu, w którym nie ma homofobii.*

Tak naprawdę prezydent Saied jest bardzo sprytny,

zauważa Walid Mejri. – *On szantażuje Unię. Wie, że Europa tak łatwo nie zrezygnuje ze współpracy z Tunezją. Saied, zresztą podobnie jak wcześniej Erdoğan [prezydent Turcji – przyp. red.], może wysłać dziesiątki tysięcy migrantów przez Morze Śródziemne. Wystarczy, że przestanie patrolować wybrzeże. Nawet łodzie, które wypływają z Algierii czy Libii, przekraczają część morza kontrolowaną przez tunezyjską marynarkę wojenną. Dlatego to właśnie Saied decyduje, ilu migrantów trafi na Lampedusę.*

Umowa Unii z Saiedem to – po układach z Erdoğanem i wcześniej z dyktatorem Libii Muammarem Kadafim – kolejne tego typu porozumienie Europy z autokratą, które miało przynajmniej iluzorycznie zlikwidować problem migracji. Pakt z Tunezją miał być też drogowskazem dla przyszłych takich porozumień z krajami tranzytowymi, takimi jak Maroko czy Libia. Być może jednak Europa powinna ten przykład potraktować jak gorzką naukę. ■



ILUSTRACJA RYSZARD KAJZER

Gra w ciepło-zimno

Czy ludzie byli pionkami w rozgrywce z siłami natury, czy też ustalali jej reguły? Brytyjski historyk Peter Frankopan szuka odpowiedzi na to pytanie w swojej nowej kontrowersyjnej książce.

TOMASZ TARGAŃSKI

Bułoby wspaniale, gdyby istniało jakieś proste, piękne i uniwersalne równanie – na wzór $E=mc^2$ Einsteina – tłumaczące, jak klimat wpływał na kształt ludzkiej historii. Zamiast tego wszystko zdaje się komplikować. Danych przybywa w tempie odwrotnie proporcjonalnym do wyjaśnień dających się przełożyć na prosty język. Badacze wycofują się więc na swoje wyspecjalizowane poletka – historii środowiskowej, historii energii – bądź oferują dość mgliste objaśnienia o ekosystemach, które mają swoją odporność na wstrząsy, ale nadwyżone kolejnymi „uderzeniami” w końcu upadają.

Stworzenie spójnej syntezy wyjaśniającej, jak klimat wpływał na dzieje cywilizacji wydaje się niemal niemożliwe. Są tacy, którzy próbowali to robić fragmentarycznie. Geoffrey Parker, wybitny brytyjski historyk nowożytności, zajął się kwestią tzw. małej epoki lodowcowej (od ok. 1300 do 1850 r.), a konkretnie jej wpływem na wielki kryzys siedemnastego stulecia. W książce „Globalny kryzys. Wojna, zmiany klimatyczne i katastrofa w XVII wieku” z 2013 r.

przytoczył wiele przykładów na to, że bunty, wojny domowe i rebelie, które w tamtym czasie wstrząsały światowym porządkiem, zbiegły się z okresem bezprecedensowego spadku globalnych temperatur. Parker poprzestał na sugestii, że klimat mógł mieć tu znaczący wpływ.

O krok dalej poszedł Dagomar Degroot, historyk środowiskowy z Georgetown University. Sięgnął zdecydowanie do danych ilościowych, zarzucił sieci badawcze bardzo szeroko, zawężając jednocześnie obszar badań do Niderlandów w latach 1560–1720. Jego książka „The Frigid Golden Age” z 2018 r. dowodzi, że klimat wpłynął na historię tego obszaru – na model gospodarczy, a nawet na sukcesy militarne (zmieniający kierunek wiatru nad kanałem La Manche bezpośrednio pomógł flocie w bitwach z Anglikami). Najnowszą i najbardziej ambitną dotychczas próbę przerzucenia mostu między naturą i historią podjął Peter Frankopan, profesor historii globalnej na University of Oxford. Uczony z ambicjami oraz temperamentem polihistora, którego „Jedwabne szlaki” z 2015 r. sprzedały się na świecie w ponadmilionowym nakładzie.

Tamta książka pokazała, że Frankopan ma niezaprzeczalny talent do tworzenia wielkich syntez. Napisał w niej historię świata

z perspektywy cywilizacji Wschodu: Chin, Indii, Persji, imperium arabskiego. W jego ujęciu impulsy dla najbardziej znaczących wydarzeń w dziejach – jak narodziny chrześcijaństwa czy wyprawy krzyżowe – wychodzą właśnie stamtąd. A Europa twórczo je rozwijała. Opowieść o długu, jaki Zachód zaciągnął u reszty świata, nie jest specjalnie odkrywczą, a naukowcy (m.in. Jack Goody w „Kradzieży historii”) pisali o tym od dawna. Ale wyjątkowość „Jedwabnych szlaków” polega na spójności, czasami wręcz totalności, prezentowanej wizji.

Najnowsze dzieło Frankopana „The Earth Transformed. An Untold Story” („Ziemia odmieniona. Nieopowiedziana historia”) liczy ponad 500 stron tekstu i 200 stron przypisów. Z ogromu dostępnego materiału historycznego – źródeł pisanych, danych archeologicznych, paleoklimatycznych i statystycznych – Frankopan próbuje wydestylować obejmującą tysiące lat i cały glob narracyjną, wciągającą opowieść o zmianach klimatu na tle dziejów ludzkości.

Nie tylko susza pognębiła Majów

Dotychczas najczęściej było tak, że ustalenia historii środowiskowej i wszelkie inne argumenty na rzecz ingerencji klimatu w bieg dziejów zbywano jako nieistotne. Uznawano bowiem, że i tak o wszystkim decydują „struktury” gospodarcze lub wielkie „klastry” cywilizacyjne. Tego zdania byli m.in. Fernand Braudel czy Emmanuel Le Roy Ladurie przedstawiciele wpływowej francuskiej szkoły historiograficznej Annales.

Zmiana nastąpiła na przełomie XX i XXI w., gdy klimat z impetem wkroczył na pole nauk historycznych. Z elementu bez znaczenia stał się magicznym niemal wyjaśnieniem wszystkich politycznych nieciągłości i zerwań. Badacze zaczęli upatrywać w nim nowy, destrukcyjny czynnik niszczący społeczeństwa, państwa i gospodarki. Ów uproszczony model ma swój powab, ponieważ oferuje jedną, prostą odpowiedź na niezwykle skomplikowane problemy. „Strzelby, zarazki, maszyny” Jareda Diamonda i opisany tam przypadek Wyspy Wielkanocnej czy „Los Rzymu” Kyle’a Harpera, pokazujący upadek Cesarstwa Rzymskiego z perspektywy czynników środowiskowych, ściągnęły na siebie oskarżenia o klimatyczny determinizm właśnie dlatego, że miejscami traktowały opisywane społeczności jako bezwolne ofiary środowiska, niezdolne do przystosowania się do nowych warunków.

Na szczęście Frankopan jest bardziej zniuansowany. Przykład: erupcja wulkanu Okomk na Alasce w 43 r. p.n.e. i spowodowane przez nią gwałtowne ochłodzenie w basenie Morza Śródziemnego, raczej nie było odpowiedzialne za upadek systemu republikańskiego w Rzymie i przejście w stronę cesarstwa. Wydarzenie to „spotęgało istniejące już społeczne i ekologiczne problemy, zaogniło kryzys, ujawniając pęknięcia w systemie”.

Przesadą jest więc też twierdzenie, że upadek klasycznej cywilizacji Majów w IX w. n.e. był nieunikniony z powodu wieloletnich susz oraz zużycia miejscowych zasobów. Tamte społeczności od dawna mierzyły się bowiem z głęboko zakorzenionymi problemami. Ich „upadek” nie był nagły, a wiele ośrodków nie tylko nie zmarniało, ale wręcz rozkwitło.

Oczywiście Frankopan nie jest pierwszym, który pisze o załamaniu cywilizacji jako o procesie wieloczynnikowym, podatnym na deformację przez nadmierne uproszczenia. Autorem niezwykle frapującego, a zarazem przekonującego modelu jest amerykański archeolog i historyk Eric H. Cline. W swojej książce poświęconej gwałtownemu końcowi epoki brązu w XII w. p.n.e. („1177 przed Chr. Rok, w którym upadła cywilizacja”) odwołał się do tzw. teorii złożoności. Cline przekonuje, że cywilizacja

epoki brązu była systemem nią właśnie opisywanym. Kiedy we wschodniej części basenu Morza Śródziemnego pod koniec XII w. p.n.e. wystąpiło jednocześnie kilka „stresorów” – okresowe susze, migracje ludności, zerwania sieci handlowych – została uruchomiona reakcja łańcuchowa, która doprowadziła do upadku całego systemu.

Nie bóg się gniewał w Akadu

Frankopan przestrzega, by nie ufać kronikarzom. Byli oni tak samo głodni sensacji, co współczesne portale plotkarskie. Najlepszym przykładem jest upadek mezopotamskiego królestwa Akadu, uznawanego za jedno z pierwszych imperiów w dziejach. Najwcześniejsze informacje o przyczynach jego upadku w XXII w. p.n.e. pochodziły głównie z wierszowanego utworu nazywanego „Kłątą Akadu”, który w pełen dramaturgii sposób opisał straszną suszę, masowy głód, wyludnienie całych prowincji oraz polityczny chaos. Jego autor za przyczynę tych nieszczęść uznał grzechy ostatniego króla Akadu Naram-Sina, który rozgniewał bogów swoją zuchwałością.

Współczesna nauka umożliwia zweryfikowanie takich relacji. Prowadzone od dekad na całym obszarze północnego Iraku i północno-wschodniej Syrii badania archeobotaniczne i archeozoologiczne pozwoliły ustalić, że pomimo uciążliwej suszy nie doszło do żadnego wyludnienia. Najnowsze analizy biochemiczne ludzkich kości z północnej Mezopotamii ok. XXII w. p.n.e. wykazały z kolei, że nie nastąpiła też dramatyczna zmiana w lokalnej gospodarce ani diecie żyjących tam ludzi. Słowem, upadek Akadu miał więcej wspólnego ze strukturą imperium, niestabilnością wewnątrz panującej dynastii bądź najazdem koczowniczych Gutejów niż zmianą klimatu.

Frankopan zauważa też, że spektakularne upadki państw bądź imperiów najczęściej ograniczały się do struktury politycznej. Trzymając się Akadu: największymi przegranymi zaważenia się państwa była dynastia Sargona, jej najbliżsi współpracownicy i pałacowe elity. Tymczasem dla tzw. zwykłych ludzi życie najpewniej toczyło się własnym torem. Dla niektórych, np. niewolników, polityczny chaos mógł być wręcz zbawienny, bo ich dotychczasowi ciemniężyciele stracili władzę.

Upadek miast i zanik monumentalnego budownictwa również nie musi być wskaźnikiem krachu cywilizacji. Majowie po IX w. porzucili niektóre ze swych miast, lecz ich kultura nadal trwała. W XV w. Khmerowie opuścili Angkor (w pewnym momencie największe miasto świata), ale nie rozpuścili się w mrokach dziejów. Ich społeczności oraz struktura władzy ewoluowały, przybierając bardziej horyzontalny charakter.

Autor „The Earth Transformed” zmagą się też z monumentalnym pytaniem, w jakim stopniu ludzie byli pionkiem na szachownicy sił natury, a w jakim sami ją kształtowali. Ważnym – być może najważniejszym w ostatnich latach – głosem obalającym tezę „pionka” są „Narodziny wszystkiego”, głośna książka Davida Graebera i Dawida Wanegrowa, gdzie jednym z centralnych zagadnień jest pytanie czy czynniki środowiskowe determinują kształt społeczeństwa? Autorzy zastanawiają się np., dlaczego pradawni mieszkańcy Kalifornii konsekwentnie odrzucali rolnictwo, choć czynniki środowiskowe oraz klimatyczne wybitnie sprzyjały uprawie? Graeber i Wanegrow zasadniczo sprzeciwiają się wszelkiemu determinizmowi, w tym determinizmowi środowiskowemu. W ich ujęciu ludzie nie są automatami żyjącymi w czysto racjonalnej fantazji i często nie podążają ścieżką „optymalnego wykorzystania zasobów”. Główną siłą pociągającą za sznurki historii jest natomiast ludzka sprawczość, nazywana ►

► kiedyś wolną wolą, i to właśnie jej autorzy „Narodzin wszystkiego” starają się przywrócić należne miejsce w biegu dziejów.

Ciepło stworzyło miasta

Wspomniana sprawczość jest właśnie problemem, który od lat intryguje naukowców zajmujących się historią środowiskową. Bazując na źródłach przyrodniczych, starają się oni stworzyć bardziej subtelny obraz przeszłości. Wedle ich interpretacji każde społeczeństwo dysponuje jakimś poziomem odporności na szok, a kryzysy spowodowane np. suszą pobudzają je do reakcji obronnej i twórczego wykorzystania istniejących zasobów. Jednym z tych uczonych jest Adam Izdebski, historyk z Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz Max Planck Institute for the Science of Human History. Jego książka „Średniowieczni Rzymianie i przyroda” (2018 r.) wraz z artykułem na łamach „Nature” (2021 r.), którego był współautorem (razem ze wspomnianym już Dagomarem Degrootem), prezentują przekonujący obraz wielkich systemów społeczno-przyrodniczych, gdzie ludzie są jednocześnie elementem kształtującym środowisko, jak i przez nie kształtowanym.

Podobnie jest z „The Earth Transformed”. Frankopan pokazuje relacje człowieka jako niekończący się proces przemian – czasami twórczych, czasami niszczących. Zaczyna od tego, że ok. 12 tys. lat temu globalna temperatura na Ziemi zaczęła wzrastać, zapowiadając epokę znaną jako holocen. Ów okres zbiegł się w czasie z zasadniczą zmianą w dziejach *Homo sapiens*: „Rolnictwo może nie było niemożliwe przed nastaniem holocenu, ale po jego nadejściu warunki stały się dużo bardziej korzystne” – pisze Frankopan. Nie wiadomo zatem, czy rewolucja agrarna, która ogromnie zwiększyła populację *Homo sapiens* oraz dała początek pierwszym miastom, w ogóle by się rozpoczęła, gdyby klimat się nie ocieplił. Później ludzkim społecznościom nie pozostawało nic innego, jak odsuwać od siebie ryzyko, wynajdując nowe sposoby życia w zmieniającym się środowisku.

Oczywiście ludzie już od czasów rewolucji agrarnej przekształcali planetę, wpływając tym samym na klimat. Robili to jednak na stosunkowo niedużą skalę. Zmiana nastąpiła stosunkowo niedawno – w epoce imperiów kolonialnych i późniejszej rewolucji przemysłowej. Wprawienie w ruch i rozwój globalnego handlu dało początek daleko idącym zmianom. Gatunki zwierząt oraz roślin z odrębnych do tej pory biosfer zaczęły się mieszać. Dzięki transoceanicznym statkom nieznane patogeny siały spustoszenie w nowych ekosystemach. Co gorsza praktyki zainicjowane przez kolonialne mocarstwa europejskie spowodowały kryzys, z którym ludzkość mierzy się dziś. Działalność osadnicza i oparty na niewolnictwie plantacyjny model gospodarki wiązały się z radykalną zmianą w ekosystemach, które przedtem bazowały na zrównoważonym modelu użytkowania ziemi przez rdzenną ludność.

Człowiek chciał wszędzie Europę

Tutaj Frankopan pierwszy raz trochę zawodzi. Poświęca co prawda cały rozdział kolonialnej eksploatacji natury i ludzi, ale jakby w pełni nie wykorzystuje drzemającego w tamtej epoce ogromu materiału do analizy. Kolonializm oznaczał bowiem dogłębną zmianę w stosunku człowieka do natury. To właśnie wówczas rodzi się idea niczym nieograniczonego wzrostu. Ludzie – w tym wypadku Europejczycy – długo uwięzieni w świecie skończonych dóbr, przede wszystkim ziemi, uzyskali możliwość zdobycia nieograniczonych (ich zdaniem) zasobów,

drogą eksploatacji zamorskich ziem i ich mieszkańców. Dostrzegli to również autorzy opublikowanego w 2022 r. raportu Międzynarodowego Zespołu ds. Zmian Klimatu (IPCC), którzy wprost określili kolonializm jako historyczną przyczynę aktualnego kryzysu klimatycznego.

Frankopan docenia wagę tej zmiany, ale nie ryzykuje analogii, która ukazywałaby cały proces oraz wagę jego konsekwencji. Analogię, jakiej dokonał choćby Amitav Ghosh, urodzony w Kalkucie prozaik, który w swojej książce-eseju „The Nutmeg’s Curse” („Kłątwa muszkatu”) zestawiał kolonializm z terraformowaniem – zaczerpniętym z literatury science fiction terminem opisującym proces kształtowania obcych planet na podobieństwo Ziemi. Wszędzie, gdzie się pojawili, osadnicy chcieli przecież tworzyć Europę: Nową Anglię, Nową Szkocję i Nową Hiszpanię w Ameryce Północnej. Kolonialne terraformowanie objawiało się poprzez przesiedlenia ludności, sprowadzanie gatunków inwazyjnych, stopniowe wymieranie gatunków rodzimych, plantacyjną gospodarkę oraz inne metody intensywnej uprawy.

Połączenie kolonializmu z obecnym kryzysem klimatycznym prowokuje z kolei frapujące pytania, np. o klimatyczny negacjonizm w postosadniczych społeczeństwach o europejskim pochodzeniu. Czy negacjoniści zrzucają z siebie w ten sposób odpowiedzialność za zmiany zapoczątkowane przez ich przodków? Frankopan ich nie stawia, co u czytelnika pozostawia niedosyt.

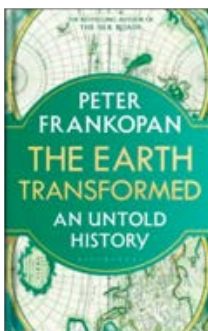
Bardzo sprawnie prowadzi jednak narrację o tym, jak rasizm współgrał z ideą „wyższości cywilizacyjnej”, aby eksploatować kolonie i podporządkować sobie naturę w imię postępu. Dopiero niedawno uczeni zwrócili uwagę na ekologiczny aspekt deterministycznych ideologii, jak nazizm czy komunizm. Timothy Snyder w „Czarnej ziemi” wysunął tezę, że nie da się zrozumieć Holokaustu, nie doceniwszy roli ekologicznej paniki (strachu o zasoby), o której Hitler mówił i pisał na długo przed objęciem władzy.

Bolszewicy z kolei konsekwentnie podejmowali próby wyrwania się spod władzy natury. Przekonani, że poznali prawa rządzące historią, postanowili doprowadzić ludzkość do założonego przez siebie „końca” bez względu na koszty i opór materii. Stąd faraonskie z ducha i niszczycielskie z punktu widzenia środowiska projekty, jak wykorzystanie wód zasilających Jezioro Aralskie do stworzenia w Uzbekistanie „imperium bawełny” czy „nowa biologia” Trofima Łysenki, która podważała znaczenie genów w przekonaniu, że człowiek może dowolnie kształtować przyrodę.

Czy książki jak „The Earth Transformed” są potrzebne? Wydawałoby się, że w trzeciej dekadzie XXI w. nikt nie czuje obowiązku wysłuchiwanie wykładów o tym, że zarówno losy budowanych na przestrzeni tysiącleci cywilizacji (włącznie z naszą), jak i indywidualne działania oraz decyzje, nie tylko mają wpływ i kształtują ekosystem, lecz także są przez niego ograniczone. Mimo wszystko ta głęboka współzależność, nierozłączność człowieka od natury – na pozór przecież oczywista – wciąż domaga się, by o niej przypominać.

Frankopan to robi, wylewając przy tym kubek zimnej wody na głowy orędowników nieograniczonego wzrostu i kapłanów technologii zdolnej zbawić świat. Tworzy dobrze uzasadniony, żywy obraz trudny do zignorowania. I nie, nie odkrywa przy tym żadnego uniwersalnego prawa o wpływie klimatu na historię. Być może dlatego, że jedyna prawda na ten temat po prostu nie istnieje.

TOMASZ TARGAŃSKI



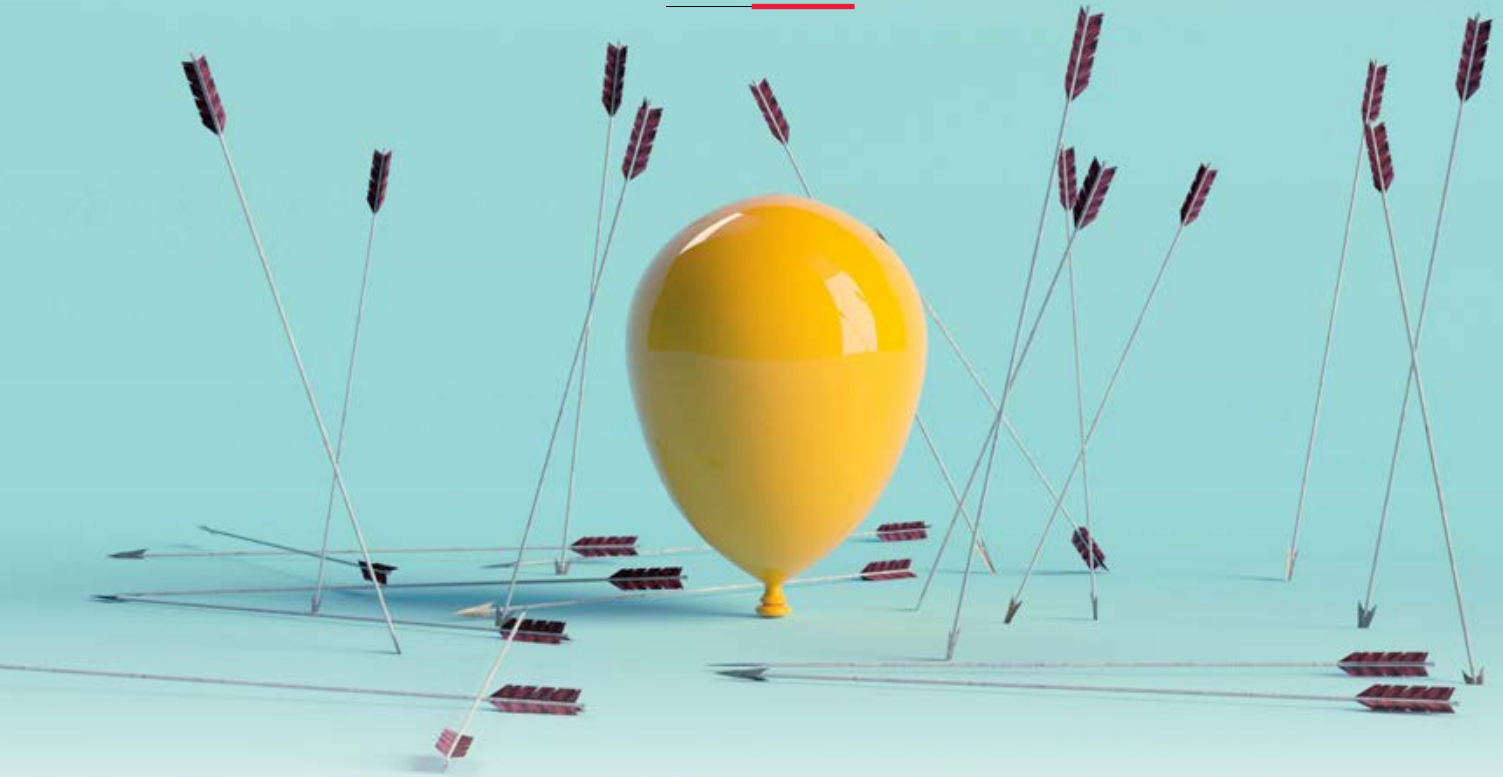
Peter Frankopan, **The Earth Transformed: An Untold History**, wyd. Bloomsbury Publishing, s. 736

Błąd non stop

Badacze bardzo często przedstawiają odkrycia, wnioski z badań i efekty eksperymentów, które okazują się fałszywe.

Nauka ma jednak wbudowane rozmaite mechanizmy ich korekty. I pozostaje najlepszym sposobem na zdobywanie rzetelnej wiedzy o świecie.

RAFAŁ ZWOLAK



Carl Sagan, znany amerykański astronom i pisarz, ponad 30 lat temu sformułował zasadę znaną dzisiaj jako „standard Sagana”: nadzwyczajne twierdzenia wymagają nadzwyczajnych dowodów. Tymczasem w mediach jest dokładnie na odwrót. Kiedy naukowcy opublikują artykuł ze „wstrząsającymi” wnioskami, niemal natychmiast zyskuje on rozgłos w internecie, a później nierzadko wchodzi do kanonu „wiedzy ludowej”. Inni naukowcy mogą załamywać ręce i wskazywać, że analiza statystyczna była pełna błędów, wnioskowanie nielogiczne, albo że późniejsze badania nie potwierdziły postulowanego efektu, ale dżina nie da się już zagonić z powrotem do butelki. Tymczasem błędna jest zaskakująco duża część artykułów naukowych.

To twierdzenie nie jest kontrowersyjne. Było takie do 2005 r., gdy John P.A. Ioannidis napisał o tym na łamach „PLoS Medicine” w słynnym artykule „Why most published research findings are false” („Dlaczego większość opublikowanych wyników badań jest fałszywa”). Grecko-amerykański badacz wykonał proste symulacje, z których wynikało, że większość „odkryć naukowych” z bardzo dużym prawdopodobieństwem jest błędna. A w przypadku artykułów zawierających najbardziej zaskakujące lub rewolucyjne tezy, takie niebezpieczeństwo jeszcze wzrasta i to drastycznie. I wskazał, że ważną funkcję pełni w tym zarówno świadoma, jak i nieświadoma stronniczość naukowców – wszak każdy chciałby coś odkryć. Główna teza Ioannidisa została później potwierdzona

różnymi metodami i w różnych dziedzinach nauki.

Żeby zrozumieć naturę owych pomyłek, musimy zacząć od statystyki, bo na niej opiera się współczesna nauka. To potężne narzędzie – pozwala na wyciąganie wniosków na podstawie niekompletnych danych. Naturalną konsekwencją próby zrozumienia ogółu na podstawie jego fragmentu są jednak błędy, które na potrzeby tej dyskusji możemy podzielić na dwie kategorie.

Widzenie nieistniejącego

Po pierwsze, można wykryć efekt, którego w rzeczywistości nie ma. To problem w nauce zaskakująco rozpowszechniony, przy czym jego nasilenie trochę się różni pomiędzy dziedzinami, np. w naukach społecznych (psychologia, socjologia, ►

► pedagogika, politologia) wydaje się być nieco gorzej, a w biologicznych czy fizycznych odrobinię lepiej. Niemniej różne badania i różne sposoby wnioskowania sugerują, że około połowy naukowych „odkryć” tak naprawdę nie istnieje. To przybliżone oszacowanie daje dość dobre pojęcie o skali wyzwania. Ilustracją tego problemu mogą być „rewolucyjne” badania Roya Baumeistera, opublikowane w 1998 r. w „Journal of Personality and Social Psychology”, według których siła woli miała się podczas zadań wymagających samokontroli wyczerpywać, trochę jak mięśnie podczas wysiłku. Na przykład, jeśli ktoś jest na diecie i musi powstrzymać swój apetyt, to łatwiej miał ulegać innym impulsom, w tym agresji. Ta teoria wywierała duży wpływ na psychologię przez prawie dwie dekady. Ostatecznie okazało się, że inne zespoły badawcze nie są w stanie powtórzyć wyników Baumeistera: rygorystyczne eksperymenty nie przyniosły dowodów na zużywanie się zasobów samokontroli.

Po drugie, nawet gdy naukowcy wykryją prawdziwy efekt, to mogą przecenić jego siłę. Na przykład zespół japońskiego naukowca Shinichi Nakagawy oszacował niedawno, że w mojej dziedzinie, czyli ekologii i ewolucji, prawdziwe efekty są średnio czterokrotnie słabsze od tych, które naukowcy opisują w swoich badaniach (wyniki opublikowano w „BMC Biology”). Cierpią na tym np. próby zrozumienia wpływu globalnych zmian na organizmy. Podejrzewamy, że takie przecenianie objawia się m.in. w badaniach dotyczących szkodliwego wpływu zakwaszenia oceanów na zachowania ryb, rozmiarów zauważalnego w ostatnich dekadach zmniejszenia liczebności owadów czy też negatywnego efektu obcych, inwazyjnych gatunków roślin na różnorodność biologiczną.

Naukowe pomyłki są tak rozpowszechnione, gdyż badane efekty często są subtelne, a zbieranie danych wymaga dużo wysiłku, czasu i pieniędzy. Dlatego standardem jest porywanie się z motyką na słońce, czyli próba oceny hipotezy za pomocą – znów – zbyt małej ilości faktów. W takich przypadkach nie można precyzyjnie oszacować efektu (mówimy wtedy o „niewielkiej mocy statystycznej”). Większość z nich niczego nie wykrywa i zwykle kończy jako „nieudane” w szufladzie naukowca. Natomiast te badania, które mimo niskiej mocy statystycznej wykryją jakiś efekt, z pewnością

go przeszacują. To trochę jak łowienie w sieć o dużych oczkach i dochodzenie do wniosku, że jezioro zamieszkują tylko wielkie ryby. Jednak takie badania, które prezentują zaskakująco silne efekty, są najbardziej atrakcyjne dla czasopism naukowych.

Uznawanie oczekiwanego

W dodatku nawet jeśli mamy obfitość danych, to często są one złożone i niejednoznaczne. Żeby poradzić sobie z tym wyzwaniem, analizy statystyczne również stają się coraz bardziej skomplikowane, co tworzy nowe problemy. Parafrazując stary żart: daj trzem naukowcom te same dane, a dojdą

do trzech różnych wniosków (czterech, jeśli jeden jest z Harvardu). Na przykład w badaniu z 2018 r. 61 naukowców, podzielonych na 29 zespołów, miało ocenić, czy sędziowie piłkarscy są bardziej skłonni ukarać żółtymi kartkami ciemnoskórych piłkarzy (wyniki ogłoszono w „Advances in Methods and Practices in Psychological Science”). Co trzeci zespół nie znalazł zależności, a wśród tych, które znalazły efekt, niektóre stwierdziły, że sędziowie mają takie inklinacje, inne że ten efekt jest słaby, a część doszła do odwrotnego wniosku: że to właśnie biali częściej dostają kartki.

Inny przykład to badanie opublikowane w ubiegłym roku w „Proceedings of the National Academy of Sciences”. 161 doświadczonych naukowców w 73 grupach analizowało te same dane, aby zbadać, czy wzrost imigracji prowadzi do obniżenia poparcia dla rządowej polityki społecznej (czyli zasiłków). Wyniki układały się dość równo pomiędzy „nie ma efektu” i „jest efekt”. Co więcej, w rezultatach, które sugerowały, że imigracja wpływa na postrzeganie rządowego wsparcia dla potrzebujących, efekt pozytywny i negatywny występowały podobnie często.

Rozbieżności biorą się stąd, że każda analiza statystyczna wymaga wyborów, które rzadko są oczywiste. Jakie dane uwzględnić, a jakie odrzucić jako niewiarygodne? Jak precyzyjnie sformułować badaną hipotezę? Które zmienne uwzględnić i dla czego? Jakie testy statystyczne zastosować? To prawdziwy labirynt decyzji. W dodatku wielu naukowców wierzy, że poszukiwany efekt naprawdę istnieje, tylko ukrywa się w krnąbrnych danych, a zadaniem statystyki jest go wydobyć. Zgodnie z tą logiką taką analizę, która wskazuje na istnienie efektu, uznają

za najlepszą. Zdają się mówić: dajcie nam dane, a wynik się znajdzie.

W ten sposób dochodzimy do kolejnego problemu, którym jest subiektywizm w wyszukiwaniu i raportowaniu wyników. Nauka ma być obiektywna, jest jednak tworzona przez ludzi (przynajmniej w momencie oddawania tego artykułu do druku), którzy mają swoje przekonania, poglądy i ulubione teorie. Nawet przy dobrych intencjach prowadzi to do stronniczości. Nikt bowiem nie jest wolny od efektu potwierdzenia, czyli tendencji do zwracania uwagi na informacje, które są zgodne z jego poglądami, i ignorowania tych, które je podważają.

Niebezpieczeństwo jest największe, gdy badana kwestia ma podłoże ideologiczne, a dane są dalekie od jednoznaczności (jak w przykładzie z piłkarzami). Co więcej, nawet głębokie zrozumienie mechanizmu na efekt potwierdzenia nie uodparnia. Jedyną szczepionką jest różnorodność przekonań i postaw w nauce. Choć badacze mają problem z dostrzeżeniem belki w swoim oku, to potrafią sprawnie znaleźć drzazgę w cudzym. Ta umiejętność, choć irytująca, jest nieoceniona dla funkcjonowania nauki, ale przestaje działać, gdy wszyscy naukowcy mają te same poglądy.

Potrzebna jest zatem ogromna pokora, bo wyniki pojedynczego badania pozostają słabym dowodem. Jednocześnie trzeba docenić, że mimo błędów, uprzedzeń i chaosu w wynikach nauka jednoznacznie rozstrzygnęła cały szereg kontrowersyjnych zagadnień, od wpływu papierosów na rozwój nowotworów, po rolę człowieka w ociepleniu klimatu.

Powiększanie niewielkiego

Dowodem na to, że nauka dokonuje autokorekty, jest fenomen tak zwanych „znikających wyników”. Czasami gdy naukowcy odkrywają jakieś zjawisko, pierwsze doniesienia informują, że jest ono niezwykle silne, jednak w kolejnych badaniach coraz bardziej słabnie, a zdarza się, że zupełnie zanika. Klasycznym przykładem z dziedziny biologii jest wpływ symetrii na wybór partnera. Według pewnych teorii zwierzęta i ludzie wybierają partnerów o symetrycznym wyglądzie, ponieważ jest on dowodem na wysoką jakość genów. Pierwsze badania wykazywały uderzająco silny wpływ symetrii na kojarzenia. Jedno (o tym, że u ludzi jakość tańca odzwierciedla symetrię ciała) dostało się nawet, w 2005 r., na okładkę najbardziej prestiżowego czasopisma naukowego „Nature”. Jednak kolejne badania wykazywały coraz słabsze efekty. Co więcej, badanie z „Nature” zostało wycofane kilka lat



po publikacji, gdy okazało się, że jednemu z autorów tak bardzo zależało na wyniku, że aż sfalszował dane.

Nauka to kolos, który stoi na glinianych nóżkach pojedynczych publikacji. Nie byłoby to wielki problem, bo wiedza naukowa z czasem jest modyfikowana, krzepnie i nabiera trwałości. Tu jednak dochodzi kolejny czynnik. Media, zwłaszcza społecznościowe, entuzjastycznie rzucają się na „wstrząsające” wnioski. Niewielu sprawdza, czy metody były wiarygodne, zwłaszcza że obecnie są one coraz bardziej skomplikowane i rzadko kto potrafi je rzetelnie ocenić. Jest jeszcze polaryzacja polityczna. Jeśli wyniki badań wpisują się w narrację jednej ze stron konfliktu, to wszelki sceptycyzm gaśnie. Kto chciałby podważać rezultaty i szukać błędów w statystyce, gdy wyników badań można użyć jako pałki na politycznego przeciwnika? Zresztą takie nastawienie nie musi wynikać z cynizmu, a ze znanego nam już efektu potwierdzenia: jeśli badania wspierają nasze poglądy, to przecież muszą być rzetelne. Przykładem mogą być analizy na temat cech osobowości Amerykanów identyfikujących się z lewicą i prawicą. Pierwsze wyniki sugerowały, że osoby o konserwatywnych poglądach są szczególnie dogmatyczne i niezdolne do zmiany punktu widzenia. Nowsze dowodzą, że stronnictwo, hipokryzja i niewrażliwość na fakty są częste na całej szerokości politycznego spektrum, a na wcześniejsze wyniki mógł wpłynąć fakt, że amerykańscy socjologowie niemal bez wyjątku są lewicowi.

Odgórnie próby regulacji nie zawsze działają, a czasem prowadzą do opłakanych skutków. Bo kto ma oceniać prawdziwość naukowych twierdzeń? Na początku epidemii Covid-19 Facebook usuwał wszelkie posty sugerujące, że wirus mógł uciec z zajmującego się badaniami koronawirusów laboratorium w Wuhan, jako promujące teorię spiskową. Minęło kilka lat i choć wciąż nie wiemy, w jaki sposób wirus przeskoczył na ludzi, to zarówno teoria wypadku w laboratorium, jak i naturalnego zarażenia od zwierząt są poważnie brane pod uwagę (a FB przestał uznawać pierwszą za wymysł).

Błądzenie do celu

Na szczęście naukowcy znajdują coraz więcej sposobów, by szacować występowanie i rozmiary swoich błędów. Jednym z najnowszych podejść jest analiza tzw. dziedzin zerowych – obszarów, gdzie

oczekiwany efekt jest na tyle absurdalny, że jego obserwacja byłaby równoznaczna z naruszeniem fundamentalnych praw fizyki, chemii czy biologii. Doskonałym przykładem jest homeopatia. W tej metodzie „leczenia” kuracja niczym nie różni się od placebo, więc wszelkie różnice powinny być czysto losowe. Dlatego w połowie przypadków kuracja powinna „zadziałać” lepiej, a w połowie gorzej niż środek bez wartości farmakologicznej (z rzadka wypadają identycznie). A jednak okazuje się, że w 80 proc. opublikowanych badań homeopatia była skuteczniejsza od placebo. To wskazuje na systematyczny błąd w metodologii, analizie danych, procesie publikacji, a może nawet we wszystkich trzech.

Istnieją też liczne sposoby zapobiegania błędom. Jednym z najważniejszych jest zarejestrowanie szczegółowego planu zbierania danych i analiz jeszcze przed rozpoczęciem badań, tak żeby nie można było potem wybrać takiej metody postępowania, która doprowadzi do preferowanych wniosków. Innym mogłoby być zatwierdzanie publikacji tylko na podstawie znaczenia badanego problemu i jakości użytych metod – decyzję podejmowałiby recenzenci i redaktorzy, którzy nie znają jeszcze wyników. Kolejnym rozwiązaniem, które ostatnio staje się normą, jest udostępnianie surowych danych tak, aby inni badacze mogli sprawdzić solidność opublikowanych wyników. Tak więc nauka nie jest wobec swoich słabości bezbronna.

Dochodzimy w ten sposób do paradoksu: choć pojedyncze badania naukowe są najczęściej błędne, to nauka pozostaje najlepszym sposobem na zdobywanie rzetelnej wiedzy o świecie. Postęp jest chaotyczny i pełen ślepych ścieżek, a jednak ewidentny: samoloty latają, pogoda daje się przewidzieć, śmiertelne niegdyś choroby – wyleczyć.

Czytelnikom sugerują zatem strategię: jeżeli media donoszą o jakimś wstrząsającym wyniku, poczekajcie z ich oceną na potwierdzenie w kolejnych badaniach (choć niestety może to nastąpić za kilka lub nawet kilkanaście lat). Weźcie głęboki wdech i powtórzcie sobie: „większość badań naukowych jest błędna”. A gdy wyniki was nie zaskoczyły, bo wpisują się w wasze poglądy, powtórzcie to sobie kilka razy.

RAFAŁ ZWOLAK

Autor jest doktorem habilitowanym, pracuje na stanowisku profesora na Wydziale Biologii Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu.

PODKASTY POPULARNONAUKOWE

Już ponad 70 rozmów:
projektpulsar.pl/podkast

Anna Karnkowska:
Protisty są
po ludzku piękne



Kamil Janicki: Kultura
słowiańska uwiodła
minimalizmem

**Małgorzata
Grzegorzewska:**
U Szekspira, raniąc
Naturę, człowiek
rani świat



pulsar
NADAJE

Jak mózg się uczy, leczy i choruje

ZROZUMIENIE, JAK DZIAŁA MÓZG I W JAKI SPOSÓB PRZEBIEGAJĄ W NIM PROCESY CHOROBY, TO JEDNO Z NAJWIĘKSZYCH WYZWAŃ STOJĄCYCH PRZED MEDYCYNĄ I NAUKAMI BIOLOGICZNYMI. W POLSCE CZŁOWYM OŚRODKIEM ZAJMUJĄCYM SIĘ BADAANIAMI MÓZGU JEST BRAINCITY – DZIAŁAJĄCA W RAMACH INSTYTUTU BIOLOGII DOŚWIADCZALNEJ IM. NENCKIEGO PAN PLACÓWKA, W KTÓREJ NEURONAUKOWCY Z POLSKI I ŚWIATA BADAJĄ ZJAWISKO TZW. PLASTYCZNOŚCI NEURONALNEJ. STANOWI ONO PODSTAWĘ PROCESU UCZENIA, ALE JEGO ZABURZENIA MOGĄ STAĆ SIĘ PRZYCZYNĄ WIELU SCHORZEŃ NEUROLOGICZNYCH. JEDNOSTKA DZIAŁA W RAMACH PROGRAMU MIĘDZYNARODOWE AGENDY BADAWCZE PROWADZONEGO PRZEZ FUNDACJĘ NA RZECZ NAUKI POLSKIEJ I FINANSOWANEGO ZE ŚRODKÓW POCHODZĄCYCH Z FUNDUSZY EUROPEJSKICH Z PROGRAMU INTELIGENTNY ROZWÓJ (POIR). CENTRUM KIERUJE **PROF. LESZEK KACZMAREK**, JEDEN Z CZŁOWYCH ŚWIATOWYCH BADACZY NEUROPLASTYCZNOŚCI.

Dlaczego trudniej zrozumieć działanie mózgu niż reszty organizmu?

PROF. LESZEK KACZMAREK: – Wiemy wiele, ale problemem jest poziom komplikacji mózgu. Ludzki zawiera ok. 86 mld komórek nerwowych i drugie tyle komórek glejowych. Każdy z neuronów może być połączony z nawet kilkoma tysiącami innych. Tymczasem, by zrozumieć, jak działa ta sieć, musimy zrozumieć nie tylko pojedyncze komórki, ale też pojedyncze połączenia, czyli synapsy.

W ostatnich latach w badaniach mózgu dzieje się jednak wiele. Trwają choćby próby stworzenia mapy wszystkich neuronów, symulacje jego działania w superkomputerach. Czy możemy mówić o przełomowym okresie?

Zacząłem zajmować się tą dziedziną w 1986 r. już po stażu podoktorskim w Stanach Zjednoczonych, bo uważałem to za najciekawsze w nauce. Nie ma żadnej innej dziedziny nauki czy też poznania, która w takim stopniu integrowałaby różne obszary badawcze. To wyzwanie sprawia, że badania mózgu przyciągają dzisiaj najtęższe umysły i najzdolniejszych młodych ludzi.

Badania nad mózgiem są też coraz ważniejsze. Według szacunków agencji zajmujących się ochroną zdrowia publicznego koszt, jaki społeczeństwa ponoszą w konsekwencji schorzeń mózgu, może sięgać zależnie od kraju od 4 do 8 proc. PKB. Problem jest szczególnie dotkliwy w krajach bogatszych, gdzie żyje się coraz dłużej. Wynika to z tego, że od urodzenia do końca życia mamy mniej więcej ten sam zestaw neuronów. Im dłużej żyjemy, tym bardziej różne błędy się akumulują. W społecznej świadomości nowotwory przerażają nas najbardziej, ale to choroby neuropsychiatryczne są największym wyzwaniem stojącym przed medycyną.

Prof. Leszek Kacmarek

– neurobiolog, kierownik Pracowni Neurobiologii oraz Centrum Doskonałości Badań nad Plastycznością Neuronálną i Chorobami Mózgu BRAINCITY, Międzynarodowej Agencji Badawczej FNP w Instytucie Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego PAN w Warszawie. Specjalizuje się w badaniach nad relacjami mózg–umysł na poziomie molekularnym, komórkowym, narządowym i behawioralnym w zdrowiu i chorobie. Odkrył zmiany aktywności genów w procesie uczenia się u ssaków, co przyczyniło się do stworzenia nowej dyscypliny: neurobiologii molekularnej. Opracował wraz ze swoim zespołem nowatorski w skali światowej program terapii rozwoju padaczki.



Co jest dziś największym wyzwaniem w badaniach mózgu?

Po pierwsze, opisanie tej olbrzymiej sieci, a po drugie, zrozumienie, co dokładnie powoduje, że sygnał w mózgu płynie tą czy inną drogą. Często porównuję to do sieci kolejowej. Jeżeli chcę przejechać z Poznania do Lublina, to zwrotnice sprawiają, że mój pociąg jedzie tą, a nie inną trasą. Połączenia nerwowe są jak te zwrotnice.

Możliwość zmiany trasy, czyli to, po których neuronach popłynie sygnał w sieci, nazywamy plastycznością synaptyczną lub neuronálną. Jest ona podstawą działania pamięci, pomaga w regeneracji po uszkodzeniach czy udarach. Z drugiej strony patologiczna plastyczność może prowadzić do zaburzeń ze spektrum autyzmu, schizofrenii, depresji czy padaczki. Jeżeli idzie o aspekty medyczne,

to zidentyfikowaliśmy potencjalny lek, który, jak wierzymy, będzie skutecznie hamował rozwój padaczki.

Skąd się wziął pomysł na ten lek?

To długa historia. Podczas stażu podoktorskiego w USA zajmowałem się podziałami komórki. Tym, co decyduje, że się dzieli albo nie. W każdej naszej komórce mamy ponad 20 tys. genów. Informacja w nich zawarta może być wyrażona w postaci białek. Ale to nie jest tak, że wszystkie geny wszędzie są aktywne. Już w latach 80. naukowcy opisali to, że kiedy komórka zaczyna się dzielić, musi w tym celu dojść do pobudzenia konkretnych genów.

Zacząłem wtedy podejrzewać, że do podobnego pobudzenia może także dochodzić, gdy w mózgu następuje reorganizacja połączeń pomiędzy komórkami. Kiedy wraz ze współpracownikami zaczęliśmy prowadzić eksperymenty, okazało się,

że podanie do mózgu szczurą neuroprzekaznika, kwasu glutaminowego, pobudza aktywność genów i produkcję białek. To było pierwsze w świecie opisanie takiego zjawiska w kontekście neuroplastyczności.

Badając kolejne etapy tego procesu, natrafiliśmy na enzym tzw. metaloproteazę macierzową 9 (MMP-9). To od ponad 20 lat nasz główny obiekt badawczy. Okazało się, że aktywuje się ona m.in. w stanach drgawkowych, a te są powiązane z padaczką. U dorosłych ludzi padaczka najczęściej się rozwija po urazie mózgu lub udarze. Ocenia się, że występuje od kilku do może ponad 20 proc. osób po takim przejściu. Po urazie notujemy masywny wzrost MMP-9. Myszy zmodyfikowane genetycznie w taki sposób, że nie miały MMP-9, o wiele rzadziej rozwijały padaczkę. Z kolei szczur, które miały więcej tego białka jedynie w komórkach nerwowych, zapadały na nią zdecydowanie łatwiej. Ten enzym wydaje się więc mieć kluczowe znaczenie.

MMP-9 była wcześniej znana badaczom nowotworów i stworzono nawet tzw. inhibitory ograniczające jej działanie, ale podczas prób klinicznych okazało się, że ich przewlekłe podawanie powoduje skutki uboczne. Próby zarzucono, ale opracowane związki zostały.

W przypadku urazu mózgu MMP-9 pojawia się w ciągu kilku minut do kilku godzin i sądzimy, że w tym czasie wpływa na przebudowę połączeń między neuronami. Te zmiany po latach, w kontakcie z innym bodźcem, mogą wywołać objawy padaczki, schizofrenii czy depresji. Ale jako że MMP-9 jest aktywna krótko, a padaczka rozwija się później, chcieliśmy sprawdzić, czy inhibitor podawany wkrótce po urazie, nie przewlekłe, ale na ostro, może mieć korzystny wpływ.

Weszliśmy we współpracę z firmą Pikralida i sprawdzaliśmy, które ze znanych już leków działających na MMP-9 będą hamowały rozwój padaczki w modelu. I zidentyfikowaliśmy jedną taką substancję. To przełom, bo dziś nie ma na świecie żadnej terapii, która byłaby w stanie zahamować rozwój padaczki, możemy jedynie starać się redukować objawy.

Jak daleko jest od ewentualnego wprowadzenia leku do terapii?

Pikralida wchodzi w pierwszą fazę badań klinicznych. Sprawdzone zostanie, czy stosowanie tego leku nie szkodzi ludziom. Wydaje się, że nie powinno, skoro był on podawany ludziom nawet w dużych większych dawkach. Potem jest faza druga, czyli ocena skuteczności. To złożony

proces, który niestety zazwyczaj trwa wiele lat i trudno określić jego finał.

To jednak tylko drobny wycinek badań, które prowadzicie w BRAINCITY.

Centrum BRAINCITY to skrót od „Brain Plasticity”. Wszyscy zajmujemy się plastycznością, ale na różnych poziomach.

Dr hab. Ewelina Knapka, profesor Instytutu i kierowniczka Pracowni Neurobiologii Emocji, również interesuje się białkiem MMP-9, ale w kontekście zachowań społecznych i zachowań apetytywnych, czyli takich, których celem jest otrzymanie nagrody. Ponad 10 lat temu kilka zespołów badawczych, w tym nasz, pokazało, że w zespole łamliwego chromosomu X, rodzaju autyzmu, brak pewnego białka powoduje, że na synapsie pojawia się zbyt wiele MMP-9 i to może być jedna z przyczyn tej choroby. W ubiegłym roku dr Alicja Puścian z Pracowni Neurobiologii Emocji pokazała, że podanie inhibitora MMP-9 do niewielkiej części mózgu zwanej jądrem środkowym ciała migdałowatego znosi zaburzenia poznawcze u myszy będących modelem tej choroby, nie wpływając na zaburzenia zachowań społecznych. Jedne i drugie deficyty są objawami autyzmu. W rezultacie zaproponowano, by terapia tej choroby miała charakter celowany w ściśle określone objawy.

Z kolei dr Ali Jawaid, kierownik Pracowni Badań Translacyjnych w Chorobach Neuropsychiatrycznych, interesuje się tym, jak środowisko wpływa na różne schorzenia, w tym zaburzenia lękowe. Środowisko rozumiane szeroko, od diety po konflikty zbrojne. Dr Jan Kamiński, kierownik Pracowni Neurofizjologii Umysłu, przyjechał do nas z Los Angeles, by prowadzić badania unikatowe w skali światowej. Interesuje go, jak kształtuje się aktywność pojedynczych neuronów w mózgu człowieka. I wreszcie jest dr Anna Beroun, kierowniczka Pracowni Plastyczności Neuronalnej, która zajmuje

się tak zwanymi synapsami milczącymi, przez które sygnał nie płynie. Sprawdza, jakie są mechanizmy ich występowania i przekształcania w synapsy aktywne.

Ze swej natury te badania obejmują wiele dziedzin, od biochemii po informatykę.

Tak, zdecydowanie! Dr Jan Kamiński szeroko stosuje uczenie maszynowe. Jednocześnie istotne jest obrazowanie. Razem zespołem prof. Ryszarda Buczyńskiego z Instytutu Mikroelektroniki i Fotoniki Sieci Badawczej Łukasiewicz oraz grupą dr. Radka Łapkiewicza z Instytutu Fizyki Doświadczalnej Wydziału Fizyki UW stworzyliśmy nowatorskie włókna optyczne. Dzięki nim możemy wnikać w głąb mózgu, by zobaczyć w czasie rzeczywistym, która jego część jest aktywna i to nie w zakresie wielkich zespołów komórek, ale aktywności pojedynczych neuronów.

To daje możliwość bardziej szczegółowego zrozumienia, co dzieje się w mózgu.

Tak i tylko takie rozumienie ma sens. Mamy sieć miliardów komórek w mózgu. Każda z nich ma setki czy tysiące połączeń. Jeśli tych połączeń nie opisujemy, nic nie zrozumiemy. To zajmie jeszcze dużo czasu, ale wydaje się, że uchwyciliśmy już istotę zjawiska. To sprawia, że można już uwierzyć, że będziemy w stanie to wszystko odtworzyć w pudełeczku z krzemu czy plastiku.

Na ile istotne dla funkcjonowania BRAINCITY było finansowanie FNP?

Było kluczowe z kilku względów. Umożliwiło stworzenie konsorcjum zespołów badawczych. Jak wspominałem, neuro nauka jest tak złożona i interdyscyplinarna. Tylko w takim konsorcjum, w interakcji, możemy odpowiadać na najważniejsze pytania. Po drugiej, jesteśmy nadzorowani przez Międzynarodowy Komitet Naukowy, co powoduje, że stosujemy najlepsze światowe praktyki naukowe. Naszym partnerem jest EMBL, jedno z najlepszych laboratoriów na świecie, które pozycję osiągnęło m.in. dzięki profesjonalnym metodom zarządzania badaniami naukowymi. My te metody przenosimy do nas. Chcemy, żeby w Polsce była instytucja, która stosuje te same zasady prowadzenia pracy naukowej, jakimi kierują się czołowe światowe placówki.

Więcej o wynikach badań z polskich laboratoriów w raporcie pt. „Nauka w czasach przemian. Jak badania finansowane z Funduszy Europejskich pomagają chronić nas przed globalnymi zagrożeniami i wykorzystywać historyczne szanse”: www.fnp.org.pl



Algorytm woli ludu

Wybory albo negocjacje – jak zadbać o to, by były sprawiedliwe? Odpowiedzi szuka dr hab. **Piotr Skowron**, laureat Nagrody Naukowej POLITYKI w kategorii Nauki ścisłe.

KAROL JAŁOCHOWSKI

Demokracja to idea platońska. Żeby przełożyć ją na praktykę życia społecznego, konieczne są konkretne mechanizmy. Algorytmy do tłumaczenia woli ludu na działania władz zazwyczaj są niezauważalne. Widowiskowe sceny z Senatu Galaktycznego na planecie Coruscant, znane chyba każdemu widzowi Gwiezdných Wojen, rzadko prowokują do refleksji. A powinny, bo jak do licha owe setki, jeśli nie tysiące, tak różnych istot dochodzą swoich racji? Jaką metodę głosowania zastosować, by uwzględnić potrzeby nie tylko sił dominujących w Republice, ale i drobniacy?

Istnienie takich mechanizmów uświadamiają zwykle wybory powszechne – samorządowe i parlamentarne. Częściej jednak refleksję na ten temat budzą głosowania lokalne, np. prowadzone w ramach miejskich budżetów partycypacyjnych. A już na pewno te, w których nasz ulubiony projekt nie dostał szansy realizacji.

To właśnie bada dr hab. Piotr Skowron. – *Za każdą metodą głosowania stoi jakaś struktura matematyczna. A ponieważ proces podejmowania decyzji możemy modelować w bardzo precyzyjny sposób, możemy też analizować, które systemy wyborcze są lepsze, które lepiej reprezentują wyborców, a które są wrażliwe na paradoksy czy szkodliwe strategie.*

Zieloni mają mieć głos

Stosowana zwykle metoda idzie za powszechną intuicją, która mówi, że promowane powinny być głównie poglądy czy głosy większości. Są jednak sytuacje, w których staje się ona narzędziem dyskryminacji. Założmy, że 60 proc. ludzi głosuje na jedną grupę projektów z funduszu lokalnego – nazwijmy je niebieskimi – a reszta na zielone. – *Jeśli budżet pozwala zrealizować tylko 10 projektów, to wygrają te, które otrzymają najwięcej*

głosów – wszystkie będą niebieskie – tłumaczy dr Skowron. – W ten sposób „zieloni” wyborcy zostaną zignorowani. A my chcielibyśmy wybrać np. 6 projektów niebieskich i 4 zielone, żeby każdy czuł, że został uwzględniony.

Innymi słowy, badacz i jego współpracownicy zakładają istnienie społeczeństwa nieidealnego, podzielonego, niespójnego. Rzeczywistego – jak nasze. Swoje modele badali nie tylko na papierze (w komputerze), ale też konfrontowali je z danymi z terenu. – *Zebraliśmy dane z ponad 1000 przykładów głosowań w ramach budżetów partycypacyjnych. Analizowaliśmy to, jak się rozkładają głosy na poszczególne projekty, jakie byłyby różnice w wynikach po zastosowaniu różnych sposobów liczenia głosów. Potwierdziliśmy, że w przypadku metody większościowej pewne grupy bywały nadreprezentowane, a niektóre pomijane. Mimo że zgodnie z ideą proporcjonalności wszystkie powinny mieć wpływ na jakąś część budżetu.*

Sprawiedliwość to pojęcie etyczne, filozoficzne, prawne – ale w kontekstach wyborczych jest realizowane narzędziami matematycznymi. Jeśli te zostaną źle dobrane, ludzie zniechęcą się do udziału w demokracji. – *Kiedy rozmawiamy z samorządami, słyszymy, że w budżetach partycypacyjnych najważniejsze jest zaangażowanie w proces decydowania o wspólnocie. A jeżeli używamy metody sprawiającej, że pewna grupa jest bardzo zadowolona, a inna w ogóle, to osiągamy efekt przeciwny.*

– *Chcieliśmy więc zaprojektować taki system, w którym ludzie nie czuliby się wykluczeni – mówi naukowiec. – I postawiliśmy hipotezę, że to może mieć też pozytywny wpływ na partycypację.*

Włodarze się otwierają

Zanim Piotr Skowron przedstawi szczegóły opracowanej przez jego zespół metody równych udziałów – istotne rozróżnienie. Jedną rzeczą jest format głosowania, inną metoda liczenia głosów. Formaty bywają różne, ale zliczanie zwykle poparcia odbywa się właśnie metodą większościową. – *Liczymy, ile głosów uzyskały poszczególne projekty, i wybieramy te, które miały ich najwięcej. Tyle, na ile pozwala budżet.*

W nowej koncepcji wyborca także wskazuje projekty albo rozdziela punkty poparcia, czyli format głosowania pozostaje bez zmian. – *Metoda równych udziałów polega*

zaś na tym, że najpierw wirtualnie rozdziela się cały budżet między wyborców, a następnie wybiera projekty, które zyskały najwięcej głosów i już na tym etapie stara się je „opłacić”. Wyborcy, którzy je poparli, tracą w tym momencie część przysługujących im środków, a zatem waga ich głosów się zmniejsza. Dzięki temu osoby, którym przysługuje jeszcze jakaś kwota, a które nie zostały

Dr hab. **Piotr Skowron** (1985) jest informatykiem z Uniwersytetu Warszawskiego, autorem nowatorskiej metody liczenia głosów podczas uchwalania budżetów obywatelskich. Prowadził pionierskie badania nad metodami wyłaniania organów reprezentacyjnych. Został wyróżniony IJCAI Computers and Thought Award, główną nagrodą w dziedzinie AI.



jeszcze uwzględnione w procesie decyzyjnym, stopniowo dochodzą do głosu. Mogą zrzucić się na jeszcze niewybrane projekty.

Dr. Skowronowi udało się już namówić kilka miast na wdrożenie tej metody. Pierwszym była Wieliczka, w ramach pilotażowego programu Zielony Milion (wybierano w nim projekty ekologiczne). Później było szwajcarskie miasteczko Aarau, a następnie Świecie. – *Teraz pracujemy ze starostwem w powiecie pruskowskim. Prowadzimy już spotkania z mieszkańcami. Wszystko jest na dobrej drodze. Współpracujemy też z holenderskim Assen.*

Więszym wyzwaniem jest sprowokowanie wódrarzy do zejścia z utartej ścieżki. Metoda większościowa jest utrwalona tradycją i rozumiała. Zmiana wymaga dobrej woli i otwarcia się na nowe pomysły ze strony samorządów, ale i naukowców, którzy musieli nauczyć się używać innego języka niż stosowany na co dzień. Pomogła im współpraca z politologami, socjologami, ekonomistami, zwłaszcza z prof. Jarosławem Flisem z Uniwersytetu Jagiellońskiego. – *Podpowiedział nam, jak opowiadać o naszej metodzie, pomógł w kontaktach z burmistrzem Wieliczki.*

Badacze prowadzą na podstawie danych z ubiegłych lat symulacje, jak zmieniłyby się wyniki głosowania, gdyby opracowywano je metodą równych udziałów. – *I to przemawia do ludzi. Zaczynają zauważać, że niektóre lokalne problemy wynikają z braku proporcjonalności w wyborach. Nawet intuicyjnie wyniki otrzymywane naszą metodą wydają się lepsze.*

To poparcie ma zresztą charakter nie tylko lokalny. Zaprzyjaźniony z grupą Piotra Skowrona zespół prosił Szwajcarów o ocenę wyników otrzymywanych różnymi metodami. Oni również tę nową uznali za sprawiedliwszą. – *A kiedy ankietowanym przedstawiano też jej wyjaśnienie, odsetek poparcia wzrastał do 80 proc. Dla porównania metoda większościowa otrzymała 44 proc.*

Mechanizmy ujawniają piękno

Głosowania nad budżetem partycypacyjnym to mikrolaboratorium, w którym badać można ewentualności użycia metody równych udziałów także w innych

kontekstach. Przykładem referenda, w których opinie czy wola społeczna wyrażana jest zazwyczaj w trybie zero-jedynkowym: tak lub nie. Tymczasem literatura przedmiotu zna także takie, w których wyniki są niebinarne. I wówczas można myśleć o zastosowaniu metod, które nie odzwierciedlają tylko głosu większości, a ułatwiają znalezienie kompromisu.

Metoda równego udziału i mechanizmy oparte na podobnych ideach mają dodatkowe zalety – są mniej podatne na manipulacje niż te większościowe. W przypadku tych drugich sprawdza się stosowana czasem strategia polegająca na łączeniu dużych propozycji czy idei w jeszcze większą paczkę, gigaprojekt, który eliminuje mniejsze, wyczerpując budżet miasta czy gminy (tak stało się kiedyś w Wieliczce). – *Metoda proporcjonalna pozwala rozwiązywać ten problem. Połączenie projektów nie zwiększa ich szans na przegłosowanie.*

Metody Skowrona można używać również do wyboru organów przedstawicielskich, na przykład parlamentu, na przykład w Polsce. Wyniki byłyby sprawiedliwsze niż dotychczas, choć samo przeprowadzenie elekcji – dużo trudniejsze. Znajomość obecnego systemu (łącznie ze sposobem przeliczania głosów na mandaty metodą D'Hondta), rutyna z nim związana wpływają na inercję w jego stosowaniu. – *A poza tym decyzja o zmianie musiałaby być podjęta przez ludzi, którzy wygrali w ramach dotychczasowych reguł. I dobrze się w nich odnajdują.*

Dziś łatwiej pomyśleć o mniej radykalnym wykorzystaniu metody równych udziałów. Na przykład w negocjacjach między grupami, które mają różne koncepcje, a chcą spisać jeden program (jak np. obecna koalicja demokratyczna). – *Marzę sobie, żeby takie narzędzia wyborcze pomagały w procesie negocjacji i rozwiązywaniu konfliktów – mówi dr Skowron.*

Jego metoda to także narzędzie diagnostyczne, służące do głębszego zrozumienia procesów społecznych. – *Na podstawie opinii da się otrzymać statystykę spraw, które są przez ludzi uważane za kluczowe. W sposób, który odzwierciedlałby nie tylko preferencje większości. To wiedza bezcenna.*

Rzeczywistość wyborcza to jednak niejedyna sfera, w której można skutecznie wcielić idee reprezentatywności i proporcjonalności. Niewiększościowe metody liczenia głosów znajdują zastosowanie np. w protokołach blockchain. Podnoszą stabilność i bezpieczeństwo systemu. Zwiększają też poziom sprawiedliwości (pojęcia o bardzo szero-kim, zniuansowanym i kontekstowym znaczeniu) w systemach rekomendacyjnych opartych na sztucznej inteligencji. Tak, żeby nie dyskryminowały pewnych grup społecznych czy etnicznych. Mogą przypisywać uczniów do szkół, szkoły do uczniów, rezydentów do szpitali. – *Stosuje się w nich mechanizmy piękne matematycznie, o ciekawych, pożądanych społecznie właściwościach. To kierunek, w którym idą badania.*

Przypadek wyznacza drogę

Co do problematyki wyborczej przywiodło informatyka? Skąd chęć przekładania ludzkich pragnień na język algorytmów? – *To był właściwie przypadek. Mój promotor prof. Piotr Faliszewski z Akademii Górniczo-Hutniczej zajmował się tą tematyką. Zafascynowałem się nią, najpierw na poziomie technicznym: podobała mi się struktura problemów matematycznych i ich rozwiązywanie. Później dużo bardziej zaczęło mnie zajmować przekładanie ich na świat.*

Energia i zaraźliwy wręcz poziom zaangażowania społecznego dr. Skowrona jest zjawiskiem rzadko spotykanym w świecie nauki. Ma w sobie jakiś rys społecznikowski, pozytywistyczny. Może rodzinny? – *Nie wiem. To po prostu bardzo inspirujące, kiedy możemy zrobić coś pozytywnego. Nie potrafię sobie wyobrazić człowieka, który nie odczuwałby z tego powodu satysfakcji. To daje poczucie dużej sprawczości. Mocy, że od nas zależy, jak będzie wyglądał świat.*

Jeśli zaś idzie o Gwiezdne Wojny i galaktyczne demokracje: gdyby Piotr Skowron dostał coruscanccki Senat do swojej dyspozycji, gdyby mógł zaproponować możliwie sprawiedliwą metodę liczenia głosów, to wybrałby tę opracowaną przez jego zespół. W naszej części Wszechświata nikt nie wymyślił lepszej.

Pelen zapis rozmowy – w podkaście **pulsar nadaje** od piątku, 24 listopada na projektpulsar.pl/podkast.



Przełamać niemoc

NADZIEJE NA PRZYWRÓCENIE REFUNDACJI ZABIEGÓW IN VITRO DLA NIEPŁODNYCH PAR ODŻYŁY PO WYBORACH PARLAMENTARNYCH. A GDYBY NOWY PROGRAM ROZSZERZYĆ I UWZGLĘDNIĆ W NIM KOMPLEKSOWĄ OFERTĘ WSPARCIA DLA WSZYSTKICH, KTÓRZY CHCĄ MIEĆ DZIECI?

Jeszcze kilka miesięcy temu nie było szans na to, by w Polsce przywrócić finansowanie leczenia niepłodności metodą zapłodnienia pozaustrojowego in vitro. Testu, który opozycja przeprowadziła w Sejmie w połowie czerwca, podczas debaty nad obywatelskim projektem o przywrócenie tego finansowania z budżetu państwa, rządząca koalicja, czyli Zjednoczona Prawica, nie zdała. Projekt, pod którym podpisało się prawie pół miliona obywateli, nie został wprowadzony i trafił do Komisji Zdrowia, ale w ogóle nie rozważano nad nim pracy. Jakby posłom Prawa i Sprawiedliwości celowo chodziło o to, by przeczekać do wyborów.

Ale ich wynik zmienił sytuację. Co prawda nowa większość w parlamencie formalnie nie odzyskała jeszcze władzy, już podczas kampanii wyborczej wyraźnie zadeklarowano, że jedną z pierwszych decyzji będzie przywrócenie – mówiąc w skrócie – rządowego programu. Obowiązywał on w latach 2013–16, gdy ministrami zdrowia była Ewa Kopacz z Platformy Obywatelskiej,

jednak został wstrzymany przez Prawo i Sprawiedliwość. Na jakich zasadach powinien wrócić i dlaczego? Jaką pomoc w leczeniu niepłodności – lub szerzej: w doprowadzeniu do narodzin upragnionego dziecka również przez kobiety singielki lub pary jedнопłciowe (jeśli uda się zmienić zapisy ustawy o leczeniu niepłodności) – mogłyby zaoferować lokalne samorządy? Czy lepszą przyszłość dla metody zapłodnienia pozaustrojowego może ukształtować nauka i medycyna? Szukając odpowiedzi na te pytania, POLITYKA zorganizowała debatę ekspertów reprezentujących środowiska pacjentów, samorządowców i lekarzy – od nich chcieliśmy dowiedzieć się, czy w nowej politycznej rzeczywistości 1,5 mln niepłodnych par w Polsce rzeczywiście będzie mogło liczyć na lepszą opiekę, diagnostykę i wsparcie w rozwiązaniu ich problemu.

NIE IGRAJ Z CZASEM

– Nie ma skuteczniejszej metody, by doprowadzić do ciąży, niż procedura in vitro

– oświadcza dr Łukasz Sroka, ginekolog położnik i dyrektor medyczny klinik InviMed. – *A to, że nie osiągamy w niej 100 czy nawet 80 proc. sukcesu, wynika z biologicznych ograniczeń.*

W warunkach naturalnych, wbrew temu, co przypuszcza mnóstwo ludzi, również nie zawsze dochodzi do zapłodnienia albo powstałe zarodki giną na bardzo wczesnym etapie rozwoju. Płodność człowieka, jako gatunku, jest po prostu dość niska (kiedy para regularnie współżyje, prawdopodobieństwo koncepcji sięga 15–20 proc. w wieku najwyższej płodności i przy założeniu, że kobieta i mężczyzna są zdrowi). – *Brak edukacji sprawia, że młode Polki i Polacy niewiele wiedzą na temat płodności i dojrzejewają z przeświadczeniem, że jest ona oczywista. Częściej obawiają się nieplanowanych ciąż niż tego, z jakim trudem trzeba się o nią starać* – zauważa Marta Górna, przewodnicząca Stowarzyszenia na rzecz Leczenia Niepłodności i Wspierania Adopcji Nasz Bocian, które od 2002 r. jest głosem polskich pacjentów

zmagających się z niezamierzoną bezdzietnością.

Te biologiczne ograniczenia to przede wszystkim wiek par, które późno decydując się na posiadanie dziecka, najpierw kilka lat bezowocnie się o nie starają, a następnie nierzadko równie długi czas tracą na ustalenie przyczyn niepłodności. – *Efekty naszego leczenia są w dużej mierze uzależnione od metryki* – mówi dr Grzegorz Mrugacz, dyrektor medyczny Klinik Bocian. U 25-letnich kobiet skuteczność metody in vitro sięga 85–90 proc., ale każde następne 5 lat redukuje ją o ok. 20 proc. I nie zawsze pierwsza próba kończy się powodzeniem. – *Dlatego w sytuacji zdiagnozowanej niepłodności nie ma sensu przeciągać diagnostyki, tylko warto jak najszybciej zdecydować się, jeśli są ku temu wskazania, na metodę pozaustrojowego zapłodnienia* – zaleca dr Mrugacz. Niestety przez ostatnie lata, przy braku refundacji tej procedury, sporo par nie mogło sobie na to pozwolić. – *Kiedy w latach 2013–16 funkcjonował program rządowy, niepłodne pary podejmowały decyzję szybciej* – mówi dr Sroka.



Od lewej: **JOANNA NY CZAK** – dyrektorka Wydziału Zdrowia i Spraw Społecznych UM Wrocław. **Dr n. med. GRZEGORZ MRUGACZ** – dyrektor medyczny Kliniki Bocian. **MARTA GÓRNA** – przewodnicząca Stowarzyszenia na rzecz Leczenia Niepłodności i Wspierania Adopcji Nasz Bocian. **Dr n. med. ŁUKASZ SROKA** – dyrektor medyczny InviMed.

– Teraz od chwili, gdy otrzymują taką propozycję, do ich zgody upływa więcej czasu, bo muszą znaleźć pieniądze. Leczyłem pary, które decydowały się wyjechać za granicę do pracy, by szybciej uzbierać potrzebną kwotę, inne korzystają z pożyczek rodziny albo nawet ubiegają się o kredyty. Niestety są też takie, które mówią wprost, że nie będą w stanie podoląć kosztom, i odkładają macierzyństwo na później.

Tymczasem w opinii dr. Grzegorza Mrugacza, para, która otrzymała kwalifikację do procedury in vitro, nie powinna czekać w ogóle. Nie wszyscy mają jednak szczęście mieszkać w gminach udzielających na swoim terenie pomocy finansowej w staraniach o dziecko. Częstochowa była pierwszym takim miastem, w którym już w 2012 r. (a więc zanim zaczął obowiązywać program rządowy) wprowadzono refundację tych zabiegów. – We Wrocławiu radni zdecydowali się na to w 2019 r. – mówi Joanna Nyczak, która kieruje w tym mieście Wydziałem Zdrowia i Spraw Społecznych. – Przez cztery lata przeznaczaliśmy na leczenie niepłodności metodą zapłodnienia pozaustrojowego 3,6 mln zł i dzięki temu wsparciu przyszło na świat 225 dzieci. Inny program poświęciliśmy dofinansowaniu zabezpieczenia płodności u mieszkańców Wrocławia, którzy zanim zaczną starać się o potomstwo, muszą na przykład na czas terapii onkologicznej umieścić swoje komórki rozrodcze w specjalnych bankach.

Ale czy to powinno być zadaniem władarzy miast, by wyręczać rząd z zapewnienia obywatelom równego dostępu do świadczeń medycznych? Marta Górna jest temu stanowczo przeciwna: – Nie można stawiać ludzi w sytuacji, w której ci, którzy mieszkają w gminach biedniejszych lub w których władza należy do ideologicznych przeciwników tej metody, pozbawieni są do niej dostępu.

WSKAŹNIK SZCZĘŚCIA

Stąd spodziewany powrót do finansowania zabiegów in vitro z budżetu centralnego lub Narodowego Funduszu Zdrowia byłby zrównaniem szans dla wszystkich niepłodnych par. Rządowy projekt realizowany w latach 2013–16 kosztował budżet państwa 244 mln zł i urodziło się dzięki niemu ponad 22 tys. dzieci (jeszcze się rodzą z zamrożonych wtedy zarodków). – Był to niewątpliwie najbardziej efektywny program pro-demograficzny – przekonuje Marta Górna. W obywatelskim projekcie, przekazanym parlamentowi w tym roku, jest mowa o przeznaczeniu 500 mln zł na leczenie niepłodności metodą in vitro oraz na edukację w zakresie utrzymywania zdrowej płodności – ale od nowego rządu będzie zależało, jak w szczegółach zostanie opisany nowy program i jakie zostaną uwzględnione w nim koszty.

– Liczę na poszerzenie jego zakresu – mówi szefowa Stowarzyszenia „Nasz Bocian”.

W latach 2013–16 z refundacji mogły skorzystać wyłącznie te pary, u których do zabiegu wykorzystywano ich własne gamety. A przecież niepłodni mężczyźni mają nieraz tak niską jakość plemników, że trzeba skorzystać z nasienia dawców, i eksperci oczekują, że zostanie to teraz wzięte pod uwagę w nowym programie, na równi z użyciem komórek jajowych dawczyń. We Wrocławiu już obecnie „miejska” refundacja uwzględnia taką możliwość.

Druga sprawa to dostęp do diagnostyki. – Podrzucam pomysł przyszłemu rządowi, aby program in vitro poszerzył o diagnostykę niepłodności, która dziś finansowana jest za ledwie w 16 ośrodkach – mówi Marta Górna, a dr Grzegorz Mrugacz zwraca uwagę, że beneficjentami uruchomionego przed kilkoma laty przez PiS „Programu kompleksowej ochrony zdrowia prokreacyjnego” są jedynie placówki publiczne, choć paradoksalnie leczeniem niepłodnych par metodami zapłodnienia pozaustrojowego zajmują się głównie ośrodki prywatne. – Nie ma powodu, by również one nie mogły oferować tej diagnostyki, co na pewno skróciłoby czas rozpoczęcia procedury – zapewnia dyrektor medyczny Kliniki Bocian w Białymstoku.

– Nowy program rządowy powinien być po prostu

kompleksowy – podsumowuje dr Łukasz Sroka i oczekuje, że powstanie on przy współpracy z całym środowiskiem: lekarzy z klinik zajmujących się leczeniem niepłodności (a mamy je w Polsce na wysokim poziomie, nieustępujące efektem tej terapii w najlepszych ośrodkach światowych) oraz organizacji pacjentów.

Tylko co pozostanie w gestii samorządów w sytuacji, gdy finansowanie zabiegów in vitro odzyska budżet państwa lub Narodowy Fundusz Zdrowia? Czy lokalne władze mają się poczuć całkowicie zwolnione z promowania pomysłów służących poprawie wskaźników demograficznych? Wrocław już w sierpniu zapewnił w swoim budżecie na kolejny rok przedłużenie finansowania programu. – Trudno powiedzieć, kiedy uda się parlamentarnej większości zrealizować przedwyborczą obietnicę. Ale jeśli już w pierwszej połowie 2024 r., to rozważymy przygotowanie nowego programu polityki zdrowotnej w tych dziedzinach poprawy diety i płodności mieszkańców, gdzie to niezbędne – zapowiada Joanna Nyczak. Takim obszarem może być wspomniana diagnostyka niepłodności lub szeroko rozumiana edukacja.

PAWEŁ WALEWSKI

Zapis debaty dostępny na: youtube.com/PolitykaPL

Debata zrealizowana przy wsparciu:



Jego wysokość Mały Kapral

Niski, w charakterystycznym kapeluszu, z ręką założoną za poję munduru. Ten wizerunek Napoleona Bonapartego powiełały dziesiątki artystów. Stworzyli ikonę.

PIOTR KORCZYŃSKI



Bitwa pod Jeną (fragment),
obraz Horace'a Verneta, XIX w.

K

iedy Ridley Scott ogłosił, że bohatera jego kolejnej superprodukcji, Napoleona Bonaparte'go, zagra Joaquin Phoenix, w mediach pojawiły się opinie, że jest on do tej roli za wysoki – aktor mierzy 173 cm, a cesarz Francuzów był o wiele niższy. I już na samym początku natykamy się na kliszę i kontrowersję. Najczęściej podaje się, że Napoleon mierzył ok. 168 cm, więc jak na XIX-wieczne standardy był wzrostu średniego – podobnie jak dziś Phoenix. Wizerunek cesarza jako karła wykreowali niepocholebni mu dziennikarze brytyjscy i karykaturzyści, którzy akurat w pierwszych latach XIX w. zaczęli odgrywać znaczącą rolę w prasie europejskiej.

Napoleon Bonaparte miał prawdziwego pecha, że w latach jego panowania po drugiej stronie kanału La Manche tworzyli tacy mistrzowie politycznych karykatur, jak George Cruikshank, Thomas Rowlandson i James Gillray. Ten ostatni miał za sobą służbę wojskową i walczył z żołnierzami francuskimi (choć nigdy nie widział ich cesarza na polu bitwy). On pierwszy na początku XIX w. wykreował wizerunek Little Boneya – małego chudzielca. I od tego czasu we wszystkich nieprzychylnych Bonapartemu krajach zaczęto przedstawiać go jako „obrzydliwego karła”.

Prócz Anglików prym w tym wiedli Austriacy, Prusacy i Rosjanie, co nie może dziwić, zważywszy, ile klęsk ponieśli z rąk „boga wojny”.

Żółty i chudy

W jednym Gillray nie mijał się z prawdą w kreowaniu wizerunku Bonaparte'go. Istotnie na początku swej kariery był niezwykle szczupły i wątej postury, z ziemistą cerą od świerzbu, którego nabawił się podczas oblężenia Tulonu jesienią 1793 r. i gdzie pierwszy raz znacząco zabłysnął jako znakomity artylerzysta. Gen. Henryk Dąbrowski, mężczyzna postawny i elegancki, po pierwszym spotkaniu z gen. Bonapartem napisał z wyraźnym rozczarowaniem: „Takie to było małe i jakieś czarne, a żółte, a takie chude, a biedne... a nóżki takie miał cienkie, cieniutkie jak cybuszek...”. Przy tym nie dbał zbytnio o swój mundur i szpadę, z której wyglądu podwładni sobie dworowali, że nawet nie nadawała się na rożen, a co dopiero do walki. Także wybranka serca generała, przyszłego pierwszego konsula i cesarza, Józefina, wielce była rozczarowana jego aparycją i tylko imponujące zwycięstwa jego armii we Włoszech, a zwłaszcza dochody, jakie czerpał z podbitej Italii, skłoniły ją do podtrzymania tego związku.

Atutem Napoleona u progu kariery był przede wszystkim geniusz wojskowy, który objawił już podczas wspomnianego oblężenia Tulonu i tłumienia rojalistycznego powstania w Paryżu w październiku 1795 r., kiedy nie zawahał się strzelać z armat kartaczami (jako pierwszy w historii) do zrewoltowanego tłumu paryżan. Następnego roku został wodzem obdartej, niedożywionej i niedobrojonej armii Włoch, na której czele zdumiał całą Europę błyskotliwymi zwycięstwami nad siłami austriackimi.

Od początku zazdrośnie strzegł swej wojennej sławy, pilnując, by inni generałowie, a później i marszałkowie nie przyćmili go na polu walki. Nie była to rzecz łatwa, jak by się dziś zdawało, gdyż w armii francuskiej było kilku oficerów, którzy zdolnościami mogli mierzyć się z Bonapartem. Dobitym tego przykładem była bitwa pod Marengo z 14 czerwca 1800 r., kiedy to pierwszego

konsula przed widmem klęski uratowało przybycie dywizji gen. Antoine'a Desaix. W tej bitwie Napoleon popełnił trzy poważne błędy: wszedł ze swym wojskiem pierwszy na odsłoniętą równinę, nie przewidział ataku austriackiego gen. Michaela von Melasa i odesłał dywizję Desaix zbyt daleko od własnych sił. Na szczęście Desaix zdołał wrócić na czas i odwrócić losy starcia. Gdy zwycięstwo Francuzów było już przesądzone, Desaix otrzymał śmiertelny postrzał w klatkę piersiową i zginął na miejscu.

Mistrz lansu

Bonaparte szczerze bolał nad stratą człowieka, którego cenił i uważał za przyjaciela. To wtedy żołnierze mieli zobaczyć po raz pierwszy jego łzy na polu walki. Ale jako faktyczna głowa państwa otoczona licznymi politycznymi wrogami nie mógł przyznać się, że Desaix ocalił jego armię od klęski. Dlatego też zredagowany przez Napoleona pobitewny biuletyn jest pełen przekłamań i propagandy. Pierwszy konsul dowodził w nim wbrew faktom, że armia Melasa wpadła w zastawioną przez niego pułapkę, i pisał, popuszczając wodze fantazji: „Dopuszczono wroga na odległość strzału z karabinu do wioski San Giuliano, gdzie ustawiona była w szyku liniowym dywizja gen. Desaix”. Napoleon wymyślił nawet ostatnie słowa umierającego generała: „Idźcie i powiedzcie pierwszemu konsulowi, że umieram z żalem, uczyniwszy zbyt mało, żeby zostać zapamiętanym przez potomność”. Napoleon osobiście też zredagował oficjalną historię bitwy i aż do 1815 r. z uporem twierdził, że starcie pod Marengo rozstrzygnął jeszcze przed przybyciem dywizji Desaix. Adiutant poległego generała, Anne-Jean-Marie-René Savary, stwierdził jednoznacznie (i oczywiście nieoficjalnie): „Gdyby gen. Desaix spóźnił się chociaż godzinę, [Austriacy] zepchnęliby nas do Padu”.



Amfora z wizerunkiem cesarza, porcelana z Sévres, XIX w.

Jeszcze większej manipulacji niż po bitwie pod Marengo Napoleon dopuścił się po starciu z Prusakami pod Jeną 14 października 1806 r. W momencie, kiedy szala zwycięstwa w starciu z wojskami księcia Hohenlohego przechyliła się na jego stronę, do cesarza dotarł płk Falcon, adiutant marszałka Louisa Nicolasa Davout, i zameldował mu, że 20 km od Jeny, pod Auerstädt, Davout pobił główne siły nieprzyjaciela dowodzone przez króla Fryderyka Wilhelma III i księcia Brunswickiego. Okazało się więc, że pod Jeną cesarz rozgromił jedynie straż tylną Prusaków, a jego marszałek, mając zaledwie 30 tys. ludzi i 46 dział, zdołał oskrzydlić 52 tys. Prusaków uzbrojonych w 163 armaty. W pierwszej chwili Napoleon nie chciał wierzyć w meldunek Falcona i odparł obcesowo: „Twój marszałek najwyraźniej widzi podwójnie!”.

Kiedy jednak zrozumiał, że rozgromił jedynie pruską straż tylną, rozkazał pułkownikowi: „Powiedz marszałkowi, że on, jego generałowie i żołnierze zyskali sobie moją wieczną wdzięczność”. W nagrodę korpus marszałka Davouta jako pierwszy 25 października 1806 r. wkroczył do Berlina. Ale choć jego zwycięstwo pod Auerstädt było jednym z najświetniejszych w dobie wojen napoleońskich, porównywalnych choćby z Austerlitz, nigdy za rządów cesarza Francuzów nie było eksponowane. Po bitwie pod Jeną Napoleon w liście do Józefiny przechwalał się: „Widziałem króla Prus i byłem już blisko niego, ale nie zdołałem go schwytać”. W rzeczywistości Fryderyk Wilhelm III był wtedy pod Auerstädt.

Napoleon nagminnie nagiął na swą korzyść fakty w oficjalnych biuletynach armijnych, nie tylko spychając w cień dokonania swych marszałków czy generałów, ale zawyżając też straty nieprzyjaciela przy jednoczesnym zaniżaniu własnych. ►

► Prócz powodów politycznych czynił tak też dla podtrzymania morale armii, gdyż – jak podkreślał wielokrotnie – istnienie w szeregu silnego *esprit de corps* jest jednym z głównych filarów pomyślności w kampanii wojennej. Żołnierze autentycznie go kochali i tu z pewnością żadna inna z ówczesnych armii – poczynając od brytyjskiej, poprzez austriacką, pruską, na rosyjskiej skończywszy – nie mogła pochwalić się wodzem, który budził taki szacunek nie swym arystokratycznym urodzeniem czy strachem przed różgami, lecz osobistym przykładem i troską o los żołnierza. Oczywiście Napoleon zdawał sobie sprawę z tego, że korzyść była obopólna, bo najedzony, dobrze zaopatrzony i ufający dowódcy żołnierz szedł chętniej i odważniej do walki. Poza armią francuską wciąż nie było to wcale takie oczywiste. Napoleon w jednym z listów do Józefiny napisał w 1807 r.: „Pamiętaj, że do wytworzenia *esprit de corps* potrzeba dziesięciu kampanii, ale można go zniszczyć w jednej chwili”.

Pieszczotliwy przydomek *Le petit caporal* – Mały Kapral – żołnierze nadali mu po zwycięskiej bitwie z Austriakami pod Lodi 10 maja 1796 r. W tym starciu poprowadził osobiście swych żołnierzy do szturmów przez długi i wąski most pod ogniem kartaczy, dając dowody męstwa, a w żołnierzach wywołując zapał bitewny, który ich nieprzyjacieli nazywali „francuską furią”. Po latach cesarz wspominał: „Od tamtej pory nie uważałem się już za zwykłego generała, ale za człowieka powołanego do decydowania o losach całych narodów. (...) W tym momencie zapaliła się we mnie pierwsza iskierka wielkiej ambicji”. Nigdy też nie zapomniał, że zawdzięczał to swoim żołnierzom.

Szkielety i duchy

Nawet kiedy został cesarzem, nie zmienił zwyczajów, z których dał się poznać w pierwszych kampaniach – włoskiej i egipskiej. Nadal zjednywał sobie żołnierzy przystępnością, nawet podczas najcięższych walk. Żołnierze mogli osobiście zwracać się do niego z prośbami o odznaczenie, awans, a nawet zasiłek finansowy, a ich wódz błyskawicznie podejmował decyzję, najczęściej pozytywną. Często też te „wnioski” składane były podczas marszów – żołnierze wykrzykiwali je z szeregów, nierzadko przekomarszając się przy tym ze swym wodzem, a on dla żartu odpowiadał ciętą ripostą. Kiedy podczas kampanii włoskiej jeden z grenadierów krzykiem domagał się nowego munduru, Napoleon mu odpowiedział: „Och nie, nie można tego zrobić. Wtedy nie byłoby widać twoich ran”.

Innym razem, w czasie wojny z Austrią w 1809 r., przed cesarzem stanął stary wiarus i zażądał od niego krzyża Legii Honorowej za... podzielenie się arbuzem w Jaffie, gdy „było strasznie gorąco”. Cesarz spojrzawszy na żołnierza jak na wariata i odmówił mu wysokiego odznaczenia za tak błahę dokonanie. Wtedy wiarus odpowiedział z oburzeniem: „A siedem ran odniesionych przy moście pod Arcole, pod Lodi i Castiglione, pod piramidami, pod Akką, Austerlitz, Frydlandem, jedenaście kampanii we Włoszech, w Egipcie, Austrii, Prusach, Polsce...” – w tym momencie Napoleon przerwał mu z uśmiechem i natychmiast mianował kawalerem Legii z pensją wynoszącą 1200 franków. Przy tym odpiął z munduru własny krzyż i przypiął na piersi bohatera. To była częsta praktyka cesarza zjednywania żołnierzy. Gdy Rustam, jego mamelucki ochroniarz, zauważył, że Legia Honorowa niezbyt mocno trzyma się na cesarskim mundurze, chciał go przyszyć. Napoleon powstrzymał go słowami: „Nie rób tego, celowo tak czynię”.

Po jednej z udanych potyczek z przeważającymi siłami nieprzyjaciela marszałek Guillaume Marie-Anne Brune miał usłyszeć od Napoleona: „Widzisz, co słowa potrafią uczynić z żołnierzami”. Jednak bezsprzecznie cesarz lubił swych wiarusów, czuł się w wojskowym obozie lepiej niż w pałacach. Gdy wymagała tego sytuacja, potrafił być wodzem surowym, a nawet bezwzględny. Swe dowodzenie armią Włoch rozpoczynał od drakońskich kar i rozstrzeliwań za niesubordynację. „Egzekucje odbywają się każdego dnia, by przywrócić dyscyplinę” – napisał w jednym z pierwszych raportów do Paryża po objęciu dowództwa. Potrafił jednak wiele wybaczyc swym *grogards* (zrzędom), jak półżartem nazywał weteranów. Na przykład nie chciał zwolnić ze służby jednego z woźniców swojego powozu, mimo skarg Józefiny na jego pijaństwo, gdyż zapamiętał go sobie jako dzielnego taborystę pod Marengo.

Jak słusznie zauważył gen. Jean-Antoine Marbot: „To za sprawą takich poufałości żołnierze uwielbiali cesarza, lecz tak mógł postępować jedynie dowódca, którego częste zwycięstwa uczyniły wybitnym”. Dodajmy, że bardzo długo tego zaufania weteranów nie zachwiały też ponoszone przez Napoleona klęski, nawet tak dotkliwe, jak w kampanii rosyjskiej 1812 r. Rzadko który z wódzów po takiej katastrofie, jak utrata Wielkiej Armii, potrafiłby zmobilizować wojsko do kolejnych kampanii i walczyć, i niejednokrotnie jeszcze zwyciężać z przeważającymi siłami antyfrancuskich koalicji aż do Waterloo w 1815 r.

Sierżant na krze

Wroga mu propaganda oskarżała go o okrucieństwo i nieczułość na losy tysięcy ginących w coraz krwawszych bitwach prowadzonych przezeń wojen. Najdobitniej wyraził to bawarski karykaturzysta Johann Michael Voltz, który w swej grafice „Triumf roku 1813” przedstawił stos trupów układający się w kształt głowy Napoleona. Także nasz Wojciech Kossak, niewątpliwie jeden z największych piewców napoleońskiej legendy w polskiej sztuce, namalował kilka obrazów przedstawiających „boga wojny” zadumanego nad pobojo wiskiem pełnym ciał poległych żołnierzy.

Wbrew temu, co twierdzili angielscy, niemieccy czy rosyjscy propagandyści, cesarz nie był głuchy na cierpienie żołnierzy. Świadczy o tym chociażby jego dbałość o służbę medyczną, a zwłaszcza chirurgię w jego armii. Pozostało też wiele przekazów, jak wstrząsające były dla niego obrazy pobojo wiszki pod Iławą Pruską czy Borodino – bitew, które zmieniły się w krwawe jatki... W dzień po triumfie pod Austerlitz Napoleon, objeżdżając pobojo wiszki, przystanął na brzegu Stawu Żatczańskiego i dojrzał wśród trupów dającego oznaki życia litewskiego sierżanta z korpusu cara Aleksandra I. Żołnierz postrzelony był w udo i krew płynąca z rany zabarwiła na czerwono lodową krę, na której leżał. Ranny podniósł głowę i pozdrowił cesarza po polsku. Ten rozkazał dwóm oficerom ze swej świty wskoczyć do wody i wyciągnąć nieszczęśnika na brzeg. Po wyleczeniu z ran sierżant wstąpił do polskiego pułku szwoleżerów gwardii. Tacy jak on kulturowali legendę cesarza i przekazywali ją z pokolenia na pokolenie.

Jakiego Napoleona ukaże nam w swym filmie Ridley Scott? Oby kreacja Joaquina Phoenixa była na miarę tej z 1927 r. Alberta Dieudonné z arcydzieła „Napoleon”.

PIOTR KORCZYŃSKI

Korzystałem z: „Generała Henryka Dąbrowskiego pamiętnik wojskowy Legionów Polskich we Włoszech”; Andrew Roberts „Napoleon Wielki”; Philippe-Paul hr. de Ségur „Byłem adiutantem Napoleona”.



Kapelusz cesarski, model letni, ok. 1805 r.



Zimny chów dla ostrych słów

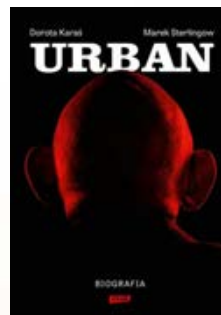
Biografie nadają historii smaku, pozwalają podpatrywać, co zamieciono pod dywan. Dorota Karaś i Marek Sterlingow, pisząc biografię **Jerzego Urbana**, wcielili się w reporterów. Umówili się, że książka ukaze się dopiero po jego śmierci.

ADAM KRZEMIŃSKI

Rozmowy w leśnej posesji długoletniego redaktora, publicyści, satyryka i prześmiewcy, ale także kontrowersyjnego rzecznika rządu (1981–89), a w ostatniej fazie życia wydawcy i „performersa” bulwersującego tygodnika „Nie”, były dla autorów okazją do podpatrzenia stylu bycia i autostylizacji człowieka, który w latach 80. był dla jednych „Goebbelsem stanu wojennego”, dla innych „piorunochronem Jaruzelskiego”. Dla peerelowskiej warszawki zaś jednym

z najbardziej wszechstronnych, a zarazem budzących skrajne emocje dziennikarzem, znajomkiem, kolegą, kumplem czy wręcz przyjacielem.

Zarazem skrupulatnie przekartkowali teksty Urbana. Rozmawiali z jego znajomymi, wrogami i przyjaciółmi, konfrontując ich opowieści z tym, co usłyszeli od swego „obiekta”. Umówili się z Urbanem, że ich książka ukaze się dopiero po jego śmierci. Toteż zaczynają od relacji z pogrzebu 11 października ubiegłego roku – odnotowując obecność zarówno



Aleksandra Kwaśniewskiego, jak i Adama Michnika, a także grupki protestujących przeciwko „goebbelsourbanom”...

Ten reporterski warsztat pozwolił naszkicować barwny i wielowymiarowy portret zbudowany na dobrze udokumentowanych materiałach. Nie jest to pierwsza książka o Urbanie. Sam opowiadał o sobie w wywiadach rzekach „Jajakobyły” i „O swoim życiu”. Jednak biografia Doroty Karaś i Marka Sterlingowa jest najbardziej wnikliwa. Te 600 stron świetnie się czyta. Pamiętający PRL odnajdą ►



Od lewej: z zespołem redakcji POLITYKI (siedzi w pierwszym rzędzie) w latach 70. W Gdańsku, już jako rzecznik rządu, z wicepremierem Mieczysławem F. Rakowskim, 1983 r. Obok: podczas konferencji prasowej w 1988 r.

► w książce czasy i emocje młodości. Młodszy – którym Urban migał w mediach jako wydawca „Nie” czy autor szyderczych internetowych scenek – mogą poprzez tę biografię poznać więcej niż kawał prehistorii ich własnego świata... Autorska para oceny pozostawia czytelnikowi, który sam ma szukać odpowiedzi na pytania, jakim człowiekiem był Urban, jak ukształtowały go czasy, w których żył, jakie miał talenty, a jakie niedostatki i dlaczego w momentach zwrotnych podejmował takie, a nie inne wybory.

Nie wygląda na to, by urodzony w 1933 r. w Łodzi w dość zamożnej rodzinie spolonizowanych Żydów miał szczęśliwe dzieciństwo. Rodzice byli zajęci sobą. Ojciec wydawał bliski PPS dziennik – solidny, ale z sensacjami na czołówce. Rodzice znali języki obce. W domu nie obchodzono ani świąt żydowskich, ani chrześcijańskich. I stosowano „zimny wychów”. Rodzice byli dla synka mało dostępni. Gdy oni szli na dancing, Jurka aż do wymiotów przeżuwał kołdrę. A edukację przedszkolaka pozostawiono służącemu. Toteż lekcje muzyki i francuskiego były dla niego torturą. Chłopiec był krnąbrny, przekorny. I lubił się przebierać w cesarskie szaty. Miał sześć lat, gdy wybuchła wojna, która mu się podobała, bo – jak powtarzał – nie musiał „chodzić do przedszkola i grać na pianinie”.

A jednak wspomnienia zawsze trzeba traktować z rezerwą. Każdy coś sobie „dośpiewuje”, czegoś nie chce pamiętać. Urban podkreślał, że nie uważa się za dziecko Holocaustu. I słusznie. Nie trafił do getta. Nie był przyciemniony przez obcych. Rodzice przetrwali. Nawet uratowali resztówkę majątku. Mieli „dobry wygląd”. I gdy w 1941 r. chłopak dowiedział się, że jest Żydem, ale nikomu o tym nie może mówić, wybuchł płaczem, bo nie chciał być jak ci chałciarze, których

widował w Łodzi. Gdy ukrywanie się we Lwowie stało się zbyt niebezpieczne, rodzina wyjechała pod Tarnopol, gdzie ojciec był przedstawicielem niemieckiej firmy kolportażowej. W 1944 r. przyłączył się do kościuszkowców, został redaktorem frontowej gazety, a po wojnie – na krótko – redaktorem PPS-owskiego tygodnika i posłem do KRN. Po zjednoczeniu z PPR pozostał w PZPR, ale peerelowskiej kariery nie chciał rozwijać... wolał się wtopić w szarą masę. Odwrotnie syn. W czasie wojny skończył pięć latanych klas pod radziecką i niemiecką okupacją, a od jesieni 1944 r. znów w polskiej szkole. Ale nie miał głowy do nauki. Za to w ojcu – dziennikarski wzór. Rodzice byli zachwyceni zapiškami Jurka. Choć w 1948 r. niekoniecznie początkami kariery 15-letniego agitatora.

Urban często szydził ze swego dzieciństwa i mieszczańskiego wychowania. Mimo późniejszego lubowania się w niesmacznych prowokacjach i skandalizującej austylizacji nabył w domu staranne manieri. Redakcyjna współpracowniczka opowiadała, że gdy Urban natknął się na nią na ulicy, machinalnie odrzucił ledwo rozpoczęte cygaro i dopiero wtedy się uklonił. To nie była zgrywa. To był odruch dawnej kindersztuby. Wygląda na to, że z „zimnego wychowu” przed i w czasie wojny wyniósł coś jeszcze – obycie z wysokim standardem życia, kontakty w środowisku rodziców i przekonanie, że da sobie radę, płynąc z prądem, na własną rękę, nie kryjąc się w tłumie, lecz będąc na widoku. Nie bał się porażki. Wierzył, że nawet spadając, da sobie radę.

To nie stan wojenny, a potem „Nie” są kluczem do osobowości Urbana, lecz wojna i czasy powojenne. Dziennikarstwo wyniósł z domu i z zetempowskiej praktyki. Media były fundamentem propagandy, ale także peerelowskiego kultu oświaty i społecznego awansu. To redakcja była uniwersytetem Urbana, a nie szkoła czy

uczelnia. Chadzał własnymi drogami – nie znosił nacjonalizmu i bogoojczyźnianych westchnień. Dobrze się czuł w hurrasocjalizmie, wzruszając ramionami na ofiary nowej władzy, bo przecież w rewolucji „gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą”. Ale do PZPR nie został przyjęty, bo na popiawie śpiewał niemieckie piosenki...

Jako reporter przyglądał się rzeczywistości. Naginał ją do propagandowych schematów, ale też z doświadczenia musiał wynieść instynktowne przekonanie, że nic nie jest wieczne. Pilnie czytał „Trybunę Ludu” i „Nowe Drogi”, by wiedzieć, co jest grane na szczycie, ale w swych reportażach lubił także mędrkować prześmiewczym tonem i zgrzywać się, jednocześnie wskazując oryginalne pomysły. Nie miał problemów z „odwilżą” po śmierci Stalina. W 1956 r. nie był załamany tajną mową Chruszczowa. Przeciwnie – chciał o niej publicznie dyskutować. Już był jednym z czołowych publicystów „Po Prostu” – pisma „młodej inteligencji”, wspierającego Gomułkę, ale też wkrótce przez Gomułkę zamkniętego. Kilka razy w życiu tracił pracę z „wilczym biletem”. Kryty przez kolegów pisywał pod pseudonimami. Gdy Mieczysław Rakowski w końcu ściągnął go do POLITYKI, ten wkrótce znów się naraził Gomułce. Wrócił do pisma w 1969 r. już jako kierownik działu krajowego, skupiającego znakomitych reporterów. Był świetnym redaktorem i płodnym autorem pisującym do wielu gazet, publicystą, felietonistą, satyrykiem. A także współautorem poufnych memoriałów przygotowywanych w latach 70. przez kolegium.

Kariera polityka go nie pociągała. Jego żywiołem była medialna obecność. Znakomicie spełniał się w dziennikarstwie, kontaktach, pisaniu. Politykiem w POLITYCE był Rakowski – znał wartość zespołu, ale także granice dziennikarskiej sprawczości. Jego

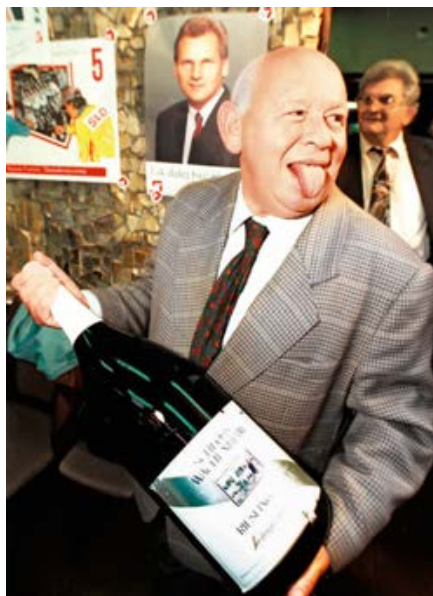


Od lewej: w swoim gabinecie w 2004 r. Relaks na basenie. Na pogrzebie matki przyjmuje kondolencje od Mieczysława F. Rakowskiego i gen. Wojciecha Jaruzelskiego, 1994 r. U dołu: redaktor naczelny tygodnika „Nie”, 1993 r.

członkostwo w KC oraz przyjęcie w 1981 r. oferty Wojciecha Jaruzelskiego objęcia stanowiska wicepremiera nie wzięło się „z karierowiczostwa”, o co był i jest pomawiany, lecz raczej z tej pokusy, jakiej niekiedy ulegają naczelni czy wydawcy czołowych mediów. Wiemy, jak wygląda rzeczywistość, nicowaliśmy ją i opisywaliśmy. Ale zmieniając ją można, tylko uczestnicząc w realnej władzy. Właściciel „Spiegla” Rudolf Augstein został na krótko posłem do Bundestagu z ramienia liberalnej FDP. Twórca francuskiego „L'Express” – Jean-Jacques Servan-Schreiber zakładał nawet własną partię. I obaj nic nie osiągnęli.

Wiosną 1981 r. koleduze przypominali Rakowskiemu te nieudane kariery, mówiąc, że dopiero w następnym rządzie – po przesileniu – będzie mógł stać się polskim Willym Brandtem. Przecież sam w szkicu „Polska u progu lat osiemdziesiątych”, poufnie udostępnionym kolegom w 1979 r., nie ukrywał, że ten ustrój się kończy, że nieodzwonne są reformy odgórne odsuwające PZPR od władzy na rzecz coraz bardziej samodzielnych partii „bloku”, bo tylko tak można uniknąć oddolnego wybuchu. Ten zarys w wersji ocenzonej ukazał się w 1981 r. – już bez żadnego echa, bo od miesiąca w kraju trwała oddolna rewolucja. Rakowski powstrzymującym go odpowiadał już jak polityk: historycznego momentu się nie wybiera, on się pojawia i znikają.

Jako polityk przegrał, przecenił swoje możliwości, zawiodły go nerwy. Miał swój udział w transformacji już tylko po stronie zanikającego *ancien regime'u*, a nie nowego ustroju. Inaczej Urban. Co prawda od młodości był „zwierzęciem politycznym”, ale nie ciągnęło go do ministerialnych stołków. Ofertę Jaruzelskiego przyjął, bo w obliczu solidarnościowego pęknięcia w środowisku nie czuł się już w redakcji POLITYKI komfortowo, nie ukrywał też, że oddolną rewolucję uważał za igranie



z ogniem. Bezpieczeństwa szukał przy władzy, a nie rozhuśtanej opozycji. I w odróżnieniu od Rakowskiego miał stalowe nerwy. Wymyślił sobie rolę rzecznika rządu jako szołmena ściągającego na siebie negatywne emocje, ale też przyciągającego uwagę ekskluzywną informacją. Jego konferencje prasowe z zagranicznymi korespondentami były widowiskiem oglądanym przez miliony. Prowokował, oburzał, rozśmieszał ciętymi ripostami.

Dla POLITYKI, uszczuplonej o tych, którzy odeszli w stanie wojennym, Urban stał się obciążeniem. Jego ofertę publikowania stałego felietonu pod pseudonimem kolegium odrzuciło. Padł nawet argument, że w III Rzeszy tygodnik „Das Reich” w zamierzeniu miał być niemieckim „Guardianem”, ale przez cotygodniową obecność na łamach ministra propagandy był tylko tubą propagandową. Tu nie chodziło o dyskredytację dawnego redakcyjnego kolegi, lecz o nadmierną bliskość do władzy, niebezpieczną dla i tak przez stan

wojenny nadszarpniętego prestiżu pisma. Urban potem co jakiś czas pisywał do POLITYKI, ale agresywne felietony Jana Rema wyładowały w „Tu i Teraz”.

Urban wywoływał nimi oburzenie, oskarżano go wręcz, że jadowym felietonem o księdzu Popieluszcze był współwinny jego śmierci, że w żywe oczy kłamał w sprawie śmiertelnego pobicia przez milicję Grzegorza Przemyska. Urban kajał się i zasłaniał oficjalnymi informacjami. Ale piętno „Goebbelsa stanu wojennego” pozostało także w kolejnym wcieleniu, gdy już w nowym ustroju znów zabłysnął – jako wydawca skandalizującego i śledczego zarazem tygodnika „Nie”, z gigantycznym nakładem, zapewniającego jego twórcy znakomite apanaże.

Czy Urban był sybarytą, cynikiem, skandalistą, obleśnym starcem nic nierobiącym sobie z wszelkich świętości, czy wybitnym dziennikarzem, satyrykiem i bystrym obserwatorem rzeczywistości, który niepotrzebnie zaplątał się w politykę? Każdy, kto pamięta PRL, ma swój własny wizerunek. Generał Jaruzelski powiedział wręcz, że Urban i Michnik to dwaj najodważniejsi ludzie, jakich spotkał w życiu. Jeden broniąc *ancien regime'u*, chciał go odgórnie zmieniać. Drugi w zdawałoby się beznadziejnej sytuacji – przygotowywał zręby nowego ustroju.

Autorzy „Urbana” nie starają się być sędziami. Opisują, co widzą, słyszą, czytają z jego tekstów i o nim. Czasami stawiają pytania, dlaczego było tak, a nie inaczej. Z rzadka nawet sugerują odpowiedzi. Nie występują w togach sędziów czy historyków, lecz w kurtkach reporterów.

Nie dowiemy się już, czy Jerzy Urban byłby z tej książki zadowolony, ale jako reporter i redaktor na pewno doceniłby świetną robotę Doroty Karaś i Marka Sterlingowa.

ADAM KRZEMIŃSKI



na ekranie

Koniec świata 4/6

W nich cała nadzieja, reż. Piotr Biedroń, prod. Polska, 88 min

Polski film science fiction to sam w sobie fakt godny odnotowania. Tym bardziej jeśli jest to film udany. „W nich cała nadzieja”, pełnometrażowy debiut Piotra Biedronia, nie wykracza co prawda fabularnie ponad to, co już wcześniej widzieliśmy w różnych wydaniach, lecz rodzime realia i niesztampowa relacja między dwójką bohaterów dają mu sporo świeżości. Imponuje też wizualną pomysłowością. Mimo niewielkich środków – na festiwalu w Gdyni dostał wyróżnienie w konkursie produkcji mikrobudżetowych – reżyser stworzył całkiem przekonującą wizję postapokaliptycznego świata, w którym jedyną rzeczą, jaka działa, są wciąż dymiące kominy elektrowni, jedna z ostatnich pamiątek po rodzaju ludzkim.

Cała fabuła jest rozpisana na dwie osoby, a właściwie jedną osobę i robota. Ewa (**Magdalena Wiczołek**) przeżyła globalny kataklizm wywołany wojnami klimatycznymi. Być może jako ostatnia na Ziemi – skażona powierzchnia nie pozwala na wyprawy dłuższe niż w poszukiwaniu przydatnych resztek. Mieszka na szczycie wzgórza, gdzie powietrze jest czyste, a jej jedynym towarzyszem jest Artur (dubbingowany przez Jacka Belera), robot z demobilu, pilnujący, by nikt obcy nie wszedł do obozowiska. Hollywoodzka produkcja – w stylu „Fincha” z Tomem Hanksem w roli głównej – dałaby widzom ckliwą lekcję tolerancji i humanizmu, zwyczajowo pytając o to, czym jest człowieczeństwo. Biedroń nie ma jednak złudzeń co do koegzystencji ludzi i maszyn. Gdy Ewa zapomina sprawdzić, jakie jest nowe hasło dostępu do obozowiska, robot z kogoś, kogo od biedy można nazwać przyjacielem, zmienia się w służbistę gotowego zabić kobietę, którą od tej pory traktuje jak intruzkę. Oczywiście Artur zna prawa robotyki Asimova, ale wcale nie ma zamiaru się do nich stosować. O, i tyle nam zostanie z tej całej sztucznej inteligencji!

JAKUB DEMIAŃCZUK

na ekranie

Wojenne pejzaże 5/6

Skąd dokąd, reż. Maciej Hamela, prod. Polska, Francja, Ukraina, 85 min

Związki reżysera filmu Macieja Hamela z Ukrainą i Rosją nie są jakoś szczególnie rozległe. Studiował krótko literaturę w Petersburgu. Ukończywszy 31 lat, pojechał pociągiem do Kijowa, by okazać solidarność z protestującymi na Majdanie, co zaowocowało realizacją dokumentu o pomarańczowej rewolucji. Trzy dni po inwazji Rosji na Ukrainę kupił vana i zaangażował się jako wolontariusz, pomagając uciekinierom ewakuować się z zagrożonych terenów. „Skąd dokąd” to świadectwo tej aktywności, w wyniku której udało się uratować ponad 400 osób.



Tytuł nawiązuje do rutynowego pytania zadawanego podczas prób przebijania się przez liczne punkty kontrolne, stawianego również przez kierowcę (Hamelę) swoim pasażerom: kobietom w ciąży, torturowanym jeńcom, dzieciom, którym zabito rodziców, schorowanym starszkom próbującym się pogodzić z tym, że stracili cały dorobek swego życia. Z ich odpowiedzi, intymnych zwierzeń udzielanych na gorąco wewnątrz

auta, powstał wyjątkowy portret zbiorowy cywili, pierwszych ofiar wojny w Ukrainie – o poszukiwaniu nadziei w sytuacji bez wyjścia. Film miał światową premierę na festiwalu w Cannes, gdzie zebrał znakomite recenzje. Został też wyróżniony m.in. Wielką Nagrodą Jury na Sheffield DocFest, jednym z najważniejszych festiwali filmów dokumentalnych, kwalifikującym do Oscara.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

w telewizji

Energetyk z Siedlec 5/6

The Office PL 3, główny scenarzysta Łukasz Sychowicz, reż. Maciej Bochniak, 12 odc., Canalplus.com

Ekipa Kropliczanki, dumy Siedlec, powróciła z trzecim sezonem, w którym ostatecznie rozwiewa wątpliwości, czy warto było stworzyć polską wersję brytyjsko-amerykańskiego „The Office”, jednego z najpopularniejszych sitcomów wszech czasów. W nowych odcinkach pracownicy open space w biurowcu rodem z początków transformacji mierzą się z nowym wyzwaniem: do ich wód mineralnych ma dołączyć energetyk, w dodatku „dedykowany dla



kobiet”. Pomysłodawczyni, prezeska Patrycja (Vanessa Aleksander) zamierza w ten sposób zapunktować u swojego szefa (jednocześnie ojca) i zarazem pognębić podwładnego Michała (**Piotr Polak**), który uparcie nie chce przyjąć do wiadomości, że jej podlega. Ale tworzenie i wdrażanie nowego produktu oraz wojna podjazdowa między Michałem i Patrycją to daleko nie wszystko, czym żyje Kropliczanka. Twórcy od początku przyjęli, że prowincjonalna firma jest lustrem dla Polski, pracownicy więc mierzą się, na swój wybitnie własny sposób, z tematami, którymi żyje kraj. W nowym sezonie rozrzuć jest spory, od m.in. sztucznej inteligencji i niebinarnych zaimków, przez aborcję, depresję po sarmatyzm. W grze wciąż jest humor krindżowy, którego mistrzami są Michał i Darek (**Adam Woronowicz**), oraz sytuacyjny, wynikający też z konwencji – mockumentu, ale przez to, że bohaterów poznajemy coraz lepiej, w tym także ich dramaty, nowy sezon jest bardziej komediadramatem niż sitcomem. Z zyskiem dla wszystkich.

ANETA KYZIOŁ



na scenie

(Nie)winny różowy 5/6

Karol Radziszewski, Markus Öhrn, **Fobia**, reż. Markus Öhrn, Nowy Teatr w Warszawie

Pinkwashing polega na promowaniu idei wolnościowych środowiska LGBT+ w celu własnego zysku lub poprawy wizerunku. Pomysł, aby powstała bojówka, która śledzi i zwalcza m.in. takie niemoralne zachowanie, był tematem instalacji wideo autorstwa Karola Radziszewskiego z 2007 r. Znany publiczności stołecznej Nowego z poprzednich realizacji szwedzki reżyser Markus Öhrn, zafascynowany instalacją „Fag Fighters” oraz serią obrazów „Poczet”, również autorstwa Radziszewskiego, stworzył przedstawienie.

„Fobia” to trzy krótkie akty, trzy różne przestrzenie i bohaterowie, którzy przez różową bojówkę poddawani są quizowi. Zadanie polega na tym, aby rozpoznać portrety osób z historii Polski, których queerowa tożsamość nie jest powszechnie znana. W ostatnim akcie bohaterem, który musi odpokutować swoje winy, jest Markus Öhrn. Twórca po raz trzeci zadaje pytanie, kto naprawdę jest oprawcą: bojówka niestroniąca od przemocy, a może on – reżyser, który wzbogaca się finansowo, a także swoje portfolio, robiąc spektakl o środowisku wykluczonym i rzekomo chcąc go bronić? Öhrn odbiera aktorom indywidualność, zakładając im maski i zniekształcając brzmienie ich głosów. Nadaje to postaciom kreskówkowy rys, a widzom daje poczucie dystansu i wywołuje śmiech. Jednak z biegiem spektaklu, kiedy widownia doświadcza coraz więcej obrazów coraz bardziej agresywnej przemocy, chęć do śmiechu odchodzi. Zostaje poczucie zdezorientowania, komu w tym widowisku kibicować.

MARIA SŁAWIŃSKA

na scenie

Między siłownią i poczekalnią 4/6

Jak się starzeć bez godności, reż. Maciej Podstawny, Teatr Komedia w Warszawie

Zaczął się od podcastu, potem wyszła książka, a teraz doszedł spektakl, który jest kolejnym dowodem na to, że autorki, znane reportażystki Ewa Winnicka i Magdalena Grzebałkowska, trafiły w czuły punkt. „Jak się starzeć bez godności”, seria dowcipnych komentarzy na temat procesu, któremu wszyscy podlegamy, zaadaptowana na scenę przez Macieja Łubieńskiego (dawniej współscenarzystę brawurowego Pożaru w Burdelu) i Macieja Podstawnego (niedawno reżysera świetnej „Wyspy Jadłonomia” w Teatrze Studio) jest wydarzeniem z pogranicza teatru i spotkania towarzyskiego. Styl jest felietonowy, odgrywane sytuacje umowne, aktorstwo na granicy szarży, bo najważniejszy jest tu kontakt z widownią, porozumienie

ponad rampą, budowane przez szóstkę aktorów i głos narratorki z offu. Nikt tu nie sili się na odkrywanie Ameryki, chodzi o rodzaj (auto)terapii, bardziej śmiechem, trochę mniej wzruszeniem. Jak w odpowiedzi na pytanie: Co skłoniło panią do przyścia na siłownię? PESEL. Czy w konstatacji, że starzenie zaczyna się wtedy, gdy wśród znajomych mamy więcej lekarzy i fizjoterapeutów niż „chłopaków z gitarą”. Albo w scenie kłótni Wysokich Obcasów, Zwierciadła i Krytyki Politycznej (wspaniałe kostiumy!) o to, w jaki rodzaj dojrzałej kobiecości bohaterka po 40. powinna iść. „Trzecia młodość” ma „Klimakterium”, hitowy spektakl objeżdżający kraj, druga – odpowiednio lżejsze „Jak się starzeć...”. AK



książki Fragmenty książek na stronie: www.polityka.pl/czytelnia

Nieopisane 5/6

Agnieszka Pajączkowska, **Nieprzeznaczone. Historie chłopskiej fotografii**, Czarne, Wołowiec 2023, s. 430

Agnieszka Pajączkowska najpierw jeździła po wsiach i robiła zdjęcia w zamian za opowieść – powstała z tego świetna książka „Wędrowny Zakład Fotograficzny”. Już wtedy natrafiła na zdjęcia z domowych archiwów. Uświadomiła sobie, że historia chłopskiej fotografii jest zupełnie nieopisana, stąd pomysł „Nieprzeznaczone”, książki eseistycznej, wszechstronnej i bogatej, stawiającej pytania, których nikt wcześniej nie zadawał. Kluczowa jest ta „nieprzeznaczość”, czyli patrzenie na fotografię w taki sposób, żeby zauważyć ją w całości z kontekstem i materialnością, razem z tym, co wydaje się nieistotne albo jest niewidoczne. Pajączkowska opowiada o Polsce XX w., o historii społecznej, pokazuje splót prywatnego i politycznego, docieramy nawet do momentu, kiedy fotografia chłopstwa przestaje istnieć. Tytuły



rozdziałów to zarazem kluczowe pytania: kiedy fotografia jest chłopstwa, a kiedy wiejska, dlaczego na chłopskich zdjęciach nie ma Żydów, czy krowy i buty są ważne, a także kim była chłopstwa fotografka. „Nie znalazłam Vivian Maier polskiej fotografii chłopstwa, ale przynajmniej znalazłam Teodozję Podolak” – pisze Pajączkowska. Podolak zrobiła jedyne istniejące zdjęcia z ekshumacji zabitych przez Niemców więźniów w Zamościu w 1944 r. Robiła zdjęcia, kiedy była bardzo młoda i w czasie wojny, potem już nie miała czasu, bo pracowała na roli i wychowywała dzieci. Wiejscy fotografowie mieli często we wsi pozycję wyjątkową, czasem fotografia była drogą emancypacji. Ta podróż śladem zdjęć jest fascynująca, zmusza nas do zadawania sobie pytań, co właściwie widzimy i co tu się nie zgadza?

JUSTYNA SOBOLEWSKA

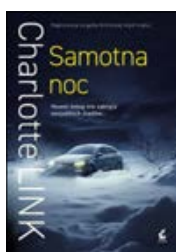


Retro, ale bez nostalgii 4/6

Bartek Przybyszewski, Mateusz Witkowski, **Podcastex. Polskie milenium**, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2023, s. 352

Autorzy jednego z najpopularniejszych podcastów w Polsce skutecznie powiększają zasięgi: do audycji i spotkań z publicznością na żywo doszła teraz książka. Jak zastrzegają sami autorzy – nie są to „przepisane” odcinki, lecz raczej ich uzupełnienie. Wierni słuchacze spotkają tu co prawda starych znajomych, m.in. Kubę Wojewódzkiego, grupę Ich Troje i serial „Świat według Kiepskich”, ale większość tematów poruszanych przez Bartka Przybyszewskiego i Mateusza Witkowskiego jeszcze na antenie nie trafiła. Podtytuł „Polskie milenium” może być zresztą cokolwiek mylący: „Podcastex” w wersji książkowej skupia się na wydarzeniach, którymi Polska żyła w stosunkowo krótkim czasie, od 1999 do 2005 r. I pewnie część z nas zdążyła zapomnieć, jak wiele się wtedy działo. Afera Rywina wstrząsnęła mediami, Wajda dostał Oscara, debiutował „Big Brother”, a w pewnym momencie Polska złączyła się (na krótko) w żałobie po śmierci papieża. „Podcastexowa” książka to właśnie taki mieszmasz zdarzeń, opisanych z ironią i werwą, lecz bez cienia tęsknoty za wczesnomilenijną przeszłością. I choć niewątpliwie to fani będą nakręcać jej sprzedaż, paradoksalnie ciekawsza może być dla tych czytelników, którzy podcastu w ogóle jeszcze nie znają – jako zapowiedź tego, czego można się spodziewać, słuchając autorów. Siłą rzeczy tematy w książce są tylko naszkicowane (o samym Kubie Wojewódzkim autorzy nagrali ponad sześć godzin materiału), no a antenowej chemii między Przybyszewskim i Witkowskim na papier się, niestety, przenieść nie da.

JAKUB DEMIAŃCZUK



Kate znów na tropie 4/6

Charlotte Link, **Samotna noc**, przeł. Dariusz Guzik, Wydawnictwo Sonia Draga, Katowice 2023, s. 480

Jedna z poczytniejszych niemieckich pop-pisarek ma na koncie różne gatunki, w tym literaturę historyczną i młodzieżową, ale jej główną specjalnością są thrillery psychologiczne, często rozgrywane w Anglii. Bohaterkami zwykle są kobiety, które nie miały szczęścia albo nie potrafiły spojrzeć krytycznie na swoje życie, ale dzięki dramatycznym

wydarzeniom ich sytuacja się zmienia, a one same nabierają poczucia własnej wartości i emancypują się dzięki niemu. Szczególnym przypadkiem jest tu jedyna bohaterka Link, która powraca; „Samotna noc” to już czwarta książka o Kate Linville. To policjantka, która pracowała kiedyś w Scotland Yardzie, ale po śmierci ojca, również policjanta, powróciła do rodzinnego Scarborough. Jest dobrą śledczą, ale przy tym niepozorną szarą myszką i marzy, by przestać nią być. Tym razem ściga obsesyjnego seryjnego mordercę (nie jest to zresztą jedyny psychopata w tej opowieści), a na trop wpada dzięki temu, że zapisuje się prywatnie na zajęcia z gotowania dla singli. Nie dane jej będzie z nich skorzystać, ale jej życie osobiste jednak ulegnie pewnej zmianie – także dlatego, że z tomu na tom, mimo kolejnych zawodów życiowych, bohaterka nabiera godności i pewności siebie. Budując dla czytelniczek, jak zwykle w książkach Link, która właśnie pracuje nad kolejnym tomem przygód Kate.

DOROTA SZWARCMAN

w galerii

Człowiek orkiestra 4/6

Projektant. **Wojciech Jastrzębowski (1884–1963)**,

Muzeum ASP w Warszawie, Pałac Czapskich, do 19 maja 2024 r.

Jeżeli wystawa ma tak nieatrakcyjny tytuł, a ponadto rytualnie jubileuszowy charakter (stulecie objęcia przez artystę stanowiska profesora na warszawskiej uczelni), to trzeba wiele dobrej woli, by mimo to ją zwiedzić. Ale przemoc się warto. Jastrzębowski nazywano „designerem II Rzeczypospolitej” i ekspozycja świetnie wyjaśnia, skąd się to wzięło. Jak ułał pasuje tu dowcip opowiadany niegdyś o słynnym dyrygencie von Karajanie, który na pytanie taksówkarza, dokąd ma jechać, odpowiedział: „Gdziekolwiek, wszędzie mam coś do załatwienia”. Bo ten artysta także był takim człowiekiem orkiestra: projektował meble (a nawet kompletne wyposażenie dla publicznych urzędów, ambasad, pasażerskich statków, jak „Batory”), tkaniny, monety (m.in. słynna peerelowska dwuzłotówka), znaki graficzne, medale itd. Dopiero warszawska wystawa uświadamia, jak wiele z tego, co łączymy z określeniem „przedwojenny modernizm” czy „polskie art deco”, miało swój początek w pracowni Jastrzębowskiego. Jak silnie wpłynął on



Od lewej: **Wojciech Jastrzębowski. Model monety dwuzłotowej, 1958 r. Trzy sgraffita w atrium Pawilonu Polskiego w Paryżu, 1925 r.**

na kolejne pokolenia projektantów i artystów. Nie tylko pośrednio, elegancką prostotą, funkcjonalnością i estetyczną kulturą swoich dzieł, ale też bezpośrednio – poprzez autorski kurs dla studentów nazwany „kompozycja brył i płaszczyzn”. Jedną z wystawowych sal poświęcono prezentacji studenckich prac powstałych w ramach tego właśnie kursu, a wśród kilkudziesięciu pokazywanych twórców wypatrzeć można m.in. Edwarda Dwurnika, Jana Dobkowskiego czy Lecha Tomaszewskiego.

PIOTR SARZYŃSKI

salon gier

Lem opleciony 5/6

Niezwycięzony, Starward Industries, 11 bit studios, GOG.com, Windows, PlayStation 5, Xbox Series X/S

Napisana przez Stanisława Lema w 1964 r. powieść „Niezwycięzony”, opowiadająca o konfrontacji astronautów przybyłych na planetę Regis III z obcą formą bytu, wydaje się dziś niepokojąco profetyczna. Przenikliwy umysł autora przewidział zagrożenia związane z rozwojem cywilizacji maszynowej, finalnie kumulującej w nowe, autonomiczne formy istnienia. Lem ostrzegł też, że ułuda antropocentryzmu zaślepia arogancją nie tylko monoteistów, widzjących w człowieku boską emanację, ale i świat nauki. Pycha, jaka pcha nas do podboju gwiazd, gdzie mamy nadzieję spotkać podobne sobie istoty, powinna ustąpić ostrożności i pokorze. Gra nie replikuje opowieści Lema, oplata ją jak bluszcz, ale prowokuje do podobnych refleksji. Śledzimy losy załogi statku badawczego, który wylądował na Regis III przed „Niezwycięzonym”. Przyszłość przedstawiono w retrofuturystycznej konwencji – tak, jak mógłby ją sobie wyobrazić Lem sześć dekad temu. A w projektach robotów widać wpływ kreski Daniela Mroza, ilustratora książek autora „Cyberiady”. Lem chyba by to docenił.



Groza i kamp 4/6

World of Horror, Panstasz, Ysbryd Games, GOG.com, Windows

Lata 80., Japonia – kraina przerażających, mroźnych krew w żyłach zdarzeń, za które odpowiadają mroczne istoty nie z tego świata. Horror! W minimalistycznych, czarno-białych kadrach, stworzonych w programie MS Paint (sic!) przez jednego człowieka przez kilka lat! Groza! Niewątpliwie autor „World of Horror” Paweł Koźmiński został opętany i zmuszony do tej kategorii przez Cthulhu lub innego okrutnego boga z obcego wymiaru egzystencji. Czas i miejsce: nieprzypadkowe. W latach 80., bodaj najbardziej twórczym, szalonym i romantycznym okresie w historii gier wideo, wiele ikonicznych z perspektywy czasu dzieł tworzyli samotnicy, w zgrzebnej graficznie formie. To także złoty okres japońskiego komiksu grozy i czas debiutu Junjiego Itō, którego wpływ widać w grze Koźmińskiego. Notabene, obu panów łączy coś więcej – są dentystami. Co ma sens, leczenie kanałowe to horror w czystej postaci. „World of Horror”, formalnie roguelite z elementami RPG, jest grą uroczą retro, a jednak zaskakującą i pomysłową, z autorskimi innowacjami, nieco kampową. Atrakcyjną nie tylko dla nerdów.



Cyborg w transie 4/6

Ghostrunner 2, One More Level, 505 Games, PlayStation 5, Windows, Xbox Series X/S

Co łączy balet, etudy fortepianowe i grę wideo „Ghostrunner 2”? Ich istotą jest perfekcyjne wykonanie żądanej sekwencji działań. Absolutna synchronizacja w czasie i przestrzeni. Im mniejszy margines błędu – czy może raczej: precyzji, bo miejsca na błędy tu nie ma – im trudniejsze wyzwanie, tym większej wymaga koncentracji i liczby powtórzeń, zanim wyszlifujemy formę i wytworzymy automatyzmy. „Ghostrunner 2” to formalnie gra platformowa w trójwymiarowym środowisku. Znów, jak w debiucie, stajemy się cyborgiem biegnącym wbrew prawom grawitacji po pionowych ścianach i wykonującym niemożliwe skoki i zwody w powietrzu. W cyberpunkowej dystopii świata przyszłości, cały czas prąc do przodu, pokonujemy wrogów kataną i shurikenami. To wszystko to jednak sztafaż, bo istotą doświadczenia jest głęboka koncentracja prowadząca do stanu wchłonięcia – transu, w którym czerpiemy trudną do opisanego satysfakcję z idealnej synergii woli i działania.



OLAF SZEWCZYK

Nie okładajmy się kijami

Teatr powinien się zajmować tym, czego nie rozumiemy. Jest ważniejszy, niż myślałam – mówi reżyserka **Maja Kleczewska**.

Maja Kleczewska (ur. 1973 r.) – reżyserka, absolwentka krakowskiej AST (studiowała też psychologię), wykładowczyni na Wydziale Reżyserii warszawskiej Akademii Teatralnej. Ma na koncie głośne i nagradzane spektakle, realizowane na najważniejszych scenach w kraju, w tym niedawne, prokobiece i antyreżimowe „Dziady” z Teatru im. Słowackiego w Krakowie, odradzone uczniom przez pisowską kurator oświaty. Laureatka m.in. Paszportu POLITYKI (2006 r.) i Srebrnego Lwa na teatralnym La Biennale di Venezia (2017 r.).

ANETA KYZIOŁ: – **Nie żałuje pani teraz, że ze scenariusza „Dziadów” w swojej słynnej na cały kraj inscenizacji z Teatru im. Słowackiego wycięła fragment: „Nasz naród jak lawa/ Z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa/ Lecz wewnętrz- nego ognia sto lat nie wyziębi”? Premiera była dwa lata temu, nie wierzyła pani wtedy w Polaków...**

MAJA KLECZEWSKA: – To prawda, nie przewidziałam tego wy- borbczego zrywu i wspaniałego zwycięstwa, ale w tamtym czasie mało kto je przewidywał. Tymczasem udało nam się zmobilizo- wać, a koalicjantom dogadać, co też przecież jeszcze niedawno wydawało się niemożliwe. Jest teraz moment odwilży, jest ulga i poczucie, że przyjdzie nowe. Byliśmy już tak zduszeni, zdławie- ni, a teraz czuć ducha zmiany i optymizm, choć wciąż jesteśmy w momencie przejściowym.

Czy sztuka, teatr ma swój udział w tym społecznym przebu- dzeniu? Pani „Dziady”, inny hit Teatru Słowackiego – musical „1989” albo „Zielona granica” Agnieszki Holland czy „Kler” Wojciecha Smarzowskiego?

Mogę tylko gdybać, bo badań chyba żadnych na ten temat nie ma. Intuicja mi podpowiada, że takie spektakle, jak te powstające w Teatrze Słowackiego, budują wspólnotę, czyli działają podob- nie, tylko na mniejszą skalę, do Marszu Miliona Serc – pokazują ludziom, że nie są sami ze swoimi przekonaniem, dają szansę się policzyć, a świadomość, że jest nas dużo, daje siłę, poczucie sprawczości i wpływu.

Co pani zapamięta z ośmiu lat rządów PiS w kulturze?

Przede wszystkim wrażenie zaciskającej się pętli na szyi. Że jest coraz mniej tlenu, wolności i coraz mniej pieniędzy. Teatry były ciągle szantażowane finansowo – nagrodzimy dotacjami i grantami posłusznych, nie damy pieniędzy nie- posłusznym – i karane, np. poprzez zawieszenie dyrektora. Dla zespołu Teatru Słowackiego to ostatnie oznaczało 500 dni olbrzymiego stresu: niepewności, strachu, bycia na ciągłej dzwonnej wojnie. Nie można było spokojnie próbować, bo stale trzeba było pisać jedne listy otwarte i podpisywać inne, cho- dzić na manifestacje, organizować protesty. Awantura wokół „Kłatwy” Frłjicia była sygnałem dla innych twórców i teatrów, że tego i tamtego nie wolno, bo za to grozi ciągnięcie po sądach przez kilka lat. I jeszcze zmiany na stanowiskach kierowni- czych we wszystkich ważniejszych instytucjach. Odczuli to zwłaszcza artyści wizualni, bo PiS przejął większość muze- ów i publicznych galerii. Jak pomyślimy, że Polskę na Biennale w Wenecji będzie reprezentował Ignacy Czwartos... Z drugiej strony jest poczucie, że Gliński inwestował dużo w kulturę, więc te pieniądze jednak są, a przecież przez całe dekady nam powtarzano, że nie ma.

Tak, np. 10 mln zł rocznie przeznaczone na Teatr Klasyki Polskiej, bez siedziby i sukcesów. Czego oczekiwaliby pani od nowego Ministerstwa Kultury? W kampanii wyborczej kultura nie istniała po stronie opozycji jako większy temat.

Koalicja ma dużo spraw do załatwienia, sprzątanie po PiS to zadanie na miarę czyszczenia stajni Augiasza. W pierwszej kolejności pewnie muszą się zająć telewizją, sądami, spółka- mi Skarbu Państwa etc. W kulturze zaś potrzebne są debaty o tym, jak zmienić finansowanie i jakie wprowadzić reformy, żeby pieniądze nie tylko były, ale też nie przeciekały przez palce. Żeby instytucje mogły funkcjonować na dobrym po- ziomie i płacić ludziom godziwie. Już teraz problemem jest zatrzymanie w teatrach techników, akustyków. Ich pensje są tak niskie, że uciekają do innych branż, a bez nich teatry nie mogą działać.

Wciąż nie wiemy, kto zostanie nowym ministrem kultury. Ale co zmiana władzy generalnie oznacza dla kultury, dla teatru?

Że nie będziemy się już musieli zajmować tak bardzo Polską, odnosić w spektaklach do codziennej polityki, walczyć o podsta- wowe i oczywiste wartości i prawa.

Po antypiwowskich, kobiecych „Dziadach” zrealizowała pani adaptację „Ulissesa” Joyce’a, o tęsknocie za spokojnym życiem, i adaptację „Łaskawych” Jonathana Littella, portret nazistów. Oraz operę „Łaskawość Tytusa” w Gdańsku, w której w prologu przywołuje pani zamordowanego prezydenta Ada- mowicza. Po jaką tematykę zamierza pani teraz sięgać?

Niedawno wróciłam do „Dziadów”, ale w Ukrainie, w teatrze w Iwano-Frankiwsku. Przeczytane tam po ukraińsku natychmiast stały się o Ukrainie, o wojnie, o wywózkach do Rosji, na Syberię. Ale też pojawił się kłopot, jakim językiem mówić w teatrze o woj- nie. A przecież mówić trzeba. Mam wrażenie, że Ukraińcy jako społeczeństwo i sam Zełenski muszą ciągle prosić świat o pomoc i dziękować, nie mogą wyrażać nic innego, bo nic innego nie jest akceptowane. Oni nie mogą, ale ja mogę, skorzystajmy z tego – powiedziałam im. Kiedy próbowałam, akurat było otwarcie festiwalu w Cannes, na który zaproszono rosyjskich reżyserów, za to z niesmakiem przyjęto happeningi ukraińskich aktywistek, które wtargnęły na czerwony dywan, by przypomnieć Zachodowi o wojnie. Więc sceny Balu u Senatora przenieśliśmy do Cannes. Rollisonowa krzyczy, jak te ukraińskie aktywistki: Nie gwałćcie nas!, a państwo we frakach, w sukniach, patrzą na to z niesma- kiem, bo im się zakłóca wspaniały bal, wielkie święto. Zderzamy to ze scenami w celi, które tam są odczytywane jako sceny w oko- pach. Zrobiłam jedną improwizację i stwierdziłam, że nie mam tu nic do reżyserowania – oni wiedzą najlepiej, jak wygląda wojna, mają kolegów, którzy są na froncie.

W krakowskich „Dziadach” książd Piotr był stylizowany na arcybiskupa Jędraszewskiego. Jak odczytaliście tę postać w Ukrainie?

Książd Piotra zamieniłam na patriarchę moskiewskiego Cy- ryla, on mówi po rosyjsku. Na początku aktorzy odrzucili ten pomysł, nie chcieli języka rosyjskiego na ukraińskiej scenie, ale ich do tego przekonałam, a oni dodali do jego kwestii napisy z tłu- maczeniem na ukraiński, żeby podkreślić, że rosyjski to język obcy w Ukrainie. W grudniu przyjadą na festiwal Boska Komedia do Krakowa. W Iwano-Frankiwsku zrozumiałam – po tylu latach – że teatr jest ważniejszy, niż myślałam. Że w sytuacji granicznej daje szansę na odzyskanie godności, bo o tym, co się wydarza na świecie, na zewnątrz, nie mogę decydować, ale o tym, co i jak będzie na scenie – już tak. I to daje ulgę. Tam trzeba pracować w sposób łagodny, żeby zestresowanym ludziom jeszcze nie do- kładać napięć, więc zapytałam ich, czy przed premierą podkrę- camy tempo, czy nie – ich decyzja. Powiedzieli, żeby podkręcić, bo wtedy będą mogli się skupić tylko na pracy, wyłączyć myślenie o tym, co wokół, i to będzie jak medytacja albo spa.

Co po „Dziadach”?

7 października wybuchła kolejna wojna, Hamas zaatakował Izrael, Izrael odpowiedział, atakując terrorystów w Strefie Gazy. We Francji, w Wielkiej Brytanii i USA trwają antyizraelskie demon- stracje, duża część światowej lewicy popiera Palestynę, na murach polskich miast można zobaczyć antyizraelskie napisy. Co innego ochrona dzieci i cywilów w Palestynie, a co innego po- pieranie działań terrorystycznych Hamasu, a nie wszyscy widzą te różnice. Jest tak silna polaryzacja, także z winy mediów spo- łecznościowych, ludzie w swoich bańkach wariują, tracą azymut. Jest ogromny chaos, podkręcanie temperatury i mało kto wie, jak stonować nastroje. A jeśli się ich nie stonuje, to zaraz ludzie będą się na ulicach bić. Mam wrażenie, że teatr powinien teraz patrzeć w tę stronę. To, co się dzieje w Ukrainie, to, jak postrze- gamy Rosjan, jak Arabów, Izrael – jesteśmy w samym centrum ►

► tego, bo to tematy związane z kryzysem uchodźczym, z emigracją, z asymilacją itd. Teatr powinien się zajmować tym, czego nie rozumiemy.

Czyli nie będzie oddechu?

Myślę, że nie. Jesteśmy w bardzo ciekawym, trudnym i historycznym momencie. Gesty porywania, mordowania, wysadzania w powietrze jako wyraz bezsilności, niezadowolenia, bycia uciskanym – kiedyś nie mieliśmy w sobie tyle przyzwolenia na nie, wiedzieliśmy, że trzeba rozmawiać, nie mordować. Teraz wydaje się, że rozmowy są niemożliwe, nie ma z kim. Ale demokratyczny świat nie może się zgodzić na terroryzm jako formę wyrażania niezgody.

To pytanie też o Polskę po PiS.

Bo to zespół naczyń połączonych. Polska po PiS to państwo europejskie. Wolę teatr, który patrzy szeroko, na zjawiska, które są światowe czy europejskie, niż żebyśmy się ciągle zajmowali partią rządzącą i nieprawidłowościami, bo to też nas izoluje od rzeczywistości, w której żyjemy.

W teatrach do podziałów politycznych dochodzą ideologiczne i pokoleniowe. Internetowe debaty i społecznościowe lincze odbywają się w rytm kolejnych afer, epitet „przemocowy” ma dużą moc.

Uczę w warszawskiej Akademii Teatralnej na Wydziale Reżyserii i, patrząc na młodych ludzi, myślę, że idą dwie równoległe fale. Część studentów to są reżyserzy, którzy będą pracowali w progresywnym teatrze repertuarowym. Są zainteresowani instytucjami i rozmową z widzami, i literaturą. Adaptacjami, ale – po okresie absencji – dramatami też. Druga grupa jest poszukująca, literaturę odrzuca, bliżej jej do tańca i sztuk wizualnych. Przyszłość teatru zapowiada się więc różnorodnie. Problem w tym, że nie dajemy zadebiutować młodym reżyserom, to znaczy nie zapewniamy im wystarczających środków, przez co spektakle młodych są do siebie podobne: bez scenografii, bo nie ma na nią budżetu. Przez to nie ma gestu estetycznego. To wszystko rodzi słuszną frustrację młodych. Brakuje też takiego miejsca, jakim kiedyś był Wałbrzych – odległego laboratorium, gdzie można eksperymentować, spotykać się, obserwować się nawzajem. To część problemu. Innej spróbuję dotknąć w grudniowej premierze, w „Locie nad kukułczym gniazdem” w Teatrze Nowym w Poznaniu.

Zwykle wystawia się ten tekst w geście buntu przeciw zamordzowi. Zmiana władzy w Polsce nie pokrzyżowała wam planów?

Nie, bo myślę o innym kontekście. Zainspirowała mnie do wystawienia tego tekstu napaść na Krystiana Lupę [przy okazji afery z jego odwołaną premierą w Szwajcarii – red.]. I na wszelkich „dziadersów” – że trzeba starych ludzi w teatrze po prostu wykończyć.

Raczej chodziło o przemocowców...

Przemocowców, ale np. Romeo Castellucci też się nie podoba, a chyba nic nie wiadomo o tym, żeby był przemocowcem. Tu bardziej chodzi o przekonanie skrajnej lewicy, że przemocowi są wszyscy, którzy mają „władzę symboliczną” [ten i poniższe cytaty pochodzą z facebookowych komentarzy – red.] i trzeba ją im odebrać. Nieważny jest dorobek tych ludzi, trzeba ich „strącić z piedestału” i „skończyć z tym patriachatem, raz na zawsze”. I to jest moja siostra Ratched. Ona kończy z patriachatem. Ma w szpitalu „pod opieką” samych dziadersów, przemocowców, do rozpracowania i zresocjalizowania.

Będą ucharakteryzowani na konkretne osoby?

Pani też próbowano przykleić tę łatkę...

Tak daleko nie idziemy, choć to kuszące, ale jednak paru znanych artystów – „przemocowych, patriarchalnych, starych

i ze wszech miar nieaktualnych” według niektórych – aż się prosi o resocjalizację w „kombinacie”, aż się nauczą wreszcie „nowego, empatycznego języka”. Czyli: nie zabijamy ich, ale zmieniamy ich myślenie, reformujemy – elektrowstrząsami, jak trzeba. Nowa lewica, mam wrażenie, przez „kombinat – kolektyw” chciałyby przejąć narrację i zdominować publiczny dyskurs, zakładając, że wszystko, co było dawniej, należy do zniechęconej kultury patriarchy.

Nie wkłada pani w tym momencie wszystkich do jednego worka, nie trywializuje, nie obśmiewa prawdziwych problemów?

Chciałabym sprowokować rozmowę. Ci, którzy są naprawdę przemocowi, powinni ponieść karę, to są sytuacje, które nie powinny mieć miejsca. Sąd powinien się nimi zająć i mam nadzieję, że to się dzieje.

A co z sytuacjami granicznymi, nieregulowanymi przez prawo albo trudnymi do udowodnienia?

Powinny działać procedury bezpieczeństwa, strukturalne rozwiązania. Ale też uważam, że nastąpiło przegięcie, że musimy umieć odróżniać tego, kto jest naprawdę przemocowy – i temu mówimy nie! – od tego, kto wykonuje swoją pracę w myśl „starych” zasad: że np. na próbach aktorzy grają, a reżyserzy reżyserują, i że w tym „starym” świecie może również panować harmonia. Ja tu widzę coś, co bym nazwała terrorem *woke'u*, bycia przebudzonym.

Chodzi o amerykański ruch i kulturę uświadamiania na temat nierówności i dyskryminacji w społeczeństwie.

Ale też o myślenie, że wszyscy skrzywdzeni teraz mają głos, że bycie ofiarą jest „hot”. A figura ofiary jest też figurą groźną, agresywną, chce odwetu, wyrównania, kompensacji. Nad tą figurą teraz się pochylamy, co obserwuję też w szkole teatralnej, gdzie dyskutujemy o tym, czy mamy mówić studentowi prawdę, czy raczej dodawać otuchy. Jak przekazać feedback, żeby być pomocnym, a nauka i rozwój nie zawsze są łatwe, miłe i przyjemne?

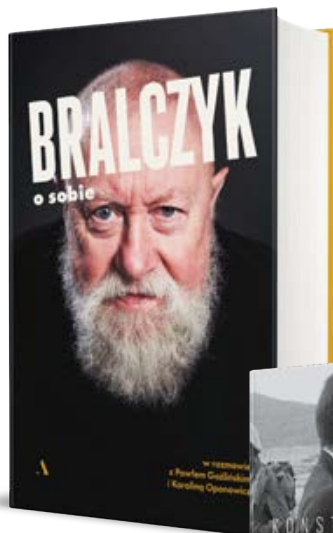
Jak?

Na reżyserii zawieramy ze studentami kontrakty, pytamy ich, a oni zawsze wybierają prawdę, ale potem różnie bywa z tą akceptacją. Widzę, jak jest trudno uczyć na kierunku aktorskim, jakie są obszary wrażliwości studentów, a każdy ma trochę inne, przy kilkunastu osobach na roku robi się to wszystko trudne. Zwłaszcza że przybywa nadwrażliwców, po pandemii młodzi ludzie są samotni, przestraszeni, zestresowani. Ale świat, w którym trzeba się nieustannie kontrolować, żeby absolutnie nikogo nie urazić, a który jednocześnie daje przyzwolenie na wylewanie nieprawdopodobnego hejtu w sieci – najchętniej anonimowo – jest światem obłąkanym. Niekonsekwentnym. Pragniemy odwetu.

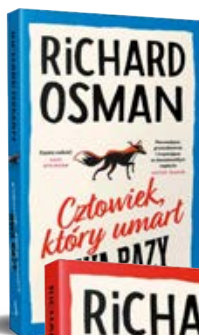
Naprawdę kultura *woke'u* jest takim problemem?

Przy tym wszystkim, co niesie dobrego, z uwagą na wrażliwość drugiego człowieka na czele, jest też narzędziem szalonym, generującym niezwykłą ilość agresji. Kiedy w wakacje czytałam, co o Krystianie Lupie mają do powiedzenia różne osoby w mediach społecznościowych – wiele z nich wyroki wydawało zaocznie, bo nigdy go nie spotkały ani z nim nie pracowały – to się za głowę łapałam. A portale newsowe przekopiuwują wpisy z mediów społecznościowych jeden do jednego i niosą je dalej. *Woke* dał przyzwolenie na to, że jak kogoś cancelujemy, to go możemy przy tym zgłanować, zrównać z ziemią, możemy bezkarnie życzyć mu śmierci. Chcę się temu przeciwstawić, powiedzieć, że są jakieś granice w dyskursie publicznym, że nie możemy się okładać kijami bejsbolowymi. Potrzebna jest uważność na język, którym się komunikujemy, inaczej to będzie wojna wszystkich ze wszystkimi, niezależnie od tego, kto będzie w Polsce rządził.

ROZMAWIAŁA ANETA KYZIOŁ

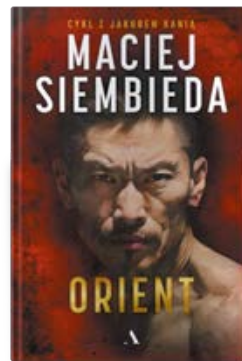


Biografia ulubionego językoznawcy Polek i Polaków. Takiego Bralczyka nie znacie!
Profesor Jerzy Bralczyk w szczerzej i błyskotliwej rozmowie po raz pierwszy o sobie.



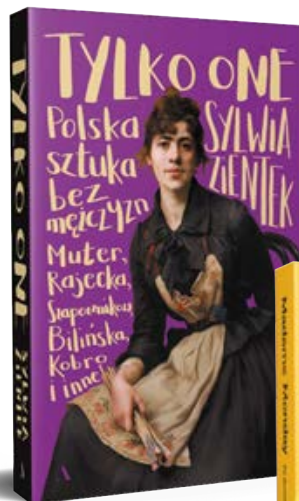
Najlepsza seria kryminalna ostatniej dekady.
Czwórka sprytnych seniorów, zagadkowe zbrodnie i inteligentny humor.

Polski tajny detektyw, zdumiewające śledztwo w Chinach i zagadka najstanniejszego pociągu świata.
Powieść sensacyjna inspirowana prawdziwymi wydarzeniami.

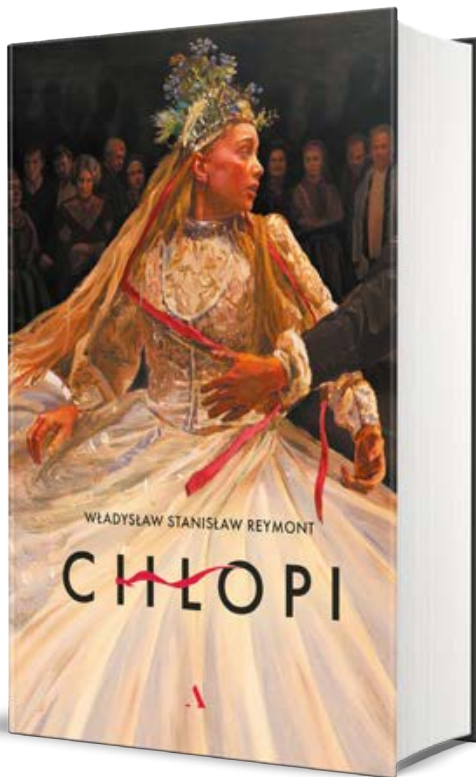


Najważniejsza książka o kryzysie klimatycznym
do czytania zanim będzie za późno. Fakty i rozwiązania.

Historyczna podróż od czasów powstania państwa Izrael do współczesności,
która pomaga zrozumieć, jak doszło do wojny izraelsko-palestyńskiej.



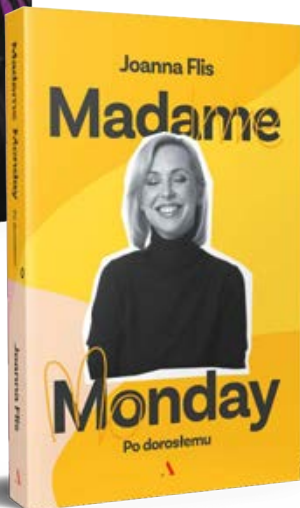
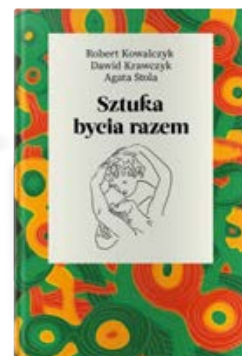
Pierwsza taka książka o polskich artystkach – wybitnych i zapomnianych.
Nowy tytuł autorki bestsellerowych Polek na Montparnassie.



Ekсклюzywne wydanie powieści Władysława Stanisława Reymonta ilustrowane kadrami z filmu „Chłopi”,
polskiego kandydata do Oscara w reżyserii DK Welchman i Hugh Welchmana.



Z czym pary przychodzą do seksuologa?
Nowoczesny i bezpruderyjny poradnik bycia w związku autorstwa terapeutów par.



Poradnik o tym, jak obudzić w sobie dojrzałego dorosłego.
Mądry, ale pozbawiony skomplikowanych teorii. Świetny do czytania, szczerzy, bezpretensjonalny i konkretny.

Uśmiech przyszłości

Doradzałem, że jak ktoś z muzyków się bardzo interesuje polityką, powinien założyć partię. Posłuchał tylko Kukiz – opowiada **Lech Janerka**, muzyk, kompozytor, autor tekstów.



© TOMASZ PIETRZYK/AGENCJA WYBORCZA.PL

Lech Janerka (ur. 1953 r.) – gitarzysta basowy, wokalista, kompozytor i autor tekstów. W 1979 r. założył zespół Klaus Mitffoch, jedną z najważniejszych formacji polskiej niezależnej sceny muzycznej. W 1984 r. ukazała się debiutancka płyta zespołu, po czym Janerka rozpoczął karierę solową, w czasie której wydał osiem albumów studyjnych. W 2021 r. wraz z żoną Bożeną został uhonorowany tytułem Kreatora Kultury tygodnika POLITYKA.

MIROSLAW PĘCZAK: – Twoja nowa płyta „Gipsowy odlew falsyfikatu”, podobnie jak wydany właśnie album Rolling Stonesów, ukazuje się 18 lat po poprzedniej, a do światowych mediów dociera najnowsza piosenka Beatlesów. Przypadek, magia czy logiczna kolej rzeczy?

LECH JANERKA: – Podejrzana koincydencja. Jeżeli chodzi o Beatlesów, to pierwsza moja piosenka, debiut zespołu Klaus Mitffoch, doszła do 17. miejsca na liście Trójki. I „Love Me Do”, debiut Beatlesów, też w swoim czasie doszedł do 17. miejsca listy przebojów. I na tym podobieństwa się kończą, niestety, a może i stety.

Ale wpisujesz się w fenomen długiego trwania, trochę jak Stonesi, chociaż Jagger jest od ciebie starszy.

Podkreśliłbym przy tym, że inaczej niż Jagger muzyką zacząłem się zajmować na poważnie późno, bo w wieku 30 lat. A Jagger faktycznie jest ode mnie starszy o 10 lat.

Dlaczego na twój nowy album musieliśmy czekać aż 18 lat?

Po prostu w pewnym momencie doszedłem do wniosku, że dosyć już tego dobrze, dosyć tych presji typu dwie płyty rocznie albo płyta co rok... Nie ma obowiązku nagrywania płyt, nigdy też nie miałem takiego kontraktu, który by mnie pogañał.

Zespół koncertował, nie za gęsto, w takim naturalnym dla siebie tempie, piosenki się zbierały. Przyszedł taki moment, że mieliśmy tych piosenek wystarczająco dużo, żeby z tego zrobić płytę, no więc wysłałem producentowi Bartkowi Straburzyńskiemu, który jest jednocześnie gitarzystą, z którym pracuję, pomysły – zazwyczaj to była wiolonczela, trochę basu, głos, czasami szczytki harmonii. No i on mi odsyłał via internet wyprodukowaną piosenkę, ja się temu przysłuchiwałem, kiedy widziałem w tym coś fajnego, robiłem lekkie modyfikacje... Właściwie karaoke do całej płyty, czyli podkłady, były gotowe po dwóch miesiącach. To było 12 lat temu. I tak sobie leżało, ja czasami rzucałem uchem na to, co się dzieje w świecie muzyki, i było dosyć sielankowo do momentu, aż ktoś tam przyszedł i powiedział, że codziennie w streamingi trafia kilkadziesiąt tysięcy utworów. Nikt nie jest w stanie tego wysłuchać, ocenić. Zacząłem się zastanawiać, czy w ogóle jest sens robienia kolejnej płyty, aż zobaczyłem w internecie jakąś totalną manifestację gdzieś w Barcelonie – policja polewa manifestantów wodą, pałuje ich – z podpisem: „hiszpańskojęzyczna publiczność domaga się nowej płyty Lecha Janerki”.

Ktoś miał świetny pomysł, żeby cię zdopingować.

No to zacząłem się przymierzać do pisanie tekstów, co było dziwne, bo zazwyczaj teksty, gdy muzyka była już nagrana, powstawały błyskawicznie. Wziąłem pierwszy z brzegu zanotowany temat, po krótkiej chwili zastanowienia przypomniałem sobie, że o tym pisałem już 30 lat wcześniej. Następny to samo, kolejny to samo. I nagle się okazało, że nie mam o czym pisać. Niby jako sprawny tekściarz mogę szybko napisać cokolwiek, ale tak nie lubię, no więc pomyślałem sobie, że skoro to się zawsze samo robiło, trzeba odstawić sprawę i się samo zrobi. I tak pomaleńku, pomaleńku to się zaczynało robić. Potem pojawiły się kontrakty, z których się nie wywiązywałem. Ale miałem trzy piosenki. Ludzie, z którymi podpisałem ten kontrakt, ponieśli jakieś koszty. Postanowiłem, że zwrócę im te pieniądze i rozejdziemy się w pokoju. No i jedna z pań od kontraktu, pani Beata Reizler, powiedziała: „Lechu, ale ten jeden numer jest tak piękny, że możesz tę płytę robić do usranej śmierci”. I miały kolejne lata – dwa, trzy... A potem okazało się, że wydaniem płyty zainteresowana jest wytwórnia Mystic Production. Mieliśmy wtedy siedem piosenek gotowych. Krótka trochę – 31 minut. I jeszcze dwie rzeczy nieskończone. Nie miałem ani chęci, ani siły, żeby to kończyć, i zapytałem, czy może zostać to 31 minut. I usłyszałem: „Pawalcz,

jak ci się nie uda, to pójdzie w tym krótkim wymiarze”. W efekcie dorobiłem teksty do tych dwóch utworów, ostatni na pięć dni przed oddaniem materiału. Długo to wszystko trwało także dlatego, że postanowiłem, że sam zmiksuję tę płytę. Wydawało mi się, że to banał, ale kiedy siadłem i zacząłem się tym bawić, to się okazało, że to jest taka gra komputerowa, która nie ma końca. Na szczęście dojrzałem do finiszu.

Wspomniałem wcześniej o Beatlesach nie bez powodu. W kilku piosenkach, takich np. jak „I Moll”, „Zabawawa” czy „Dupa jak sofa”, zawarłeś bardzo beatlesowskie melodie...

Jeżeli tak się stało, to podświadomie. Kiedy komuś prezentowałem jedną piosenkę z tej płyty, słyszałem: „Beatlesi”. I że nie chodzi o konkretne zbieżności, ale że „ogólny duch jest beatlesowski”. Dla mnie to był komplement i to było niesamowite, bo o beatlesowskim charakterze czy „duchu” tej piosenki mówił niemal każdy, kto jej słuchał. Mówię o piosence „Pora na zło”.

Faktycznie, tu też wyczuwa się Beatlesów.

No właśnie, a ja tam w ogóle Beatlesów nie słyszę, a znam wszystkie ich nagrania, żyłem wiele lat ich muzyką. No, ale skoro i w tobie to budzi takie skojarzenia, to nie będę się bronił...

Kiedys panował dość wyraźny podział: albo jesteś za Stonesami, albo za Beatlesami. Rozumiem, że ty byłeś w tej probeatlesowskiej bandzie?

Ja miałem to szczęście, że muzyki zacząłem słuchać dość późno, bo w drugiej klasie ogólniaka. Wcześniej mnie to nie interesowało. Ale w końcu się okazało, że papierkiem lakmusowym bycia na czasie jest znajomość bieżącej muzyki. Nie miałem o tym zielonego pojęcia. Miałem w szkole kolegę, który spytał, co sądzę o piosence „A Song for Jeffrey” zespołu Jethro Tull. Myślałem, że gość coś bredzi. Odpowiedziałem, że nie słucham muzyki. Nie chciał uwierzyć. No nie słucham, nie mam gramofonu, radia, płyt... bo bardziej żyję w świecie książek, takich nie za grubych. Na to on, że tak nie może być, i przytargał mi taką wielką torbę pocztówek dźwiękowych i gramofon. I mówi – akurat rozpoczęły się ferie: „Na ferie ci to zostawiam, sobie posłuchaj”. Posłuchałem i po feriach zapytał, co mi się spodobało. Ja mówię, że Czerwone Gitary. „Jakie Czerwone Gitary, tam nie ma Czerwonych Gitar”. Poszperałem w tym stosie tego wszystkiego i wyciągnąłem pocztówkę z napisem „Czerwone Gitary”, jakiś tytuł, a kolega na to: „Nie, to nie są Czerwone

Gitary, to tylko taka okładka, to są Beatlesi”. I tam był „Sgt. Pepper’s Lonely Hearts Club Band” i „A Day in the Life”. A ja byłem przekonany, że to jakaś anglojęzyczna edycja dwóch piosenek Czerwonych Gitar, słuchałem tego w kółko. No to kolega, że muszę posłuchać całej płyty, i tak dalej. I potem zaczęło się słuchanie całych płyt. Miałem to szczęście, że w tamtym czasie w ciągu pół roku wyszły takie płyty, jak „Are You Experienced” Hendrixa, album Janis Joplin z Big Brother and Holding Company, Doorsi, „Abbey Road” Beatlesów, pierwsza płyta Led Zeppelin. W ciągu pół roku się tyle rzeczy pokazało. Nie wiedziałem, że są to rzeczy epokowe, ważne. Dla mnie były istotne, bo niosły niesamowite emocje i odkrywały świat, o którym nigdy bym nie pomyślał, że może istnieć. I nagle dałem nura w te wszystkie dźwięki.

Z jakim efektem?

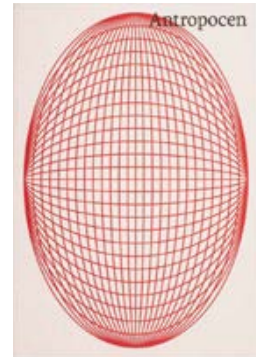
To brzmi jak parodia, bo w szkole można było pożyczyć gitarę, i kiedy usłyszałem płytę Hendrixa, mówię: „To chyba proste jest, nauczę się tego grać na gitarze”. I zakład. Trochę podawałem, trochę pooszukiwałem dźwiękowo, ale jakoś wychodziło. Mogłem tę gitarę potrzymać jakiś czas, więc się doszkałem. W mojej okolicy mieszkali bracia Pomianowie, którzy działali w piosence studenckiej. Kiedy tę szkolną gitarę musiałem oddać, oni pożyczali mi swoją. Byłem kiedyś na takim przyjęciu (trochę za wielkie słowo), siedzieliśmy z ponurymi minami, z głośników leciał „Blackbird” Beatlesów i „I’m So Tired”. Około pierwszej wyszedłem z tej prywatki, wróciłem do domu i z pamięci odtwarzałem „Blackbirda”. Nawet nie za dużo błędów robiłem, dawało mi to wiele satysfakcji. W każdym razie Beatlesi byli bardzo ważni.

Twoją nową płytę otwiera piosenka „Omm” z tytułowym motywem hinduistyczno-buddyjskiej mantry. Czy w tekście chodzi o sprawy ostateczne?

Aż tak agresywnie bym nie poszedł. Ja ciągle myślę o następnym dniu, o następnym chwilach. A ta przyszłość się ciągle do nas uśmiecha, nie zawsze złośliwie. Mantruje to swoje „om” i częstuje czymś, co jest niedookreślone. Tak zawsze było i tak zawsze będzie... Piosenka jest, cóż, eskapistyczna, próbuję dać nura w jakąś inną rzeczywistość, okazuje się, że tam też jest słabawo, więc wracam do swojej oazy. Tą oazą jest to, że jestem z Bożeną, ona gra na wiolonczeli, ja gram na basie, mieszkamy razem, narobiliśmy dzieci, ciągle muzykujemy, jesteśmy sekunda po sekundzie od czterdziestu paru lat razem, no i to jest jedyny azyl. I patrzymy, co ta przyszłość z nami zrobi. Swoją drogą nigdy nie ►

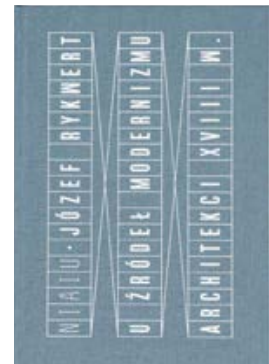
REKLAMA

ODKRYJ ARCHITEKTURĘ W TE ŚWIĘTA!



Do czytania

Antropocen



Do nauki

U źródeł modernizmu



Do zabawy

Mały Architekt

► lubię mówić o swoich tekstach. Kiedy je piszę, to czasami uciekam w takie rejony, o których ładnie nie potrafię opowiedzieć. Czasami robię to trochę nieświadomie, a jednak intuicja jakoś tam fajnie odpycha w inną stronę. A tekst „Omm” trochę jest o transcendencji, może spłyconej.

W piosence „Chyba” śpiewasz o „dekadencji siwej jak ten dym”, o schyłku. A jest to, jak śpiewasz, twoja dekadencja. Czy prośba o dobry sen, którą kończy się ten utwór, to kapitulacja przed uciążliwą rzeczywistością, rodzaj modlitwy?

Wiesz, wydaje mi się, że szeroko pojęte dobro to wartość, o którą warto walczyć i warto ją też wspominać, choćby w piosence. Ale jest tam też taka dzika fraza, którą właściwie mógłby grać Klaus Mitffoch: „Oddychamy sobie, patrząc na świat/ Głowa płonie, ale dystans i takt”. To jest moja recepta na rzeczywistość. Mimo że mi się pod czaszką gotuje, wściekam się i właściwie to powinienem ruszyć do akcji bezpośrednio – a lata temu pewnie bym ruszył – próbuję jednak mieć dystans do siebie i do tej rzeczywistości.

W omówieniach twojej twórczości zawsze podkreślano twe zamiłowanie do zabaw słownych. Na nowej płycie też to mamy, choćby w piosence „Maj”. Skąd się to wzięło?

Wypracowaliśmy to z Bożeną. Kiedy się poznawaliśmy – ona miała 18 lat, ja „ledwie” 19 – zaczęliśmy rozmawiać i ona co chwila przekreślała słowa i ja dokładnie w ten sam sposób się bawiłem. Czasami to było głupkowate, bo jedno słowo powtarzane w kółko nagle zaczyna być bełkotem, który jest zabawny. Kiedyś ją zapytałem: grasz na czymś? I usłyszałem „na szksypczach”. Napisałem nawet taką piosenkę „Szksypcze”. Jest na płycie „Ur”. I tak sobie urozmaicamy życie. Poza tym czasami nie wszystkie polskie słowa mają odpowiednią energię i chciałoby się, żeby wyrażały więcej, niż wyrażają. A lekka deformacja tych słów powoduje, że nabierają innego wymiaru, i to mi się podoba, to jest fajne. Kiedyś ktoś porównał mnie do Mirona Białoszewskiego. Nie znałem jego twórczości i zapytałem Świetlickiego, czy coś jest na rzeczy. Odpowiedział: a i owszem – posłuchaj tego: „jaskinia, a w jaskini pingwini”. Świetne! Czasami u mnie to jest efekt przekory, bo jest słowo i chciałoby się coś z tym słowem zrobić, żeby nie pachniało banałem.

39 lat temu ukazała się płyta „Klaus Mitffoch”, twój debiut. Co dziś o niej myślisz?

Niesamowita energia, jak na mnie, bo ja jestem taki niespecjalnie energetyczny.

Pamiętam jak Włodek Kowalczyk, który nagrywał tę płytę, ciągle powtarzał: „Panowie, wolniej, wolnijmy”. Klaus Mitffoch zwolniony. Ja uważałem, że to jest takie spowolnione, że nie to tempo. Nie jestem zwierzęciem muzycznym. Prawdziwy muzyk doskonale wie, w jakim tempie powinien zagrać, a mnie się wydawało, że to wszystko powinno być szybsze, ale zwolniliśmy na życzenie realizatora, no i wydawało mi się, że eee, wlecze się. I po latach słuchając – a bardzo rzadko słucham swoich płyt – jestem zaskoczony, że to takie energetyczne. Nie pamiętam za bardzo szczegółów, a to wszystko odbywało się błyskawicznie – jedna próba, jeden utwór. No, a potem zespół został zakatowany zbyt dużą liczbą koncertów. W pewnym momencie przestał się rozumieć i trzeba było się rozstać. Szkoda, bo to był fajny zespół. Zresztą potem nagrali płytę beze mnie, bardzo solidną muzycznie.

Na tym debiutanckim albumie znalazł się twój pierwszy wielki przebój „Jezu jak się ciesze”.

Perkusista zagażał do mnie: „A przeboju to byś nie napisał!”. No to napisałem. Graliśmy to na koncertach cztery, może pięć razy. Nie było potrzeby, cała reszta repertuaru wydawała się spójna. Teraz gramy, bo na koncertach wykonujemy taki set taneczno-rozrywkowy i „Jezu jak się ciesze” świetnie tu pasuje. A Klaus był ponury, zawzięty i taki trochę dziwny.

Historię twojej działalności twórczej dałoby się opowiedzieć, wspominając instrumenty, z którymi miałeś i masz do czynienia. Gitary wystrugane z kwietnika, doniosła rola wiolonczeli, na której gra Bożena...

No tak, wstawienie wiolonczeli na albumie „Historia podwodna” to był desperacki rzut na taśmę. Zastąpienie gitary przez wiolonczelę to spory eksperyment. W paru miejscach pojawia się gitara, ale siłą „Historii podwodnej” jest wiolonczela. Jeszcze wtedy był to „klasyk” instrument akustyczny, ale z przetwornikami dźwięku, co powodowało kłopoty, np. sprzężenia. Potem dopiero pojawiła się pierwsza wiolonczela elektryczna zrobiona przez lutnika, no a wreszcie elegancka yamaha. A co do kwietnika – kiedy zakładaliśmy Klause, perkusista przyprowadził gitarzystę, który przyniósł amerykańskie pismo „Guitar Player”. Wertując je, znalazłem zdjęcie gitary basowej. I na podstawie tego zdjęcia wystrugałem sobie gitarę, sąsiad dał mi pół kwietnika, świetny kawałek drewna. Nie wiedziałem, jakie są wymiary, ale na podstawie tego zdjęcia wyciąłem, jak trzeba. Dołączyłem gryf z innej, chyba polskiej gitary,

wygładziłem progi, bo nie stroiła. I tyle. I wyobraź sobie, że po latach kupiłem tę gitarę – Ovation Magnum Bass. Moja, wystrugana na wzór, wisi w jakimś muzeum muzycznym. Tak, wystrugałem sobie bas i jeszcze wystrugałem gitarę gitarzyście.

Nieczęsto zdarzało ci się łączyć muzykę z polityką, ale co myślisz o tym, co się dzieje w naszym życiu politycznym. Wrocławskie Jagodno stało się symbolicznym dla demokracji miejscem.

Kiedyś palnąłem, że wszystkie moje teksty, które ludzie wiązali z polityką, wynikały z prostej reakcji na to, co się dzieje, o czym się czyta w gazetach. Bo ja się nie znam na polityce, na politycznych niuansach. No, a potem nastąpiła transformacja i powiedziałem sobie, że nie ma sensu pisać tekstów politycznych. Cykl powstawania tekstu to tydzień albo dwa, a zazwyczaj to jest pół roku, a polityka to sfera bardzo dynamiczna, czasem rzeczy po dwóch dniach tracą znaczenie. Doradzałem, że jak ktoś się tym bardzo interesuje, to niech sobie założy partię. Posłuchał tylko Kukiz.

Niestety.

To jest jego życie, jego wybór, no a bycie w polityce to piekielnie trudna sprawa. Od razu zastrzegam, że nie jestem jego fanem ani tym bardziej fanem jego poglądów, ale nie chcę oceniać. W każdym razie do Sejmu się dostał. Po raz kolejny.

A ja mam ciągle w oczach, jak ludzie we Wrocławiu czekali w nocy, żeby zagłosować.

Ktoś dostarczał pizzę... Powiem ci, że jak to zobaczyłem, to się pobeczkałem. Zrobiło to na mnie potężne wrażenie. Media to rozdmuchały, ale frekwencja, kto tam na kogo głosował. Wcześniej ludzie olewali wybory. Część była nieświadoma, część świadomych mówiło: Nie będę głosować, bo i tak nie mam na nic wpływu, a w tej chwili to jest taki symbol, znak wyedukowania społeczeństwa. I zasługa mediów. Ludzie się rzucili, nie tylko młodzież, bo taka frekwencja to ewenement. Mam nadzieję, że spośród tych młodych nie wszyscy głosowali na Konfederację, wołałbym, żeby nie głosowali na Mentzena. Hochsztaplerów trzeba piętnować i pędzić z piedestału. Tysza z tym swoim taktem – OK. Bosak mimo wszystko OK. Mógłby tak jak dawniej nie uciekać za usmiech. Wnikliwy pyskacz powinien uzupelniać polityczną paletę. Z drugiej strony w USA – a mam tam rodzinę – do triumfu w wyborach prezydenckich szykuje się Trump, co oznaczałoby koniec cywilizacji. Całe szczęście, że mam 70 lat.

ROZMAWIAŁ MIROSLAW PĘCZAK

Najlepsze gry dziecięce!



- GRA O WĘDRÓWKACH DINOZAUROW!
- 60 WYJĄTKOWYCH PIONKÓW DINOZAUROW!
- DWUSTRONNE PLANSZE: LATO I ZIMA.
- PROSTE ZASADY GRY.

WIEK GRACZY: 8-108 LAT



ZOBACZ
INSTRUKCJĘ
WIDEO



- TAKIEGO WYŚCIGU JESZCZE NIE BYŁO: WYGRA NAJWOLNIEJSZY ŚLIMAK!
- DREWNIANE PIONKI ŚLIMAKÓW!
- PROSTE ZASADY GRY.

WIEK GRACZY: 5-105 LAT



ZOBACZ
INSTRUKCJĘ
WIDEO



Ego Bonapartego

JAKUB DEMIAŃCZUK

W nowym filmie Ridleya Scotta cesarz Francuzów jest nie tylko genialnym strategiem, lecz przede wszystkim rozkapryszonym bufonem. Świetna rola Joaquina Phoenixa, ale czy równie udany „Napoleon”?



W wybitnym debiutancim „Pojedynku” Ridley Scott pokazywał epokę napoleońską przez pryzmat rozciągniętych na niemal dwie dekady potyczek dwóch zważnionych żołnierzy. Blisko pół wieku później patrzy na XIX-wieczną Francję oczami samego cesarza. Jednak czy da się opowiedzieć w dwie i pół godziny życiorys człowieka, który zmienił bieg europejskiej historii?

Scott próbuje, lecz jego film przypomina wikipedyczny wpis, przeskakujący między kolejnymi wydarzeniami z życia Bonapartego. Rewolucja francuska, Egipt, zamach stanu, koronacja, Austerlitz, kampania rosyjska, wygnanie na Elbę, Waterloo. Od bitwy do politycznych układów, od zwycięstwa do porażki. Im bardziej spektakularne wydarzenie, tym lepiej dla widowiska. Sekwencje batalistyczne są imponujące, a scena koronacji, inspirowana malarstwem Jacques’a-Louisa Davida, robi wrażenie przepychem i bogactwem detali – lecz wszystko podane w telegraficznym skrócie, bez zagłębiania się w historyczne detale, chwila traktowane zresztą dość swobodnie. Rodzimi bonapartyści zapewne poczują się rozczarowani: najbardziej polskim akcentem w filmie są fenomenalne zdjęcia Dariusza Wolskiego, a Polska pojawia się w dialogach bodaj dwukrotnie, jako miejsce, gdzie należałoby przeczekać zimę, zanim armia ruszy na dalszy podbój carskiej Rosji. No i sam Napoleon sportretowany został jako człowiek, który niekoniecznie powinien dawać przykład, jak zwyciężać mamy.

Napoleon nowej epoki

W „Napoleonie” splata się wiele tematów stale wracających w dorobku Scotta. Paralele między przeszłością a teraźniejszością (choć często rysowane bardzo grubą kreską), obsesja władzy, a zarazem karykaturalność tyranów i dyktatorów. W świetnej interpretacji Joaquina Phoenixa Bonaparte przypomina dalekiego potomka cesarza Kommodusa z „Gladiatora”: jest w gruncie rzeczy rozkapryszonym bachorem, który zmienia świat dla własnych zachcianek i dlatego, że może. Jest genialnym strategiem, przynajmniej do czasu, gdy trzeba posłuchać rad innych dowódców. Na nie już zgody Napoleona nie ma, bo przecież, jak twierdzi,

on sam pierwszy by przyznał, gdyby popełnił błąd, tyle że po prostu ich nie popełnia. Jest zadufanym w sobie egotykiem z manią wielkości – „Miło wreszcie spotkać innego cesarza”, mówi do upokorzonego Franciszka II po bitwie pod Austerlitz – a jednocześnie człowiekiem niedojrzałym, pełnym głęboko skrywanymi kompleksami. Po oblężeniu Tuluzy (po którym został mianowany generałem brygady) wyciąga ze zwłok swojego konia kulę z moździerza, mówiąc, że to pamiętka dla mamy.

Scott i Phoenix ośmieszają Napoleona chwilami do granic parodii. Rzadko – poza jedną, naprawdę udaną sceną z Egiptu – sięgają po stereotypowe żarty związane z domniemanym niskim wzrostem cesarza. Nie potrzebują tego. Napoleon jest prostacki, uparty, cwany. „Korsykański zbój”, mówią o nim przeciwnicy, który sięgnął po zaszczyty, lecz nie do końca potrafi sobie z tym poradzić. Gdy ucieka przed rozwścieżonym tłumem podczas nieudanego przewrotu rojalistów, przez chwilę wygląda jak człowiek, którego rzeczywistość przerosła, niczym Petera Sellersa w politycznej satyrze Hala Ashby’ego „Wystarczy być”. Krok

dalej zaczyna się terytorium, na którym pewnie czułby się Mel Brooks ze swoją „Historią świata”. Lecz Scott zatrzymuje się w porę, przypomina o okrucieństwie i wyrachowaniu Bonapartego.

Jest w tej postaci, także za sprawą kreacji Phoenixa, coś, co niepokojąco zbliża Napoleona do filmowego Jokera w wykonaniu tego samego aktora, jakaś incelska z ducha wściekłość na świat, chęć udowodnienia własnej racji za wszelką cenę. To „Napoleon” epoki nowoczesnej: Scott ma świadomość, że można – wręcz trzeba – obśmiewać dyktatorów, lecz to nie sprawi, że staną się oni mniej niebezpieczni. W czasach Trumpa, a zwłaszcza Putina, to lekcja, którą trzeba zawsze mieć na uwadze. Zaś końcowe napisy przypominają, że prowadzone przez cesarza wojny kosztowały łącznie życie ponad 3 mln ludzi (niektórzy historycy szacują, że ofiar mogło być nawet dwukrotnie więcej).

Wersja rozszerzona

Scott właściwie nie zadaje przy tym pytania, co pchało Napoleona do działania. Żądza władzy i społecznego awansu? Mania wielkości? A może miłość? Brytyjski

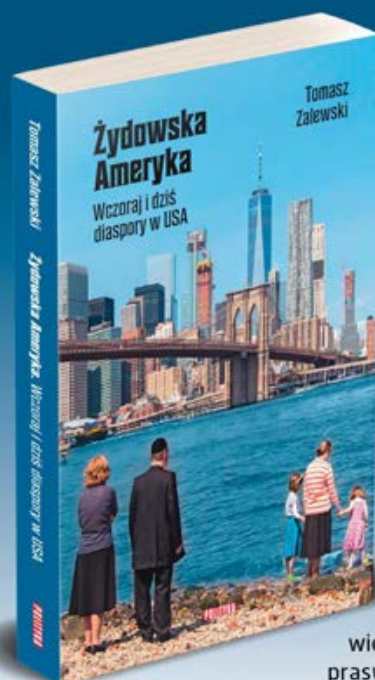
reżyser osiłą filmu zrobił bowiem skomplikowaną, wyboistą relację cesarza i Józefiny de Beauharnais (Vanessa Kirby). To opowieść o uzależnieniu, w której gorące uczucie nierozzerwalnie spleta się z nienawiścią. W jednej chwili Napoleon rzuca w swoją żonę sztuczkami przy stole, by potem szukać w jej ramionach schronienia. „Beze mnie jesteś nikim”, wrzeszczy, gdy dowiaduje się o zdradzie Józefiny, lecz to wyłącznie puste słowa. Ale gdy ona odpowiada Bonapartemu w ten sam sposób, łatwiej jej uwierzyć. Bo Scott z rozmysłem tak zestawia ekranowe wydarzenia, by największe sukcesy cesarza korelowały z jego życiem miłosnym.

Gdy drogi Napoleona i Józefiny ostatecznie się rozchodzą – skoro żona nie może dać mu wymarzonego potomka, jedynym rozwiązaniem jest rozwód – dla Bonapartego oznacza to jednocześnie początek końca politycznej kariery. Jego powrót z Elby i próba rozgromienia brytyjskich wojsk pod Waterloo są łabędzim śpiewem człowieka, który stracił miłość swojego życia, roztrwoniał władzę i szacunek, a na dodatek stał się przewidywalny. „Po prostu nie może się powstrzymać”, mówi książę Wellington ▶

WARTO WIEDZIEĆ & WARTO POZNAĆ

PROMOCJA

Poznajmy amerykańskich Żydów



Zbiorowy portret diaspory, opowiadający o najistotniejszych aspektach życia i problemach Żydów w Ameryce.

Nowa książka Tomasza Zalewskiego, wieloletniego korespondenta prasy polskiej w Waszyngtonie.

Do kupienia w księgarniach, na sklep.polityka.pl oraz jako e-book.

Ćwicz tak,
jak lubisz!



SmartGym Pro to wielofunkcyjna stacja treningowa umożliwiająca kompleksowy trening siłowy z funkcjonalnością aż 5 standardowych urządzeń! Ustaw 1 z 5 trybów i trenuj z maksymalnym obciążeniem 130 kg na zaledwie 2 m². Urządzenie jest składane, mobilne i waży niecałe 40 kg. Technologia „cyfrowego ciężaru” umożliwia stopniowanie obciążenia co 0,5 kg. Aplikacja na telefon zapewnia dostęp do profesjonalnie przygotowanego treningu z instrukcją video wykonania każdego z ponad 200 ćwiczeń.

Profesjonalny trening w domu jeszcze nigdy nie był tak prosty!

Z kodem **Polityka2023** taniej nawet o 1000 zł!

Kod ważny na www.vishape.pl do 29.11.2023 r.

► o zaplanowanym przez Bonapartego ataku, jakby miał świadomość, że naprzeciwko jego wojsk stoi nie tyle cała francuska armia, ile niezdolne do pogodzenia się z porażką napoleońskie ego.

„Napoleon” zachwyca wizualnym przepychem, lecz jednocześnie wydaje się dziełem niedokończonym. Niewiele mówi o przełomowym momencie w historii, w którym w wielkich bólach rozdziła się nowoczesna Europa. Nie tłumaczy fenomenu swojego bohatera. Niemal całkowicie ignoruje postaci drugiego planu: nawet tak świetni aktorzy, jak Tahar Rahim czy Rupert Everett, nie mają tu specjalnie pola do popisu. Warto jednak pamiętać, że film, który trafia na ekrany kin, jest mocno skrócony. Scott już zapowiedział, że w serwisie Apple TV+ (premiera na początku przyszłego roku) będzie można obejrzeć wersję trwającą nawet cztery i pół godziny.

Mądry lub szalony

Podobno – trudno policzyć to precyzyjnie – Bonaparte jest postacią historyczną, która najczęściej pojawia się na ekranach. Pod względem liczby filmowych portretów i odniesień miał prześcignąć nawet Jezusa i Adolfa Hitlera. Bez wątpienia jest też jedną z postaci, które w zbiorowej wyobraźni zapisały się dzięki komicznym, niekoniecznie prawdziwym stereotypom. Angielska propaganda z czasów wojen napoleońskich zrobiła swoje, Bonaparte większości widzów będzie się więc kojarzyć nie z człowiekiem, który znacząco wpłynął na bieg historii, lecz z małym, wkurzonym francuskim generałem o wybujałych ambicjach politycznych (a czasami także erotycznych). I tak dobrze, że w powszechnej wyobraźni nie zapisały się wersy cokolwiek makabrycznej kołysanki z początku XIX w. o tym, że Napoleon „czarny i wielki jak wieże katedry w Rouen” zjada niegrzecznych ludzi. Zaś wizerunek osoby w bikornie, trzymającej prawą dłoń za pazuchą, momentalnie nasuwa skojarzenie z cierpiącym na megalomanię pacjentem szpitala psychiatrycznego: po ten trop sięgają najczęściej twórcy komedii, od „Latającego cyrku Monty Pythona” i „M.A.S.H.”, aż po animowaną „Futuramę”, kiedy Bender trafia do zakładu dla szalonych robotów.

Na wielkim ekranie Napoleon miał twarz Marlona Brando, Daniela Auteuila, Iana Holma, Gustawa Holoubka i Dennisa Hoppera. Pojedynkował się nawet z Królikiem Bugsem. Był przedstawiany jako wielki bohater (w produkcjach francuskich) albo równie wielki wróg (szczególnie w filmach sowieckich i brytyjskich).

Służył nawet celom propagandowym: w dramacie „Młody Pitt” (1942 r.) Carola Reeda wojna Wielkiej Brytanii z napoleońską Francją była oczywistą metaforą walki Brytyjczyków z Hitlerem: film kończył się zwycięstwem w bitwie pod Trafalgarem i deklaracją, że było ono zasługą nie tyle premiera Pitta, ile całego narodu.

Polskie kino patrzyło na Napoleona z postromantycznym uwielbieniem i szacunkiem, który od dzieciństwa wdrukowują nam słowa hymnu narodowego. „Człek mądry a prędko”, jak pisał Mickiewicz, musiał zatem pojawić się także w filmach Andrzeja Wajdy – najpierw w „Popiołach” i wiele lat później w „Panu Tadeuszu”. W sympatycznej komedii Leonarda Buczkowskiego „Marysia i Napoleon” fantazja o Bonapartem i pani Walewskiej staje się odbiciem wspólnego romansu młodej Polki (Beata Tyszkiewicz) i francuskiego naukowca (Gustaw Holoubek). Polacy do spółki z Francuzami w progę lat 90. nakręcili też sześciocyfrowy serial „Napoleon” z Jeanem-François Stéveninem w roli tytułowej – wśród reżyserów znaleźli się Krzysztof Zanussi i Janusz Majewski, a w obsadzie m.in. Andrzej Seweryn, Tadeusz Łomnicki i Daniel Olbrychski. Janusz Majewski miał także na koncie udany spektakl Teatru Telewizji „Napoleon V.S.O.P.” o przyjaźni Bonapartego i kucharki Józefiny, która przygotowywała mu posiłki podczas zesłania na Wyspie Świętej Heleny: Krzysztof Kowalewski i Anna Seniuk stworzyli tam niezrównany duet.

Hollywood, szczególnie w wydaniu klasycznym, najchętniej widziało zaś w Napoleonie bohatera melodramatycznych romansów: politycznie obojętne wobec wojny, która toczyła się w Europie u zarańca XIX w., skupiało się raczej na namiętnościach między Bonapartem a Marią Walewską („Pani Walewska” z 1937 r., z Gretą Garbo w tytułowej roli), Dezyderią Clary („Désirée” z 1955 r. – tutaj cesarza grał Marlon Brando i trzeba przyznać, że Napoleon nigdy nie wyglądał lepiej) czy Józefiną. Za dużo Napoleona? Zawsze można było opowiedzieć o miłości jego brata Hieronima do Elisabeth Patterson („Hearts Divided” z 1937 r.), dopisując do historycznych wydarzeń czysto hollywoodzki happy end: w rzeczywistości Napoleon nakazał bratu rozwód, ale w filmie zakochani decydują się na ucieczkę, by żyć razem z dala od cesarskich wojen.

Za wielki na kino

Jednak największy film o Napoleonie nigdy nie powstał. Biografia cesarza była wielkim, niezrealizowanym projektem

Stanleya Kubricka, który przygotowywał się do niego przez długi czas. To miał być jego kolejny projekt po „2001: Odysei kosmicznej”, zakrojone na szeroką skalę epickie widowisko. Kubrick obsesyjnie gromadził dokumentację, czytał biografie Bonapartego i analizy dotyczące historii. Realizację zdjęć planował we Francji, Wielkiej Brytanii i Rumunii, gdzie miały powstawać sceny batalistyczne – rumuńska armia ludowa zadeklarowała użyczenie Kubrickowi 40 tys. żołnierzy piechoty i 10 tys. kawalerzystów.

W głównej roli widział początkowo Davida Hemmingsa, później Jacka Nicholsona. Chciał obsadzić Audrey Hepburn w roli Józefiny – podobno odmówiła w uprzejmy sposób, lecz może dałaby się przekonać, gdyby ostatecznie doszło do realizacji filmu. Ale Kubrickowi stanął na drodze Siergiej Bondarczuk. Najpierw na ekranach zachodnich kin pojawiła się – z kilkuletnim opóźnieniem – monumentalna ekranizacja „Wojny i pokoju” (epizodyczną rolę Napoleona zagrał Władysław Strzelczyk, sowiecki aktor polskiego pochodzenia). Później Bondarczuk nakręcił „Waterloo” z międzynarodową obsadą – w tym niemiłosiernie szarżującym w roli Bonapartego Rodem Steigerem – lecz komercyjna porażka filmu na lata zamknęła temat wysokobudżetowej produkcji napoleońskiej. Kubrick wykorzystał zdobyte doświadczenie do nakręcenia kilka lat później „Barry’ego Lyndona”, zaś bogactwo zgromadzonych przez niego materiałów, a także pierwsza wersja scenariusza zostały później opublikowane w monumentalnym albumie „Stanley Kubrick’s Napoleon: The Greatest Movie Never Made”.

Sam projekt ma jednak szansę wrócić do życia. Steven Spielberg od dawna zapowiadał pracę nad realizacją filmu na podstawie zapisków Kubricka (i przy współpracy z jego spadkobiercami), a premiera obrazu Scotta tych planów, jak się zdaje, nie przekreśliła. Na tegorocznym festiwalu filmowym w Berlinie reżyser mówi, że choć prace są wciąż na wstępnym etapie, celem jest produkcja siedmiocyfrowego miniseriale dla HBO. Ale i to może nie wystarczyć, by udźwignąć opowieść o cesarzu Francuzów: legendarny „Napoleon” (1927 r.) Abła Gance’a z Albertem Dieudonné w roli tytułowej, arcydzieło kina epoki niemej, trwał ponad pięć godzin, a był tylko pierwszym z sześciu planowanych filmów o życiu Bonapartego – pozostałych pięciu Gance z powodów finansowych nie zdołał zrealizować.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Polityczne skrytobójstwa



Już w kioskach
i na
sklep.polityka.pl



Słuchaj także podcastu „POLITYKA o historii” na polityka.pl/podkasty
Zapraszamy na profil pełen historii: <https://www.facebook.com/projektulsar>

Pearl Jam, jedna
z grunge'owych
lokomotyw.



Nowa polska monografia nurtu grunge, głośnego w muzyce początku lat 90., pokazuje zbuntowane przeciw kapitalizmowi środowisko. Ostatecznie wchłonięte i przemielone przez rynek.

MICHAŁ WIECZOREK

Legenda grunge'u – grupki przyjaciół z miasta kojarzonego wcześniej z Boeingingiem, Starbucksem i drużyną NBA SuperSonics – uwdzi kolejne pokolenia. Dla Piotra Jagielskiego, autora książki „Grunge. Bękarty z Seattle”, lata świetności tej sceny to wczesne dzieciństwo. Gdy piosenka Nirvany „Smells Like Teen Spirit” rzuciła Michaela Jacksona ze szczytów list przebojów, miał pięć lat, a osiem, gdy Kurt Cobain popełnił samobójstwo i grunge umarł po raz pierwszy. Mit Seattle i grunge'u jako ostatniej rockowej rewolucji stawał się jednak coraz silniejszy z każdą rocznicą samobójczej śmierci Cobaina (wkrótce minie od niej 30 lat) i każdym kolejnym odejściem ważnej postaci środowiska.

Historia grunge'u zaczęła się na początku lat 80., choć wtedy nikt go jeszcze tak nie nazywał. Prezydentem w USA był wtedy Ronald Reagan, wprowadzający konserwatywny obyczajowo i ultraliberalny

gospodarczy zwrot w amerykańskiej polityce. Na piedestale postawił samowystarczalną jednostkę, której państwo tylko przeszkadza. Uosobieniem tego ideału byli yuppies – w latach 80. dzielni żołnierze kapitalizmu. Przeciwstawiano im pokolenie X – pełnych sarkazmu, leniwych „przegrywów”, którzy nie chcieli wziąć na swoje barki odpowiedzialności. To właśnie pokolenie, które zakładało zespoły opatrywane później etykietką grunge'u.

W tym czasie mainstreamowy rock stawał się karykaturą. Buzowały za to w Ameryce lokalne gitarowe sceny – od stołecznego Waszyngtonu, przez Athens w Georgii, aż do Seattle. Największy sukces odniosła ta ostatnia. Do zespołów nagrywających dla lokalnych małych wytwórni, z których najważniejszy był założony przez Bruce'a Pavitta i Jonathana Ponemana Sub Pop, ustawiały się kolejki przedstawicieli wielkich koncernów. Zainteresowanie rosło, a po premierze „Nevermind” (1991 r.) każda wytwórnia chciała już mieć swoją Nirvanę.

Grunge okazał się ostatnim rockowym ruchem śledzonym przez wszystkich. To ostatnie masowe zjawisko muzyczne przed upowszechnieniem internetu i „ubańkowieniem” społeczeństwa. Co może wydawać się paradoksalne, biorąc pod uwagę fakt, że nikt nie jest w stanie powiedzieć, czym ten grunge właściwie jest. Jako grunge'owe klasyfikowano zespoły punkowe, jak Mudhoney, metalowe, jak Alice in Chains i Soundgarden, psychodeliczne – jak Screaming Trees – a nawet klasycznie rockowe, jak Pearl Jam. Poza pochodzeniem z tego samego środowiska i pewnej charakterystycznej dla Seattle depresyjności niewiele ich łączyło. Najważniejszy wydawał się nacisk na niezależne, samodzielne działanie (DIY), cynizm, unikanie pułapek sukcesu.

Drugi plan na pierwszym

Jak pisać o scenie, której najważniejsze postaci są albo niedostępne dla polskiego autora (Pearl Jam, Dave Grohl), albo nie żyją (Kurt Cobain, Mark Lanegan, Chris Cornell, Layne Staley)? Jagielski wybiera

do rozmów bohaterów drugiego planu – założycieli Sub Popu, Gary’ego Connera ze Screaming Trees, Kima Thayila z Soundgarden, byłego perkusistę Pearl Jam Dave’a Abbruzzese’go czy przede wszystkim Marka Arma, jednego z pionierów sceny Seattle, lidera Mudhoney, zespołu, który miał się przebić pierwszy. Ostatecznie jednak ubiegła ich Nirvana, a oni wielkie sukcesy kolegów obserwowali trochę z boku.

Ten dystans być może ich uratował. Widzieli, jak przyjaciół zmienił sukces, jak przemilił ich przemysł wydawniczy. Sami pozostali wierni swoim punkowym zasadom – dziś nie utrzymują się z muzyki, stawa ich nigdy nie interesowała.

Postaci z pierwszego planu pojawiają się nie tylko we wspomnieniach, rozmowach, ale w cytatach z wywiadów i najważniejszego źródła dotyczącego grunge’u – mówionej historii Marka Yarma „Wszyscy kochają nasze miasto”.

Piotr Jagielski tę historię opowiada z kilku perspektyw. Pierwsza to ponad trzy dekady, które minęły od największych sukcesów sceny Seattle, druga to jego własna, młodzieńcza fascynacja tym środowiskiem, którą stara się raczej trzymać na dalszym planie. Nie roztrząsa niepotrzebnych szczegółów, nie rozbudowuje dykteryjek, nie popisuje się nazwami zespołów dla wtajemniczonych. Wreszcie, co jest największą wartością książki, konfrontuje deklaracje muzyków sprzed lat z tym, co robią teraz. Przepysnie czyta się fragmenty o przegranej, idealistycznej walce Pearl Jam z Ticketmasterem – koncertem, który zdominował w Ameryce rynek sprzedaży biletów – o nieuczciwe praktyki. W końcu dziś to właśnie Live Nation i Ticketmaster – nieporównywalnie silniejsze niż wtedy – zajmują się organizacją tras zespołu, a ceny biletów przebiły sufit.

Szorstki romantyzm

Skoro o sukcesie wielkiej czwórki z Seattle – Alice in Chains, Nirvany, Pearl Jam, Soundgarden – wiadomo tak dużo, lepiej prześledzić drogę, jaką przeszła cała scena. Wokół grunge’u narosło bowiem wiele mitów, a najsilniejszy jest chyba ten o niewinności, o tym, że sukces spadł zniecacka, że nikt na niego nie pracował. Seattle w tej opowieści jest miejscem nieskazitawej komercyjności.

To jednak podkolorowany obraz. Choć Sub Pop szczylił się brakiem profesjonalizmu, to przecież Poneman i Pavitt wyczuli popyt na dzikusów i drwali z Północnego Zachodu i zaczęli skutecznie budować medialną legendę swoich podopiecznych.

Charles Peterson, etatowy fotograf sceny, wspomina, że najdalszy od prawdy był przypadek Tada Doyle’a, potężnie zbudowanego lidera grupy TAD. W rzeczywistości kulturalnego, czytanego młodego człowieka, do tego świetnie wykształconego muzyka, którego wytwórnia przedstawiała „jako nieokrzesanego dzikusa” biegającego po lesie z piłą spalinową. Sub Pop szybko nauczył się rynkowych zasad.

Amerykańska prasa dość łatwo pogodziła się z tym, że rzeczywistość wygląda inaczej niż wykreowany mit. Ale już media brytyjskie poczuły się zdradzone przez nurt, do którego popularyzacji walnie się przyczyniły. Grunge’owcy bowiem poszli drogą znaną od dekad – by zdobyć popularność w kraju, pojechali do Europy, przede wszystkim Wielkiej Brytanii, by zaprezentować się mediom pokroju „New Musical Express” czy „Melody Maker”.

Zupełnie przyziemna była też rzeczywistość współpracy z Sub Popem. Dziś to marka, muzyczny znak jakości i jeden z symboli Seattle. W latach 80. była to założona na wariackich papierach firemka. Wiecznie niewypłacalni Pavitt i Poneman mamili zespoły obietnicami przyszłych wypłat. Stan finansów Sub Popu uratował w zasadzie przypadkowo spisany kontrakt z Nirvaną, którego formalizację wymógł zresztą basista zespołu Krist Novoselic. Gdy „Nevermind” odniosła oszałamiający sukces, przechodząc pod skrzydła koncertu Geffen, nie tylko wzrosła sprzedaż wydanego lokalnie debiutu, płyty „Bleach”, ale Sub Pop – dzięki poprzedniej umowie – otrzymywał kilka procent od każdego egzemplarza nowego hitowego albumu.

W opowieści Jagielskiego brakuje kobiecej perspektywy. O ile grunge był przede wszystkim męskim nurtem, czasem nawet mizoginicznym (widać to było przy okazji oskarżeń pod adresem Courtney Love, partnerki Kurta Cobaina, o pośrednie przyczynienie się do jego śmierci), to kobiety odgrywały w nim dość ważną rolę. Przede wszystkim jako menedżerki – Susan Silver zajmowała się Alice in Chains, Soundgarden i Screaming Trees, Kim White tą ostatnią grupą. Pojawiają się tu mimochodem, wspomniane w superlatywach przez byłych podopiecznych, ale same głosu nie dostają.

Grunge zgasł tak szybko, jak wybuchł, jak gdyby w zgodzie z cytatem z piosenki Neila Younga w liście pożegnalnym Kurta Cobaina: „It’s better to burn out than fade away” (Lepiej szybko spłonąć, niż się wypalać powoli). A lista grunge’owych gwiazd jest zarazem smutną listą nekrologów – bohaterowie umierali przede wszystkim od heroiny. Wielu

z nich uciekało od nurtu jak najdalej. Jak wielki nieobecny książki Dave Grohl, który z perkusisty Nirvany przenieśli się w jednoosobową rockową instytucję i lidera wyprzedającego stadiony zespołu Foo Fighters. Albo jak Mark Lanegan, który do końca życia (zmarł w zeszłym roku) nagrywał bardzo zróżnicowane stylistycznie albumy. Nie tylko on artystycznie zyskał, gdy wyzwolił się z grunge’owej koleiny. Grupa Hey, pionierzy przeszczepiania na polski grunt brzmienia Seattle, najlepsze płyty nagrywała, gdy ich grunge’owe brzmienie z początków kariery było już wyblakłym wspomnieniem.

Sztuka przetrwania

Po latach z całego zjawiska została przede wszystkim nostalgia, o której wspomina Jagielskiemu Jonathan Poneman, tęsknota za jednoczącymi pokolenie kulturowymi zjawiskami. I choć minęły lata, wielu bohaterów tamtej sceny ciągle odżegnuje się od tego terminu. Jack Endino (producent „Bleach”) ucina rozmowę, gdy tylko pada nazwa Nirvany. Grunge – jak każdy buntowniczy ruch – został wchłonięty przez kapitalistyczną popkulturę. Moda na flanelowe koszule i ciężkie buty cyklicznie wraca, prawie każdy nastolatek (i nastolatka) ma swoją grunge’ową fazę.

Horzej przemiana przetrwała muzyka. Następców w Seattle nie widać, Sub Pop od dawna zajmuje się wydawaniem innych gatunków, ale na – podobnej jak pod koniec lat 80. – fali zmęczenia syntetycznymi brzmieniami rośnie nowe pokolenie, które nawiązuje do grunge’owych ideałów autentyczności, polityczności, zaangażowania i głośniejszych gitar. Tylko tym razem dziewczyny wiodą prym. Boygenius, kobieca supergrupa, której członkinie otwarcie deklarują przywiązanie do sceny Seattle, wyprzedaje coraz większe hale w Stanach Zjednoczonych i zdobyła właśnie sześć nominacji do nagród Grammy.

Najważniejsze słowa, które padają w książce, to te wypowiedziane przez Lemmy’ego Kilmistera z Motörhead – legendarnego metalowego zespołu, do członków Mudhoney: „Wytrzymajcie dostatecznie długo, a i was obwołają legendą”. Choć gitarzysta Steve Turner i Mark Arm przez lata opowiadali w wywiadach, że liczenie na długowieczność jest zgubne, bo dobre, kreatywne okresy trwają tylko kilka lat, to na przekór swoim zapowiedziom trwają. Obserwowali odchodzenie przyjaciół, rozpadanie się sceny. I zostali legendą trochę przypadkiem. Jako jedyni odnieśli prawdziwy grunge’owy sukces – przetrwali. ■

Mea pulpa



Jest kolejny nowy rekord słuchalności zdevastowanej Trójki. Spadła do 1,8 proc. – tym samym wyprzedziła ją Radio Maryja z 2 proc. Jak mawiał mój dziadek: Lepiej mieć burdel w pokoju niż pokój w burdelu.

„Wprost” opublikowało ranking najbardziej wpływowych Polaków. Pośród nich: Krzysztof Stanowski, Sylwester Wardęga i Mata. Na 45. miejscu Caroline Derpiński. Brakuje Natalii Janoszek i Mariusza Błaszczaka. Choć coraz częściej słychać głosy, że to jedna i ta sama osoba.

Lech Janerka wyznał w Onecie, że przed laty dostał propozycję zostania posłem. Jaki macie program? – zapytał. Jaki ku... program – usłyszał. – Z 1,5 bańki ściągiesz w ciągu 4 lat. Szkoda. Człowiek, który śpiewa „Lubię się zaszywać, lubię nadużywać”, trafiłby na swoich.

Szykuje się wielki powrót Natalii Janoszek. Znana gwiazda Bollywood pojawi się w nowym show TVN Player, kręconym w Tajlandii. Obok niej – Aneta Głom, Ewelona oraz Marta Linkiewicz. Powoli zacznę rozumieć termin „drugie dno”.

Arkadiusz Jakubik został nową twarzą firmy Play i wystąpił w reklamie świątecznej. Szok. Aktor tak gęstych filmów jak „Kler”, „Wołyń” czy „Dom zły” – w takim towarzystwie nie odwiedziłbym żadnej stajenki.

TVP szykuje oszczędności i skraca serial „Ojciec Mateusz”. Pięć odcinków aktualnego sezonu zostanie pokazanych dopiero w przyszłym roku. Rozdział Kościoła od państwa powoli staje się faktem.

Robert Kozyra ocenił Szymona Hołownię w roli marszałka: „Ma duże poczucie humoru na swój temat, co się niezwykle rzadko w show-biznesie zdarza”. Jak widać, szczerzy do bólu. Także na swój temat.

Wielki patriotyczny gest Pawła Kukiza. Paweł żegna się z klubem parlamentarnym PiS, zarzucając partii pychę, butę i lekceważenie. Paweł jest jak małka wódki. Szybka płynność i brak wrażenia.

Mająca 4 tys. lat Edyta Górniak, nasza narodowa diwa, skończyła kolejne 51 lat. Gratulacje. Jej karierę można podzielić na dwa okresy: od Galileusza do Eurowizji i z powrotem.

Mateusz Damięcki został nowym ambasadorem firmy Gillette w kampanii „Bo chcę”. Mateusz grał kiedyś w serialu „Matki, żony i kochanki”. Więc wie, że zbędne owłosienie jest zbędne bez względu na wiek.

Media spekulują, że Marcin Prokop za jeden odcinek programu „Mam talent!” może dostawać kwotę od 30 do 50 tys. zł. To zrozumiałe. Jest w TVN krócej ode mnie i na prawdziwe pieniądze musi jeszcze poczekać.

Marianna Schreiber przegrała batalię z twórcami Wikipedii, którzy nie uznali argumentów o jej wybitności i usunęli jej biogram. Szkoda. Cenię to miejsce. Tam informacja o liczbie 42 brzmi: Następuje po 41 i poprzedza 43.

Kabaret Moralnego Niepokoju oraz kabaret Młodych Panów zakończyły współpracę z Polsatem. Powodem była cenzura i brak emisji pięciu odcinków z cyklu „Młodzi i Moralni”. Szkoda. Właściciel Polsatu to telewizyjny geniusz. Nie potrzebuje kabaretu, żeby było śmiesznie.

Trwają boje w Kanale Sportowym. Byli współtwórcy zarzucają sobie kłamstwa, insynuacje, manipulację, zły styl rozliczania, nienawiść, ale tylko po alkoholu, oraz grę w padła. Szkoda. Trochę jak Bollywood. Dramat, komedia i film akcji w jednym.

Szymon Hołownia, mój kolega z programu „Mam talent!”, został marszałkiem Sejmu. Gratulacje. Kiedyś przypominał mi przemądrzałe dziecko o mentalności nieskonfigurowanego do końca księdza. Dziś uważam, że jego ustawienia domyślne służą szyfowaniu danych.

Serwis plotkarski ShowNews wymyślił informację o odsunięciu Edwarda Miszczaka od pracy w Polsce. Bezmyślnie i bez weryfikacji przepisali to wszyscy. Oto obieg informacji w szołbiznesie. Była kiedyś taka gra „Komórki do wynajęcia”. Może by zacząć wynajmować szare?



Omenaa Mensah i Rafał Brzoska zostali odznaczeni przez prezydenta Andrzeja Dudę Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Gratuluję Prezydentowi, że są jeszcze tacy, którzy przyjmują.



Przewracanie przywracaczy

O ba łokcie na macie, a teraz lewą nogę wysuwamy do przodu, prawą unosimy na palcach, jednocześnie prawy łokieć do lewego kolana, patrzymy się na prawą dłoń, powoli podnosimy biodra, wypuszczając powietrze lewą dziurką od nosa w prawą stronę ucha, oddychamy, nic na siłę, do granicy bólu, szukamy balansu, uwalniamy złą energię. Nosz kur! Kto jako nowicjusz, sztywny kołek, uwalniał czakry z grupą praktykujących od dziecka joginów, ten wie, że łatwiejsze wydaje się uwolnienie Andrzeja Poczobuta z białoruskich kazamatów niż uwolnienie czakry spod siadu po turecku. Staralam się cieszyć, gdy moja przyjaciółka zaprosiła mnie i kilka swych najbliższych koleżanek na jogiński wyjazd, by uczcić swoje 50. urodziny. Jasne. Można się bawić bez szampana Palmer&Co., sącząc z kielicha napar z imbiru.

Elastyczność jogina to cecha, która po ostatnich wyborach parlamentarnych przydałaby się wszystkim polskim dziennikarzom i komentatorkom. Od kilku tygodni dzieją się w kraju rzeczy fantastyczne, dokonują się zmiany, ale dziennikarze jakby zamarzli w pozycji obranej cztery czy osiem lat temu. Nieważne, czy to pozycja kruka, smoka czy na pieska, nasz komentariat dalej nadaje na tę samą nutę. Co więcej, zgodnie z prawem inżyniera Mamonia, które mówi, iż lubimy słuchać piosenek, które już znamy, publiczności wręcz oczekuje stałego menu. Publika, zatruta podziałami ostatnich lat, jakby pragnie, by po przegranej Zjednoczonej Prawicy feministki jeszcze szerzej otworzyły parasolki, konserwatyści cofnęli się ze średniowiecza do ery praprszenicy, a lewica ma drapieżniej zwalczać hyeny rodziwej przedsiębiorczości.

Chociażby obowiązkowe zajęcia z jogi twarzy rekomenduję braci dziennikarskiej i komentariatowi, bo zaprawdę wykazanie odrobiny wspólnej radości z tego, że fanatyczny w formie, a brunatny w treści autokratyczny rząd pislam Polacy odsunęli od władzy, wymaga uśmiechu. Centymetr optymizmu nie jest okazaniem słabości intelektu. Chyba coś ze mną musi być niedobrze, bo komentariat pisał i mówił, iż „lewica jest wściekła”. Nie jestem wściekła. Jestem ukontentowana. Po tym, jak partii Razem nie udało się przekonać koalicjantów do wystarczającej liczby lewicowych postulatów, bardzo szanuję decyzję o wycofaniu się z rządu. Trzeba popracować nad sobą. To jeszcze nie jest ten moment, nie udało się, do roboty. Zaczniemy pracę od tego, co kontrolujemy – czyli od samych siebie. Warto odejść od „koryta”, zacząć budować swoje argumenty i szeregi tak, by szerzej komunikować zalety związków zawodowych, progresji podatkowej i najmu długoterminowego – te postulaty albo są zbyt radykalne, albo źle komunikowane obywatelom.

Wściekli mogą być dziś ludzie niecierpliwi. Ci, których mózgi nie wytrzymały rewolucji cyfrowej ostatnich 30 lat i pękają z niecierpliwości. Szybki rozwój internetu, wyszukiwarek, zmiany w logistyce, które się dokonały dzięki AI, doprowadziły do tego, że wiele osób oczekuje natychmiastowego efektu. Jesteśmy uzależnieni od przelewów na blika, natychmiastowych dostaw, przeciwmarszczkowych

botoksów gwarantujących efekty na już. Nie tylko w parlamencie ma być równość płci, ale od razu w dniu podpisania umowy koalicyjnej przewodniczący ugrupowań

opozycji mają być wymienieni na nowszych niczym interfejs. Podstarzali, czyli 50-letni, na trzydziestolatków, a mężczyźni na Agnieszkę Dziemianowicz-Bąk. Umowa ma nie być luźna, by potem się docierać i precyzować z namysłem i uważnością, ale ma mieć od razu 500 wypracowanych punktów, z których każda liderka ma być zadowolona.

Erupcje ejdżystowskich komentarzy już nie tylko na temat wieku szeregowego posta z Żoliborza, ale i wieku reszty opozycyjnych liderów, wskazują na to, że sami komentujący nie zauważyli zmian na rynku zatrudnienia. Żyjemy coraz dłużej, społeczeństwo się starzeje, a firmy tę zmianę zauważają i oferują ciekawe miejsca pracy dla osób grubo po sześćdziesiątce. Wypominanie Hołowni i Czarzastemu, że są podstarzali, jest po prostu dziecinną przekomarzanką. Przypominam heheszki na temat wiceministra Patkowskiego, któremu z kolei wypominano, że ma 29 lat, a zatem nie jest ekspertem, i Morawiecki powinien nosić go w nosidełku. Wypominanie, że wśród podpisujących umowę nie ma ani jednej kobiety, jest zrozumiałe. Kobiety głosowały liczniej niż mężczyźni w tym roku, a Strajk Kobiet harował i haruje ponad siły. Ale to się na pewno zmieni, bo widać już wspinała liderki gotowe na awans.

Niecierpliwość spotęgowana została w nas jeszcze przez chore tempo i chaos pracy Sejmu minionej kadencji. Obywatele budzili się rano, by się dowiedzieć o kluczowych zmianach w sądownictwie, ledwo zmówili pacierz, podali dziecku kolację, a tu w nocy klauzula sumienia wrzucona do kosza. Zaprogramowani na pośpiech chcemy, by teraz wzmacnianie państwa wydarzyło się szybciej niż niektóre wygrane do zera pojedynki Igi Świątek. Tymczasem takie postulaty, jak świeckie państwo, brzmiały ekstra, ale hełoł, od nieszczęsnego konkordatu minęło już 30 lat! Zacementowały się pewne struktury. Kościół od tysięcy lat ćwiczy się w naciśku i używa coraz nowszych metod, by pod płaszczykiem duchowych uniesień dręczyć poczuciem winy dziewczynki i chłopców, zanim ci przyjdą na świat.

Radość mącą mi jednak głoszone przez polityków, głównie Koalicji Obywatelskiej, hasła o „przywracaniu normalności”. Tłity typu „Wraca normalność” i sliłfocia na tle ław sejmowych budzą czujność. Hasła o normalności głoszą najchętniej fanatycy prawicy, zagorzali żołnierze Ordo Iuris czy strażniczki zarodków Kai Godek. Chcą widzieć „normalnych Wojtusiów i normalne Zosie”. Nie ma czegoś takiego jak normalność, a jej przywracaczy lepiej przewróćmy. Są przywracacze normalności rodem z ejtistów, którzy mentalnie zatrzymali się w erze Ronalda Reagana, udają, że nie słyszą dyskusji o czterodniowym tygodniu pracy, progresji podatkowej i mają mokre sny o zaciskaniu pasa, ale pas ten należy do ich pracowników. Wdech i wydech, a teraz lewą ręką chwytamy prawe kolano i...

AGATA PASSENT

Cała nadzieja w tragedii



Gdyby obudzono mnie w środku nocy i zapytano, z czym kojarzy mi się starożytna Grecja, odpowiedziałbym pewnie, że z harmonijnym pięknem. Białe posągi o wyliczonych matematycznie proporcjach, monumentalne świątynie Akropolu i Agrygentu, Platon wzlatający do świata wiecznych idei na skrzydłach Erosa, i tak dalej. Grecy mieli na to wszystko słowo *kalokagatia* – od wyrażenia *kalós kai agathós*, co znaczy „piękny i dobry”. Z kalokagatią mamy do czynienia wtedy, kiedy człowiek piękny fizycznie jest jednocześnie dobry i etycznie odważny. Zbieżność taka nie mogła być sytuacją częstą nawet w Grecji, chodzi tu więc nie o rzeczywistość, a o pewien ideał – króliczka, którego goni się nie po to, żeby go złapać. Umykający króliczek ma działać jak moralny GPS – ciągnąć nas stale w górę, ku światłu.

Ta jasna, klasycyzująca wizja Grecji nie wydaje się już aktualna. Dzisiaj starożytna Grecja coraz częściej zaprasza nas do jądra ciemności na kurs nawigacji po wzburzonym morzu historii.

W jednym z listopadowych numerów „The New York Timesa” David Brooks nie owija w bawełnę i zadaje dawnym Grekom pytanie: „Jak nie oszaleć w czasach narastającej brutalności?”. Z odpowiedzi, jaką u nich wyczytał, wynika, że najlepszą receptą na życie w epoce takiej jak nasza jest grecki tragizm, a mówiąc ściślej – świadomość tragiczna. Kluczowe dla niej jest rozpoznanie, że pokrywająca nasz świat warstewka cywilizacji jest zawsze krucha, a zbiorowe osunięcia się w barbarzyństwo – nieuniknione. Mądry człowiek wie, że nie istnieje taki postęp, który uchroniłby ludzkość przed regresem w szal nienawiści i okrucieństwa, dlatego tragiczny mędrzec i tragiczna wiedźma nie chowają głowy w piasek, tylko spokojnie patrzą, jak zapada ciemność. Cechuje ich pokora – wiedzą, że moralna słuszność nie gwarantuje powodzenia, i nie przesadzają z optymizmem. Widzą swoje słabości i nieustannie nad nimi pracują. Są ostrożni – wiedzą, że w polityce ból porażki zawsze jest większy niż radość zwycięstwa, więc nigdy nie pójdą na całość i nie rzucą się na przykład z głową w przepaść akcji odwetowej jak Izrael pod wodzą Beniamina Netanjahu. Nie dowierzają też własnemu gniewowi, świadomi, że – jak uczy Homer w „Iliadzie” – daje on złudne poczucie satysfakcji płynącej z pewności swoich racji i braku skrupułów, jednak na dłuższą metę zaślepia i zamienia człowieka w zięcię nienawiścią zimne monstrum. Tę lekcję kieruje Brooks z kolei do lewicy, którą wściekłość na antypalestyńską politykę Izraela znieczula na cierpienia Izraelczyków mordowanych przez Hamas. I – na drugą nóżkę – do żerujących na ludzkim gniewie prawicowych populistów, takich jak Putin, Trump i Kaczyński, którzy cynicznie kreują

†
Mieć nadzieję w greckim sensie oznacza patrzeć śmiało i bez złudzeń w mrok natury ludzkiej, czerpiąc siłę z dotknięcia prawdy. †

wroga i szczują na niego swoich wyznawców, choćby miało się to skończyć masakrą.

Coś wyraźnie wisi w powietrzu, bo podobne konsultacje z dawnymi Grekami w kwestii naszej współczesności prowadzi polski historyk Marek Węcowski w wydanej właśnie książce „Tu jest Grecja!”. On też zostawia na boku ideał Grecji klasycznej, sięgając, jak sam mówi, do „innej, zgoła nienormatywnej wizji antyku”. Osią tej wizji jest poszukiwanie odpowiedzi na „pytanie o możliwość działania człowieka w najtrudniejszych warunkach i najgorszych czasach”: wobec wojny i zagłady ludzkich społeczności jak u Homera, śmiertelnej zarazy jak u Tukidydesa czy miazdzących mechanizmów polityki jak u Sofoklesa.

Grecy zadają pytania, które moglibyśmy zadać dzisiaj my, podważają ideały i systemy wartości i zmuszają do myślenia, aby każda i każdy z nas mógł odnaleźć własną drogę. Jednak celem nigdy nie jest dla nich eskapizm, apatia czy egoistyczne przetrwanie w chacie z kraju. „Grecka wizja świata zawsze porusza się pomiędzy interesami i wartościami jednostki a jej miejscem we wspólnotie” – zauważa autor. Polityczność jest dla Greków jednym z wymiarów człowieczeństwa i to też ważna lekcja dla nas, co rusz mamionych mrzonką zmieniania świata „bez polityki”.

Może się wydawać, że Węcowski odbiera nadzieję, kiedy opisuje bestialstwa starożytności nie tylko dorównujące, ale często przewyższające zbrodnie XX-wiecznych totalitaryzmów oraz dzisiejszych imperializmów. Nie jest miło wiedzieć, że zwierzęta naszego gatunku są zdolne naprawdę do wszystkiego, i to bynajmniej nie w drodze wyjątku. Już Asyryjczycy i Babilończycy dokonywali wojennych gwałtów, rzezi i przesiedleń na niewyobraźalną skalę. W sztuce „wschodnich królestw antyku” z dumą przedstawiano kosze pełne rąk uciętych wrogom po wygranej bitwie, szeregi nabitych na pal obrońców zdobytych miast czy pędzone pieszo na jakąś ówczesną Kołymę kolumny pokonanych ludów. A jeśli wierzyć Herodotowi, Persowie w V w. p.n.e. urządzali regularne polowania na Greków z Azji Mniejszej.

Ale to nieprawda – nadzieja u Węcowskiego jest, tylko inna, bo grecka – oparta na postawie opisanej przez Davida Brooks.

Mieć nadzieję w greckim sensie oznacza patrzeć śmiało i bez złudzeń w mrok natury ludzkiej, czerpiąc siłę nie z optymizmu co do dalszego biegu wypadków, tylko z dotknięcia prawdy, choćby była najstraszniejsza, a oprócz tego z poczucia więzi z „tragikami”, którzy żyli przed nami i potrafili współczuć ofiarom niezależnie od własnych plemiennych lojalności.

RENATA LIS

Czy feminizm ma przyszłość?



Wwielu krajach kobiety oraz ich mężczyźni osiągnęli już wszystkie

zamierzone cele w walce o emancypację kobiet. Usunięto nierówności płac, nierówności w dostępie do różnych zawodów czy urzędów, cięża i macierzyństwo są chronione, a kontrola kobiety nad własną płodnością i seksualnością pełna. Nikt tam nie traktuje kobiet protekcyjnie, a one same nie muszą się do nikogo mizdrzyć, aby dostać pracę. A jednak to właśnie w najbogatszych i najbardziej postępowych krajach Zachodu feminizm kwitnie.

O co więc chodzi? O pilnowanie zdobyczy ruchu społecznego na rzecz praw kobiet? A może o jakieś relikty paternalistycznej przeszłości? Obie te odpowiedzi są słuszne, lecz niekompletne. Bo przecież nie wyobrażamy sobie, że feministki pewnego dnia powiedzą: „załatwione, rozchodzimy się”. Bycie feministką (także płci męskiej) to silna ideowa i życiowa tożsamość, a tożsamości nie wyzbywamy się dobrowolnie. Feministki – zarówno te walczące o społeczno-ekonomiczne prawa kobiet, jak i te, które walczą o prawo każdej kobiety do przeżywania i manifestowania swej kobiecości w sposób, jaki jej odpowiada – uważają się za awangardę swojej płci i rzeczniczki „sprawy kobiecej”. W konsekwencji wytwarza się między nimi i rzeszami kobiet nieuwzględnianymi się za feministki pewnego rodzaju napięcie. Właściwie dlaczego masy kobiet są „bezczyne”, pozwalając na to, by feministki walczyły za nie? Z drugiej strony: kto właściwie dał feministkom prawo do reprezentowania całego „stanu kobiecego”? No i wreszcie to najbardziej niezręczne: czy bardziej wyzwolona jest kobieta, która wcale nie myśląc o „sprawie kobiecej”, po prostu żyje, „jak chce”, czy właśnie feministka, która z natury rzeczy ma „jakiś problem” z kobiecością?

Nie mówię o tym, żeby krytykować feminizm, lecz po to, by mogło wybrzmieć coś, co słabo przebija się do oficjalnej debaty publicznej. Większość kobiet nie określa się jako feministki, nawet jeśli w jakiejś mierze z feminizmem sympatyzują i odczuwają pewien rodzaj wdzięczności dla aktywistek walczących o prawa wszystkich kobiet. Nie brakuje jednakże i takich kobiet, które czują się w pełni wolne czy wręcz wyzwolone, zdecydowanie i śmiało korzystając ze wszystkich zdobyczy ruchu kobiecego i feminizmu, a jednocześnie otwarcie odcinają się od feministek i feminizmu. W Polsce jest to szczególnie widoczne. Można wręcz mówić o masowym „niefeministycznym wyzwoleniu kobiet”.

Wyzwolone antyfeministki krytykują głównie silnie lewicową odmianę feminizmu, w której feminizm łączy się z ruchem LGBT+. Zachodzi tu bowiem konflikt emocjonalny i ideowy. Feminizm „genderowy” opowiada się za prawem każdej osoby niebinarnej czy transpłciowej do tego, by jej samookreślenia były

wiążące dla wszystkich, jednocześnie, odmawiając kobietom (i mężczyznom, lecz zajmujemy się właśnie kobietami) prawa do wyrażania jakichkolwiek

wątpliwości odnośnie do statusu takich osób. Zgodnie z tym poglądem różne osoby, które najwyraźniej posiadają cechy fizyczne płci męskiej, nie tylko powinny mieć prawo wchodzić do żeńskich toalet i szatni, lecz w dodatku nikt nie ma moralnego prawa wyrażać z tego powodu niezadowolenia. Jako że dla znacznej większości kobiet obecność w toalecie kogoś, kto wygląda na mężczyznę, lub po prostu osoby transpłciowej, jest krępująca, opresja polegająca na zakazie wyrażania niezadowolenia jawi im się bliźniaczo podobna do opresji, jakiej podlegały tradycyjnie osoby LGBT+. I w ten oto sposób feministki zamiast być przyjaciółkami kobiet, okazują się ich nieprzyjaciółkami, jeśli tylko te kobiety mają „jakiś problem” i „nie nadążają”.

Faktycznie, feministki czasami zachowują się i mówią w taki sposób, że „zwyczajne kobiety” mogą się czuć nie tylko pouczone i uciszane, lecz w dodatku mogą poczuć się jakby gorsze – bo są takie „naturałszczykowskie”, a więc że takie z nich pospolite kobiety „z urodzenia”. Co można z tym zrobić? Jak to naprawić? Z pewnością nie pomoże udawanie, że problemu nie ma, albo zrzućcie całą winę na jedną ze stron: „zbyt radykalne” feministki albo podporządkowane kulturze patriarchalnej nieświadome kobiety. W poszukiwaniu kompromisu trzeba otworzyć się na odczucia zarówno kobiet „trans”, jak i „cis”, czyli urodzonych jako kobiety. Obie strony muszą w sobie coś zmienić, żeby sobie zaufały i zawarły jakieś porozumienie na gruncie społecznych obyczajów oraz przepisów prawa. To nie jest gra o wszystko. Można być akceptowaną jako kobieta „trans”, a jednocześnie cieszyć się wdzięcznością kobiet „cis” z powodu delikatności i zrozumienia w pewnych sytuacjach, gdy mogłoby dojść do naruszenia intymności czy poczucia bezpieczeństwa tych ostatnich. W końcu to nie jest wcale takie łatwe pogodzić się z bliską obecnością kobiecości związanej z męską cielesnością. W szpitalu czy w szatni trzeba trochę wysiłku, aby to zaakceptować. I mądre aktywistki (a także same kobiety „cis”) powinny zrozumieć, że akceptacja to proces i trzeba dać wszystkim przestrzeń i czas na dokonanie się tego procesu. A także pogodzić się z tym, że w niektórych przypadkach efekt nie będzie stuprocentowy.

Feministki zawsze będą w mniejszości – nawet wtedy, gdy większość kobiet będzie już w pełni wyzwolona z kultury patriarchalnej. Ważne, aby umiały się wzajemnie z niefeministyczną większością szanować. Szacunek i umiarkowanie to najlepsze, co można dać z siebie, gdy zjawiają się, nieuniknione przecież, różnice zdań i animozje. Przyszłość feminizmu zależy od tego, czy zdoła się oprzeć uwodzicielskiemu urokowi radykalizmu.

JAN HARTMAN



© ADA KOPEC-PAWLIKOWSKA

Spotkanie z autorem „Żydowskiej Ameryki”

W ostatni czwartek Tomasz Zalewski, nasz korespondent z USA, spotkał się z czytelnikami w Krakowie. W Żydowskim Muzeum Galicji – podczas spotkania prowadzonego przez Jacka Stawiskiego, dyrektora Muzeum – opowiadał o swojej najnowszej książce „Żydowska Ameryka. Wczoraj i dziś diaspory w USA” (wydawnictwo POLITYKA).

A na kolejne spotkanie z autorem zapraszamy już w **środe 22 listopada o godz. 18 do Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN** przy ul. Anielewicza 6 w Warszawie. Rozmowę poprowadzi Agnieszka Zagner, redaktorka serwisu Polityka.pl i autorka bloga „Orient Express”, poświęconego problemom Bliskiego Wschodu. Wstęp jest wolny.

Zapraszamy do Katowic

Uczeni często się myślą. Przyznaje to i analizuje prof. Rafał Zwolak z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu (s. 61). Uspokaja jednocześnie: mimo błędów nauka pozostaje najlepszą dostarcicielką rzetelnej wiedzy o świecie. Pod koniec roku można poddać tę tezę własnej ocenie. Od soboty 9 grudnia do poniedziałku 11 grudnia w Katowicach trwać bowiem będzie 7. Śląski Festiwal Nauki. Jego hasło brzmi: „Nauka da nam przyszłość”.

Ta edycja będzie zatem poświęcona głównie sześciu tematom: klimat i środowisko, zdrowie i jakość życia, przemysł przyszłości, innowacje społeczne, dziedzictwo przemysłowe i kulturowe, kreacja i krytyka. A podczas wielu pokazów, warsztatów i wykładów będą poruszane kwestie związane z 17 celami zrównoważonego rozwoju ONZ. Wiąże się to także z niezwykłą okolicznością: stolica Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii została przez organizację EuroScience i Komisję Europejską ogłoszona Europejskim Miastem Nauki 2024.

Na kilkaset wydarzeń zapraszają popularyzatorzy nauki i badacze z kilkunastu krajów świata. Ci drudzy, jeśli ich zapytać, potwierdzą z pewnością, że każdemu – nawet geniuszom takim jak Arystoteles, Pitagoras czy Einstein – zdarzało się nieintencjonalnie błądzić. A ile dobrego z tego wynika!

Szczegóły i program: slaskifestiwalnauki.pl
REDAKCJA



Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że Państwo zastrzeżili ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA

tel. 22 451-61-33, 451-61-34;
tel./faks 22 451-61-35

ADRES INTERNETOWY www.polityka.pl

POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY

Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00, tel./faks 22 451-60-10

CZŁONKOWIE ZARZĄDU

Joanna Sołska,
Mariusz Janicki,
Wiesław Władysław

Z-CY REDAKTORA NACZELNEGO

Mariusz Janicki (Pierwszy Zastępca),
Witold Pawłowski, tel. 22 451-60-03
Łukasz Lipiński (wydania cyfrowe)

SEKRETARZ REDAKCJI

Artur Podgórski
Agnieszka Mazurczyk (asystent),
tel. 22 451-60-39;

Malwina Dziedzic (redaktor działu Opinii)

REDAKTOR WYDANIA

Olga Jędrzejczak tel. 22 451-60-22

Wydania specjalne:

Leszek Będkowski tel. 22 451-60-15
Jolanta Zarembina tel. 22 451-61-40

DZIAŁY REDAKCYJNE

RECEPCJA tel./faks 22 451-60-37/ 38

DZIAŁ POLITYCZNY I KOMENTARZYSTY
Mariusz Janicki (kier.),

Anna Dąbrowska, Rafał Kalukin,
Adam Krzemiński, Paweł Reszka,
Ewa Siedlecka, Adam Szostkiewicz,
Wiesław Władysław, Jacek Zakowski

DZIAŁ KRAJOWY

Jacek Kowalczyk (kier.),
Martyna Bunda (z-ca kier.),
Ewa Wilk (koment.),

Zbigniew Borek, Joanna Cieśla,
Juliusz Cwieliuch, Edyta Gietka,
Katarzyna Kaczorowska,
Marcin Kołodziejczyk,

Violetta Krasnowska,
Marta Mazuś, Joanna Podgórska,
Piotr Pytlakowski, Ryszarda Socha,
Agnieszka Sowa

DZIAŁ EKONOMICZNY

Joanna Sołska (red. działu),
Adam Grzeszak, Cezary Kowanda,
Marcin Piątek

DZIAŁ ZAGRANICZNY

Witold Pawłowski (kier.),
Łukasz Wójcik (z-ca kier.),
Marek Ostrowski (koment.),
Artur Domosławski, Jagienka Wilczak,
Jędrzej Winiecki

współpracownik: Tomasz Walat (Sztokholm),
Tomasz Zalewski (Waszyngton)

DZIAŁ KULTURY

Bartek Chaciński (kier.),
Aneta Kyzioł (z-ca kier.),
Jakub Demiańczuk,

Mirosław Pęczak, Piotr Sarzyński,
Justyna Sobolewska, Dorota Szwarcman,
Janusz Wróblewski

DZIAŁ NAUKA/PROJEKT PULSAR.PL

Karol Jałochowski (kier.),
Katarzyna Czarnačka (z-ca kier.),
Marcin Rotkiewicz,

Edwin Bendyk (koment.),
Agnieszka Krzemińska, Paweł Walewski

DZIAŁ HISTORICZNY

Marian Iurski (kier.), Tomasz Iarganski

STALI FELIETONISCI

Jan Hartman, Sławomir Mizerski,
Stanisław Tym, Marcin Wicha

DZIAŁ PROJEKTÓW SPECJALNYCH

Zofia Leśniewska, tel. 22 451-61-93

DZIAŁ DOKUMENTACJI

Iwona Kochanowska (kier.),
tel. 22 451-61-44, tel./faks 22 451-61-37

PION CYFROWY

Joanna Chmielecka (dyr.)
POLITYKA.PL Łukasz Lipiński (szef serwisu),
Zbigniew Pendel (z-ca),
Aleksandra Żelazińska (z-ca, media
społecznościowe), tel. 22 451-87-88,
Norbert Frątczak, Anna Kowalska,
Agata Szczerbiak, Agnieszka Zagner

WYDANIA CYFROWE Anna Dobrowolska (red. prow.)

GRAFIKA I TECHNIKA

DZIAŁ GRAFICZNY Joanna Mucha (kier.)
DZIAŁ FOTO Wojciech Leliński (kier.)
KOREKTA Zofia Kozik (kier.)

ADMINISTRACJA, FINANSE

RECEPCJA tel. 22 451-60-89,
Jadwiga Kucharczyk (dyr.)

Halina Cibor (gt. księgowo)

PION WYDAWNICZY

Piotr Zmelonek (dyr.), tel. 22 451-61-85
Anita Brzostowska (z-ca dyr.)

DYSTRYBUCJA

Marcin Paśnicki (kier.), tel. 22 451-61-92

PROMOCJA Dominika Nowak-Kajtowska,
tel. 22 451-62-02

DZIAŁ IT Piotr Filipowicz (kier.)

BIURO REKLAMY

RECEPCJA tel. 22 451-61-36,
e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek (dyr.),
Julian Sobiech (reklama cyfrowa)

ZĄTRESZ OGŁOSZENIE REDAKCJA PONOSI
ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH
W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PRENUMERATA PAPIEROWA

www.sklep.polityka.pl
Infolinia: tel. 67 210 86 30,
e-mail: infolinia@polityka.pl
Monika Grabowska,
tel. 22 451-61-00, 451-61-15
e-mail: prenumerata@polityka.pl

PRENUMERATA CYFROWA

www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: tel. 22 336-75-80,
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

Konto: POLITYKA Spółka z o.o. SKA
BGŻ BNP Paribas S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCWBPLPW

Sprzedż bezumowna numerów aktualnych
i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej
przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna
i grozi odpowiedzialnością karną.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Dalsze rozpowszechnianie artykułów
opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.
Przedruki: Justyna Sadowska,
tel. 22 451-61-50,
e-mail: przedruk@polityka.pl

DRUK Quad

PBC

LEPA

PRINTED IN POLAND

HAJDUK



W cieniu wyborów: puchar świata w rugby

Wybory wyborami, konstytucja konstytucją, prezydent jak zwykle sobą, człowiek człowiekowi wilkiem, a kiwi kiwi kiwi... Co z tym kiwi? Ano kiwi to jeden z symboli Nowej Zelandii. Symboli kraj ten ma kilka, ale sport narodowy tylko jeden – rugby. Tak się składa, że na większość września i cały październik 2023 r. przypada 10. puchar świata w rugby. Impreza trwała przez osiem weekendów. W polskich mediach odbiła się echem słyszalnym tylko dla tych, którzy usłyszeć o niej chcieli. Jasne, szycowaliśmy się do wyborów, ale żeby trzecia największa impreza sportowa na świecie (po letnich igrzyskach olimpijskich i piłkarskim mundialu) przeszła ledwo zauważona?

Czym w ogóle jest rugby? Na początek muszę przyznać, że chwilę temu byłem odrobinę nieprecyzyjny – rozegrano puchar świata w rugby union, piętnastoosobową odmianę tej gry. W tym roku rugby jako dyscyplina sportu obchodziła swoje 200. urodziny. W kwietniu 1823 r. nastolatek nazwiskiem William Webb Ellis w czasie gry w piłkę podniósł futbolówkę z ziemi i wbiegł z nią do bramki. A działa się to w szkole w miejscowości Rugby w środkowej Anglii. Przez większość pozostałej części XIX w. rugby służyło tym, którym

służył wówczas każdy inny sport – grali w nie ci, którzy mogli sobie na to pozwolić. Z czasem rugby zaczęli uprawiać również robotnicy. Ci jednak, ganiając za piłką, nie pracowali i nie zarabiali na utrzymanie swoich z reguły licznych rodzin. Bywało, że odnosili kontuzje – wtedy ani nie grali, ani nie zarabiali. Pojawiła się zatem w rugby oddolna presja na to, ażeby sport sprofesjonalizować. Wówczas – w końcu XIX w. – doszło do rozłamu. Powstała profesjonalna rugby league i rugby union pozostająca przy amatorstwie. Rugby league (rugby trzynastoosobowe) jest mniej popularną odmianą rugby. We wschodniej Australii pozostaje sportem klasowym, w północnej Anglii – sportem regionalnym. Rugby union zaś (rugby piętnastoosobowe) jest bezapelacyjnie sportem globalnym. Mimo swojej popularności sprofesjonalizowało się dopiero ok. 30 lat temu, a pierwszy puchar świata rozegrano nieco wcześniej – w 1987 r.

Nie tylko w Nowej Zelandii rugby ma status sportu narodowego. Dotychczas pucharów świata rozegrano 10. Reprezentanci RPA (tzw. Springboks) wygrali tegoroczny turniej, zdobywając tytuł po raz czwarty – jako pierwsi w historii. Trzeci tytuł jako pierwsi zdobyli Nowozelandczycy (tzw. All Blacks) w 2015 r. Drugi tytuł jako pierwsi zdobyli Australijczycy (tzw. Wallabies, największe rozczarowanie tegorocznego turnieju) – w 1999 r.

Emocji w trakcie tegorocznego pucharu nie brakowało. Dość wspomnieć, że Springboks trzy ostatnie mecze wygrywali jednym punktem. W piłce nożnej niby nic, ale w rugby, gdzie punkty zdobywa się w liczbie 3, 5 albo 7, jest to statystyczna osobliwość. Wyniki były kolejno: 29:28, 16:15 i 12:11 dla Springboks. Najwięcej emocji dostarczyły chyba ćwierćfinały, gdzie widzieliśmy cztery bardzo wyrównane pojedynki zakończone niewielkimi różnicami punktowymi. Nie brakowało emocji i w fazie grupowej, gdzie miłe niespodzianki potrafili sprawić Portugalczycy, wygrywając z Fidżi, i Samoańczycy prawie wygrywając z Anglią. Sam finał był starciem dwóch filozofii rugby. Dynamiczną grę z piłką w rękę oglądaliśmy w wykonaniu All Blacks, brutalną siłę szarż serwowali nam Springboks. Tym razem górą byli ci drudzy.

Wpomeczowym wywiadzie zawodnik meczu Piet-Steph du Toit sparafrazował słowa Francois Pienaara z 1995. Tamten, odbierając z rąk Nelsona Mandeli pierwszy puchar świata wywalczony przez Springboks, powiedział, że jego drużyna czuła wsparcie nie kilkudziesięciu tysięcy kibiców zgromadzonych na stadionie (Springboks byli gospodarzami

turnieju), ale kilkudziesięciu milionów ich rodaków, dla których tamten puchar świata był kolejnym świadectwem odejścia od apartheidu.

Bo takie jest rugby. Dla jednych sposób na życie, dla innych rozrywka przed telewizorem, a dla jeszcze innych powód, żeby zapomnieć o dzielących ludzi różnicach i zjednoczyć się we wspólnym kibicowaniu ulubionej drużynie.

HUBERT HORYNEK,
WIELOLETNI CZYTELNIK

GALERIA POLITYKI / IRENEUSZ SZUNIEWICZ



© IRENEUSZ SZUNIEWICZ

REKLAMA

"Other Doors" Tour

23.11 Katowice 25.11 Bydgoszcz
24.11 Warszawa 16.11 Poznań

David Cross Band
ex - King Crimson

Lorks' Tongues In Aspic At 50

21.02.2024 Katowice
22.02 Wrocław 23.02 Poznań
24.02 Bydgoszcz 25.02 Warszawa

JEDYNY KONCERT W POLSCE

MARCO CAVIGLIA PRIMIANO DI BIASE STEVE WALTERS ALAN CLARK DANNY CUMMINGS MEL COLLINS PHIL PALMER CRISTIANO MICALIZZI

Tour 2024
DSL DIRE STRAITS LEGACY
09.03.2024 Bydgoszcz

eBilet eventim ticketmaster 1994 KAPLANIA



RELACJE

Stop dyktaturze skowronków!

Nasze społeczeństwa co do zasady dyskryminują sowy, zakładając, że typowymi godzinami pracy są te od 8 do 16. A wszystko zaczyna się w szkole.

Gdy jakiś czas temu opublikowałem na Tik-Toku film „Dlaczego tak NAPRAWDĘ nie potrafisz wstać do szkoły?“, który w kilka dni obejrzało ponad pół miliona osób, jeszcze lepiej zdałem sobie sprawę, jak wielki i dotkliwy to problem dla młodych ludzi. No właśnie: nie problem, lecz forma przemocy zadawanej im systemowo, na dodatek utwierdzająca ich w przekonaniu, że to z nimi jest coś nie tak. Badania z ostatnich kilkudziesięciu lat pokazują jednak coś zupełnie innego.

Co do zasady szkoła zaczyna się o ósmej rano, a z powodu coraz słabszej wydolności systemu edukacji coraz częściej dzieci w szkołach podstawowych i średnich

zaczynają zajęcia o siódmej, a nawet jeszcze wcześniej. Problem w tym, że lekcje o świcie sięgają spustoszenia w organizmie nastolatków, których cykl dobowy zmienia się w okolicach 16. roku życia, powodując, że zasypiają kilka godzin po dorosłych. Wynika to z przesunięcia fali melatoniny, która wzbiera u nich nie ok. 21, jak ma to miejsce jeszcze u dziewięciolatka, a kilka godzin później, często po północy. Poza tym według badań mózg nastolatka potrzebuje więcej snu i czasu na dokończenie cyklu dobowego, inaczej funkcjonuje w stanie zamroczenia. Zmiany w śnie młodych ludzi są niezależne od ich woli, nienegocjowalne i silnie biologiczne, o czym pisał m.in. Matthew Walker w książce „Dlaczego śpimy?” – w przeciwieństwie do godziny rozpoczęcia lekcji, która jest kwestią pewnej umowy i ma charakter czysto konwencjonalny. Kto nie lubił pospać dłużej jako nastolatek, niech pierwszy rzuci kamieniem.

To niejedyny wymiar przemocy systemowej związanej ze snem. Oprócz ogólnych zmian w sposobie funkcjonowania organizmu młodych ludzi – podobnie jak dorosłych – cechują różne chronotypy, które są już kwestią indywidualną. Cykl dobowy części z nich sprawia, że chodzą spać wcześniej od rówieśników, u innych powoduje, że zasypiają dużo później. Lekcje z rana sprzyjają jednocześnie dzieciom z chronotypem skowronka – ich własny zegar biologiczny sprawia, że chodzą wcześniej spać i w związku z tym wstają wcześniej. Każdy z nas pamięta ze szkoły osoby, które na pierwszych lekcjach tryskały energią, gotowe odpowiedzieć na każde pytanie nauczycielki. Co jednak z uczniami, którzy przypominają Thomasa Alwę Edisona? Człowieka, który podobno wynalazł żarówkę głównie po to, by móc pracować nocami, ponieważ cechował go chronotyp sowy. Nasze społeczeństwa co do zasady dyskryminują sowy, zakładając, że typowymi godzinami pracy są te od 8 do 16.

Dyskryminacja zaczyna się jednak w szkole. Uczniowie, którzy nie spóźniają się na lekcje i są aktywni z samego rana, automatycznie otrzymują etykietę „pilnych”. Co więcej, godziny egzaminów centralnych (np. matury) również sprzyjają tym osobom, które są już rozbudzone w godzinach porannych, dając im pod tym względem znacznie większą szansę na lepszy wynik niż socom. Ten wymiar przemocy systemowej reprodukuje się później na poziomie pracy zawodowej. Szefowie uważają pracowników wcześniej pojawiających się w pracy za kompetentnych i oddanych, słabiej oceniają maruderów, zgodnie z powiedzeniem: „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje”. Sowy uważane są za leniwe i mało ambitne. Prawda jest jednak taka, że szkoła, miejsca pracy i instytucje państwowe są zaprojektowane z myślą o osobach posiadających inny chronotyp niż one. W przypadku uczniów kara jest podwójna: nie dość, że nie mogą się wyspać, to jeszcze osłabia się ich poczucie własnej wartości z powodu braku synchronizacji ze szkolnym harmonogramem. I bardzo możliwe, że gdyby lekcje odbywały się w innych godzinach, ci sami uczniowie okazaliby się prymusami. Dzięki badaniom wszystko to wiemy od kilkudziesięciu lat, a jednak nic z tym nie robimy. Pytanie, jak długo jeszcze pozwolimy, by (młodzi) ludzie byli w ten sposób dyskryminowani? ■



Mikołaj Marcela – autor bestsellerowych książek poświęconych edukacji, nauczyciel akademicki i wicedyrektor kierunków sztuka pisanie oraz twórcze pisanie i marketing wydawniczy na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach.

Darmowy wstęp wzbroniony

TECHNO

Nie zezwalam Facebookowi na obciążanie 4,99 USD miesięcznie na moje konto; wszystkie moje zdjęcia są moją własnością, a NIE Facebook!!!” – łańcuszek tej i podobnej treści szerzy się po sieci jak wirus (albo wiral). I jak każdy taki łańcuszek nie ma żadnej mocy sprawczej, zapewniamy. O co więc chodzi? O pieniądze.

„Wierzymy w internet wspierany reklamami, który zapewnia ludziom dostęp do personalizowanych produktów i usług niezależnie od ich statusu ekonomicznego” – czytamy w oświadczeniu Mety, spółki technologicznej Marka Zuckerberga, do której należą m.in. Facebook i Instagram. W listopadzie oba serwisy wprowadziły płatną subskrypcję dla mieszkańców Unii Europejskiej, Europejskiego Obszaru Gospodarczego i Szwajcarii. Rozbiło się o dostęp do danych i ich ochronę. W maju, przypomnijmy, Europejska Rada Ochrony Danych ukarała Metę rekordową grzywną 1,2 mld euro za naruszenie przepisów dotyczących prywatności użytkowników, znanych jako RODO. W uproszczeniu chodzi o wykorzystywanie informacji o odbiorcach, aby wyświetlać im reklamy, które mają w domyśle jak najlepiej odpowiadać na ich potrzeby z jednej strony, ale z drugiej naruszają ich dobro osobiste. Reakcja Mety jest prosta – nie chcesz oglądać reklam i udostępniać



danych do ich wyświetlania i analizy, musisz zapłacić. Jeśli ci to nie przeszkadza, możesz nadal bezpłatnie korzystać z jej usług.

le zapłacimy? Jeśli chcemy z serwisów korzystać wyłącznie na komputerach, będzie nas to kosztowało 9,99 euro (ok. 45 zł) miesięcznie. W przypadku urządzeń z systemami iOS i Android to już 59,99 zł. Meta zapowiedziała

też, że na razie opłata będzie dotyczyła wszystkich kont, którymi zarządzamy w ramach serwisów. Ale od 1 marca 2024 r. za każde dodatkowe konto dołożymy 6 albo 8 euro miesięcznie (kolejno ok. 27 i 36 zł). Dlaczego urządzenia mobilne są droższe? Spółka tłumaczy się opłatami pobieranymi przez Google i Apple.

Mimo że modele subskrypcyjne są nam znane od lat i wydaje się, że przywykliśmy już do płacenia za Netflix czy Spotify, to płatne Facebook i Instagram wywołały oburzenie. Głównie z powodu wysokiej ceny. Można pokusić się o pytanie, ile dziś jest warta nasza prywatność? I czy za chwilę hasło „To jest (i zawsze będzie) darmowe!”, które kilka lat temu zniknęło z Facebooka, nie zmieni się na „Darmowy wstęp wzbroniony”. A dziś oznaczałoby to jedno: cyfrowe i społeczne wykluczenie.

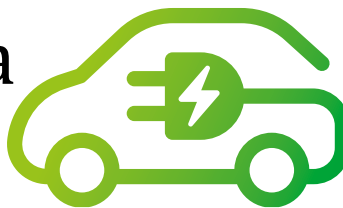
JOANNA TRACEWICZ

Sztuka dowożenia

SŁOWO

Świat w ostatnich latach zwraca baczniejszą uwagę na profesje zajmujące się dowozem. Trudno sobie np. wyobrazić, jak wyglądałaby pandemia, gdyby kurierzy nie byli w stanie dowieźć na czas niemal wszystkiego. Niepostrzeżenie do grona dowożących dołączyli piłkarze. Żeby dowieść swojej przydatności, musieli dowieźć zwycięstwo. A gdy oczekiwania przygasły – dowieźć choć remis. Tu jeszcze czasownik „dowieźć” mieścił się w słownikowym znaczeniu: dotarcia z czymś lub kimś na miejsce (czyli do końca meczu) albo przywiezienia więcej tego czegoś lub kogoś (w tym wypadku bramek). Szczególnie gdy chodziło o mecze wyjazdowe (na których dowieźć cokolwiek trudniej). Czytelność stracił całkiem dopiero wtedy, gdy zaczęła go używać grupa zawodowa zajmująca się zmienianiem znaczeń, czyli politycy.

Początki były nieśmiałe. Dwa lata temu Aleksander Kwasiński analizował jeszcze trochę po piłkarsku: „PiS dowiezie pozycję lidera w wyborach, ale większości parlamentarnej już nie”. Ale tuż przed wyborami Partia Razem przedstawiała jeden ze swoich postulatów tak: „Czas na państwo budujące mieszkania i to dowieziemy tylko my!”. Tu już „dowieźć” było kalką znaczeniową angielskiego *deliver*, którym anglosasi opisują m.in. spełnianie obietnic.



Analogiczne znaczenie mamy w twitterowym komentarzu opublikowanym już w marcu 2021 r.: „Czytam zapowiedź Nowego Ładu. Jeśli PiS to rzeczywiście dowiezie, to game over”. PiS, jak wiemy, skupił się na dowożeniu (w tradycyjnym znaczeniu) wyborców do urn – i poległ.

A liderzy zwycięskiej koalicji, choć jeszcze nie rządzą, są już rozliczani z tego, co uda im się (w nowym znaczeniu) dowieźć. Na razie – jak zauważa Rafał Madajczak, redaktor naczelny Gazety.pl – „dowieźli obietnicę publikacji umowy koalicyjnej”. Jeśli pojawiały się ostatnio rozliczenia PiS, to raczej w tonie ironicznym, jak ten twitterowy komentarz: „Słuchajcie, nie chcę was martwić, ale chyba PiS nie dowiezie tego miliona aut elektrycznych”. Tu widać całą ewolucję słowa, które każe nam teraz „dowozić samochody”, zamiast „dowozić samochodami”. Pytanie, czym się w takim razie dowozi te obietnice, pozostaje na razie otwarte – może dlatego, że mało kto je dowoził, więc nie bardzo jest kogo pytać. Z teorii wiemy natomiast, że materia jest skomplikowana: trzeba tak dowieźć, żeby nie zawieść.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY

To mój dar do wersów, klan morderców, nas dwójka i ten bit
Nie chcę wozić się, w pożyczonych ciuchach wbijać na klip
O.S.T.R., Nie chcę, 2019 r.
wozić się = szpanować, popisywać się



D I Z A J N

Od boazerii do lamperii

Po kilku dekadach względnego zapomnienia zwyczaj zabezpieczania dolnego pasa ścian przeżywa renesans. Opcji mamy co niemiara.

W czterech ścianach spędzamy dziś ponad połowę naszych żywotów. Tak naprawdę ścian jest więcej niż cztery, bo nawet ci z nas, którzy mieszkają w kawalerkach, zazwyczaj mają do dyspozycji jeszcze łazienki, kuchnie lub przedpokoje. Dlatego ściany, z natury dyskretne i konieczne elementy strukturalne budynków, podlegają naszej kontroli. Ich charakter wpływa na nasze samopoczucie jako ważny wyznacznik komfortu. Pomijając aspekt konstrukcyjny, są odpowiednikami tablic albo kartek, których treść stanowi ekspresję i zarazem wizytówkę właścicieli.

Taką treścią mogłyby być odpowiednio dobrane wzorzyste tapety, specjalnie zaprojektowane freski, wesole kolorowe dekoracje malowane na grubym tynku albo bielonej wapnem ścianie przez łowickie czy podolskie włościanki w trakcie mroźnej zimy. W każdym



Jakub Szczęsny

– architekt, twórca instalacji umieszczanych w przestrzeniach publicznych na całym świecie. W 2012 r. w wąskiej szczelinie między blokiem a kamienicą na rogu warszawskich ulic Chłodnej i Żelaznej postawił Dom Kereta, którego projekt potem trafił do kolekcji stałej MoMa w Nowym Jorku. Do 2 czerwca 2024 r. trwa jego wystawa retrospektywna w Muzeum Miasta Gdyni.

z tych wypadków kluczowa była i jest intencja, zamysł i nadzór estetyczny, a także ciągła kontrola w trakcie ich użytkowania.

Niestety, ściany jako przestrzeń ekspresji łatwo zamieniają się w przestrzeń ekspansji. Padają więc ofiarą wandalizmu, a do tego niefortunnym przypadków i nieuchronnego starzenia „tkanki budowlanej”. Jak je uchronić przed pełnymi twórczego zapału, uzbrojonymi w niezmywalny flamaster rączkami pięciolatków albo, co gorsza, pozbawionych skrupułów nastoletnich fanów piłki nożnej? Jak nie dopuścić, żeby nasze ściany zamieniły się w świadków całych dekad tarcia ciemnym oparciem krzesła o białą połącz muru? Odpowiedź jest prosta: poznajcie lamperie!

Co starszym z czytelników lamperie kojarzyć się mogą z pasem miętowo-pistacjowej farby olejnej w korytarzach przychodni i wnętrzach fabryk epoki PRL. Albo z obudową dolnych części ścian z fornirowanych płyt wiórowych w gabinetach komunistycznych oficjeli. Nie bez kozery panele te stanowią dziś część odtwarzanego przez scenografów języka epoki w nowych polskich produkcjach serialowych: od „Wielkiej wody” po „Świętego”. Lamperia ma jednak dłuższą historię i nieco szlachetniejszy rodowód.

Pojawiła się w salach angielskich i francuskich zamków późnego średniowiecza jako *wainscot* lub znajomo brzmiące *boiserie*. Wówczas jeszcze w formie wysokich, bo zazwyczaj trzymetrowych rzeźbionych we wzory paneli drewnianych. W renesansie gościły na korytarzach i klatkach schodowych pałaców brytyjskiej i północnoeuropejskiej arystokracji. Ze względu na koszt wytworzenia drewniana lamperia była dowodem wysokiego statusu właściciela rezydencji. W Anglii ściany objano panelami z pozbawionych sęków desek z wolno rosnących dębów z Rosji, Niemiec i Holandii, a potem z lasów kaledońskich z północy Szkocji, po których, nawiasem mówiąc, nie zostało już prawie nic właśnie z powodu popularności drewna jako materiału konstrukcyjnego i wykończeniowego.

Niejako równoległe *wainscot* przywędrowało w formie mniej więcej metrowych paneli do wnętrz niższych klas, zwykłych domów i oberż, a potem do pubów, w tym irlandzkich, gdzie panele nadal maluje się zielenią św. Patryka.

W XIX i XX w., kiedy upowszechniło się budownictwo wielorodzinne, lamperie można już było spotkać wszędzie. Od ścian berlińskich czynszówek po wnętrza dworców. W latach 20. XX w. upowszechniły się abstrakcyjne lamperie olejne, zazwyczaj jasnobrązowe i zielone, malowane szerokimi pędzlami z grubego włosia, co dawało efekt falujących, równoległych kresek, nieco przypominających malarstwo Nikodema Szpunara.

Dziś, po kilku dekadach względnego zapomnienia, zwyczaj zabezpieczania dolnego pasa ścian przeżywa renesans. Opcji mamy co niemiara: od fakturowych i winylowych tapet i farb, włącznie z tablicowymi, po gotowe panele z nieszczęsnego, łatwo nasiąkliwego MDF. Tych ostatnich radzę się wystrzegać, zastępując je naturalną, ale zabezpieczoną przeciwwodnie sklejką. Estetycznie bliżej jej do historycznego pierwowzoru, a i nie popadniemy w snobizm. No chyba że naprawdę jesteśmy brytyjskimi arystokratami. ■

Spodnie? Nie, dziękuję

Moda to czasem taka zabawa w chowanego – raz ukrywamy części ciała, a raz je „znajdujemy” i odkrywamy. W tym sezonie w tej grze biorą udział nogi.

Nie tak dawno, dawno temu dyskusja o nogawce była krótka. Władzę przejmował jeden model – raz to były rurki, kiedy indziej dzwony, rybaczki itd. – a potem długo, długo nic. Obecnie trendy zmieniają się jak w kalejdoskopie, więc rzadko można mówić o jednej, globalnie dominującej sylwetce. Wyjątkiem były czasy pandemii, gdy tzw. wszyscy nosili bawełniane lub kaszmirowe dresy. Teraz moda spodni się po prostu pozbywa. Coś, co kiedyś zdarzało się w koszmarach sennych – tych, w których wyszliśmy z domu przez pomyłkę w samych niewymownych – dziś jest pożądane.

A więc co, jeśli nie spodnie? Opcje są dwie: gołe nogi lub same rajstopy, najlepiej cieliste lub czarne, dowolnej grubości, byle chociaż odrobinę prześwitwały. Nie chcemy przecież, żeby ktokolwiek pomyślał, że nosimy kryjące legginsy – to wszak prawie spodnie. Widywane głównie na siłowniach, w studiach jogi lub na trasach biegowych, ostatnio dokonały też desantu na miejskie ulice. No, ale kto komu udowodni, że legginsy i osoba je nosząca nie są właśnie na trasie dom–ćwiczenia–dom? Tak czy inaczej, jeśli chcemy poważnie realizować trend bezspodniowy (*pantless trend*), bieliznę po prostu musi być widać. Świadomie, bezczelnie, efektownie, bez udawania, że mamy na sobie minisukienkę czy spódnice, którą udaje długa koszula.

Taki styl lansują ulubienice pism i portali modowych: piosenkarka Taylor Swift czy modelki Bella Hadid, **Kylie Jenner** i Kendall Jenner. O tyle te nazwiska warto odnotować, że jeśli ktoś potrafi rozstrawić najdziwniejsze nawet zjawisko, to właśnie one. Kiedyś o takich osobach mówiło się trendsetterki albo it-girls, dziś wystarczy po prostu podać te nazwiska – najmniej popularna z tej paczki Bella ma „tylko” 60 mln obserwujących na Instagramie, pozostałe panie mają ich po kilka razy więcej. Gdy więc jedna z nich przechadza się ulicą w wielkich białych bokserkach założonych na czarne, prześwitujące rajstopy (Kylie), a innej widać czarne figi również pod rajstopami (Kendall), to wiemy, że coś się dzieje. Ostatnio w podobnym stylu ubrała się na spotkanie z dziennikarzami aktorka Rachel Zegler, gwiazda dystopijnego filmu przygodowego „Igrzyska śmierci: Ballada ptaków i węży”. Czyli brak spodni stał się w tym kontekście strojem służbowym.

Oczywiście podobne koncepcje – jak wszystko w modzie – już były, czy to w „Fabryce” Andy’ego Warhola na zgrabnych nogach Edie Sedgwick, czy na pokazie Chanel w 1991 r., czy w wersji sportowej u Jane Fondy (tu zamiast majtek widoczne było tzw. body – również



MODA



Ola Salwa

– absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Pisze o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze, jest członkinią Europejskiej Akademii Filmowej.

szalenie modne od kilku sezonów). Bieżące zainteresowanie tym, co na nogach, można na dobrą sprawę czytać na różne sposoby. Jako ekstrapolację „nagiego trendu” (pisaliśmy o nim w POLITYCE 22), gdzie najważniejszym elementem są przezroczystości. Czy kolejną odsłonę także lubianego przez modę wyciągania na światło dzienne tego, co ukryte. I to nie tylko bielizny, ale też szwów czy innych elementów konstrukcji ubrań; awangardowi projektanci, jak Martin Margiela czy Rei Kawakubo, już to robili w poprzednim tysiącleciu.

Jest jeszcze i ta wersja wydarzeń – reinterpretacja znaczenia spodni w modzie kobiecej. Tu warto pamiętać, jak ważnym elementem feministycznej rewolucji na początku XX w. było noszenie tradycyjnie męskich ubrań. Suфраżystki dumnie nosiły spodnie, co było oczywiście manifestem społeczno-politycznym, ale także ułatwieniem w wykonywaniu uważanych za mało kobiece czynności, jak choćby jeżdżenie rowerem czy praca w fabryce. Dama w spodniach była aberracją nawet dekady później, pod koniec liberalnych obyczajowo lat 60. Magazyn mody „W” przytacza świetną anegdotę: gdy Nan Kempner, znana w paryskich kręgach osobistość, chciała wejść do eleganckiej restauracji w smokingu zaprojektowanym przez Yves’a Saint Laurenta – przypomnijmy, że to był jeden z kolejnych kamieni milowych feministycznej mody – odmówiono jej. Przedsiębiorcza dama obróciła się na pięcie, zdjęła spodnie, zawiązała w pasie blezer i w tej „miniówce” weszła do środka. Dziś w podobnej sytuacji nie potrzebowałaby żadnego swetrowego alibi. ■

W kirgiskiej jurcie

Nocleg w takim „apartamencie” to żelazny punkt programu większości turystów odwiedzających Kirgistan.

Z czym kojarzy mi się Kirgistan? Z górami i jurdami. Góry zajmują aż 93 proc. powierzchni kraju i są naprawdę wielkie. Należą do nich znane dobrze wśród polskich wspinaczy siedmiotysięczniki: Pik Zwycięstwa i Pik Lenina. Tak na marginesie: jest też Pik Putina (raptem 4446 m wysokości).

Kirgizi, dawniej naród nomadów, przez wieki mieszkali w jurtach latem i zimą, choć zimy bywają tu długie, śnieżne i mroźne. Dzisiaj pasterzy jest mniej, ale jurty nadal im służą, choć tylko latem – z końcem września wracają do normalnych domostw.

Po kirgiskiu jurta to *boz iij*, dosłownie „szary dom”. Szary, bo taki kolor ma oryginalnie wołok (rodzaj filcu), który według tradycji tworzy jej ściany. Filc sprawia, że latem w namiocie jest chłodniej, a zimą cieplej. Na wykonanie standardowej jurty (na planie okręgu o 6 m średnicy, mającej 3 m wysokości i 30 m kw. powierzchni) potrzeba wełny od 25 owiec. Dziś filcowe płachty rozpina się na kupionym metalowym stelażu. Okien w jurtach nie ma, światło wpada przez drzwi albo otwór w sklepieniu.

Jurta to rodzaj namiotu, który zaskakująco szybko da się rozstawić. Dwie, trzy osoby dadzą radę w godzinę, chociaż na Mistrzostwach Świata Koczowników reprezentacja kirgiska poradziła sobie z tym zadaniem w rekordowe 17 minut! Ponieważ taki pakunek waży dość sporo (300–400 kg), na transport jurty przeznaczają się zwykle dwa konie.

Podczas wędrówek po kirgiskich górach nieraz mam okazję zajrzeć do jurt. – *Opiekujemy się stadem 700 zwierząt. Mamy tu krowy, konie, kozy i owce* – opowiada Amina, która zarabia wypasami z rodziną. Zwierzęta dają jej pod opiekę różni gospodarze. Jest z mężem i synem, więc jedna jurta im wystarczy. Gotują w piecyku, przy dobrej pogodzie ustawionym na zewnątrz. Często mają herbatę z samowara, serwowaną w czarkach zwanych *czynami*, i *kurutem*, suszonym serem w formie białych kuleczek. Raz na jakiś czas ktoś z nich zabiera się na zakupy do miasta. W pobliżu obozowiska mają malutką osadę, gdzie

docierają przywożące turystów *wieziechody*, terenowe samochody, które przejadą po błocie, kamieniach, nawet po dość stromych drogach. Pali takie monstrem co niemiara, ok. 30 litrów na 100 km, ale w Kirgistanie benzyna jest tania. W przeliczniku 3 zł za litr.

Gry konne to kolejna istotna część tutejszych tradycji. Najpopularniejsza, *ulak tartysz*, czyli „wrywanie kozy”, przypomina skrzyżowanie polo, rugby i futbolu. Zawodnicy każdej z drużyn starają się umieścić w bramce truchło zwierzęcia – kiedyś wilka, teraz przeważnie kozy, której wnętrze wypelnia się piaskiem. Waga ok. 25 kg sprawia, że niełatwo coś takiego przeciwnikowi odebrać. Trzeba wykazać się i siłą, i zwinnością. Jest też *kyz kuumaj* – tu można się przekonać, że i dziewczyny świetnie sobie radzą w siodle. Uczestniczka gry ucieka konno przed chłopakiem, a kiedy ten ją dogoni, ma prawo do pocałunku. Gorzej, jeśli mu się nie uda. Wtedy publicznie obrywa biczem.

Kiedyś trafiłam do jurty drobnej na wiejskiej ulicy. W weekendowe wieczory służyła za miejsce kolacji organizowanych w sąsiedzkiem gronie. Jurty pojawiają się nierzadko na terenie posesji, po prostu przed domem, sprawdzają się jako jadalnia i miejsce podejmowania gości. Jurtę stawia się też na pogrzeby – według dawnych tradycji zmarłą osobę powinno się w niej położyć na trzy dni. Wynosi się z niej wówczas wszystkie sprzęty poza dywanami, na których niegdyś rozsiadały się płaczkę. Po pogrzebie taką jurtę zwykle się rozbiera.

Oczywiście są też jurty dla turystów. Nocleg w takim „apartamencie” to żelazny punkt programu większości grup odwiedzających Kirgistan. Standard i warunki bywają różne, od spartańskich po przypominające hotelowe pokoje – z łózkami, umywalkami, piecykiem, w którym pali się nie suszonymi odchodami zwierząt, ale przywożonym specjalnie drewnem. Największy wybór turystycznych jurt znajdziemy nad malowniczym jeziorem Songköl (wysokość 3 tys. m, więc piecykowe ogrzewanie się docenia). W pięknej okolicy nie ma żadnych pensjonatów i hoteli, są wyłącznie jurty. No i góry!



Monika Witkowska

– podróżniczka, żeglarka, himalaistka. Autorka książek (m.in. „Everest. Góra Gór”) i przewodniczka grup trekkingowych, m.in. w Himalajach. Prowadzi stronę monikawitkowska.pl.

Niech żyje młodość

Było już winem ulubionym i najbardziej obciachowym. Pora dać Beaujolais Nouveau trzecią szansę.

Jeśli dziś wtorek, to jesteśmy w Belgii, jak mawiano w kultowym filmie z 1969 r. A jeśli mamy trzeci czwartek listopada, to pijemy Beaujolais Nouveau. Tradycyjnie tego dnia na rynek trafia pierwsze wino z nowego rocznika, co jest okazją do hucznych biesiad w towarzystwie muzyki na żywo, szynki, kiełbasy, sera i podobnej zakąski. Tak bowiem młode wino podaje się w jego ojczyźnie, czyli francuskim regionie Beaujolais, leżącym na północ od drugiego miasta Francji – Lyonu.

Region, jakich wiele – wino powstaje tu od czasów rzymskich, na przestrzeni dziejów wykształciły się lokalne odmiany winorośli: Gamay Noir à Jus Blanc o smaku truskawki i piwonii – oraz obyczaje, w tym przypadku tzw. maceracja węglowa, czyli fermentowanie całych, niewytłoczonych winogron, dzięki czemu czerwone wino jest miększe, niecierpkie i szybciej nadaje się do picia.

Beaujolais trwało sobie w swojej niespiesznej lokalności aż do początku lat 70., gdy Georges Dubœuf, właściciel miejscowej rozlewni, postanowił wylansować młode wino poza granicami Francji. Z obyczaju zrobił wydarzenie, tworząc prezentowany na barwnych plakatach slogan „Le Beaujolais Nouveau est arrivé!” (nowe Beaujolais już przyjechało) i całą serię niezobowiązujących degustacji młodego dionizjaku. Chwyciło, bo konsumenci w takich krajach jak USA czy Japonia dotąd traktowali wino z celebrą, a tu dostawali zaraźliwie radosny spon-tan. W szczycie powodzenia sam Dubœuf sprzedawał w USA przeszło 12 mln butelek Nouveau.

Od razu jednak pojawiły się głosy krytyki. Młode „bo-zole” atakowano z różnych stron. Nawet miłośnicy fineryjnego wiśniowego Gamay podkreślali, że Nouveau to, owszem, sympatyczny i radośnie pijalny, ale erzac, na którego sukcesie wręcz tracą poważne wina z regionu, zwane po prostu Beaujolais albo w lepszej wersji Beaujolais-Villages. Romantyczne teorie, że Nouveau pozwala „poznać charakter rocznika”, można włożyć między bajki, bo jest to wino technologiczne, którego produkcję maksymalnie się przyspiesza, żeby zdążyć na czas, i w związku z tym zawsze smakujące tak samo: kwaśna wiśnia, sztuczny fiołek i banan – bo takie nuty daje maceracja węglowa na hodowlanych drożdżach. Inni posuwali się dalej, znany degustator François Mauss wprost nazwał Nouveau *vin de merde* (gównianym winem), za co od cytującego go miesięcznika „Lyon Mag” zasądono nawet 300 tys. euro grzywny za zniesławienie winiarzy. (Sąd kasacyjny po dwóch latach karę anulował).

Wahania rynku nie oszczędzały Nouveau. Po okresie wielkiej popularności trend osłabł. W czasie pandemii młode wina z Francji potrafiły tracić na sprzedaż po 25 proc. rocznie. Dziś jednak nie brakuje głosów nawołujących do ponownego zainteresowania się radosnym młodzianem. Swoje pięć minut mają bowiem



W I N O



Wojciech Bońkowski

– pierwszy polski Master of Wine. Współtwórca portalu Winiatywa i pisma o winie „Ferment”.

lekkie wina czerwone – wyraziście owocowe, kwiatowe, ziołowe, w opozycji do dawniej dominujących cierpkich potworów. Teraz w modzie jest czerwone schłodzić i pić do ryby albo do niczego, tak jak białe, którego popularność rośnie najszybciej i wpływa na styl preferowanych czerwieni. Szczególnie młodzi winopijcy poszukują zatem włoskiego Frappato i Corviny, węgierskiego Portugiesera, katalońskiego Trepata, a przecież proajcem tego stylu jest właśnie Beaujolais. Ba, za oceanem triumfy święci nawet piquette, czyli napój powstający z zalania wodą wytłoków po produkcji wina „normalnego” i lekko dofermentowany do 8–10 proc. alkoholu. Poważny „koneser” taki płyn uznaje za godny co najwyżej wylania do zlewu, tymczasem pokolenie Z uwielbia jego lekkość i bezpretensjonalność właśnie. A smak Nouveau to taka piquette na sterydach...

Jedno się nie zmienia – przez kilka tygodni do Gwiazdki francuskie Nouveau leje się strumieniami w gospodach i wine barach, zagryzane szynką i serem. I choć jest cienkie i kwaśne, o śmiesznym zapachu banana, zabawa jest przednia. ■

Domaine Bertrand Beaujolais Nouveau 2023, 39,99 zł (lacave.com.pl i markety Leclerc)

Joseph Drouhin Beaujolais Nouveau 2023, 49,99 zł (winezja.pl)

Jean-Paul Brun Beaujolais Nouveau Fameux de Jean 2023, 59 zł (deliwin.pl)

W tym samym wstępniaku do „Sieci” Karnowski przedstawia scenariusz grozy: „Opozycja (...) chce przejąć media publiczne, planując bandycki atak na ustawowe uprawnienia Rady Mediów Narodowych. Chcą straszyć Polse i Polakom straszliwe rzeczy przy zaciągniętej czarnej kotarze. Nikt ma się nie dowiedzieć, co się dzieje”. Strach odbiera rozum.

Szef powołanej przez PiS Rady Mediów Narodowych Krzysztof Czabański wtóruje lękom Karnowskiego: „Uważam więc, że w ramach koalicyjnych Tusk przekazuje PSL i Lewicy TVP i Polskie Radio, choć wstawi też swoich ludzi. Do pilnowania. I tak w ramach odpolitycznienia będziemy mieli nowe upolitycznienie”. Tyle że nie tak doskonale jak dotąd.

Prezydent Andrzej Duda podczas inauguracji nowego Sejmu oświadczył: „Chciałbym powiedzieć wszystkim formacjom politycznym: ewentualne weto prezydenta nie może być usprawiedliwieniem dla niezrealizowania państwa zapowiedzi i obietnic wyborczych”. Człowiek z bezwstydu.

O słabej nadziei co do przyszłości prezydenta pisze Łukasz Warzecha („Do Rzeczy”): „Na etapie, na którym jesteśmy, trudno jeszcze stawiać jednoznaczne diagnozy. Faktem jest, że okoliczności tworzą panu prezydentowi okazję, aby ustawić się w pozycji jedynego realnego obrońcy wartości własnego obozu politycznego. Czy ją wykorzysta? Wydawało się, że idealną okazją do rozwinięcia skrzydeł było już samo znalezienie się w Pałacu Prezydenckim. Tak się jednak nie stało. Podobnie może skończyć się teraz”. Bo najpierw trzeba mieć skrzydła.

W „Przełądzie”, mówiąc o prezydencie, senator Marek Borowski nie żywi złudzeń: „Duda będzie hamulcowym. (...) Za granicą nigdzie go nie wezmą. Będzie musiał coś sobie znaleźć w kraju. A jedyne, co by go satysfakcjonowało, to liderowanie PiS. Ma szansę! Jedyne warunki – musi być twardy. Nie może iść na kooperację z Tuskiem,

Polacy zostali omamieni przez maszynę propagandy III RP. Wielu wprowadzono wręcz w jakiś stan otumanienia – Michał Karnowski, tłumacząc zwycięską porażkę PiS, „Sieci”.

bo po co taki PiS? Więc będzie musiał się wykazać – jej w sprychny, piasek w tryby. (...) Orędzia będzie wygłaszał, informował opinię publiczną, dłaczego rząd źle rządzi itd. Niczego innego się nie spodziewam. Kohabitacja to nie będzie. To będzie ciężki bój”. Ale czy ostatni?

Lider Razem Adrian Zandberg zapewnia czytelników **L**se.pl: „Przed wyborami z różnych stron padało hasło, że nic, co dane, nie zostanie odebrane. Pracownicy handlu mówią jednoznacznie: prawo do niedzielnego odpoczynku to jedna z takich zdobyczy. W kampanii wyborczej zapowiadałem, że będziemy w Sejmie głosem pracowników. Traktuję to zobowiązanie bardzo serio. Kilka dni po wyborach pewien dziennikarz spytał mnie kpiąco, czy już zmieniliśmy zdanie. Nie, nie zmieniliśmy i nie zamierzamy go zmieniać. Jeśli liberałowie wniosą taki projekt do Sejmu, to zagłosujemy w tej sprawie przeciw. Bo pracownicy handlu mają prawo do odpoczynku”. To oczywiste, że lewica zaleca: „Pamiętaj, abyś dzień święty święcił”.

W „Plusie Minusie” Katarzyna zwraca uwagę na kuriozalną wypowiedź: „Panie Robercie, niestety, może pan być jedną z pierwszych ofiar nowych bolszewików. Proszę się trzymać mocno. Pozdrawiam serdecznie”. „Te ciepłe słowa Jan Żaryn, dyrektor powołanej przez PiS instytucji hojnie rozdającej publiczne pieniądze w ramach tzw. Funduszu Patriotycznego, skierował do jednego z największych beneficjentów tego funduszu i niedoszłego posła Zjednoczonej Prawicy Roberta Bąkiewicza. Bąkiewicz jest bowiem prześladowany przez prokuraturę, która każe mu się tłumaczyć z obnoszenia się z wizerunkiem belgijskiego faszysty Léona Degrelle’a (...). W kraju choć trochę szanującym swoją bolesną historię ludzie pokroju Bąkiewicza tkwiliby sobie na politycznym marginesie jako zbyt obciachowi dla normalnej prawicy”. A jest taka?

Jan Wróbel („DGP”) wreszcie nie musi krytykować jedynej opozycji: „Oczywiście odkrycie, że dyktatury nie ma i nie było, bywa wykorzystywane przez pisowców jako retoryczny argument: no, proszę, my i dyktatura, ha, ha, ha... I dobrze robią, bo w sprawie dyktatury pisowcom debatuje się łatwo – smutna historia PiS to nie autorytaryzm, lecz horrendalne popisy sobiepaństwa, ocierające się o zdradę podstawowych interesów narodowych oddzielania Polski od UE, ideologia sitwy, notoryczne kłamstwa. Tego nie da się obronić”. No, chyba że zajmą się tym symetryści.

Szczecińska działaczka PiS Małgorzata Jacyna-Witt odeszła z partii po wyborach i zaraz wdzięcznie zaapelowała na platformie X do swoich kolegów (za Wyborcza.pl): „No to do roboty posłanki i posłowie z PiS @pisorgp! Od dzisiaj będziemy obserwowali posłanki i posłów PiS, jak dają sobie radę w opozycji. To o wiele trudniejsze zadanie, niż być posłem partii sprawującej władzę. Nic nie można załatwić, do mediów nie wpuszczają, wszyscy atakują, na rządowe uroczystości nie zapraszają, trzeba wyjść na ulice i do ludzi. No i mieć jakąś wiedzę. Tym bardziej że jest to po 8 latach poselskiego, politycznego »dolce vita«. Życzę powodzenia”. Klarownie wyjaśniła, po co była w PiS.

K O Z A

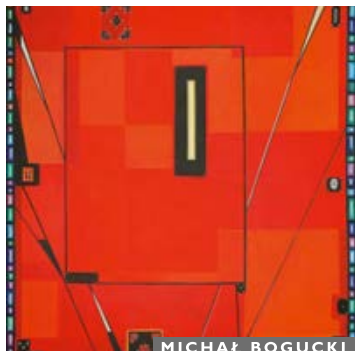


GALERIA STALOWA

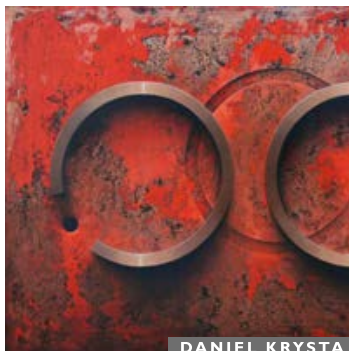
na 20. WARSZAWSKICH TARGACH SZTUKI



BARTOSZ CZARNECKI



MICHAŁ BOGUCKI



DANIEL KRYSTA



PAWEŁ SŁOTA



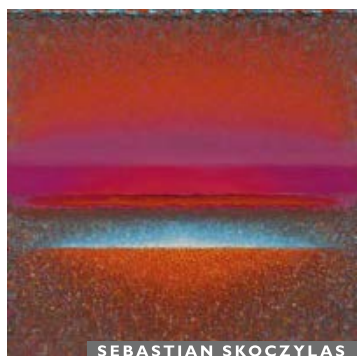
IGNACY NOWODWORSKI



25-26.11.2023
**warszawskie
targi sztuki**



MARIOLA WAWRZUSIAK



SEBASTIAN SKOCZYLAS



KAMIL STAŃCZAK



JANUSZ OSKAR KNOROWSKI



VISTULART

Galeria Sztuki STALOWA zaprasza na Warszawskie Targi Sztuki,
które odbędą się w dniach **25-26 listopada 2023**

Hala EXPO XXI w Warszawie, ul. I. Prądyńskiego 12/14,
STOISKO 63

 GALERIA SZTUKI
STALOWA
ul. Stalowa 26, Warszawa

Godziny otwarcia: sobota 11.00 - 20.00
niedziela 11.00 - 19.00

www.galeriastalowa.pl
galeria@galeriastalowa.pl
+48 606 864 943

T + TISSOT

FOCUS FORWARD



TISSOT PRX AUTOMATIC